



Craig  
**Russell**

mistrz  
karnawału

lesiojot

w  
ab  
two

M R O C Z N A  
S E R I A

CRAIG  
RUSSELL  
**MISTRZ KARNAWAŁU**  
przełożył Jerzy Malinowski

Wydawnictwo  
**ab**

Tytuł oryginału:  
The Carnival Master

Copyright © 2009 by Craig Russell

Copyright © for the Polish edition by  
Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV

Wydanie I

WarszawaPrzekład:  
Jerzy Malinowski

Redakcja:  
Jacek Ring

Korekta:  
Justyna Techmańska, Anna Oleksiak

Redakcja techniczna:  
Anna Gajewska

Projekt okładki: I  
zabella Marcinowska

Zdjęcie na I stronie okładki:  
© Valentino Sani / Trevillion Images

Skład i łamanie:  
Tekst – Małgorzata Krzywicka

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17  
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54  
biuro@gwfoksal.pl

ISBN 978-83-7881-347

Skład wersji elektronicznej:  
Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
i Magdalena Wojtas / Virtualo Sp. z o.o.  
lesiojot

Dla Holgera i Lotte

Karnawał w Kolonii jest zwyczajem wywodzącym się z czasów założenia miasta przez Rzymian. Jego źródła sięgają prawdopodobnie mrocznej pogańskiej przeszłości Celtów, którzy zamieszkiwali te tereny, nim przybyli na nie germańscy i rzymscy najeźdźcy.

Karnawał to czas, kiedy porządek zostaje zastąpiony chaosem, kiedy wstrzemięźliwość Wielkiego Postu poprzedza zapamiętanie i oddawanie się przyjemnościom. Czas, kiedy świat staje na głowie. Kiedy ludzie, na kilka godzin, stają się kimś zupełnie innym.

Mistrzem karnawału jest *Prinz Karneval*, znany także jako *Seine Tollität* – Jego Szalona Mość. *Prinz Karneval* jest pilnowany przez *Prinzengarde* – swoją osobistą straż.

Słowo „karnawał” pochodzi z łacińskiego *carne vale*.

Pozegnanie mięsa.

# PROLOG

## Weiberfastnacht<sup>1</sup> – Karnawałowa Noc Kobiet

*Kolonia styczeń 1999*

Szaleństwo. Gdziekolwiek spojrzęła, panowało szaleństwo. Biegła przez tłum obłąkańców. Rozglądała się wokół, szukając jakiegoś azylu, miejsca, gdzie znalazłaby schronienie w gronie ludzi przy zdrowych zmysłach. Muzyka dudniła bezlitośnie, wypełniając noc przerażającą wesołością. Tłum gęstniał. Więcej ludzi, większe szaleństwo. Przeciskała się przez ludzką ciżbę. Uciekała od dwóch potężnych, czarnych iglic wyrastających w niebo z ogarniętej szaleńcami ulicy. Uciekała od klauna.

Potknęła się na schodach. Minęła dworzec kolejowy. Przebiegła przez plac. Nie przystawała ani na chwilę. I wciąż otaczały ją wykrzykujące coś, śmiejące się w głos, oszalałe twarze.

Wpadła na zbitą grupkę ludzi stojących przed budką, w której sprzedawano *currywurst* i piwo. Był kanclerz Niemiec, Helmut Kohl, stał przyodziany w pieluchę wypchaną niemieckimi markami i śmiejąc się głośno, żartował z trzema Elvisami Presleyami. Średniowieczny rycerz usiłował wepchnąć sobie do ust hotdoga przez ciągle opadającą przyłbicę. Był też dinozaur. I kowboj. Ludwik XIV. Ale nie było klauna.

Rozejrzała się wokół. Za nią kłębiła się chmara ludzi. Nie było w niej klauna. Jeden z Elvisów chwiejnym krokiem ruszył w jej stronę. Zagroził jej drogę i objął ramieniem w pasie. Stłumionym przez lateksową maskę głosem powiedział coś sprośnego.

---

<sup>1</sup>Weiberfastnacht – (niem.) Karnawałowa Noc Kobiet. Uliczne święto obchodzone w ostatni czwartek karnawału w rejonie Nadrenii-Północnej Westfalii. Według starego obyczaju tego dnia kobiety obcinają mężczyznom krawaty będące symbolem patriarchy.

Odepchnęła go i wpadła na dinozaura.

– Jesteście nienormalni! – krzyknęła w stronę tłumu. – Wszyscy jesteście stuknięci! – Roześmiali się. Biegła przez część miasta, której nie знаła. Nie znała tu też prawie nikogo. Ulice zwęzwały się, zaciskały wokół niej. Znalazła się na wąskiej brukowanej uliczce, pogrążonej w mroku i ściśle zabudowanej czteropiętrowymi budynkami z czarnymi otworami okien. Schroniła się w cieniu, próbując złapać oddech. Z odległego centrum miasta wciąż dobiegał zgiełk – szalona, wesoła muzyka przeplatana obłąkańczymi wrzaskami. Próbowała wyłowić z tego hałasu odgłos kroków. Nic. Stała w cieniu, wciśnięta plecami w solidną ścianę budynku.

Klauna wciąż nie było. Klauna z jej dziecięcych koszmarów. Zgubiła go.

Nie miała pojęcia, gdzie się znalazła – wszystko wyglądało tak samo. Wiedziała jednak, że musi iść jak najdalej od szalonych dźwięków miasta, od strzelających w niebo czarnych wież. Serce wciąż waliło jej jak młot, ale oddech już się uspokoił. Ruszyła ulicą, nie odrywając ciała od ściany budynku. Głośna muzyka i ludzki rechot przycichły, ale nagle ulicę rozświetlił blask żółtego światła. Ktoś otworzył drzwi. Błyskawicznie cofnęła się do cienia. Z budynku wyszło trzech troglodytów i tancerka flamenco. Dwóch neandertalczyków niosło skrzynkę piwa. Całe towarzystwo, zataczając się, ruszyło w kierunku pozostałych szaleńców. Zaczęła płakać. Szlochać. Nie było przed tym ucieczki.

Na końcu ulicy dostrzegła kościół. Wielki gmach wciśnięty w brukowany plac. Romańska budowla zapewne górowała w przeszłości nad otaczającymi ją polami i ogrodami. Ale w ciągu kolejnych stuleci miasto zbliżyło się do niej i teraz stała otoczona ciasnym wianuszkiem domów, jak biskup otoczony przez żebraków. Do kościelnego muru przylegała plebania. Po drugiej stronie niewielkiego placu znajdował się bar. Tego jednak wolała uniknąć. Poszuka schronienia w domu parafialnym. Ruszyła w jego kierunku, kiedy nagle zaskoczył ją widok małej, słabowitej, wystraszonej zjawy w ciemnym oknie wystawowym sklepu mięsnego. To było jej własne odbicie zawieszone

pomiędzy wyciętymi z kartonu gwiazdkami z promocyjnymi cenami na wołowinę i wieprzowinę.

Dotarła do narożnika kościoła. Wyglądał mrocznie i ascetycznie na tle nieba. Nacisnęła ciężką żelazną klamkę i napała na drzwi, ale nie ustąpiły. Poszła w kierunku domu parafialnego.

Stanął jej na drodze, wyłaniając się zza kościoła, gdzie czekał na nią w ukryciu. W bladym świetle ulicznej latarni jego twarz była niebiesko-biała, a wymalowany na niej uśmiech – szkarłatny. Z łysiny na czubku głowy spływały po bokach pasma zielonych włosów. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Spojrzała mu w oczy – zimne i nieruchome pod komicznymi łukami wymalowanych na czarno brwi. Nie mogła się poruszyć. Nie mogła krzyżeć. Nie znajdowała w sobie dość siły, żeby się uwolnić i uciec. Dłoń w jasnoniebieskiej filcowej rękawiczce zacisnęła się na jej gardle. Popchnął ją w cień i przyparł do muru kościoła. Uniósł ją, tak że stała teraz na palcach. Jednym ruchem wolnej ręki wyjął z kieszeni płaszcz krawat i ciasno obwiązał go wokół jej szyi.

Wreszcie się szarpnęła. Krawat wrzynał się w skórę, zgniatał naczynia krwionośne, blokował tchawicę. Płucom zaczynało brakować powietrza. Zakręciło jej się w głowie. Pociemniało przed oczami. Kiedy zacisnął pętlę mocniej, widziała już tylko jego twarz.

Groteskową twarz klauna.



# CZEŚĆ I

## **Pamiętnik klauna Pierwszy wpis – 11 listopada, godzina 11:11<sup>2</sup>**

JEST JEDENAŚCIE MINUT PO JEDENASTEJ JEDE-  
NASTY DZIEŃ JEDENASTEGO MIESIĄCA ZNOWU SIĘ  
OBUDZIŁEM OBUDZIŁEM jestem znowu KLAUNEM i obu-  
dziłem się JEŚLI PRAGNĄ CHAOSU BĘDĄ GO MIELI jestem  
tym kim jestem krowy jedzą tylko trawę misie koala jedzą tylko  
liście eukaliptusa pandy jedzą tylko bambusa krowy jedzą tylko  
trawę misie koala jedzą tylko liście eukaliptusa ~~pandy jedzą tyl-~~  
~~ko bambusa~~ ja jem tylko ludzi i jestem tym czym jestem i jem  
tylko to co jem jem tylko ludzi wkleiłem do tego pamiętnika kil-  
ka zdjęć żeby pamiętać piękny widok mięsa krojenia mięsa go-  
towania mięsa jedzenia mięsa myśli tyle różnych myśli gryźć  
jeść jeść zabić jeść dzisiaj jestem znowu KLAUNEM obudziłem  
się znowu to dziwne obudzić się po tak długim czasie zabiłem  
dziwkę i potem ją zjadłem ~~nie zerznąłem jej nigdy nie pieprzy~~  
~~nie baw się jedzeniem one chcą żebyś je pieprzył a nie zjadał~~ po  
prostu zabij i zjedz dziwkę one wszystkie są dziwkami dziwka-  
mi dziwkami skoro się obudziłem to znaczy że KARNAWAŁ  
jest blisko wkrótce KARNAWAŁ cielesny jatka mięsożerny  
PRAGNĄ CHAOSU BĘDĄ GO MIELI jestem KARNA-  
WAŁOWYM KLAUNEM ale nikt się nie śmieje każdy się boi  
boi kiedy maluję twarz maluję swój uśmiech szeroki uśmiech  
widzą uśmiech szeroki piękny uśmiech klauna i zęby mój

---

<sup>2</sup>Zgodnie z tradycją każdego roku 11 listopada o godzinie 11:11 w Kolonii odbywa się uroczyste rozpoczęcie karnawału.

uśmiech ich parzy są bezradni i czekają aż zostaną zjedzeni nikt się nie śmieje z KLAUNA obserwuję ich potem śledzę potem znajduję kryjówkę kryję się przed nimi potem wyskakuję i widzą mnie i krzyczą ale nie śmieją się potem je duszę potem kroję i zjadam i staję się silny taki silny im jestem silniejszy tym dłużej mogę nie spać będę znowu zabijał znowu zjadał przybierał maskę klauna kiedy widzą twarz klauna nie mogą uciekać ani poruszyć się tak się boją są bezradni ponieważ uśmiech klauna uśmiech klauna jest potężny a oni są niczym STAJĄ SIĘ MOIM POZYWIENIEM nie wiem ile mam lat jestem stary starszy czuję jakbym żył tylko jeden dzień albo setki lat żyję i jem od tak dawna ale te długie przerwy na sen pamiętam ostatnią ostatni posiłek karnawał już blisko jestem tego pewny czuję że nadchodzi tak jak się czuje mięso gotowane gdzieś w oddali zapach dochodzi z powiewem wiatru czujesz go przez jedną sekundę ale to wystarczy żebyś poczuł się głodny czuję zbliżający się KARNAWAŁ spałem tak długo teraz się obudziłem i jestem klaunem TERAZ NIE BĘDĘ JUŻ NIGDY SPAŁ I KARNAWAŁ BĘDZIE KAŻDEGO DNIA zawsze już będę klaunem zawsze będę czuł że jestem prawdziwy nie będę już patrzył na siebie jak na kogoś obcego spałem tak długo i głęboko i z dala od świata ale teraz obudziłem się myślę jaśniej teraz panuję nad wszystkim to mój czas ten drugi już mną nie rządzi ten drugi próbuje zaprzeczać mojemu istnieniu udaje że ja nie istnieję i czasem wydaje mi się że nie istnieję ale ja istnieję i mam zęby dlaczego inni myślą że to co robię jest odrażające że ja jestem odrażający jestem KLAUNEM mam ciało z żelaza i jem mięso mam zęby i język i wnętrznosci i umrę jeśli nie będę jadł każdy musi jeść żeby przeżyć a niektórzy mogą jeść tylko jeden rodzaj pożywienia krowy jedzą tylko trawę misie koala jedzą tylko liście eukaliptusa pandy jedzą tylko bambusa a ja jem tylko ludzi to takie proste gdybym nie jadł mięsa innych osłabłbym i umarł jestem KLAUNEM i muszę być silny

wkrótce przyjdzie czas kiedy namaluję sobie TWARZ KLAUNA przyniosę im chaos spałem tak długo  
i jestem GŁODNY

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### 14–16 stycznia

#### 1

Dowódca oddziału szturmowego MEK-u wydawał się zaskoczony, widząc, jak Fabel przykuca obok niego i kryje się za dużą opancerzoną furgonetką.

– Byłem w tej okolicy i usłyszałem wezwanie – uprzedził jego pytanie Fabel. Spojrzał na czteropiętrowy budynek mieszkalny, śnieżnobiały na tle błękitnego zimowego nieba. Nieskazitelnie błękitnego i pogodnego. Na balkony z zimowymi bratkami. Na średniej klasy samochody zaparkowane na ulicy. Na uzbrojonych po zęby, ubranych w czarne kombinezony funkcjonariuszy MEK-u wyprowadzających z budynku mieszkańców poza ustawione przez policję zapory na Jenfelderstraße.

– Słyszałem, że pan odszedł, nadkomisarzu.

– Jestem w okresie wypowiedzenia – potwierdził Fabel. – Co tu mamy?

– Doniesienie o awanturze domowej. Sąsiedzi wezwali policję. Kiedy pojawił się patrol, w środku rozległy się strzały. Po tem facet w mieszkaniu strzelił w kierunku funkcjonariusza.

– On tu mieszka?

Dowódca pokiwał osłoniętą hełmem głową.

– Nazywa się Aichinger. Georg Aichinger. To w jego mieszkaniu była awantura.

– Wiemy coś na jego temat? – Fabel nałożył kamizelkę kuloodporną, którą dał mu jeden z ludzi z MEK-u.

– Nienotowany. Sąsiedzi twierdzą, że do tej pory nie przysparzał żadnych kłopotów. Idealny sąsiad. – Dowódca zmarszczył czoło. – Ma żonę i troje dzieci. A może miał. Od chwili gdy padły strzały, z mieszkania nie dochodzą żadne odgłosy. Były cztery strzały.

– Z jakiej broni?

– Z tego, co wiemy, to karabinek sportowy. Facet albo jest kiepskim strzelcem, albo mu nie zależało. Idiota z patrolu wystawił się idealnie na strzał, biegnąc w jego kierunku przez całą klatkę schodową. Aichinger spudłował o metr. Moim zdaniem to był tylko strzał ostrzegawczy.

– Więc może rodzina wciąż żyje.

Dowódca wzruszył ramionami.

– Jak już mówiłem, od tamtej pory panuje cisza. Negocjator już jedzie.

Fabel pokiwał z ponurą miną głową.

– Nie możemy czekać. Wejdę i porozmawiam z nim. Może mi pan dać człowieka, który będzie mnie osłaniał?

– Nie zgadzam się, panie nadkomisarzu. Nie jestem pewny, czy mogę pozwolić, żeby ryzykował pan swoje życie. Albo życie kogoś z moich ludzi.

– Proszę posłuchać. Jeśli rodzina Aichingera jeszcze żyje, to za chwilę sytuacja może się zmienić. Kiedy będzie rozmawiał ze mną, nie zabije żony i dzieci.

– Oni już są martwi... Przecież dobrze pan o tym wie.

– Być może, ale nie mamy chyba nic do stracenia, prawda? Ja go po prostu zajmę rozmową do czasu przybycia negocjatora.

– Zgoda. Ale nie podoba mi się to wszystko. Na schodach pod drzwiami mieszkania mam już dwóch ludzi. Poślę z panem jeszcze jednego. Ale jeśli Aichinger nie będzie zbyt rozmowny albo pojawi się choćby cień wątpliwości, że coś pójdzie nie tak, chcę, żeby pan natychmiast tu wrócił. – Dowódca skinął na jednego z ludzi z jego oddziału. – Pójdiesz z nadkomisarzem.

– Jak się nazywasz? – Fabel przyjrzał się młodemu funkcjonariuszowi: młody, potężnie zbudowany. Oczy błyszczące z podniecenia. Nowy typ. Bardziej żołnierz niż policjant.

– Breidenbach. Stefan Breidenbach.

– Okej, Stefan. Przekonajmy się, czy uda nam się porozmawiać, zamiast używać tego. – Wskazał pistolet maszynowy Hecckler & Koch, który funkcjonariusz przyciskał do piersi. – I pamiętaj, że to są negocjacje mające na celu uwolnienie zakładników, a nie strefa działań wojennych.

Breidenbach skinął głową, nie zadając sobie trudu, by ukryć urazę, jaką wywołała uwaga Fabela. Nadkomisarz puścił go przodem. Weszli do budynku. Mieszkanie Aichingera znajdowało się na drugim piętrze. Na klatce schodowej stało przy ścianie dwóch ludzi z MEK-u.

– I co? – Fabel zapytał funkcjonariusza u szczytu schodów.

Ten pokręcił głową.

– Nic. Cisza. Podejrzewam, że mamy kilka ofiar. Nie słychać żadnego płaczu, żadnego ruchu.

– Okej. – Fabel wysunął się naprzód, a Breidenbach wycelował broń w zamknięte drzwi mieszkania.

– Herr Aichinger...! – zawołał Fabel. – Herr Aichinger, jestem nadkomisarz Fabel z policji hamburskiej.

Cisza.

– Herr Aichinger, słyszy mnie pan?! – Fabel czekał chwilę na odpowiedź, ale daremnie. – Herr Aichinger, czy ktoś tam jest ranny?! Czy ktoś potrzebuje pomocy?!

Znowu cisza, ale w szybcie w drzwiach mignął jakiś niewyraźny cień. Breidenbach skierował broń na szybę, ale Fabel ostrzegawczo uniósł rękę.

– Herr Aichinger... chcemy... chcę panu pomóc. Znalazł się pan w trudnej sytuacji i wiem, że nie widzi pan z niej wyjścia. Rozumiem to. Ale zawsze jest jakieś wyjście. Mogę panu pomóc.

Odpowiedzi nadal nie było, ale Fabel usłyszał dźwięk odsuwanej zasuwki. Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Wszyscy trzej funkcjonariusze MEK-u ruszyli do przodu z bronią wycelowaną w otwarte drzwi.

Fabel ostrzegawczo zmarszczył czoło.

– Chce pan, żebym wszedł, Herr Aichinger? Chce pan ze mną porozmawiać?

– Nie! – syknął Breidenbach. – Nie może pan tam wejść.

Fabel pokręcił przecząco głową.

Breidenbach przysunął się do niego jeszcze bliżej.

– Nie mogę pozwolić, żeby wziął pana na zakładnika. Powinien pan wracać na zewnątrz, panie nadkomisarzu.

– Mam broń! – W głosie dobiegającym zza drzwi pobrzmie-

wał strach.

– Wiemy o tym, Herr Aichinger. – Fabel przemawiał do szpary w drzwiach. – Ale póki trzyma pan tę broń w ręku, grozi panu niebezpieczeństwo. Proszę wysunąć ją przez drzwi i wtedy porozmawiamy.

– Nie, nie ma mowy. Ale może pan wejść. Jeśli chce pan porozmawiać, zapraszam do środka.

Breidenbach energicznie potrząsnął głową.

– Proszę posłuchać, Herr Aichinger – powiedział Fabel. – Nie będę ukrywał, sytuacja jest bardzo skomplikowana. Ale możemy ją rozwiązać, nie czyniąc nikomu krzywdy. Zrobimy to w kilku prostych krokach. Musi pan wiedzieć, że są tu ze mną uzbrojeni policjanci. Jeśli uznają, że grozi mi niebezpieczeństwo, zaczną strzelać. Pan pewnie wtedy zrobi to samo. Musimy wybrnąć z tej niebezpiecznej sytuacji. Ale zrobimy to stopniowo, zgoda?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Nie potrzebuję żadnego rozwiązania. Chcę umrzeć.

– To głupie, Herr Aichinger. Nic... żaden problem... nie jest tak beznadziejny, żeby warto było umierać. – Fabel obejrzał się na funkcjonariuszy. Oczami wyobraźni widział trójkę martwych dzieci i żonę, leżących w mieszkaniu. Jeśli Aichinger postanowił umrzeć, będzie to typowe samobójstwo sprowokowane przez policjanta. Wystarczy, że wybiegnie na klatkę schodową, wymachując bronią, a Breidenbach i jego koledzy wyświadczą mu przysługę.

Gdzieś w głębi mieszkania zadzwonił telefon. Pewnie na miejsce dotarł negocjator.

– Nie powinien pan odebrać telefonu? – zapytał Fabel.

– Nie. To pułapka.

– To nie pułapka. To pomoc. Dzwoni jeden z moich kolegów. Ktoś, kto naprawdę może pomóc.

– Będę rozmawiał tylko z panem.

Fabel zignorował pełne wyrzutu spojrzenie Breidenbacha.

– Proszę posłuchać, Herr Aichinger. Osoba, która do pana dzwoni, ma znacznie lepsze kwalifikacje, żeby panu pomóc w wybrnięciu z tej sytuacji.

– Powiedziałem, że będę rozmawiał wyłącznie z panem. Wiem, że tamten po drugiej stronie słuchawki tylko będzie mi mącił w głowie i przekonywał, że jest moim najlepszym przyjacielem. Porozmawiam z panem. Tylko z panem. Słyszałem o panu, Herr Fabel. Pan rozwiązał zagadkę tych morderstw w ubiegłym roku.

– Herr Aichinger, chciałbym, żeby otworzył pan szeroko drzwi i żebyśmy mogli porozmawiać twarzą w twarz. – Fabel nie zwracał uwagi na rozpaczliwe znaki dawane przez Breidenbacha.

– Zastrzelą mnie.

– Nie zastrzelą... – Fabel spojrzął znacząco na Breidenbacha.

– Wydam rozkaz, żeby nie strzelali, dopóki pan nie zacznie strzelać. Proszę, Herr Aichinger. Niech pan otworzy drzwi.

Zapadło długie milczenie.

– Herr Aichinger?

– Myślę.

Kolejna chwila ciszy. Następnie w szparze pojawił się wylot lufy karabinu i drzwi otworzyły się na pełną szerokość.

– Wejść do środka i stanę tak, żeby mnie pan widział, Herr Aichinger. Nie jestem uzbrojony. – Jeden z funkcjonariuszy MEK-u chwycił Fabla za rękaw marynarki, ale policjant wyswobodził się z uścisku. Nadkomisarz czuł, jak wali mu serce, i za wszelką cenę starał się uspokoić. Mężczyzna stojący w przedpokoju wyglądał zupełnie zwyczajnie. Dobiegał czterdziestki, miał krótko obcięte ciemne włosy i pospolite rysy. Na pewno nie wyróżniałby się w tłumie. Taką twarz zapomniało się w tej samej chwili, w której przestawało się na nią patrzeć. Georg Aichinger był kimś, na kogo nie zwracało się uwagi. Aż do teraz. W rękę trzymał karabin sportowy, który wyglądał jak nowy. Ale mężczyzna nie mierzył w Fabla. Stał z uniesioną wysoko głową i lufą przytkniętą do podbródka. Drżący kciuk położył na spuście.

– Spokojnie... – Fabel uniósł rękę. – Spokojnie. – Zerknął Aichingerowi przez ramię w głąb przedpokoju. W drzwiach prowadzących do salonu zobaczył odbicie stopy kogoś leżącego na podłodze. Stopa była mała. Dziecięca. Cholera, zaklął w du-

chu. Dowódca oddziału MEK-u miał rację.

– Poddaj się, Georg. Proszę... oddaj mi broń.

Fabel zrobił krok naprzód, co sprawiło, że Aichinger stał się natychmiast bardziej czujny. Jego kciuk na spuście przestał drżeć.

– Jeśli się zbliżysz, strzelę. Zabiję się.

Fabel spojrzął jeszcze raz na dziecięcą stopę. To był zbyt poruszający widok, nie dbał już o to, czy Aichinger rozwali sobie mózg, czy nie. I w tej samej chwili, nieoczekiwanie, dostrzegł lekki ruch. Tak nieznaczny, że mógł go przeoczyć.

– Georg... Dzieci, żona. Dopuszcz nas do nich, chcemy im pomóc. – Fabel usłyszał, jak ktoś porusza się za jego plecami. Obejrzał się i zobaczył Breidenbacha mierzącego prosto w głowę Aichingera. – Opuść broń! – syknął. Breidenbach się nie poruszył. – Na miłość boską, przecież on i tak celuje w siebie. Opuść broń, to rozkaz.

Breidenbach lekko obniżył lufę. Fabel zwrócił się znów do Aichingera:

– Twoja żona... dzieci... Zrobiłeś im krzywdę? Skrzywdziłeś dzieci, Georg?

– To wszystko nie ma sensu – wyrzucił z siebie Aichinger, jakby nie słyszał pytania. – Nagle zdałem sobie sprawę, że nic nie ma sensu. Sporo o tym myślałem już wcześniej, ale dziś rano obudziłem się i poczułem... poczułem się, jakbym był kimś nierzeczywistym. Jakbym nie miał żadnej prawdziwej tożsamości. Jakbym był tylko postacią z kiepskiego filmu. – Aichinger urwał i zmarszczył czoło. Zdawało się, że próbuje wytłumaczyć coś, czego sam do końca nie rozumie. – Kiedy byłem dzieckiem, w mojej głowie żyła inna osoba. Osoba, którą miałem się stać. Potem okazało się, że ona i ja to nie to samo. Nie jestem tym, kim miałem zostać. Jestem kimś zupełnie innym. – Urwał. Usiłował wyłowić jakiś dźwięk z drugiego pokoju, gdzie zauważył poruszającą się stopę dziecka. – To jakieś szaleństwo – ciągnął swoją tyradę Aichinger. – Mam na myśli to, jak żyjemy. To jest chore. Wszystko, co wokół nas się dzieje. Jedno wielkie gówno. Chaos. To nie ma sensu... Spójrz na swojego kolegę tutaj. Aż go świerzbią ręce, żeby mi wpakować



kulkę w głowę. Ty tu jesteś, bo mam broń i grozę, że jej użyję. On ma broń i też grozi, że jej użyje. Ale to jest dopuszczalne. Dlaczego? Bo on jest policjantem. On jest od tego, żeby utrzymywać porządek. Tyle że to nie jest żaden porządek.

– Georg... – Fabel ponownie spojrzał Aichingerowi przez ramię, zastanawiając się, czy mała stópka poruszy się jeszcze raz. – Dzieci...

– Wie pan, jak zarabiam na życie, Herr Fabel? Pracuję jako konsultant do spraw rekrutacji. To znaczy, że przez większą część dnia siedzę w biurze i wyszukuję ludzi, którzy zapełnią inne biura w innych firmach. Najbardziej bezsensowny, pieprzony sposób na spędzanie życia. I to jest całe moje życie. Tym się stałem. Jestem małym trybikiem w wielkiej maszynie i szukam innych trybików do innej maszyny. Dostarczam mięso, które później przemielą korporacje. Na tym polega moje życie. Jaki to ma sens? Trzydzieści kilka godzin w tygodniu. Policzylem to: do emerytury spędzę za biurkiem prawie czterdzieści tysięcy godzin. Czterdzieści tysięcy. To jakiś obłęd. Zawsze starałem się dobrze wypełniać swoje obowiązki, Herr Fabel. Zawsze. Robić to, czego ode mnie oczekiwano. Postępować zgodnie z zasadami. Wszystko inne prowadzi do chaosu, mówili mi. Ale to nie ma sensu. Czy pan to rozumie? Tylu rzeczy nie widziałem. Tylu miejsc nie odwiedziłem. – Po twarzy Aichingera popłynęły łzy. Fabel starał się zrozumieć jego słowa, pojąć, co wywołało takie ogromne rozżalenie. – To wszystko złudzenie. Wiedziemy to nasze śmieszne życie... Żyjemy zaszufładowani... Pracujemy zaszufładowani... Oddajemy się pozabawionej sensu pracy. A potem... po prostu umieramy. I dlaczego? Bo wydaje nam się, że tak powinno być. Wydaje nam się, że to jest stabilizacja i porządek. Ale pewnego dnia obudziłem się i zobaczyłem świat taki, jaki naprawdę jest. Szalony. Nie racjonalny, nie prawdziwy, nie pełen życia. Świat jest chaosem. Jest anarchią. I dlatego postawiłem go na głowie. Ale ja to nie ja. Niech mnie pan zrozumie, ja nie chcę być częścią tego wszystkiego.

– Nie rozumiem. – Fabel powoli wyciągnął przed siebie rękę.  
– Oddaj mi karabin, Georg. Wytlumaczysz mi to wszystko. Po-

rozmawiamy o tym. Poszukamy rozwiązania.

– Rozwiązania? – Aichinger uśmiechnął się smutno. Fabel dostrzegł w tym uśmiechu szczerą, choć pełną rozgoryczenia wdzięczność. Aichinger sprawiał wrażenie coraz bardziej rozluźnionego. Kciuk na spuście przestał drżeć. – Cieszę się, że trafiłem na pana, Herr Fabel. Wiem, że kiedy pan przemyśli to, co powiedziałem, zrozumie pan. Przynajmniej robi pan coś pożytecznego. Pańska praca nadaje każdemu dniowi jakiś sens, jakieś znaczenie. Ratuje pan ludzi. Chroni ich. Cieszę się, że to właśnie panu mogłem to wszystko wyjaśnić. Proszę powiedzieć wszystkim... Proszę powiedzieć, że nie mogę żyć jako ktoś inny. Proszę powiedzieć, że jest mi przykro.

Odgłos wystrzału stłumiło ciało, do którego przytknięty był wylot lufy karabinu. Z otworu na szczycie czaszki wytrysnęła krew, fragmenty kości i mózgu. Pod Aichingerem ugięły się nogi.

Fabel przeskoczył nad trupem i pobiegł do salonu.

## 2

Posiłek Ansgara był gotowy.

Dom Ansgara Hoeffera w dzielnicy Nippes w Kolonii był skromny i utrzymany w idealnym porządku. Z nikim tego domu nie dzielił, nikt go w nim nie odwiedzał. Z biegiem lat stopniowo wycofał się do kilku określonych miejsc – domu, pracy i drogi pomiędzy nimi. Często miał wrażenie, że jego życie przypominało wielki dom na wsi, w którym używano i utrzymywano w porządku tylko kilka pokoi, a reszta stała pogrążona w mroku, zamknięta, z płachtami płótna mającymi chronić przed kurzem. Pokoi, zdaniem Ansgara, lepiej było nie odwiedzać.

Kuchnia w domu Ansgara, biorąc pod uwagę jego zawód, była zaskakująco mała, ale za to doskonale wyposażona. Nieskazitelnie czysta i zalana światłem wpadającym przez duże okno, z którego widać było skrawek ogrodu Ansgara i ślepą ścianę domu sąsiada.

Rozdzwonił się piekarnik. Mięso się upiekło.

Najdziwniejsze było to, że w domu Ansgar wolał przyrządzać najprostsze potrawy. Nieskomplikowane dania, w których ujawniał się prawdziwy smak i miękkość mięsa. Ansgar, jak zwykle, wszystko dokładnie zaplanował. Gotujące się na wolnym ogniu szparagi za chwilę uzyskają doskonałą konsystencję. Wyjął z lodówki garnuszek z sosem jabłkowym. Do chwili podania mięsa i szparagów osiągnie odpowiednią temperaturę – będzie chłodny, ale nie zimny. Nalał do szklanki pół butelki piwa gaffel, zachowując idealną równowagę między ilością złocistego płynu a czapą piany. Wyjął z piekarnika blachę i rozwinął folię aluminiową skrywającą pojedynczy filet. Pochylił się i wciągnął do nozdrzy zapach delikatnego mięsa obłożonego tymiankiem. Na chwilę zaparowały mu szkła okularów. Położył pieczeń na talerzu, przybrał ją świeżymi gałązkami tymianku i odrobiną sosu jabłkowego. Odcedził szparagi i ułożył je starannie obok potrawy.

Wziął łyk gaffla i podziwiał swoje danie. Pierwszy kęs mięsa niemalże rozpląnął mu się na języku. W tej samej chwili pomyślał ponownie o tej Ukraince, Jekaterinie, która pracowała z nim w kuchni restauracji. Zmarszczył czoło, próbując przestać o niej myśleć. Kolejny kęs mięsa. Kiedy zanurzył zęby w miękkiej tkance, obraz dziewczyny powrócił. Jej jasna, młoda skóra i ponętne kształty. Nawet zimną temperatura w kuchni była wysoka od wilgoci i ciepła wydobywających się z garnków i piekarników. Skóra Jekateriny różowiła się wówczas i wilgotniała od potu, jakby dziewczyna powoli się gotowała. Starał się o niej zapomnieć i skupić na jedzeniu. Ale przy każdym kolejnym kęsie myślał o jej pośladkach. Jej piersiach. Sutkach. Wargach. Przede wszystkim o wargach. Jadł dalej. Zmarszczył czoło, czując mrowienie między nogami; wyraźny ucisk na materiał spodni. Napił się piwa i próbował wziąć się w garść. Zjadł trochę szparagów. Poprawił podstawkę na przyprawę. Kolejny kęs mięsa. Sztywność narastała. Poczul pot na górnej wardze. Powróciła myśl o jej ciele w czarnym T-shircie. O nabrzmiałych piersiach. I wargach.

Całą twarz Ansgara pokrywał teraz pot. Walczył z całych sił, żeby pozbyć się przewijających się w jego głowie obrazów. Tych

wynaturzonych, smakowitych obrazów, w których dominował chaos, jaki już dawno wyrzucił ze swojego życia. Tych słodkich, lubieżnych myśli, których sam sobie zakazał. I we wszystkich pojawiała się ona. Pojawiała się tam, gdzie formował się obraz delikatnego, soczystego mięsa i zatapianych w nim zębów. Przeżuwał mięso, ale nie mógł go przełknąć. Jego myśli zdominował smak w ustach i obraz dziewczyny z pracy. Zadrzał i gwałtowny wytrysk zmoczył mu spodnie.

### 3

Przebrnięcie przez biurokratyczne procedury dotyczące śmierci – wypełnianie formularzy i pisanie raportów nadające bezsensownemu działaniu Aichingera oficjalną formę – zajęło Fabelowi cztery godziny. Jak wielokrotnie wcześniej w swojej karierze, Fabel znajdował się w samym centrum ludzkiej tragedii, czuł jej piekący żar, a jednocześnie był zmuszony zamienić ją w zimną, pozbawioną emocji statystykę. Mimo to wiedział, że nigdy nie zapomni tej ostatniej miny Aichingera, wyrażającej smutek i wdzięczność. Choć wątpił, czy kiedykolwiek ją zrozumie.

Fabel siedział na skraju biurka w wydziale zabójstw na trzecim piętrze Komendy Głównej hamburskiej policji i popijał kawę z automatu. Byli tam też Werner Meyer, Anna Wolff i Henk Hermann – zespół, którym dowodził przez piętnaście lat, a który miał wkrótce opuścić. Nieobecność Marii Klee rzucała się w oczy. Od półtora miesiąca przebywała na przedłużającym się zwolnieniu lekarskim. Ostatnie trzy duże śledztwa spoczywały na barkach Fabela.

Westchnął ze zmęczeniem i spojrzął na zegarek. Musiał tu jeszcze siedzieć, ponieważ jego przełożony, komendant Horst van Heiden, chciał się z nim zobaczyć, kiedy zakończy się papierkowa robota związana ze śmiercią Aichingera.

– No, szefie... – nadkomisarz Werner Meyer, krępy mężczyzna po pięćdziesiątce, ze szpakowatą szczecina, uniósł kubek z kawą niczym kieliszek szampana – muszę przyznać, że odchodzisz w wielkim stylu.

Fabel nie odezwał się. Wciąż miał przed oczami widok, który zastał w salonie Aichingera. Do tej pory się nie uspokoił. Biegł przez tamten przedpokój ze strachem, ale i nadzieją.

– Dobrze zrobiłeś, szefie – powiedziała Anna Wolff. Fabel uśmiechnął się do niej. Anna wciąż nie przypominała wyglądem komisarza z wydziału zabójstw. Była drobna, ładna i nie wyglądała na swoje dwadzieścia dziewięć lat. Miała krótko obcięte, nastroszone ciemne włosy i pomalowane ciemnoczerwoną szminką pełne wargi.

– Czyżby? – zapytał ponuro Fabel. – Nie udało mi się rozbroić załamane go człowieka, zanim strzelił sobie w głowę.

– Straciłeś jednego – wtrącił Werner. – Jednego, który był już stracony, nim się tam pojawiłeś... ale uratowałeś troje.

– Jak się czuje rodzina Aichingera? – zapytała Anna.

– Całkiem dobrze. W każdym razie fizycznie. Ale wciąż są w głębokim szoku. Strzały, które słyszeli sąsiedzi, były skierowane w sufit. Dzięki Bogu nikogo nie było w mieszkaniu wyżej.

– Fabel znalazł żonę Aichingera, jego siedmioletnią córkę i dwóch chłopców, dziewięcio- i jedenastoletniego. Aichinger ich związał i zakneblował taśmą. Trudno było powiedzieć, czy zrobił to dla ich bezpieczeństwa, czy może zamierzał ich później zabić. – Najgorzej zniosła to dziewczynka. Dzieci postrzegają świat w prosty sposób. Kiedy obudziła się rano, jej życie wyglądało tak jak zwykle. A wieczorem wszystko stanęło na głowie. – Fabel urwał, uświadomiwszy sobie, że powtarza słowa Aichingera. – Jak wytłumaczyć dziecku w jej wieku, co zaszło? Jak ona ma żyć z takimi wspomnieniami?

– Najważniejsze, że w ogóle żyje. – Werner wziął łyk kawy. – Wszyscy żyją. Gdybyś nie zajął Aichingera rozmową, mogliby zginąć.

Fabel wzruszył ramionami.

– Nie wiem...

Fablowi przerwał dzwonek telefonu. Odebrał Werner.

– Jesteś proszony na piąte piętro... – powiedział, uśmiechając się szeroko. Piąte piętro komendy policji zajmowali najwyżsi rangą oficerowie. Fabel się skrzywił.

– W takim razie idę...

Jeśli informacje Saszy były prawdziwe, Taras Buslenko wiedział, gdzie dojdzie do spotkania. Oni oczywiście nie wiedzieli, że on wie, więc będą go ciągać po całym Kijowie, nim w końcu zdradzą właściwe miejsce.

Kiedy zadzwonił telefon komórkowy Buslenki, dowiedział się, że ma podjechać pod hotel Mir na Prospeckie Gołosyjiwskim i czekać na parkingu. Spędził tam już dziesięć minut, kiedy telefon zadzwonił ponownie. Kazano mu wrócić do centrum, zostawić samochód przy Pasażu Kijowskim i pójść pieszo Chreszczatykiem.

Był sobotni wieczór. Chreszczatyk był w weekendy zamknięty dla ruchu kołowego, żeby turyści za dnia, a bywalcy klubów wieczorem, mogli swobodnie spacerować i podziwiać jego wspaniałość. Buslenko szedł szerokim chodnikiem i z zachwytem patrzył na wciąż jeszcze jarzącą się bożonarodzeniową iluminację. Prószył śnieg, który sprawiał, że cała ulica i rosnące wzdłuż niej drzewa wyglądały jak posypane cukrem pudrem. Zgodnie z poleceniem szedł w kierunku przeciwnym do Majdanu. Był tam w listopadzie i grudniu dwa tysiące czwartego. Czuł wtedy dreszcz emocji, patrząc na pomarańczowe transparenty, i atmosferę pełną nadziei na zmiany. Czuł, że dzieje się coś wielkiego. Coś, czego nie da się powstrzymać. Ale nie pojawił się tam, by wesprzeć protestujących; dowodził oddziałem żołnierzy, którzy zostali wysłani na plac ponoć po to, żeby zapobiec rozlewowi krwi między „niebieskimi” zwolennikami Janukowycza a „pomarańczowymi” rewolucjonistami, wspierającymi Juszczenkę. Tak naprawdę zostali tam posłani, żeby dać pokaz siły reżimu, tyle że szefowie milicji i służb specjalnych trafnie przewidzieli zmianę biegu historii i wielu z nich, tak jak Buslenko, zaczęło sympatyzować z pomarańczową rewolucją.

Mijając klub Celestia, Buslenko nawet nie zerknął w jego stronę. Może Sasza rzeczywiście się pomylił. A może po prostu ludzie, z którymi miał się spotkać, byli przeczuleni na punkcie

bezpieczeństwa.

Doszedł już prawie do Centralnego Domu Towarowego, kiedy znowu odezwał się jego telefon. Tym razem kazano mu czekać przy barze w klubie Celestia. Buslenko odetchnął z ulgą. Zaczynał się już niepokoić, że zostanie skierowany do jakiejś odległej części miasta. Celestia była dobrym miejscem. Znajdowała się w samym centrum. Wszędzie pełno ludzi. Trudno byłoby tu kogoś zabić i pozbyć się ciała.

Celestia była jednym z symboli nowych ukraińskich aspiracji – efekciarskim klubem nocnym przy Majdanie, w sercu Kijowa. Buslenko, mimo swojej przeszłości, szczerze wspierał nową drogę, jaką wybrała Ukraina. Zawsze był patriotą, a teraz dostrzegał dla swojego kraju lepszą przyszłość. Taką, na którą Ukraina zasługiwała. Całym sercem był za pomarańczową rewolucją, ale w miejscach takich jak Celestia czuł się nieswojo – zdawało się, że są odzwierciedleniem zachodniego dostatku i blichtru, jednak kiedy patrzyło się na rumianą dziewczuchę ze wsi wbitą w zbyt błyszczącą wieczorową suknię i na jej twarz z nieumiejętnie zrobionym makijażem miało się wrażenie, że to tylko pozór.

Przed klubem stało dwóch ubranych na czarno bramkarzy. Jeden z byczym karkiem, milczący i ponury; drugi – niższy, szczuplejszy i bardziej przyjazny, uśmiechnął się do Buslenki, który w jednej chwili ocenił, jakie zagrożenie mogli stanowić mężczyźni w drzwiach. Bez wahania uznał tego niższego za bardziej niebezpiecznego – poruszał się szybko i zwinnie, a swoje prawdziwe myśli skrywał za maską uśmiechu. Buslenko nie miał wątpliwości, że ten niższy, w przeciwieństwie do ociążałego kulturysty, potrafi działać prędko i brutalnie. Nawet zabić. Pewnie został wyszkolony w specnazie.

Buslenko miał wrażenie, że spogląda w lustro.

Podszedł do baru i zamówił piwo obołoń. Od smętnego barmana dowiedział się, że w klubie nie leją obołonia ani żadnego innego ukraińskiego piwa. Buslenko zamówił zbyt drogiego niemieckiego pilznera. W Celestii było sporo klientów, ale nie panował tłok. Przeważali młodzi ludzie w garniturach od Gucciego i Armaniego. Bar z drewna orzechowego z blatem

z błyszczącego, czarnego granitu był długi i miał kształt łuku. Ściany oświetlały skierowane ku górze lampy, które rzucały na aksamitne, czerwone powierzchnie kręte, lekko erotyczne kształty. Zdaniem Buslenki Celestia była artystyczną wizją piekła, stworzoną przez współczesnego projektanta.

Najlepszym z możliwych miejsc na spotkanie z diabłem.

Buslenko poczuł, że ktoś koło niego stanął. Odwrócił się i zobaczył młodą kobietę. Była wysoka i szczupła; miała krótkie blond włosy i charakterystyczną słowiańską twarz – szeroką, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, wysokim czołem i błękitnymi, błyszczącymi oczami. To była naprawdę piękna twarz i nie mogła pochodzić znikąd indziej jak tylko z Ukrainy.

– Witam – rzekła ukraińska piękność z porcelanowym uśmiechem. – Oczekują pana. Proszę iść za mną. Pańscy znajomi zarezerwowali oddzielny pokój. – Postawiła piwo Buslenki na tacy i odwróciła się od baru, zerkając przez ramię, czy idzie za nią. Nim Buslenko ruszył, rozejrzał się i stwierdził z zadowoleniem, że nie jest obserwowany.

Ukraińska zaprowadziła go przez podwójne drzwi do mrocznego, przypominającego tunel korytarza ze ścianami z czarnego szkła, oświetlonymi szeregiem niewielkich reflektorów. Zapukała do jakichś drzwi i otworzyła je na oścież przed Buslenką, który wszedł do dużego, urządzonego z przepychem pokoju. Przy niskim stoliku na sofie w kształcie litery L siedziało czterech mężczyzn. Na stoliku stała butelka wódki i kieliszki; obok leżała niebieska teczka z dokumentami. Na widok wchodzącego Buslenki mężczyźni wstali. Podobnie jak u bramkarza, ich postura i zachowanie zdradzały, że odbyli szkolenie w służbach specjalnych. Wszyscy byli po czterdziestce, co oznaczało, że najprawdopodobniej mieli za sobą wojskową przeszłość. Buslenko zwrócił uwagę na ścianę z ciemnego szkła, która zapewne oddzielała ich od sąsiedniego pokoju. Pokój za ścianą tonął w mroku, a prowadzące do niego drzwi były zamknięte. Mimo to jakieś niejasne przeczucie podpowiadało Buslence, że pomieszczenie nie jest puste.

Mężczyzna siedzący pośrodku miał przedwcześnie posiwiałe, ostrzyżone na jeża włosy. Spomiędzy nich wylaniała się blizna



i biegła przez czoło aż do prawej brwi. Buslenko z nawyku dokonał błyskawicznej oceny sytuacji i z mowy ciała mężczyzny z blizną wywnioskował, że on jest tu najważniejszy. Ale to nie instynkt ani doświadczenie podpowiadały mu, że ma do czynienia z wyjątkowo podłym i niebezpiecznym sukinsynem. Rozpoznał Rosjanina, kiedy tylko wszedł do pokoju. To był Kotkin. Co tu robi Dmitrij Kotkin? Stał zbyt wysoko w hierarchii organizacji, żeby zajmować się rekrutowaniem nowych członków. Buslenko nie musiał się też odwracać, żeby wiedzieć, że w drzwiach za jego plecami stoi teraz piąty mężczyzna. Czuł też obecność jeszcze kogoś. Kogoś, kto był poza jego zasięgiem i czekał w milczeniu, niewidoczny za ciemną szybą.

Ukraińska piękność postawiła piwo Buslenki na stole i wyszła. Buslenko nie odwrócił się, słysząc zamykające się drzwi. Obecność piątego mężczyzny nie miała większego znaczenia. Buslenko był dobry w swoim fachu i w odpowiedniej sytuacji poradziłby sobie z czterema czy pięcioma mężczyznami. Tyle że ani sytuacja, ani ci ludzie nie byli odpowiedni. Wszyscy przeszli podobne przeszkolenie jak on i wszyscy, podobnie jak on, niejeden raz zabijali. Mógłby sobie w najlepszym razie poradzić z jednym czy dwoma. Jeśli jednak czekała go śmierć, to był pewien, że właśnie z ręki człowieka, który stał za jego plecami.

– Ty jesteś Rudenko? – zapytał po rosyjsku Kotkin.

Buslenko skinął głową.

– Siadaj – polecił Kotkin i sam usiadł. Pozostali trzej wciąż stali. Rosjanin z blizną na czole otworzył teczkę. – Twój życiorys robi wrażenie. Kogoś takiego szukamy. Chciałbym się jednak dowiedzieć, dlaczego nas szukałeś.

– Wcale nie szukałem. To pan się ze mną skontaktował. – Buslenko odpowiedział po rosyjsku. Przyszło mu do głowy, żeby nonszalancko pociągnąć z butelki łyk piwa, ale bał się, że będą mu drzeć ręce. Nie, nie ze strachu. Z nadmiaru adrenaliny.

Kotkin uniósł brwi i blizna na czole zmarszczyła się nieprzyjemnie.

– Rozpytywałeś się. Co więcej, wiedziałeś, jakie pytania

i gdzie zadawać. To może oznaczać jedno z dwóch: albo szukasz zajęcia, albo...

Buslenko roześmiał się i potrząsnął głową.

– Nie jestem gliną, jeśli to chciał pan powiedzieć. Odpowiedź jest prosta. Pieniądze. Chcę zarobić. Dobrze zarobić. I chcę pracować zagranicą. Potrzebuje pan ludzi do pracy zagranicą, prawda?

– Nie śpieszmy się tak bardzo. – Rosjanin skinął głową na pozostałych. Dwóch z nich podeszło do Buslenki, gestem nakażało mu wstać i podnieść ręce. Jeden go obszukał, a drugi za pomocą elektronicznego czujnika sprawdził, czy nie ma podsłuchu. Buslenko uśmiechnął się. Kiedy rewizja dobiegła końca, usatysfakcjonowani mężczyźni usiedli.

– Musisz nas przekonać, że jesteś tym, kogo szukamy.

– Tam macie wszystko. – Buslenko wskazał ruchem głowy teczkę. – Dwadzieścia lat służby. Jako spadochroniarz, a potem żołnierz specnazu. Poradzę sobie z każdym zadaniem, jakie dostanę.

– Znam jednostkę specnazu, w której służyłeś. Znasz Jurija Proczewa? Służył tam mniej więcej w tym samym czasie.

Buslenko udawał, że próbuje sobie przypomnieć. Przeglądał wszystkie dokumenty, wszystkie listy żołnierzy dziesiątki razy. Wiedział, że w oddziale nie było żadnego Jurija Proczewy. To był oczywisty podstęp. Zbyt oczywisty. Kotkin nie chciał, żeby Buslenko przyznał, że zna człowieka, który nie istniał. Chciał, żeby szybko zaprzeczył, żeby było jasne, że przygotował się do tej rozmowy.

– Nie... chyba nie znam – odparł wreszcie Buslenko. – Znałem wszystkich, ale Jurija Proczewy nie. Był Jurij Kadnikow, może to o niego chodzi?

– Podobno wpadłeś w tarapaty? – Kotkin zignorował odpowiedź Buslenki.

– Drobne. Musieliśmy stłumić bunt w więzieniu SIZO 13. Zabiłem więźnia... Nic wielkiego, biorąc pod uwagę sytuację, ale oberwał jeden z pracowników więzienia, bo nie zrobił tego, co mu kazano, i nie trzymał języka za zębami. To nie moja wina, tylko jego. Tyle że jego brat był jakąś szyczą w Minister-

stwie Spraw Wewnętrznych. Sami wiecie, jak to jest...

– Nie potrzebujemy nieprzystosowanych wyrzutków. Szukamy żołnierzy. Dobrych żołnierzy, którzy wypełniają rozkazy.

– Czyli kogoś jak ja. – Buslenko wyprostował się w skórzanym fotelu. – Ale wydawało mi się, że szukacie ludzi, którzy będą... hmm... łamać prawo.

– Dla nas jedynym prawem jest regulamin żołnierski. Jeśli do nas dołączysz, wejdiesz do prawdziwej elity. Wszystko, co robimy, odpowiada najwyższym standardom wojskowym i niewiele się różni od służby w specnazie. Jedyna różnica polega na tym, że my płacimy znacznie lepiej. No, ale na razie nie jesteś jednym z nas i chcę, żebyś odpowiedział na kilka pytań.

– Proszę pytać... – Buslenko nonszalancko wzruszył ramionami, choć czuł suchość w ustach i z trudem powstrzymywał się przed spojrzeniem na ciemną przeszkloną ścianę za plecami Kotkina. Instykt nieustannie mu podpowiadał, że tam ktoś jest. Ktoś, kto patrzy i słucha. Tam był on. Sasza miał rację.

– Wiesz co spaja wojskowy oddział?

– Czy ja wiem... pewnie posłuszeństwo. Zdolność do jak najskuteczniejszego wykonania rozkazu.

Kotkin potrząsnął głową.

– Nie, to nie to. Powiem ci, co to jest. Zaufanie. Zaufanie i prawdziwe braterstwo. Lojalność wobec kolegów i dowódcy.

– Chyba tak. – Buslenko wyczuł jakąś zmianę, jakby nagle wzrosło ciśnienie powietrza przed burzą. Zauważył w postawie pozostałych trzech mężczyzn na sofie napięcie. Tylko zachowanie Kotkina się nie zmieniło. Był profesjonalistą w każdym calu. Dokumenty wskazywały, że Kotkin zajmował się przesłuchiwaniami i torturowaniem w Czeczenii czy na jakichś innych rubieżach rozpadającego się imperium. Może dlatego tu się znalazł. Może nie miał Buslenki zwerbować, tylko torturować i zabić. Poza tym instykt nie pozwalał Buslence zapomnieć o osobie, która przysłuchiwała się ich rozmowie za szklaną ścianą.

– Lojalność. Oto, co spaja oddział. Braterstwo broni. – Rosjanin przerwał, jakby czekał, że Buslenko coś powie. Pozostali trzej mężczyźni wstali. Buslenko usiłował dosłyszeć jakiś odgłos

za plecami.

– Co się stało? – zapytał, starając się zachować spokój. Atak nastąpi z tyłu, pomyślał ponownie.

– Wszyscy mamy podobne doświadczenia – ciągnął Kotkin, jakby nie usłyszał pytania. – Jesteśmy żołnierzami i nasze życie jest w rękach kolegów. Cel walki jest sprawą drugorzędną. Liczy się to, że walczymy razem. Łączy nas milcząca, nierozzerwalna więź, lojalność. Nie ma innej równie silnej. I nie ma większej zdrady niż zerwanie tej więzi.

Jak na dany znak trzech mężczyźni sięgnęli za pazuchy swoich skórzanych kurtek i po chwili Buslenko patrzył wprost w wyłoty luf trzech pistoletów dużego kalibru. A jednak żaden z mężczyzn nie pociągnął za spust.

– Nie nazywasz się Rudenko – powiedział Rosjanin. – I nie służyłeś w oddziale Tytan. Nazywasz się Taras Buslenko. Służyłeś w oddziale Sokół specnazu, zajmującym się przestępczością zorganizowaną, a teraz jesteś tajnym agentem wydziału do zwalczania przestępczości zorganizowanej MSW.

Buslenko spojrzał na szklaną ścianę. On tam był. Na pewno. I zaraz go zabije, w taki sposób, jaki najbardziej lubi.

– Jesteś sam, Buslenko – stwierdził Kotkin. – Nie mogłeś przyjść uzbrojony i nie mogłeś wziąć podsłuchu. Twoi ludzie są na zewnątrz, ale my jesteśmy lepsi. Zanim tu się pojawią, ty będziesz martwy, a my znikniemy. Krótko mówiąc, masz przesrane.

W tej samej chwili Buslenko usłyszał, że ktoś się poruszył za jego plecami. Perfekcyjnie przewidział następny ruch człowieka przy drzwiach. Zdawał sobie sprawę, że będą go chcieli uśmiercić w najcichszy możliwy sposób, i kiedy przed jego twarzą pojawiła się pętla z drutu, zsunął się w fotelu. Drut wpił się boleśnie w jego czoło, a następnie ześlizgnął po czaszce. Buslenko piętami uderzył w stolik. Mebel był masywny i przewrócił się ciężko na podłogę, nie trafiając w nogi trzech mężczyzn z bronią. Buslenko potoczył się w bok. Do tej pory nie padł żaden strzał. Mężczyźni musieli być przekonani, że zdołają go zabić, nie używając pistoletów.

Buslenko przetoczył się ponownie, ale tym razem mężczyzna,

który zaatakował go wcześniej garotą, przycisnął butem bok jego głowy do podłogi. Bolało jak cholera, ale wbrew nadziejom napastnika nie został ogłuszony i zdołał chwycić but, którego brzeg zbliżał się niebezpiecznie do krtani. Wykręcił napastnikowi nogę, własną wyrzucając w górę i trafiając mężczyznę w kroczę. Zdawał sobie sprawę, że zginie. Rosjanin nie kłamał: pomoc nie przyjdzie na czas, ale nie zamierzał poddać się bez walki. Teraz poruszał się bez paniki, jaka towarzyszy walce o przetrwanie; zaczął wykorzystywać wszystko, czego się nauczył podczas szkoleń. Poderwał się na nogi, okręcił napastnika wokół jego własnej osi, jednym długim ruchem skrzył mu kark i pchnął zwłoki pod nogi pozostałych. Rosjanin odskoczył w lewo i trup trafił w jego trzech kompanów. Buslenko dostrzegł błysk jakiegoś przedmiotu i w ostatniej chwili uchylił się przed ciosem noża Kotkina. Z gracją i perfekcją dorównującą ruchom Buslenki Kotkin zmienił chwyt i zamachnął się łukiem. Tym razem Buslenko nie zareagował dostatecznie szybko i choć nie poczuł bólu, wiedział, że ostrze trafiło go w ramię. Pozostali trzej odzyskali do tego czasu równowagę i na Buslenkę posypał się grad ciosów. Przygwoździli go do ściany, wobec tak zmasowanego ataku okazał się bezbronny. Kotkin zbliżył się do niego. Uniósł nóż i lekko dźgnął nim Buslenkę z boku w gardło. Buslenko wiedział, co za chwilę nastąpi. To był klasyczny sposób na zadanie cichej śmierci – wbicie ostrza za tchawicę, a potem przecięcie jej jednym szarpnięciem. W ten sposób zabija się świnię na farmie. Bez żadnego kwiku. Jedno krótkie sapnięcie i śmierć. Buslenko spojrzał prosto w zimne, szare oczy Rosjanina.

– Wal się! – wyrzucił z siebie i czekał, aż ostrze zatopi się głębiej.

Rozległo się lekkie pukanie i drzwi się otworzyły. Wszyscy, nawet Buslenko, odwrócili się w tamtą stronę. Do pokoju weszła Ukrainka z tacą w dłoni, zamierzając zapytać, czy chcą czegoś do picia. Słowa uwięzły jej w gardle na widok martwego mężczyzny na podłodze i stojącego pod ścianą z nożem wbitym w gardło Buslenki.

– Bierzcie ją! – warknął Kotkin i dwóch jego ludzi szybko do

niej podbiegło. Jeden został, przyciskając Buslenkę do ściany.

Dziewczyna upuściła na podłogę tacę, pod którą ukryła pistolet Fort 17. W pierwszej kolejności, bez słowa, zlikwidowała Kotkina. Buslenko usłyszał, jak pocisk wbija się w środek czoła Rosjanina, a zaraz potem poczuł na policzku rozbryzgującą się krew. Kiedy ciało Kotkina upadało na podłogę, Buslenko chwycił jego nóż i wbił go w podbródek trzymającego go mężczyzny. Ostrze przebiło skórę, język i utkwilo w podniebieniu twardym. Rozległa się cała seria strzałów i Buslenko wiedział już, że pozostali dwaj mężczyźni leżą martwi. Odepchnął od siebie człowieka z nożem wbitym w podniebienie. Kiedy ten zachwiał się na nogach i zrobił kilka kroków w tył, padły kolejne dwa strzały. Pierwszy trafił w tułów i sprawił, że dziewczyna runęła na ziemię. Drugi pocisk, podręcznikowo, utkwił w jego czole.

Ukraińska piękność z bronią gotową do strzału rozglądała się po pomieszczeniu. Na korytarzu zapanował zgiełk i do pokoju wpadli żołnierze specnazu. Buslenko, przyciskając chusteczkę do szyi w miejscu, gdzie Rosjanin zranił go nożem, wskazał ruchem głowy przeszkloną ścianę dzielącą ich od drugiego pomieszczenia.

– Tam! On tam musi być!

Ukrajka podeszła do Buslenki.

– Nic ci nie jest?

– Należy ci się duży napiwek, kelnerczko. – Buslenko uśmiechnął się gorzko, spoglądając na ciało mężczyzny, którego ugodził nożem, a ona dobiła dwoma strzałami. Chciał mieć przynajmniej jednego żywego, którego mógłby przesłuchać, i ten *coup de grâce* Ukrainki wydał mu się zbyt teczny. Ale ponieważ ocaliła go przed zaszlachtowaniem, nie powiedział tego głośno.

Z drugiego pokoju wrócił dowódca oddziału specnazu. Podobnie jak Buslenko, Piotr Samoliuk był oficerem oddziału Sokół.

– Czysto.

– Co znaczy „czysto”? On tam był – wyrzucił z siebie Buslenko. – Obserwował mnie, wiem to.

Piotr Samoliuk wzruszył ramionami.

- Teraz nikogo tam nie ma.
- Jesteś pewny, że to był on? – zapytała Ukrainka.
- Tam był, kurwa mać, nasz najważniejszy cel. Czuję jego obecność. Przyszliśmy tu tylko po niego. Informacja, że pojawi się w tym miejscu, była pewna. A ten... – Buslenko zmarszczył brwi i wskazał ruchem głowy ciało Rosjanina z raną na czole. Z dziury w czaszce spływała ciemnopurpurowa stróżka. – Co tu robił Dmitrij Kotkin?
  - Należał do organizacji. Dlaczego miałoby go tu nie być?
  - Działał w organizacji, ale nie w tym skrzydle. On był człowiekiem Mołokowa. – Wciąż wpatrywał się w przeszkloną ścianę. – Tam za szybą to nie był Mołokow. Tam był sam szef, Wasyl Witrenko. Musiały go sprowadzić do ojczyzny jakieś wielkie interesy. W przeciwnym razie by się nie ujawniał. Nawet Kotkin był zbyt ważny, żeby zajmować się rekrutacją bandziorów. Zaszedł tak wysoko, że powinien być coraz mniej widoczny.
  - Mogę tylko powiedzieć, że to miejsce szczelnie otoczyliśmy. Ktokolwiek tu wszedł, nie mógł się wydostać. – Ukraińska piękność podążyła wzrokiem za spojrzeniem Buslenki i popatrzyła na przeszkloną ścianę. – To zawsze jest loteria, Taras. Mieliśmy sprzeczne informacje. Z jednej strony mówiło się, że Witrenko wrócił na Ukrainę, a z drugiej docierały do was sygnały, że wciąż jest w Niemczech.
  - Cóż... – Buslenko odwrócił się w stronę pięknej pani kapitan Olgi Sarapenko z kijowskiej milicji, która tak przekonująco odgrywała rolę kelnerki – ...moja babcia zawsze powtarzała, że diabeł potrafi być w dwóch miejscach jednocześnie.

## 5

Fabel czekał, aż zostanie wpuszczony do gabinetu komendanta van Heidena, i rozmyślał o tym, że wkrótce stanie się kimś zupełnie innym. A także o tym, że wszyscy prócz Susanne starali się wybić mu to z głowy. Podejrzewał, że van Heiden spróbuje tego samego.

Pomysł odejścia z policji narodził się z pragnienia ucieczki od

śmierci. Cała jego kariera policjanta oznaczała jej brutalną obecność w jego życiu. Za młodu Fabel nigdy nie myślał o tym, żeby zostać stróżem prawa; z typową dla młodego wieku absolutną pewnością wiązał swoją przyszłą karierę z zawodem historyka. I wtedy śmierć, w najgwałtowniejszej i najbardziej okrutnej postaci, stanęła nieproszona na drodze Jana Fabla.

To się stało, gdy był jeszcze studentem Uniwersytetu Hamburgskiego. Zaledwie od kilku tygodni spotykał się z Hanną Dorn, córką profesora historii, kiedy jakiś psychopata wybrał ją przypadkowo na swoją kolejną ofiarę. Fabel zdawał sobie sprawę, że Hanna Dorn nie miałaby zbyt wielkiego wpływu na jego życie. Gdyby nie uraz spowodowany jej śmiercią, już dawno by o niej zapomniał. Był to związek, który mógł trwać zaledwie jakąś chwilę – chodziliby razem na imprezy, jadaliby w restauracjach, gdyby było ich na to stać, spotykaliby się z przyjaciółmi. Ale ilekroć później Fabel wracał myślami do tamtych chwil, czuł, że nie udałoby im się stworzyć stałego związku. To nie istnienie Hanny w jego życiu zaważyło na jego losach, lecz raczej jej nagła nieobecność.

Fabel zaczął od próby nadania sensu śmierci Hanny, a przeszedł do nadawania sensu śmierci obcych mu ofiar. Poznał tyle nazwisk, tyle twarze martwych ludzi. Szefując wydziałowi zabójstw Komendy Głównej policji hamburskiej, poznawał ludzi, którzy już nie mogli poznać jego. Stał się mistrzem rekonstrukcji życia i osobowości ofiar oraz wnikania w umysły morderców.

Został przy zdrowych zmysłach tylko dlatego, że przez całe życie zawodowe starał się trzymać śmierć na dystans. Nigdy nie pozostawał obojętny. Zawsze czuł empatię wobec ofiar, ale od momentu, kiedy zamordowano Hannę, starał się nie dopuszczać śmierci zbyt blisko siebie. Jednak ostatnie wydarzenia wszystko zmieniły – jeden oficer zabity, jeden poważnie ranny i okaleczony psychicznie.

Czas odejść. Przypadkowe spotkanie z kolegą ze szkolnych czasów zaowocowało ofertą pracy. Nawet więcej niż pracy: ucieczki do normalnego życia. Dla Fabla była to najtrudniejsza, fundamentalna decyzja. A teraz wszyscy próbowali mu ją wybić



z głowy. Wszyscy prócz Susanne. Susanne widziała w tym coś więcej niż tylko zmianę w karierze Fabela, widziała okazję do zmiany podstaw ich związku.

Przełożeni Fabela, z wielkimi oporami, zgodzili się, żeby odszedł z wydziału zabójstw po zakończeniu sprawy tak zwanego Fryzjera z Hamburga. To właśnie ta sprawa, w połączeniu z trzema innymi śledztwami dotyczącymi seryjnych morderstw, sprawiła, że w końcu postanowił odejść. Uznał, że taka ilość przerażenia i strachu oraz ciągle obcowanie z chorymi, szalonymi umysłami zabójców mogą w końcu doprowadzić do tego, że sam zacznie się do nich upodabniać.

Komendant Horst van Heiden był jego szefem i dowodził pionem śledczym policji hamburskiej, czyli policją kryminalną. Fabela zaskoczył upór z jakim van Heiden starał się odwieść go od decyzji o porzuceniu służby w policji. Fabel i van Heiden różnili się w wielu aspektach. Van Heiden był typowym oficerem, który przeszedł wszystkie szczeble kariery, począwszy od pracy w służbie mundurowej. Fabel sam siebie uważał za detektywa z przypadku i outsidera. I podobało mu się to, że tak niewielką wagę przykładał do formalności.

Kiedy Fabel wszedł do gabinetu komendanta, oprócz van Heidena zastał tam wysokiego, szczupłego, przedwcześnie osiwiałego mężczyznę.

– Fabel... przedstawiam panu Herr Wagnera z BKA – odezwał się van Heiden. Fabel uściśnął dłoń agenta federalnego. BKA to skrót od Bundeskriminalamt, Federalnej Policji Kryminalnej Niemiec, agencji ochrony porządku publicznego, działającej na terenie całego kraju. Fabel kilkakrotnie współpracował z BKA, ale nigdy wcześniej nie spotkał Wagnera. Może więc celem spotkania nie było przekonanie go, żeby pozostał w wydziale zabójstw. A jednak jego nadzieje rozwiały już pierwsze wypowiedziane przez van Heidena słowa.

– Powiem bez ogródek, Fabel. – Van Heiden wskazał mu krzesło. – Wie pan, co myślę o pańskim odejściu ze służby. Wolalbym pana widzieć w innym wydziale, niż zupełnie stracić.

– Doceniam to, panie komendancie, ale już zdecydowałem. – Fabel nawet nie próbował ukryć znużenia w głosie. – I proszę

wybaczyć, ale już rozmawialiśmy na ten temat...

Van Heiden się nastroszył.

– Oczywiście nie wezwałem tu pana, żeby się powtarzać, Fabel. Herr Wagner i ja chcielibyśmy z panem przedyskutować pewną kwestię.

– Z całym szacunkiem – odezwał się Wagner – nie zgadzam się z panem van Heidenem, że alternatywą dla pańskiej rezygnacji byłoby przeniesienie pana do innego wydziału. Wiem, że udało się panu zakończyć z sukcesem śledztwa w sprawie czterech seryjnych morderców.

– To zależy, co pan rozumie przez „sukces” – odparł Fabel. – Straciłem jednego człowieka, a druga osoba tak mocno to przeżyła, że jest na długim zwolnieniu lekarskim.

– Jak się miewa Frau Klee? – zapytał van Heiden.

– Maria jest twarda – odparł Fabel. – Bardzo twarda. I na tym polega problem. Próbowwała sobie z tym szybko poradzić, ale rany fizyczne i psychiczne się nie zaleczyły. Dlatego w końcu się załamała.

– Frau Klee została poważnie ranna podczas śledztwa, w którym zginął inny oficer z wydziału Herr Fabla. – Van Heiden poczuł się w obowiązku wyjaśnić sytuację Wagnerowi.

– Zginął też policjant ze służby mundurowej – dodał Fabel.

– Tak... – Wagner zmarszczył czoło. – Sprawa Witrenki. Możecie mi panowie wierzyć, znam aż za dobrze wyczyny naszego ukraińskiego przyjaciela. Wasyl Witrenko jest na pierwszym miejscu wśród poszukiwanych przestępców.

– Jakby tego było mało, Maria nawiązała... – Fabel szukał odpowiedniego słowa – ...związała się z innym mordercą. Wszystko to dało jej się porządnie we znaki.

– To coś więcej niż utrata zaufania czy stres pourazowy – zauważył van Heiden. – Frau Klee przeżyła całkowite załamanie. Wszyscy wiemy, że gdyby nie to, zostałaby pańską następczynią. Trudno mi to mówić o oficerze o takich zdolnościach jak Frau Klee, ale wątpię, czy czeka ją jakaś przyszłość w wydziale zabójstw.

– Wydaje mi się, że powinienem mieć coś do powiedzenia w tej sprawie – rzucił Fabel.

– Ale nie będzie pan miał, nadkomisarzu – odparł van Heiden. – Nim Frau Klee wróci ze zwolnienia, pana już dawno tu nie będzie. To pański wybór, Fabel. Nie mój. Mimo to jestem pewien, że wykorzystamy doświadczenie Frau Klee gdzieś w hamburskiej policji.

Fabel się nie odezwał. W końcu kłopotliwą ciszę przerwał Wagner.

– Jak już mówiłem, Herr Fabel, ma pan naturalny talent do skomplikowanych spraw dotyczących morderstw. A ta ostatnia sprawa była, delikatnie mówiąc, bardzo głośna. Pańska reputacja sięga daleko poza Hamburg. Czy to się panu podoba, czy nie, zyskał pan w społeczności policjantów w Niemczech opinię najbardziej doświadczonego i odnoszącego największe sukcesy śledczego.

– Nie sądzę, żebym miał jakieś wyjątkowe kwalifikacje – odparł Fabel. – To raczej kwestia pecha... że na naszym terenie mieliśmy czterech seryjnych morderców. A także tego, że mam dobry zespół i uśmiechnęło się do mnie szczęście.

– Wszyscy dobrze wiemy, że nie o szczęście tu chodzi, Fabel – stwierdził van Heiden.

– Proszę posłuchać, Herr Fabel – odezwał się Wagner. – Co chwila w różnych częściach Republiki Federalnej, z tych czy innych powodów, dochodzi do morderstw, które są znacznie bardziej skomplikowane niż zwykłe zabójstwa.

– Ma pan na myśli seryjnych zabójców?

– Nie... a właściwie tak, ale nie tylko. Wszystko się zmienia. Mamy do czynienia z coraz bardziej złożonymi przypadkami. Zabójstwami z dodatkowym podtekstem... politycznym, związanym z przestępczością zorganizowaną, z zawodowymi mordercami. A także z przypadkami, które swym zasięgiem przekraczają granice poszczególnych landów i kompetencje lokalnych sił policyjnych. Na przykład zawodowy morderca z Bremy może pracować dla gangstera z Lipska. Albo możemy mieć do czynienia z seryjnym zabójcą, który porusza się siecią autostrad po całych Niemczech. A czasem, po prostu, sprawa jest na tyle skomplikowana czy niezwykła, że jej rozwiązanie przekracza możliwości lokalnej policji.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Jak pan wie, przy śledztwie rozciągającym się na całą Republikę Federalną, kierowaniem nim zajmuje się prokurator krajowy tego landu, w którym popełniono pierwsze zabójstwo, a BKA zajmuje się koordynacją działań poszczególnych służb. Ale żyjemy w coraz bardziej złożonym świecie; globalizacja nie dotyczy wyłącznie biznesu. Internet stał się ogólnoswiatowym narzędziem przestępców seksualnych, a przestępczość zorganizowana nie zważa na granice państw, a tym bardziej landów.

– BKA zamierza stworzyć specjalną jednostkę do zwalczania tego rodzaju przestępczości – powiedział van Heiden. – Taki, powiedzmy, superwydział zabójstw. I chce, żeby pan nim kierował.

– Pracowałby pan w dalszym ciągu w Komendzie Głównej policji w Hamburgu – tłumaczył Wagner – i zajmowałby się pan, tak samo jak przez ostatnich piętnaście lat, prowadzeniem śledztw w tym mieście, ale dostałby pan dodatkowych ludzi i środki do stworzenia jednostki specjalnej. W razie pojawienia się, gdziekolwiek na terenie Niemiec, sprawy wymagającej pańskich wyjątkowych umiejętności przejmowałaby ją właśnie ta jednostka.

– To mi pochlebia, ale...

Van Heiden wszedł Fablowi w słowo:

– To nie jest żadne pochlebstwo. I nie chodzi tylko o pana. To wyjątkowa okazja, żeby policja hamburska zyskała w całej Europie, a nawet na świecie, opinię lidera w prowadzeniu dochodzeń dotyczących morderstw, tak jak instytut w Eppendorf zasłynął jako światowy lider w kryminalistyce.

– Ta jednostka będzie podlegała BKA?

– Będzie pan w dalszym ciągu służył w policji hamburskiej – wyjaśnił Wagner – a dopiero w drugiej kolejności w BKA. Zwiększony zakres odpowiedzialności będzie się łączył z wyższym uposażeniem. Jeśli pan sobie życzy, możemy zostawić wszystko po staremu, a w innych częściach kraju wykorzystywać pana w roli, powiedzmy, konsultanta.

Fabel przez chwilę rozważał złożoną mu propozycję.

– Brzmi to interesująco i dla ambitnego oficera stanowiłoby

na pewno nie lada wyzwanie, ale nie dla mnie. Ja próbuję się uwolnić od śmierci czającej się za rogiem. Nie chcę mieć z nią więcej do czynienia. Przykro mi, panowie. – Fabel wstał. – Podjąłem już decyzję.

– To wyjątkowa okazja – naciskał Wagner.

– Proszę posłuchać, Herr Wagner, doceniam pańską propozycję. Naprawdę. Ale czas zająć się czymś innym. – Fabel zrobił krótką przerwę. – Pogubiłem się. Kiedy zostawałem policjantem, wszystko było prostsze. Znałem swoje miejsce, miałem stać pomiędzy zwykłym obywatelem a tymi, którzy mogli go skrzywdzić.

– To całkiem dobra definicja zawodu policjanta – zauważył van Heiden – i jest dziś tak samo aktualna jak wtedy, kiedy wstępował pan do służby.

– Być może... – odrzekł z westchnieniem Fabel – ale z biegiem lat... wszystko się skomplikowało. Stało się, można by rzec, bardziej abstrakcyjne. Przestępcy, których ścigam, czyny, których się dopuszczają... Nigdy wcześniej nie było to wszystko takie mroczne.

Zapadła cisza. Przerwał ją w końcu, niepewnym głosem, Wagner:

– Wspomniałem wcześniej, że znam aż za dobrze Wasyla Witrenkę... Wiem, że macie... jak by to powiedzieć... niewyrównane rachunki. Witrenko i jego nowy wspólnik, Mołokow, to najpotężniejsi gracze w handlu żywym towarem w Europie. Sprowadzają z Europy Wschodniej i z Azji kobiety oraz dzieci do burdeli. Niemcy nie są rynkiem docelowym, tylko furtką prowadzącą dalej na Zachód. Utworzyliśmy specjalny zespół, który ma za zadanie odnaleźć i raz na zawsze wyeliminować Witrenkę. Gdyby zmienił pan decyzję, pana pierwszym zadaniem byłoby złapanie go.

– Dlaczego wszystkim się wydaje, że znają moje motywacje? Co wy wiecie o tym, co się naprawdę zdarzyło, kiedy Maria została pchnięta nożem? – Fabel z trudem panował nad złością. – To jest prawdziwe życie, a nie jakiś cikliwy amerykański film. Nie płonę żądzą zemsty i nie marzę o jakiejś spektakularnej ostatecznej rozgrywce. Witrenko to nie mój problem. Już nie.

– Nie działamy w ten sposób – odpowiedział Wagner i Fabel zauważył, że musiał porządnie zirytować przedstawiciela BKA.

– Nie obchodzi mnie osobiste urazy. Sądziłem, że jako profesjonalny śledczy zechce pan zamknąć sprawę, w którą był pan tak głęboko zaangażowany. Z naszego punktu widzenia może pan sporo wniesić do jej wyjaśnienia. Nikt nigdy nie był tak bliiski złapania Witrenki jak pan i Frau Klee. Pańskie uwagi byłyby bezcenne. Mogę też pana zapewnić, że wiemy teraz o wiele więcej na temat Witrenki niż w chwili, gdy wasze drogi zeszły się po raz pierwszy. Mamy informatora w organizacji Witrenki i Mołokowa i zgromadziliśmy na ich temat obszerne dossier. Z pomocą naszych przyjaciół z ukraińskiej milicji udało się rzucić trochę światła na poczynania Witrenki.

Fabel spojrział obojętnie na Wagnera, ale w głębi duszy czuł, że chętnie zapoznałby się z dossier Witrenki, który już dawno przestał być dla niego istotą ludzką, a stał się zjawą.

– Zebranie dossier Witrenki kosztowało życie kilku ludzi, Herr Fabel. Informacje pochodzą nie tylko z naszych źródeł, ale także z tajnych operacji służb ukraińskich. Przypuszczamy, że Witrenko wie o istnieniu dossier i wiele by dał, żeby wpadło w jego ręce.

– Dlaczego? Nic nowego by tam o sobie nie przeczytał.

– Witrenko ma obsesję na punkcie lojalności. Istnieją dwie wersje tego dossier: właściwa i robocza. A to dlatego, że nie możemy się wszystkimi informacjami wywiadowczymi podzielić z naszymi ukraińskimi kolegami. Ich aparat bezpieczeństwa jest wciąż przeżarty korupcją i sami Ukraińcy nie wiedzą, ilu ludzi Witrenki zdołało przeniknąć do ich szeregów. Wszyscy członkowie zespołu śledczego pracują z wersją roboczą dossier. Są tam najistotniejsze informacje, ale nie można na ich podstawie zidentyfikować źródeł. Ale nawet gdyby w ręce Witrenki wpadła tylko wersja robocza, i tak zdołałby ustalić nasze źródła w swojej organizacji.

– A są takie? Ludzie Witrenki są fanatycznie lojalni wobec swojego szefa.

– To prawda. Ale kiedy połączył siły z Mołokowem, naraził na szwank swoje bezpieczeństwo. Mołokowem kierują mniej szla-

chetne idee. Podobnie jak Witrenko, ma za sobą przeszłość w służbie bezpieczeństwa, tyle że rosyjskiej, nie ukraińskiej, ale poza tym jest zwyczajnym, prostym gangsterem w dawnym stylu. Jego ludzi nie łączy żadna wielka filozofia prócz chciwości i przemocy. – Wagner urwał, czekając na reakcję Fabela.

– Cóż... jak mówiłem, Wasyl Witrenko, jego poczynania i jego kumple to już teraz problem kogoś innego, nie mój – odparł Fabel.

Van Heiden i Wagner wymienili zrezygnowane spojrzenia.

– Może pan to jeszcze przemyśli – rzekł van Heiden. – Jestem gotów zablokować na trzy miesiące pański etat. Przez ten czas wydziałem zabójstw zgodził się pokierować nadkomisarz Meyer. Później będę musiał wyznaczyć pańskiego następcę.

– Może pan go wyznaczyć już teraz, Herr van Heiden. Podjąłem decyzję.

– Przyjmuję do wiadomości, co pan mówi – wtrącił się Wagner – ale mimo to proszę, żeby zechciał pan rzucić na to okiem. – Wręczył Fabelowi opasłą teczkę. – Zależy mi na pańskiej opinii. Rozumiem, że nie chce pan być bezpośrednio zaangażowany w sprawę, ale byłbym wdzięczny za zapoznanie się z tymi aktami. Może przyjdzie panu do głowy jakiś pomysł.

– Co to jest? – Fabel wziął do ręki teczkę i przyglądał się jej podejrziwie.

– Dostaliśmy to z policji Nadrenii Północnej-Westfalii... od komisarza Scholza z komendy w Kolonii. Scholz zapytał mnie, czy nie zechciałby pan tam pojechać i pomóc mu w wyjaśnieniu tej sprawy, ale teraz już wiem, że to nieaktualne.

Fabel roześmiał się cynicznie.

– Rozumiem... mała przynęta, żeby sprawdzić, czy uda się mnie przekabacić.

– Nie będę ukrywał, że byłbym bardzo zadowolony, gdyby ta sprawa zainteresowała pana do tego stopnia, żeby zechciał pan pojechać do Kolonii. Mimo to szanuję pańską decyzję. Jestem pewny, że komisarz Scholz będzie wdzięczny za wszelkie sugestie i rady z pańskiej strony, nadkomisarzu.

– Okej... – Fabel wstał, wkładając teczkę pod pachę. – Spojrzę na to. Ale to wszystko, co mogę obiecać.

Van Heiden odprowadził Fabla do drzwi. Uścisnęli sobie dłonie.

– Będzie nam pana brakować – powiedział van Heiden. – Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie pana jako sprzedawcy komputerów.

Fabel uśmiechnął się.

– Programów edukacyjnych, panie komendancie. Dla szkół wyższych na całym świecie.

– Niech będą programy, i tak to do pana nie pasuje. Pan jest policjantem. Czy to się panu podoba, czy nie.



## Pamiętnik klauna Drugi wpis – bez daty

dzisiaj poszedłem do kaplicy dzisiaj do kaplicy czaszek i patrzyłem na nie jak to zawsze robię oni nie wiedzieli że to ja nie mogli mnie widzieć bo byłem klaunem ponieważ nie mogli widzieć twarzy klauna ani uśmiechu klauna patrzyłem na nich oni są kanibalami żywią się ciałem i krwią kładą ciało na języki i połykają krew z kielichów mszalnych zjadają swojego boga kim oni są żeby mnie osądzać skoro zjadają swojego boga zamieniając chleb w jego ciało i wino w jego krew oni naprawdę chcą się nawzajem zjadać ONI SĄ DZIKIMI BESTIAMI PO PROSTU DZIKIMI BESTIAMI żywią się ciałem z obrazków na które patrzą z ich ust płyną ordynarne słowa obrzydliwe obrazki nieprzyzwoite filmy w internecie dzikie bestie góry mięsa bez duszy bez rozumu bez miłości i taplają się w tym internet jest kostnicą ciało bez smaku i treści ośmielają się mnie nazywać chorym to oni są chorzy to oni są zboczonymi staruchami oglądającymi się za młodymi dziewczętami nawet za dziećmi oni są chorzy i kobiety które robią te rzeczy oni patrzą na odrażające kurwy które się sprzedają niczym mięso brudne tanie dziwki ja jestem dla nich ostateczną sprawiedliwością wpatrują się w mój uśmiech klauna jeśli pragną chaosu będą go mieli ci hipokryci w kaplicy czaszek oni wszyscy są dzikimi bestiami odprawiają te rytuały udając że nie są bestiami ale są zjadają swojego boga usiadłem z tyłu w kaplicy siedziałem a **ONI NIE WIEDZIELI ŻE JESTEM KLAUNEM** patrzyłem jak ksiądz wygłasza głupie modlitwy w eucharystycznym przeistoczeniu ciało stało się chlebem krew stała się winem chleb stał się ciałem wino stało się krwią w eucharystycznym przeistoczeniu jedno wielkie gówno wszystko to bez znaczenia oni chcieli tylko rzucić się na siebie i jeść **tak blisko że nie mogłem czekać czuję ten zapach i smak czuję go**

w ustach czuję siłę swojego ciała wkrótce już wkrótce KARNAWAŁ ŚWIĘTO MIĘSA chaos i przyjemność wszystko inne jest mi zakazane wkrótce znów go poczuję PAMIĘTAM POPRZEDNIA wystraszoną głupią dziwkę która błagała i błagała i zeszczala się ze strachu udusiłem ją krawatem i jej głupia twarz szerniała zeszczala się w majtki zdjąłem jej mokre majtki obróciłem ją i wyciąłem jej mięso i zabrałem je do domu i zdjąłem skórę i usmażyłem ją na oleju i zjadłem ją byłem ~~szezęśliwy oszołomiony~~ przepełniony radością ekstazą nic nie smakuje tak jak to zapełnia usta zapełnia wnętrności zapełnia duszę JESTEM TAKI GŁODNY kiedy wyszedłem z kaplicy czaszek zobaczyłem dziewczynę była odpowiednia do zarżnięcia była do tego dojrzała ale to jeszcze nie czas obudziłem się i jestem klaunem ale to jeszcze nie czas zjem jakąś podczas KARNAWAŁU ukryję ten pamiętnik tam gdzie nikt go nie znajdzie będę jadł i jadł i będę coraz silniejszy kiedy jem staję się silniejszy jestem taki głodny ale TO JUŻ WKRÓTCE

## ROZDZIAŁ DRUGI

### 17–19 stycznia

#### 1

Taras Buslenko siedział w łaźni w kijowskiej dzielnicy Łukjanówka. W wielkiej sali ze ścianami wyłożonymi glazurą znajdowała się jeszcze tylko jedna osoba – wyglądający na biznesmena grubas ze zwisającym znad ręcznika brzuchem. Buslenko spojrzął na swoje ciało, zastanawiając się, czy też kiedyś tak utyje. Nie potrafił sobie wyobrazić swojego postarzałego ciała. Miał świetnie wyrzeźbioną sylwetkę. Stworzoną do walki. Przeciągnął palcami po bliznach. Najświeższa była na ramieniu, ściągnięta szwami, otaczająca łukiem kłęb mięśni, jakby ktoś próbował odkroić plaster jabłka. Najlepiej widoczny był za to ślad po kuli z lewej strony brzucha. Roześmiał się pod nosem. Nic dziwnego, że nie potrafił sobie wyobrazić siebie jako starca, bo przecież szanse, że dożyje sędziwego wieku, były nikłe.

Sala łaźni była sklepiona i urządzona w stylu tureckim. Ściany i podłogę wyłożono zdobnymi kafelkami. Czuć tu było osmańskiego ducha i jedyne, co przypominało Buslenko, że jest na Ukrainie, to duże porcelanowe panele pomiędzy ornamentowymi kafelkami. Na panelach przedstawiony był siedzący pod drzewem mężczyzna ze skrzyżowanymi nogami. Na gałęzi wisiała jego broń. Mężczyzna palił fajkę i grał na bandurze. Ten mężczyzna to Kozak Mamaj, ukraiński bohater narodowy, legendarny, a właściwie mityczny obrońca ludu ukraińskiego. Prawdziwy patriota.

Gruby biznesmen w drugim końcu sali westchnął głęboko, podniósł się z wysiłkiem i wyszedł. Po kilku minutach w łaźni pojawiło się trzech innych ludzi: lekko ocieżały mężczyzna w średnim wieku i dwóch młodszych, szczupłych i muskularnych jak Buslenko.

– Daleś mu uciec – odezwał się Oleksandr Malarek, nie patrząc na Buslenkę.

– Jeśli w ogóle tam był, panie wiceministrze.

– Był, dobrze o tym wiesz.

– Tak, wiem. Ktoś wziął łapówkę. Ktoś z naszych. Ktoś mnie zdekonspirował i pozwolił Witrence uciec.

– Tak, ktoś to zrobił – przyznał Malarek, wiceminister spraw wewnętrznych, nie patrząc na Buslenkę. – Tym kimś był major Samoliuk.

– Dowódca oddziału szturmowego? – Piotr Samoliuk dowodził jednostką Sokół od piętnastu lat. Buslenko zawsze uważał go za uczciwego człowieka. – Jasna cholera. Przesłuchaliście go? On mógłby być naszym najlepszym tropem.

– Nie tropem. Ślepym zaułkiem. Znaleźliśmy go martwego dziś rano. Przed śmiercią był torturowany. Wykastrowano go i wepchnięto mu genitalia do gardła.

– Zamierzał się przyznać? Przecież trafiłby do więzienia.

– Nigdy się tego nie dowiemy. Ale jeśli rzeczywiście był jednym z ludzi Witrenki, to oni nie mogli mu tego zrobić. W tej organizacji nie ma miejsca na zdradę. Oni nie uważają się za bandę kryminalistów, tylko za oddział wojskowy, w którym obowiązuje bezwzględna lojalność. Moim zdaniem Samoliuk wziął potężną łapówkę, a potem zgubiła go zachłanność i zażądał więcej za milczenie.

– Mało prawdopodobne. – Buslenko zwrócił się do wciąż obróconego profilem Malarka. Na czubku nosa starszego mężczyzny zebrała się spora kropla potu. – Nikt nie byłby na tyle głupi, żeby grozić Witrence.

– On jest w Niemczech – powiedział Malarek, ignorując słowa Buslenki. Okrutna śmierć Samoliuka najwyraźniej go nie interesowała.

– Witrenko?

– Nasze źródła podają, że działa w Kolonii.

– Nie przypuszczałem, że mieliśmy jakieś źródła w otoczeniu Witrenki – rzekł Buslenko.

– Nie mieliśmy. I nie mamy, przynajmniej nie bezpośrednio. Mamy informatorów, którzy pracują dla Mołokowa, tyle udało

nam się osiągnąć. – Malarek otarł grzbietem dłoni pot z mięsistej twarzy. – Witrenko masowo kupuje naszych ludzi, majorze. To zdrajca najgorszego gatunku. W ten sposób deprecjonuje Ukrainę. Jego główne siedziby to Hamburg i Kolonia, ale regularnie przyjeżdża na Ukrainę. Ze zdobytych przez nas informacji wynika, że przeszedł gruntowną operację plastyczną. Nasze źródła twierdzą, że jego zdjęcia, które mamy w aktach, są już bezwartościowe.

– Ma pan jakieś informacje, kiedy znowu się tu pojawi? Następnym razem...

Malarek obrócił głowę w stronę Buslenki.

– Nie będzie następnego razu. Wasyl Witrenko porusza się jak duch. Ma tak rozległe kontakty i tylu informatorów, że nawet kiedy się tu pojawi, znów wyparuje, nim zdążymy go dopaść. Stąd nowe zadanie dla pana, majorze. Działalność Wasyla Witrenki jest dla Ukrainy kłopotliwa. Trudno się spodziewać, żeby świat traktował poważnie naszą nową demokrację, jeśli jesteśmy postrzegani jako kolebka tworzącej się nowej mafii. Musimy powstrzymać Witrenkę. Zlikwidować go. Czy wyraziłem się jasno?

– Chce pan, żebym pojechał do Niemiec bez wiedzy i zgody władz niemieckich? To nielegalne. I tu, i tam.

– To nasze najmniejsze zmartwienie. Zabierze pan ze sobą jednostkę Skorpion ze specnazu. I żeby nie było żadnych nieporozumień, to jest misja typu „odnaleźć i zniszczyć”. Nie chcę, żeby przywoził pan tu Witrenkę i stawiał przed obliczem sprawiedliwości. Ma pan go zlikwidować. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno?

– Tak jest. Domyślam się, że jeśli zostaniemy złapani, zaprzeczy pan, że cokolwiek na ten temat wie? A my zgnijemy w niemieckim więzieniu?

Malarek uśmiechnął się.

– My się nawet nigdy nie spotkaliśmy. I jest coś jeszcze... operacja ma być przeprowadzona szybko. Im więcej czasu zajmie jej zorganizowanie, tym większe ryzyko, że Witrenko się o niej dowie. Niestety, on ma w kieszeni więcej milicjantów, niż mogę sobie wyobrazić.

– Kiedy?

– Chcę, żeby był pan gotowy do wyjazdu w ciągu tygodnia. Zdaję sobie sprawę, że praktycznie nie będzie miał pan czasu na dobór odpowiednich ludzi, ale dzięki temu maleją szanse, że Witrenko pokrzyżuje nasze plany. Zdoła pan to zrobić?

– Znam kogoś, kto mógłby mi pomóc w zebraniu odpowiednich ludzi. Ale w jego skład nie wchodziłoby tylko żołnierze z jednostki Skorpion. Potrzebuję ludzi o różnorodnych umiejętnościach i przygotowaniu.

Malarek wzruszył ramionami.

– To pańska sprawa. Ja chcę tylko wiedzieć, czy pan sobie poradzi.

– Poradzę sobie.

Po wyjściu wiceministra i jego ochroniarzy Buslenko siedział jeszcze jakiś czas w łazni, wpatrując się w wizerunek Mamaja. Kozak patrzył na niego z porcelanowego panelu nieco melancholijnie i z jego oczu major nie wyczytał, jak trudno jest być Wielkim Obrońcą ludu ukraińskiego.

## 2

To bardzo ważny krok w twoim życiu, Janie. Wiedz, że doceniam to. – Roland Bartz spróbował nalanego do skosztowania wina i skinął głową kelnerowi, który napełnił oba kieliszki. – Zdaję też sobie sprawę, że rezygnacja ze stanowiska szefa wydziału zabójstw jest dużo trudniejsza niż z jakiegokolwiek innego...

– Ale...?

– Czekam już bardzo długo. Obiecałem, że wstrzymam się do czasu, kiedy zamkniesz swoją ostatnią sprawę, ale naprawdę potrzebuję już pilnie kogoś do poprowadzenia moich spraw za granicą.

– Wiem. Przepraszam za to opóźnienie. Ale znam już oficjalną datę zakończenia pracy w policji i będę się tego trzymał. Nie będziesz musiał czekać ani chwili dłużej. – Fabel zmusił się do uśmiechu. Wyglądał na zmęczonego.

– Dobrze się czujesz? – Bartz zmarszczył czoło z przesadną,

zdaniem Fabela, troską. Bartz był w tym samym wieku co Fabel. Dorastali razem w Norddeich we Fryzji Wschodniej, chodzili razem do szkoły. W tamtych czasach Bartz był niezdarnym młodzieńcem z niezdrową cerą. Teraz jego skóra była opalona, mimo środka zimy, a niezdarność zastąpił wielkomiejski sznyt. Fabel wciąż patrzył na Bartzę z perspektywy dzieciństwa – starał się dostrzec podobieństwo do tamtego chłopca, z którym się przyjaźnił. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że dzisiejszy Roland Bartz był kimś zupełnie innym. Fabel wiedział, że jest multimilionerem, ale dopiero dzięki niedawnemu przypadkowemu spotkaniu i ofercie pracy, jaką złożył mu Bartz, zdał sobie sprawę, jak bardzo bogaty jest jego szkolny kolega. Teraz poznawał go jako biznesmena, choć bliższy mu był tamten niezdarny, przyszczaty młodzieniec ze wspomnień.

– Wszystko w porządku – odparł nieprzekonująco Fabel. – Miałem po prostu ciężki dzień.

– Coś się stało?

Fabel w kilku słowach opowiedział o historii z Georgiem Aichingerem, starając się nie zdradzać szczegółów, o których nie wiedziałyby jeszcze prasa.

– Boże... – Bartz nie mógł się nadziwić. – To nie dla mnie. Nigdy nie mógłbym zajmować się czymś takim. Na szczęście już z tym kończysz. Choć chwilami zastanawiam się, czy podzielasz moje uczucia.

– Tak, Rolandzie, naprawdę tak. Dzisiaj był tam ze mną młody funkcjonariusz z MEK-u. Mało brakowało, a wpakowałby w tego człowieka cały magazynek. Wprost buchał testosteronem. – Fabel pokręcił głową. – Nie oskarżam go. Jest tylko produktem naszych czasów. Tak teraz wygląda praca policji. Pora odejść.

Restauracja mieściła się w Ovelgonne i jej ogromne panoramiczne okna wychodziły na Łabę. Fabel przerwał i zapatrzył się na przepływający z niezwykłą gracją olbrzymi kontenerowiec. Bywał już w tym lokalu wcześniej z Susanne, ale tylko przy specjalnych okazjach, ponieważ ceny były wygórowane, jednak dla Bartzę i jego zasobnego portfela nie stanowiło to problemu. To właśnie tu Fabel spotkał przypadkowo kolegę, co zaowocowało

decyzją o zmianie pracy.

– Nadszedł czas, żebym stał się kimś innym – powiedział w końcu.

– Będę szczerzy, Janie. Nie wydajesz się w stu procentach przekonany o słuszności swej decyzji.

– Naprawdę? Przepraszam, ale byłem tak długo policjantem, że minie trochę czasu, nim oswoję się z myślą, że zostawiam to wszystko. Tak, to ważny krok w moim życiu, ale jestem gotowy go zrobić.

– Mam nadzieję. Stanowisko, które ci proponuję, to nie synekura. Wprawdzie nie dostarczy ci stresu, który towarzyszy tropieniu zbrodniarzy, ale zapewniam cię, że jest równie wymagające... tyle że w inny sposób. Potrzebna jest na nim osoba o twojej inteligencji i wykształceniu. A przede wszystkim o ogromnym wyczuciu. Obawiam się jednak, że masz wątpliwości.

– Nie mam żadnych. – Fabel zatuszował kłamstwo uśmiechem.

– Z tą pracą wiąże się jeszcze jedna korzyść, o której wcześniej nie rozmawialiśmy, a która wydaje się ważna.

– To znaczy?

– Jak ci się wydaje, co myślą ludzie o dyrektorze handlowym firmy produkującej oprogramowanie? Kiedy spotykasz ich na przyjęciu, weselu czy w barze i pytają, czym się zajmujesz, wiesz, co myślą?

Fabel wzruszył ramionami. Bartz wykorzystał chwilę, żeby się napić wina.

– Nic nie myślą. To twoja praca, a nie ty. To zajęcie nie definiuje twojej osoby. Ludzie nie mają na ten temat żadnego zdania. Za to kiedy powiesz, że jesteś policjantem, każdy będzie miał wyrobione zdanie. Ludzie nie będą widzieć tego, co robisz, tylko kim jesteś. Ja dam ci okazję, żeby się z tego wyrwać. Okazję, by wreszcie być sobą.

W tej samej chwili pojawił się kelner z głównym daniem.

– Ach... – Bartz uśmiechnął się z lubością. – Teraz, kiedy mamy na stole posiłek, możemy porozmawiać wreszcie o twojej przyszłości... a nie o przeszłości. Jedzenie i interesy, Janie. Nie



rozdzielaj tego. Wydaje nam się, że jesteśmy dużo bardziej cywilizowani od naszych przodków, ale przecież wciąż wspólne spożywanie posiłku stwarza tę wyjątkową atmosferę bliskości. Zgodzisz się ze mną? – Fabel uśmiechnął się. Nie przypominał sobie, żeby Bartz jako chłopiec wygłaszał podobne kwestie. – Pomyśl o wszystkich zawartych przy stole przymierzach i układach. Będziesz musiał do tego przywyknąć, Janie. Większość poważnych negocjacji będzie się toczyć przy stole.

Resztę czasu przy posiłku spędzili na rozmowie o życiu, do którego Fabel nie był zbyt przekonany: o świecie podróży i spotkań, konferencji i przyjęć. Z jakiegoś niewiadomego powodu nie potrafił zapomnieć o desperackiej tyradzie na temat bezsensowności życia, jaką wygłosił przed śmiercią Georg Aichinger.

### 3

Lepiej dać sobie z tym spokój, pomyślał, niech leży.

Wciąż jeszcze było dość wcześnie, kiedy Fabel wrócił do domu. Bartz chciał po posiłku posiedzieć z nim jeszcze przy barze, ale nadkomisarz wytłumaczył się, że wstał wcześniej rano i miał jeszcze do napisania raport z wydarzeń mijającego dnia, czyli wypadku z Aichingerem. Bartz westchnął i odparł:

– Nie ma sprawy...

Wyraźnie dał do zrozumienia, że zaczyna tracić cierpliwość do swojego przyszłego dyrektora handlowego.

Po pracy w mieszkaniu Fabla pojawiła się Susanne. Nie widział jej cały dzień, bo spędziła go na oddziale psychiatrycznym Instytutu Medycyny Sądowej w Eppendorf i ani razu nie zawitała do komendy policji. Czekając, aż wyjdzie spod prysznica, nalał sobie i jej po kieliszku wina. Wyjrzał przez okno na park i połyskującą w mroku taflę jeziora Alster.

Uwielbiał swoje mieszkanie. Znalazł je w odpowiednim czasie, kiedy los się od niego odwrócił. Jego małżeństwo rozsypało się akurat w chwili, gdy ceny nieruchomości w Hamburgu spadły do najniższego poziomu w historii. Do tej pory mieszkanie dotkliwie obciążało jego pensję, ale było tego warte. Kłopot

w tym, że stanowiło idealne lokum dla singla. Miejsce wyjątkowo osobiste, którym nie można było się dzielić z nikim innym. Teraz, wraz ze zmianą pracy, nadszedł czas na kolejną zmianę. Zarówno on, jak i Susanne powinni pozbyć się swoich dotychczasowych mieszkań, znaleźć coś nowego i zamieszkać wspólnie. Ta decyzja wydawała się dotychczas oczywista, ale teraz zaczęły się pojawiać wątpliwości.

Fabel zauważył w oddali błysk reflektorów samochodu jadącego ulicą Schöne Aussicht, po drugiej stronie jeziora. Wrócił myślami do kolacji z Bartzem. I pomyślał o swojej przyszłości. O teczce z aktami leżącej na stoliku do kawy. Jeśli wezmę ją do ręki, pomyślał, znów dam się w to wciągnąć. Lepiej dać sobie spokój. Niech leży.

Do pokoju weszła Susanne i przesłonił teczkę egzemplarzem „Hamburger Morgenpost”. Odwrócił się do niej i uśmiechnął. Susanne była piękna, inteligentna, seksowna. Jej długie, gęste włosy były mokre i ciemnymi pasmami spadały teraz na kołnierz białego szlafroka. Usiadła na sofie, a on podał jej kieliszek wina.

- Zmęczona? – zapytał, siadając obok.
- Nie, wcale – odrzekła powoli i uśmiechnęła się.
- Spragniona?
- O, tak – odpowiedziała i przyciągnęła go do siebie, pozwalając, by rozchyliły się poły jej szlafroka.

#### 4

Timo znalazł książkę w kontenerze na śmieci stojącym niedaleko uniwersytetu, za jedną z odnawianych kamienic. Tomisko było opasłe, stare, z okładką pokrytą pyłem, wciąż chrzęszczącym pod jego palcami, ale jednocześnie podobne do tego, które nigdyś miał. I które sprzedał, podobnie jak wiele innych swoich rzeczy. Po raz pierwszy przeczytał tę książkę, kiedy jeszcze studiował filozofię na Uniwersytecie Hamburgskim. Były to *Zasady metody socjologicznej* Emila Durkheima – traktat o porządku społecznym, o formach zachowania. Durkheim był uważany za ojca socjologii, ale Timo z sarkazmem

pomyślał, że w jego obecnej sytuacji powinien raczej znaleźć późniejsze dzieło Durkheima *O normalności zbrodni*.

Timo, odziany w nieodpowiednią na tę porę roku marynarkę, zadygotał z zimna i oparł się o ścianę, utkwivszy wzrok w sklepie naprzeciwko. Zapadał wczesny styczniowy zmrok i w sklepie zapaliły się lampy, rozświetlając witrynę bursztynową poświatą. Timo próbował przeczytać kolejną stronę książki, ale światło było za słabe. Westchnął. Ta książka, część jego przeszłości, wtargnęła nieoczekiwanie i bez zaproszenia do terażniejszości. Patrzył na nią z bólem, jak na wspomnienie czasów, kiedy miał jeszcze nadzieję i jasne, uporządkowane myśli. Do rzeczywistości przywrócił go narastający, nekający ból w trzewiach i drżenie ciała, którego powodem nie był wieczorny chłód. Zamknął książkę. Nie mógł jej zabrać ze sobą, ale i nie chciał się jej pozbywać. Nie chciał pozbyć się resztki swojej przeszłości.

Timo studiował myśl Maksa Webera, Ferdinanda Tönniesa i Emila Durkheima. Podstawą jego pracy magisterskiej był *Monopol legalnej przemocy fizycznej* Maksa Webera. Pracy, którą ledwie rozpoczął pisać.

W sklepie było zbyt wielu klientów. Będzie musiał poczekać. Chłód przenikał jego ciało do szpiku kości. Weber postawił tezę, że tylko organy państwa, policja i armia, mają prawo używać siły, w przeciwnym razie zapanowałyby anarchia, a państwo stałoby się tworem nietrwałym. Timo zamierzał przyjąć w swojej pracy założenie, że tego rodzaju monopol może być równie destrukcyjny dla państwa, jak to się stało w wypadku nazizmu.

Ze sklepu wyszedł mężczyzna w garniturze z telefonem komórkowym przy uchu, a za nim para starszych ludzi. Ból i narkotyczny głód w trzewiach przybierały na sile. Timo wsunął rękę do kieszeni marynarki i zacisnął palce na chłodnym, metalowym przedmiocie.

Zamierzał też dla równowagi poruszyć w swojej pracy kwestię Stanów Zjednoczonych, gdzie konstytucja wyraźnie pozwala obywatelom na noszenie broni, a co za tym idzie, na pozbawianie państwa monopolu na stosowanie przemocy. Mimo takich

uregulowań Stany Zjednoczone nie tylko przetrwały jako państwo, ale na dodatek mają się całkiem dobrze.

Spojrzał ponownie na drugą stronę ulicy. Przed sklepem zatrzymał się samochód i jakaś kobieta weszła do środka. Chwilę później wyszła z reklamówką w ręce i odjechała. Poczł w żołądku skurcz, który nie był objawem głodu. To był żal za dawnym Timem – metodycznym, trzeźwo myślącym studentem filozofii, który miał u stóp cały świat. Ale to była już przeszłość. Czasy sprzed narkotyków.

Wyszedł z cienia, skulony z zimna, i przeszedł ulicę, kierując się w stronę sklepu, z palcami zaciśniętymi na kolbie trzymanego w kieszeni pistoletu.

## 5

Kiedy Fabel i Susanne skończyli się kochać, usiedli w salonie i spoglądali przez okno na połyskujące refleksy na ciemnych wodach jeziora Alster. Susanne położyła mu głowę na ramieniu, a on starał się za wszelką cenę ukryć fakt, że nie potrzebuje teraz jej obecności w tym miejscu. Człł się tym zaskoczony. Był niespokojny i podenerwowany. Przez chwilę musiał nawet walczyć z nagłą ochotą, by wsiąść do samochodu i pojechać w dal, poza granice Hamburga, poza granice Niemiec. Zdarzało mu się to już wcześniej, ale zawsze tę chęć ucieczki przed horrorem i stresem składał na karb swojej pracy. Tymczasem teraz miał to, czego chciał: pozostało tylko kilka tygodni i uwolni się od tego zupełnie. Skąd więc to uczucie paniki? I dlaczego nie potrafił powstrzymać się przed sięgnięciem po teczkę ukrytą pod egzemplarzem „Morgenpost”?

– Jak kolacja z Rolandem? – zapytała Susanne.

– Rozwlekła. Bartz jest gadułą. Nie jestem pewien, czy potrafi słuchać, ale ma gadane.

– Wydawało mi się, że go lubisz. – Fabel wyczuł w jej głosie irytację. Nauczył się ostatnio, że powinien wypowiadać się ostrożnie na temat swojej nowej pracy. Jakikolwiek brak przekonania w jego głosie stawał się powodem do sprzeczki.

– Bo lubię. To znaczy lubilem, kiedy był chłopcem. Ale ludzie

się zmieniają. Roland Bartz jest teraz kimś zupełnie innym. Ale nie szkodzi. Może stał się tylko trochę za bardzo zarozumiały.

– Jest przedsiębiorcą. To nieodłączna cecha takich ludzi – stwierdziła Susanne. – Jego firma nie odniosłaby takiego sukcesu, a on nie mógłby zaoferować ci takiej pensji, gdyby brakowało mu pewności siebie. Zresztą nie musisz go uwielbiać, żeby z nim pracować.

– Nie ma żadnego problemu – zapewnił Fabel. – Naprawdę. Nie martw się, nie zmieniłem zdania na temat porzucenia pracy w policji. Mam już tego dosyć. – Wziął łyk pinot grigio, rozsiadł się wygodnie i zamknął oczy. Wróciło wspomnienie smutnej, zdesperowanej twarzy Georga Aichingera. To samo wspomnienie, które dręczyło go cały czas w trakcie kolacji z Bartzem.

– Co się stało? – zapytała Susanne w odpowiedzi na jego westchnienie.

– Nie mogę przestać myśleć o Aichingerze. O tym, co mówił, nim się zastrzelił. O tym, jak budzi się rano i zdaje sobie sprawę, że nie żyje naprawdę. Co on miał, do cholery, na myśli?

– To depersonalizacja. Do pewnego stopnia wszyscy jej ulegamy. Głównie z powodu stresu lub przemęczenia. Aichinger musiał przeżywać coś głębszego. Może nawet całościową amnezję dysocjacyjną.

– Myślałem, że to dotyczy ludzi, którzy utracili pamięć. Którzy budzą się w nowym otoczeniu z nową tożsamością. Albo całkiem bez tożsamości.

– Czasami tak się zdarza. Ludzie, którzy przeżyli poważny uraz, mogą doznać amnezji dysocjacyjnej. Zapominają wtedy o całym złu, które zalega w ich wspomnieniach. A bez wspomnień nie pamiętasz, kim jesteś. Przyjmujesz nową tożsamość pozbawioną balastu przeszłości.

– Ale Aichinger nie stracił pamięci.

– Nie. Ale gdyby się nie zastrzelił, mógłby po prostu wyjść i zniknąć na zawsze. Uciec nie tylko od tego świata, ale i od siebie.

– Bóg mi świadkiem, że też nieraz miałem ochotę uciec od siebie samego. Na przykład kiedy stałem twarzą w twarz

z Aichingerem strzelającym sobie w głowę. – Fabel uśmiechnął się z goryczą.

– Uciekniesz, na swój sposób. Kiedy wyjdiesz po raz ostatni z komendy, zostawiając to wszystko za sobą.

– Tak... – Fabel wziął kolejny łyk wina. – I zostawię wszystko w rękach takich ludzi jak Breidenbach.

– Kto to jest Breidenbach?

– Przedstawiciel nowego pokolenia. – Fabel przełknął wino.

## 6

Stefan zatrzymał się przed całodobowym sklepem znajdującym się przy stacji benzynowej. Jeszcze godzinę temu był w pracy. Teraz czuł się dobrze – wziął prysznic, ogolił się, zmienił koszulę i skropił się wodą kolońską. Zadzwoił do Lisy, a ona zgodziła się przyjechać i zostać na noc. To był jedyny otwarty o tej porze sklep w okolicy, w dodatku zawsze był tu dobry wybór win.

Spotykał się z Lisą od kilku miesięcy. Wspaniała dziewczyna. Wesoła, bystra i na dodatek urocza. Chodzili ze sobą, dobrze się bawili, ale Stefan zaczął podejrzewać, że Lisa myśli o poważniejszym związku. Tymczasem on nie miał na to ochoty. A przynajmniej tak mu się zdawało. Nie był gotowy na nic poważnego. Z drugiej strony, sam pomysł nie był taki zły, tyle że jedyną rzeczą, którą potrafił na razie traktować poważnie, była jego kariera. Próbował wyjaśnić Lisie, jak wielkie znaczenia ma dla niego bycie policjantem. Za kilka miesięcy czekały go egzaminy na stopień komisarza i powinien teraz przyłożyć się do nauki. Ale nie dziś. Dziś zamierzał się dobrze bawić. A najpierw musiał kupić butelkę wina.

Poczuł, że dzieje się coś złego, kiedy tylko przekroczył próg sklepu.

Dzwonek towarzyszący otwieraniu drzwi zwrócił uwagę dwóch mężczyzn – tylko oni byli w sklepie. Przy ladzie stał chudy mężczyzna z długimi, prostymi włosami, w brudnym ubraniu. Za ladą stał sprzedawca – Turek w średnim wieku. Obaj mężczyźni nawet nie drgnęli. Stali nieporuszeni, w napięciu.

Młodszy nieoczekiwanie obrócił się twarzą do Stefana. Stefan dostrzegł w jego oczach strach, a potem nerwowy ruch uzbrojonej w pistolet ręki.

– Spokojnie... – powiedział Stefan, przypominając sobie, co wbijano mu do głowy na szkoleniu, i oceniając zagrożenie. W ułamku sekundy odnotował to, co najważniejsze. Pistolet to był stary Walther P8. Właściwie antyk. Nie, lufa była zbyt krótka jak na P8, to był P4, model używany przez policję hamburską tuż po wojnie. Tak czy owak, broń była stara i sprawiała wrażenie zaniedbanej. Stefan nie wiedział, czy jest odbezpieczona, trudno było to ocenić. – Zachowaj spokój – powtórzył, zdając sobie jednocześnie sprawę, że młody człowiek z błędnym wzrokiem i przetłuszczonymi włosami był najbardziej przerażoną osobą w sklepie. Stefan przypomniał sobie, jak nadkomisarz Fabel poradził sobie w podobnej sytuacji w Jenfeld. – Tylko spokojnie. – Dostrzegł, że uzbrojonemu mężczyźnie drży ręka. Zauważył też czerwone obwódki wokół jego oczu. Ćpun. Desperat. W dodatku wystraszony. Ze szkolenia pamiętał, że przerażony człowiek z bronią jest znacznie bardziej niebezpieczny niż człowiek wściekły. Stefan usiłował przewidzieć, jakie są szanse, że pistolet się zatnie albo ćpun nie trafi.

– Zostań tam, gdzie stoisz! – wrzasnął narkoman.

– Nie ruszam się – spokojnie odpowiedział Stefan.

– Ty! – Ćpun wskazał Turka za ladą. – Włóż pieniądze z kasy do reklamówki.

Turek i Stefan wymienili spojrzenia. Sprzedawca znał go i wiedział, że jest policjantem. Wyjął pieniądze z kasy i włożył je do torby. Ćpun sięgnął wolną ręką po reklamówkę, nie przestając mierzyć w Stefana.

– Okej. Zejdź mi z drogi. Wychodzę. – Młody bandyta starał się, żeby jego głos zabrzmiał stanowczo.

– Nie mogę ci na to pozwolić... – odparł spokojnie Stefan.

– Co ty pieprzysz? Zejdź mi z drogi, do kurwy nędzy.

– Nie mogę – powtórzył Stefan. – Jestem policjantem. Nie obchodzi mnie pieniądze. Nie obchodzi mnie nawet to, czy stąd wyjdiesz. Ale nie mogę cię wypuścić z bronią. Stanowisz zagrożenie dla społeczeństwa.

– Jesteś *Bulle*? – Ćpun stał się jeszcze bardziej nerwowy. Ręce drżały mu coraz mocniej. – Pieprzonym gliną? – Skierował teraz lufę pistoletu w kierunku Turka. – Masz na myśli takiego członka społeczeństwa? A co będzie, jak go zastrzelę, bo nie zszedłeś mi z drogi?

Stefan spojrział na Turka, który powoli uniósł ręce nad głowę. Stefan nie miał wątpliwości, że sprzedawca lepiej panuje nad swoim strachem niż uzbrojony napastnik.

– Udowodnisz, że nie mogę cię puścić wolno. I będę cię musiał załatwić.

– Czym? Nie jesteś uzbrojony.

– Uwierz mi – Stefan starał się cały czas zachować spokój – jeśli pociągniesz za spust, będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobisz w swoim życiu. Jestem specjalistą od broni. Znam się na tym. Wiem, co trzymasz w ręku. Wiem, kiedy i gdzie ten pistolet został wyprodukowany. Ze sposobu, w jaki go trzymasz, widzę, że nie masz pojęcia o strzelaniu. Wiem też, że nie możesz zastrzelić nas obu jednocześnie. Zanim się zorientujesz, dopadnę cię i skrucę ci kark. To nie musi się tak skończyć. Odłóż broń. Znajdziemy jakieś wyjście.

– Jakie? – Napastnik uśmiechnął się z goryczą. – Przywrócimy monopol na używanie przemocy?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Zejdź mi z drogi! – Wycelował ponownie w Stefana. – Dlaczego to robisz? Dlaczego sobie po prostu nie pójdziesz? Ten jeden raz.

– Ponieważ na tym polega moja praca. Oddaj mi broń. – Stefan zrobił krok naprzód. – Skończmy to wreszcie.

– Okej... – Twarz ćpuna była pozbawiona wyrazu.

Stefan zaśmiał się krótko. Pomylił się. Broń była stara, niekonserwowana, ale się nie zacięła. A ćpun był lepszym strzelcem, niż na to wyglądał albo po prostu miał szczęście. W powietrzu wciąż jeszcze rozbrzmiewał huk wystrzału, kiedy Stefan spojrział w dół na swoją nową koszulę. Na ziejącą w niej dziurę. Na powiększającą się plamę krwi. Strzał w sam środek celu. Perfekcyjny. Ugięły się pod nim nogi. Runął na kolana.

– Dlaczego nie zszedłeś mi z drogi? – Głos ćpuna wypełniała



zarówno panika, jak i nienawiść.

Stefan spojrział na ćpuna i otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale zabrakło mu tchu.

– Dlaczego? – powtórzył żałośnie ćpun i ponownie pociągnął za spust. I jeszcze raz. I jeszcze.

7

Fablowi znów przyśniła się śmierć.

Ten sen powtarzał się przez cały czas, kiedy służył w policji. Zdążył się już przyzwyczać do nagłego przebudzenia w środku nocy, rytmicznego dźwięku krwi pulsującej w uszach i oblewającego go zimnego potu. Pogodził się z faktem, że tego rodzaju sny były naturalnym efektem ubocznym nadmiaru myśli i emocji – tych, które nauczył się tłumić, gdy miał do czynienia z zabójcami – a przede wszystkim nadmiaru bólu i żalu, jaki czuł wobec ofiar. Spotykał się z tym na każdym miejscu zbrodni. Z historią. Z historią zwykle wypisaną krwią, historią okrutnych, smutnych ostatnich chwil. Ktoś powiedział mu kiedyś, że każdy umiera w samotności; że choć możemy opuszczać ten świat otoczeni ludźmi, to w obliczu śmierci pozostajemy samotnieni. Fabel w to nie wierzył. Na miejscu zbrodni za każdym razem uświadamiał sobie jedno – że okrutny los kazał ofierze morderstwa dzielić swoje ostatnie, najbardziej intymne chwile z zabójcą. Pamiętał, jak pewnego razu o mało nie zmasakrował uśmiechniętej twarzy zabójcy, który przechwalał się, że jego ofiara, nim umarła od ciosów nożem, chwyciła go za rękę, szukając jedynej ludzkiej pociechy, jaka była w jej zasięgu. A tamten bydlak śmiał się w głos, wspominając tę chwilę. Następnej nocy ofiara przyśniła się Fablowi.

Tym razem Fablowi śniło się, że czeka gdzieś przed wielką salą. Z jakiegoś powodu uznał, że to ratusz, siedziba władz Hamburga. Wiedział, że czeka nie bez powodu i wkrótce zostanie wpuszczony do środka. W pewnej chwili dwóch bezimiennych odźwiernych otworzyło na oścież masywne drzwi i Fabel wszedł do ogromnej sali bankietowej. Przy nieprawdopodobnie długim stole zgromadzili się goście, którzy na jego widok wsta-

wali i pozdrawiali go. Na odległym końcu stołu zarezerwowano miejsce dla niego. Mijając gości, poznawał prawie wszystkich.

Czuł się lekko zaskoczony, że wszyscy go rozpoznają. Przecież każdy z nich był już martwy, nim się poznali. Mijał po kolei klaszczące ofiary, których morderców ścigał, i zajął wreszcie miejsce u szczytu stołu. U jego boku zasiadła zamordowana cztery lata wcześniej Ursula Kastner, która już wcześniej gościła w jego snach. Jej blade, bezkrwiste wargi rozpromienił uśmiech.

– Z jakiej okazji wydano to przyjęcie? – zapytał.

– To twój bankiet pożegnalny – odparła, wciąż uśmiechnięta, ale jednocześnie ścierając chusteczką kroplę krwi w kąciu ust.  
– Opuszczasz nas, prawda? Przyszliśmy się pożegnać.

Fabel pokiwał głową. Zauważył, że krzesło po jego drugiej stronie jest puste, ale wiedział, że zostało ono zarezerwowane dla Hanny Dorn, jego przyjaciółki z czasów studenckich. Ponownie zwrócił się do Ursuli Kastner.

– Dotrzymałem obietnicy – powiedział. – Złapałem go.

– Złapałeś go – powtórzyła. – Ale innych nie.

Obrócił głowę i zobaczył, że puste dotąd miejsce się zapełniło. Ze zdumieniem stwierdził, że na krześle nie siedzi Hanna Dorn, tylko Maria Klee. Miała wymizerowaną, pobladłą twarz i uśmiechała się słabo.

– Co ty tutaj robisz? Nie powinno cię tu być – zaprotestował.

– Oni wszyscy są...

– Wiem, Janie... ale zostałam zaproszona. – Zamierzała jeszcze coś powiedzieć, ale znowu rozległy się oklaski. Do sali wszedł szef kuchni, niosąc nieprawdopodobnie wielką srebrną tacę z kopulastą przykrywką. Nie było widać jego twarzy, ale miał masywną posturę i potężnie umięśnione ramiona. Mimo to tylko w dziwnym śnie Fabela zdołałby unieść tak wielką tacę.

Szef kuchni postawił tacę pośrodku stołu i zdjął srebrną przykrywkę. W tej samej chwili Fabel dostrzegł błysk jego szmaragdowych oczu i od razu zorientował się, że ma do czynienia z Wasylem Witrenką. Maria krzyknęła. Fablowski zdawało się, że słyszy, jak Ursula Kastner mówi za jego plecami: „To jest ten

drugi”. Patrzył jak zahipnotyzowany na ciało młodej kobiety leżącej na plecach na tacy, z otwartą klatką piersiową, sterczącymi w górę białymi żebrami. Płuca wyrwane z piersi leżały nad jej ramionami. Skrzydła Krwawego Orła. Stary rytuał ofiarny wikingów, który stał się znakiem rozpoznawczym Witrenki. Teraz także Fabel, wraz z Marią, krzyczał z przerażenia, choć jednocześnie wtórował pozostałym w oklaskach. Maria odwróciła się w jego stronę.

– Wiedziałam, że się pojawi – powiedziała, przerywając gwałtownie krzyk przerażenia. – Tak długo czekaliśmy na jego przybycie. Ale byłam pewna, że zechce się z tobą pożegnać.

Witrenko obszedł stół dookoła i stanął przed Marią. Wyciągnął rękę, jakby zapraszał ją do tańca. Fabel chciał się podnieść, bronić Marii, ale poczuł, że opuściły go siły. Patrzył bezradnie, jak Witrenko prowadzi ją w mroczny kąt sali. Kobieta siedząca obok Ursuli Kastner pochyliła się, szukając czegoś pod stołem. W końcu wyprostowała się na krześle ze zmarszczonym czołem.

– Coś pani zgubiła? – zapytał. Rozpoznał w niej Ingrid Fischmann, dziennikarkę, która rok temu zginęła w wyniku wybuchu bomby. Kobieta roześmiała się i zrobiła minę mówiącą: „Jaka jestem głupia!”.

– Stopę... – odparła. – Była tu jeszcze chwilę temu...

Fabel się obudził.

Leżał w ciemnościach, ze wzrokiem utkwionym w suficie. Uniósł pod kołdrą nogi, sprawdzając, czy może się poruszać. Słyszał wolny, regularny oddech Susanne. Słyszał nocne odgłosy Pöseldorfu. Dźwięk przejeżdżającego samochodu. Grupę żegnających się głośno ludzi. Opuścił nogi na podłogę i ostrożnie usiadł na skraju łóżka, starając się nie zbudzić Susanne. Poczul coś pod stopami. Spojrzał w dół i zobaczył cudze stopy. W czarnych butach. Ogromne. Podniósł wzrok i ujrzał, że stoi przed nim Wasyl Witrenko.

– Zobacz, co znalazłem – odezwał się Witrenko, wyciągając dłoń ze zmasakrowaną kobiecą stopą.

Fabel znów się przebudził. Siedział sztywno wyprostowany, a jego twarz, pierś i ramiona zlewał zimny pot. Serce tłukło się

w piersi. Minęła dłuższa chwila, nim z zadowoleniem stwierdził, że tym razem obudził się na dobre. Susanne jęknęła przez sen i obróciła się na drugi bok, nie otwierając oczu.

Kiedy w końcu znów położył głowę na poduszce, nie mógł zasnąć. W głowie kłębiły mu się myśli. Wstał z łóżka, poszedł do kuchni i zaparzył filiżankę fryzyjskiej herbaty. Następnie przeszedł do salonu i usiadł na sofie.

Od chwili kiedy wstał z łóżka, wiedział, że musi przeczytać dokumenty z tej teczki. Właściwie wiedział to już wcześniej, tylko udawał przed sobą, że może z tego zrezygnować. Wziął do ręki teczkę i zaczął czytać.

## 8

Oliver lubił tę porę nocy. Ciche odosobnienie. Światła Kolonii błyszczące za oknem panoramicznym. Z kosztownego sprzętu Bang & Olufsen płynęły dźwięki nieco melancholijnej muzyki jazzowej. Rozsiadł się wygodnie w fotelu z włoskiej skóry i sączył szkocką ze szklanki, w której tańczyły kostki lodu. O tej porze nocy mógł spokojnie rozmyślać o swoim życiu – życiu pełnym sukcesów, którego inni mogli mu pozazdrościć; życiu, w którym było miejsce na stylowe meble, oryginalne dzieła sztuki i dwudziestoletnią whisky. Oliver czuł się dobrze w swojej skórze, nie musiał się zastanawiać, kim lub czym jest.

Położył nogi na stoliku do kawy, a na kolanach laptopa. Grzbietem dłoni potarł oczy. Wystarczy, już trzy godziny spędził na stronie „kanibale”. Czas przenieść się w inny świat. Na jego ogłoszenie wpłynęło kilka zapytań i odpowiedział na wszystkie, ale niezobowiązująco. Bez wątpienia, to co robił, niosło ze sobą pewne ryzyko; wcześniej zawsze zaspokajał swoje drobne dziwactwa, korzystając z usług prostytutek. Dopiero niedawno pomyślał o poszukaniu ochotniczki, gotowej wziąć w tym udział. Wciąż jednak wahał się przed zaaranżowaniem bezpośredniego spotkania czy przeniesieniem znajomości na wyższy poziom. Tam, w realnym świecie, potrafił zatrzeć za sobą ślady. Nigdy nie korzystał dwukrotnie z tej samej agencji towarzyskiej, nigdy nie nocował dwukrotnie w tym samym ho-

telu, nigdy nie używał prawdziwego nazwiska. Tu, w internecie, pozostawał bezosobowy, jak duch. Ale zamieszczenie ogłoszenia to co innego. Jak na ironię, w świecie cyfrowych kodów, gdzie ciało składało się z pojedynczych pikseli, łatwiej było go znaleźć. Dlatego musiał zachować większą ostrożność.

Odwiedzenie tej strony internetowej spełniło jego oczekiwania. Było niczym przystawka. Elektroniczna przystawka zastrzająca apetyt przed głównym daniem. Tym prawdziwym.

Jutro wieczorem. Umówił się na piątkowy wieczór. Może z tą agencją będzie mógł współpracować dłużej. W końcu nazwa firmy brzmiała jak dobry omen. Czy może być lepsza nazwa agencji towarzyskiej niż „À la Carte”?

## 9

Fabla poruszyło to, że dokumenty wspominały nie tylko o morderstwach już popełnionych, ale także tych, których należało się spodziewać. Gdy w grę wchodził seryjny zabójca, wydawało się to oczywiste, ale w tym wypadku policja z Kolonii nie tylko spodziewała się następnej zbrodni, ale nawet przewidywała dzień, w którym ona nastąpi.

W Kolonii wielkim wydarzeniem był obchodzony hucznie przed rozpoczęciem postu Karneval. Dla Fabla, protestanta z północy Niemiec, Karneval był czymś mało znanym. Wiedział, że coś takiego istnieje, ale nigdy w tym nie uczestniczył i znał tylko z telewizji. Już sama Kolonia stanowiła dla niego wielką niewiadomą – był tam tylko kilka razy i zawsze krótko. Zagłębiwszy się w lekturze dokumentów, stwierdził, że zaczyna się gubić w nieznanym sobie środowisku. Zdał sobie sprawę z tego, jak trudno będzie jednostce tworzonej przez Wagnera i van Heidena działać na terenie całego kraju. Niemcy to jedno państwo, a tyle różnorodnych kultur. A biorąc pod uwagę wschodnią i zachodnią część, są to także dwie oddzielne historie.

Karneval w Kolonii był czymś wyjątkowym. Bardziej na południe Fasching i Fastnacht obchodzono raczej tradycyjnie. W wielkim rywalu Kolonii, Düsseldorfie, albo w Moguncji,

Karneval miał podobną formę, ale brakowało mu tej anarchizycznej żywiołowości wydarzeń w Kolonii. Tutaj karnawał był czymś więcej niż tylko datą w kalendarzu – był częścią psyche tego miasta. Określał, co to znaczy być kolończykiem.

Fabel słyszał o tej sprawie już wcześniej. Jak wszystkie zabójstwa tego rodzaju, dwa morderstwa w Kolonii świetnie prezentowały się na pierwszych stronach gazet. Ścigany przez policję zabójca uderzał tylko w trakcie karnawału. Do tej pory były dwie ofiary – jedna rok i jedna dwa lata temu. Ale prowadzący śledztwo nadkomisarz Benni Scholz rozpoznał *modus operandi* mordercy, kiedy tylko pojawił się na miejscu drugiej zbrodni. Obawiając się eskalacji działań zbrodniarza, ostrzegł swoich przełożonych, że podczas tego samego karnawału można się spodziewać kolejnego morderstwa. Do drugiego zabójstwa nie doszło, ale Fabel zgadzał się z nadkomisarzem, że morderca uderzy ponownie. W tym roku, podczas nadchodzącego karnawału.

Odłożył teczkę z aktami na stolik. Obie ofiary były samotnymi kobietami przed trzydziestką. Niewiele miały ze sobą wspólnego. Sabine Jordanski była fryzjerką. Melissa Schenker pracowała w domu, tworzyła oprogramowanie komputerowe. Jordanski była duszą towarzystwa, a Schenker osobą spokojną, pełną rezerwy, właściwie samotniczką. Jordanski była rodowitą obywatelką Kolonii, tu się urodziła i wychowała. Schenker pochodziła z Kassel, a w Kolonii zamieszkała trzy lata temu. Śledztwo nie wykazało żadnych wspólnych przyjaciół czy znajomych. Żadnych powiązań. Oprócz sposobu, w jaki zginęły.

Obie kobiety zostały uduszone. Ślady wskazywały, że duszono je rękami, a następnie krawatem, który morderca zostawiał na ich szyjach jako swoją wizytówkę. Scholz wyjaśniał, że ta wizytówka może mieć duże znaczenie. W obchodach kolońskiego karnawału kluczową datą był Weiberfastnacht – ostatni czwartek poprzedzający post, Karnawałowa Noc Kobiet, święto, w którym rządziły kobiety. Każda kobieta w Kolonii miała tego wieczoru prawo domagać się pocałunku od dowolnego mężczyzny. Istniał także zwyczaj, że kobiety obcinały mężczyznom krawaty. Miało to być symbolem odwrócenia tradycyjnych

damsko-męskich ról. W bardziej oświeconych środowiskach, gdzie panowało równouprawnienie płci, zwyczaj ten pozostał już tylko zabawą. Tymczasem komisarz Scholz uważał, że dla mordercy ma on wyjątkowe znaczenie. Podejrzał, że kierowała nim psychotyczna mizoginia albo odczuwana w stosunku do kobiet uraza na tle seksualnym. Jego zdaniem taką teorię tłumaczyło pośmiertne oszpecanie ciał – obu ofiarom morderca wyciął około pół kilograma ciała z prawego pośladka. Fabel uważał spekulacje kolońskiego policjanta za logiczne, ale przedwczesne. Podejrzał, że za tymi zbrodniami kryje się coś jeszcze.

Fabel stracił poczucie czasu i dopiero wtedy, gdy w salonie pojawiła się, przecierając oczy, zasnana Susanne, zdał sobie sprawę, że spędził nad aktami dobrych kilka godzin.

– Obudziłam się i nie znalazłam cię obok siebie – powiedziała, ziewając. – Co się dzieje? Kolejny koszmarny sen?

– Nie... nie – skłamał. – Po prostu nie mogłem spać, to wszystko.

Dostrzegła na stoliku otwartą teczkę. A w niej fotografie martwych ciał. Raporty kryminalistyczne.

– Och, rozumiem. Co to jest? – W jej głosie wyraźnie porzmięwała nuta podejrzliwości.

– Poproszono mnie, żebym przyjrzał się pewnej sprawie z Kolonii. Chodzi o moją opinię.

Twarz Susanne spochmurniała.

– Nie możesz dać się wpłatać w kolejne śledztwo, Janie. Roland Bartz i tak okazał się nadzwyczaj cierpliwy, ale nie będzie czekał w nieskończoność. A może na to właśnie liczysz?

– Co masz na myśli?

– Doskonale wiesz, co mam na myśli. Zachowujesz się jak dziewica, która sama nie wie, czego chce. Mam wrażenie, że nie jesteś w stanie podjąć decyzji o odejściu z policji.

– Nieprawda. Podjąłem decyzję. Złożyłem wymówienie. A dzisiaj odrzuciłem propozycję van Heidena i BKA.

– Jaką propozycję?

Fabel spojrział na Susanne. Jej ciemne oczy płonęły w łagod-

nym świetle. Zdążył już pożałować, że o tym wspomniał.

– Nieważne.

– Jaką propozycję?

– Chcą utworzyć nową jednostkę. Coś w rodzaju federalnego wydziału zabójstw. Siedzibą jednostki byłby Hamburg, ale zajmowałaby się przypadkami w całych Niemczech. Poprosili mnie o sformowanie takiej jednostki i pokierowanie nią.

Roześmiała się z goryczą.

– Wspaniale. Po prostu cudownie. To ja się zamartwiam stanem twoich nerwów zszarganych przez to cholerstwo, z którym masz tu do czynienia, a ty rozmawiasz o poszerzeniu zakresu swoich obowiązków na całe Niemcy.

– Powiedziałem ci, że odmówiłem. – Podniósł głos. Wziął głęboki oddech i dodał spokojnie: – Odmówiłem.

– Jakie to ma znaczenie? Sam widzisz, że prawie straciłeś nad sobą panowanie.

– Susanne...

– Nie dociera do ciebie, że masz problem? Zamknąłeś się w sobie. Nigdy nie chciałeś zostać policjantem, nie dociera to do ciebie? Gdyby nie została zamordowana święta Hanna Dorn, nie przyszłoby ci to nawet do głowy. Za nic nie mogę pojąć, dlaczego uznałeś, że powinieneś dla niej zrezygnować ze swoich planów na przyszłość i wybrać takie zajęcie. Wszyscy powtarzają, jakim jesteś fantastycznym detektywem. Ile rozwiązałeś zagadek kryminalnych. Ale ta praca cię wykańcza. Ja to słyszę, Janie. Co noc. Wiem o twoich koszmarach. Nie dostrzegasz tego, że jesteś w takim samym złym stanie jak Maria Klee? Jesteś świadkiem tych wszystkich potworności, które ludzie sobie nawzajem fundują, a potem dusisz to głęboko w sobie. Jeśli nie przestaniesz, rozsypiesz się.

– Ty jesteś świadkiem tego samego. Wnikasz w ich umysły.

– Naprawdę nie widzisz różnicy? Ja wybrałam zawód psychologa. Uczyłam się go. Przygotowywałam do niego. Planowałam każdy kolejny etap swojej kariery. Wybrałam ten zawód, ponieważ był zgodny z moimi zainteresowaniami i umiejętnościami. Nie kierowało mną jakieś cholerne luterzańskie poczucie misji.

– Susanne przerwała na chwilę. – Różnica między tobą a mną



polega na tym, że ja sobie z tym radzę. I potrafię oddzielić pracę zawodową od życia prywatnego.

– Nie wiem, o co toczymy ten spór... – Fabel ponownie usiadł. Miał zmęczony głos. – Powtarzam ci, kończę z wydziałem zabójstw. I ze służbą w policji.

– Toczymy ten spór, ponieważ odmawiasz jednoznacznej odpowiedzi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dobrze wiesz co. To ty wpadłeś na pomysł, żebyśmy zamieszkali razem, a potem miesiącami szukaliśmy mieszkania. Nieważne, jak wyglądało ani w jakiej było dzielnicy, ty wychodziłeś, wzruszając ramionami. Nie umiesz ani podjąć decyzji w sprawie zmiany pracy, ani w sprawie naszej przyszłości. Dlaczego nie chcesz się do tego przyznać?

– Ile razy mam ci to powtarzać, Susanne? Mieszkania mi się nie podobały. A moja decyzja o rzuceniu pracy w policji jest ostateczna. Za pięć tygodni zrzucam mundur. – Fabel wstał i położył dłonie na ramionach Susanne. – To nie moja wina, że nie znaleźliśmy mieszkania, które przypadłoby mi do gustu. To wcale nie znaczy, że jestem niezdecydowany. Przecież wiesz, czego pragnę.

– Czyżby? – Odtrąciła jego rękę. – To dlaczego przez ostatnich kilka miesięcy jesteś taki nieobecny? Nie wiem, co zrobiłam czy powiedziałam, ale zachowujesz się wobec mnie dziwnie. Wieje od ciebie chłodem.

– To nonsens... – bronił się.

– Naprawdę? – Wskazała leżącą na stoliku teczkę z aktami. – A co powiesz na to? Czy to nie nonsens, że zabierasz się do nowej sprawy, skoro zamierzasz z tym skończyć?

– Przecież ci mówiłem, poproszono mnie o opinię. To wszystko.

– A ty oczywiście nie mogłeś odmówić.

– Nie, nie mogłem. Czy ci się to podoba, czy nie, przez następnych pięć tygodni jestem jeszcze policjantem.

Odwróciła się na pięcie i wróciła do łóżka. Stał przez chwilę, wpatrując się w milczeniu w zamknięte drzwi sypialni. Potem usiadł, a jego myśli poszybowały z powrotem do odległego miasta i dwóch martwych, młodych kobiet.

W pewnej chwili Fabel zdał sobie sprawę, że mieszkanie zaczęło zalewać światło dnia, a jego samego ogarnęło znużenie. Czytanie i robienie notatek zajęło mu ponad trzy godziny. Końcowy wniosek oficera śledczego Scholza sprowadzał się do tego, że ofiary zostały wybrane przypadkowo. Przyglądając się zdjęciom denatek zrobionym w kostnicy, Fabel dostrzegł jednak pewien szczegół: kobiety różniły się wzrostem, ale miały podobną, gruszkowatą sylwetkę i były lekko zaokrąglone w biodrach, udach i pośladkach.

Fabel przeczytał notatkę Scholza:

*Nie ma śladów okaleczeń przedśmiertnych. Stosunkowo niewielka ilość krwi na miejscach zbrodni sugeruje, że ofiary zostały wcześniej uduszone, a włókna znalezione w miejscach otarć skóry na szyi świadczą o tym, że narzędziem zbrodni były krawaty pozostawione przez mordercę. Włókna te mają nietypowy kolor i strukturę – jest to błękitny filc. Kiedy ofiary były już martwe, sprawca częściowo je obnażył, obrócił twarzą do ziemi pozostawiając w takiej pozycji, w jakiej zostały znalezione, i wyciął pewną ilość ciała z pośladków i górnych części ud. Te okaleczenia mają istotne znaczenie. Sprawca usuwa ciało w sposób symboliczny. Interesująca jest ilość usuniętego ciała. Dokładny pomiar obszaru, z którego wycięto tkankę, pozwala obliczyć jej masę. W pierwszym przypadku było to czterysta siedemdziesiąt gramów, a w drugim czterysta. Ilości te są do siebie zbyt zbliżone, aby był to zbieg okoliczności, i sugerują, że zabójca ma wprawę w odmierzaniu masy. Cięcia są proste i nie ma śladów poprawek. Te dwa fakty sugerują, że sprawcą może być osoba mająca doświadczenie w rozbiórce i ważeniu mięsa, a więc na przykład rzeźnik. Może to być również chirurg lub inna osoba o wykształceniu medycznym.*

*Już sama ilość wyciętego ciała może mieć znaczenie. W obu przypadkach była to wartość zbliżona do 0,45 kilograma, czyli 1 funta – jednostki wagi stosowanej przez Bry-*

*tyjczyków. Niekoniecznie wynika z tego, że zabójca jest cudzoziemcem, ale ten „funt ciała” (jak w Kupcu weneckim Szekspira) wydaje się zamierzoną metaforą wymierzenia sprawiedliwości ofiarom. Mogłoby to sugerować, że zabójca znał swoje ofiary.*

*Konsekwencja działania sprawcy nie pozostawia żadnych wątpliwości, że dopuścił się on obu zbrodni. Dodatkowo symbolizm krawata pozostawionego na szyjach ofiar i znaczenie karnawału oraz wyrażona psychoseksualna nienawiść do kobiet wskazują, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą.*

Fabel przekartkował akta. Karnawałowa Noc Kobiet miała jeszcze inną nazwę. Fetter Donnerstag, tłusty czwartek. Dzień poświęcony obżarstwu.

– Nie, kolego – mruknął pod nosem Fabel, przypatrując się fotografiom z miejsca zbrodni. – Naszego przyjaciela nie interesuje zbieranie pamiątek. On jest głodny. Ten funt mięsa to zdobycz, posiłek.

Zadzwoił telefon.

## 10

Stali wpatrzeni w leżące na biurku Anny trzy przezroczyste plastikowe torebki. W jednej spoczywał sprawiający wrażenie zabytkowego pistolet Walther P4, druga była wypełniona gotówką, a trzecia zawierała dużych rozmiarów książkę z zakładkami. Każda torebka była szczelnie zamknięta i opatrzona niebieską naklejką świadczącą o tym, że są one dowodem w sprawie.

– Znaleźliśmy to przed sklepem – powiedziała Anna Wolff, wskazując na książkę. To ona prowadziła śledztwo. – Filozofia. Tschorba studiował filozofię... kiedyś.

Fabel nie mógł oderwać oczu od torebek z dowodami.

Anna zreferowała przebieg zdarzeń w sklepie. Właściciel, Turek, zeznał, że Breidenbach zginął bohaterską śmiercią, postanawiając za wszelką cenę nie wypuścić na ulicę uzbrojonego

napastnika. Powiedział też, że zamierzał odwrócić uwagę Tschorby od Breidenbacha. Ale rzucił się na Timo Tschorbę dopiero, kiedy tamten strzelił do policjanta. Tschorba siedział teraz w celi, a siniaki i otarcia na jego twarzy świadczyły o walce stoczonej z Turkiem. Kiedy właścicielowi sklepu udało się wreszcie obezwładnić ćpuna, podbiegł do Breidenbacha, ale okazało się, że młody policjant już nie żyje. Turek przyznał też, że widząc to, wrócił do obezwładnionego napastnika i uderzył go kolbą pistoletu.

– Nie mogę w to uwierzyć – odezwał się w końcu Fabel. – Przecież to on tam był. Breidenbach. To znaczy w mieszkaniu Aichingera. Wszedł razem ze mną. – Pokręcił żałośnie głową. – Zachowałem się jak dupek... Uważałem Breidenbacha za gorszego od siebie policjanta tylko dlatego, że służył w oddziale taktycznym. Myliłem się. On był prawdziwym policjantem.

Anna kontynuowała relację z przesłuchania Tschorby, wyników badań balistycznych i kryminalistycznych oraz wstępnego raportu anatomopatologa Möllera. Fabel niewiele z tego pamiętał. W jego uszach te słowa brzmiały jak typowa dla wydziału zabójstw mantra składająca się z suchych faktów, szczegółów dotyczących czasu i przyczyny śmierci, opisu uszkodzeń ludzkich tkanek i materiału ubrań. Słyszał to już tyle razy wcześniej. Myślni był wciąż u szczytu schodów kamienicy w Jenfeld, z młodym funkcjonariuszem MEK-u, który dopiero rozpoczynał swoją karierę w policji, podczas gdy on ją właśnie kończył. Nie mógł sobie darować pochopnie wypowiedzianych uwag na temat Breidenbacha, jego motywów i ambicji. Przypominał sobie, jaki był młody i wysportowany, a potem wyobraził go sobie poszarzałego, stygnącego z otwartą klatką piersiową na stalowym stole sekcyjnym Möllera.

Kiedy Anna skończyła, Fabel poprosił Wenera do swojego gabinetu. Od chwili złożenia przez Fabla rezygnacji stopniowe przekazywanie obowiązków stało się niemal codziennym rytuałem. Fabel widział wcześniej Marię jako swojego następcę, ale okazało się to niemożliwe. Opowiedział Wenerowi w skrócie o najświeższych wydarzeniach i potwierdził, że sprawą zabójstwa Breidenbacha zajmie się Anna i Henk Her-

mann. Po skończonej rozmowie włączył automatyczną sekretarkę i zdjął z wieszaka na drzwiach marynarkę.

– Kończę na dziś. Idę na zakupy – wyjaśnił Wernerowi. Wskazał jednocześnie na swoje wciąż zawalone papierami biurko. – Możesz zająć się papierkową robotą tutaj. Zaczniij się oswajać z tym gabinetem.

## 11

Ansgar zajął się robotą w kuchni. Dla kogoś z zewnątrz kuchni restauracji mogłaby stanowić przykład totalnego chaosu – przekrzykiwanie się zamówieniami, odgłos skwierczących i gotujących się potraw, rozmowy kucharzy i krążących kelnerów, hałas przemysłowych wentylatorów. Ale dla Ansgara jego kuchnia była jedynym znanym mu miejscem, w którym panował idealny porządek. To on zdawał się dyrygować tanecznym krokiem personelu kuchennego, to on nadawał rytm rondlom, garnkom i patelniom. Nikt nie musiał czekać zbyt długo na realizację zamówienia, żadna potrawa nie była niedopieczona albo przypalona. Miał opinię artysty i jednocześnie perfekcjonisty.

Ansgar nigdy się nie ożenił. Nigdy nie spotkał osoby, która zrozumiałaby jego *wyjątkowe* potrzeby. A te potrzeby prędzej czy później się ujawniały. Było w jego życiu kilka kobiet, ale zawsze wtedy starał się zachowywać tak, jak od niego oczekiwano. Te inne, prawdziwe potrzeby zaspokajały kobiety, którym za to płacił. A musiał płacić hojnie. Brak normalnego, życia osobistego skutkował jednak brakiem żony. Namiastką własnego dziecka był Adam, chłopak, którego szkolił. Adam miał dziewiętnaście lat i był chętny do ciężkiej pracy. W nim właśnie Ansgar znalazł osobę, której mógłby przekazać swoją uświęconą wiedzę szefa kuchni.

Zbliżała się pora lunchu i Ansgar wprowadził w ruch całą kuchenną maszynię. Każdy z pracowników zajął się przygotowywaniem posiłków. Wziął Adama na stronę, zamierzając wtajemniczyć swojego protegowanego w nieznanne mu dotąd arkania sztuki kulinarnej.

– W menu na dzisiaj będzie Wildschweinschinken. Chcę, żebyś ją przygotował.

– Tak jest, szefie – odpowiedział gorliwie Adam. Ansgar już wcześniej pozwolił mu przygotować szynkę z dzika. Starannie, według sekretnego przepisu Ansgara, wymieszał zioła, przyprawy i musztardę, i natarł nimi mięso. Było to miesiąc temu i od tej pory szynka marynowała się w ogromnej chłodziarce. Adam wyjął szynkę z lodówki i położył ją na desce do krojenia.

– Będziemy ją kroić w plastry, kiedy pojawi się zamówienie – powiedział Ansgar – ale chcę, żebyś wcześniej to poćwiczył. Poza tym zamierzam podać szynkę z sałatką. Chcę, żebyś zaproponował coś odpowiedniego.

– Hmm... – Adam zmarszczył brwi.

– Spokojnie, jeszcze nie teraz. Najpierw pokrój mięso. Sprawdź jego strukturę i konsystencję.

Adam skinął głową i przytrzymując kawał mięsa wielkim widelcem, przyłożył do niego nóż.

– Zaczekaj – odezwał się z niezmaconą cierpliwością Ansgar.

– Zastanów się, nim zaczniesz kroić. Po pierwsze, jak gruby powinien być plaster. Pomyśl najpierw, z jakiego zwierzęcia jest to mięso. Zamknij oczy i opisz je.

Adam wydawał się w pierwszej chwili zakłopotany, ale w końcu zamknął oczy.

– Widzisz je?

– Tak. To dzik.

– Okej. Teraz zastanów się, gdzie ten dzik szukał w lesie pożywienia. Pomyśl o jego kształtach, o prędkości, z jaką mógł się poruszać. Spróbuj to sobie wyobrazić przez chwilę. Widzisz?

– Tak.

– Okej. A teraz otwórz oczy i krój. A potem, już bez żadnego zastanowienia, powiedz mi, jaką powinienem podać do tego mięsa sałatkę.

Adam odciął idealnie cienki plaster szynki, położył go na talerzu i spojrzał rozpromieniony na Ansgara.

– Powinno się ją podać z grzybami leśnymi, koprem włoskim, pomarańczą i rukolą.

– No, widzisz? Widzisz, co się dzieje, kiedy myślisz nie tylko

o potrawie, o mięsie... ale o żywym ciele? Postępuj tak, będziesz znakomitym kucharzem, Adamie. Postępuj tak, a będziesz już zawsze rozumiał prawdziwą naturę potraw, które podajesz.

Mówiąc te słowa, Ansgar łypnął okiem w stronę znajdującej się w drugim końcu kuchni Jekateriny.

## 12

Fabel chciał sobie kupić sweter polo, skierował się więc do sklepu Alsterhaus na Jungfernstieg, w pobliżu jeziora Alster. Zakupy w Alsterhaus były luksusem, na który pozwalał sobie chyba zbyt często, tylko dlatego, że lubił przebierać w jego szerokim asortymencie, a potem raczyć się smacznymi kąskami w znajdującym się na ostatnim piętrze serowym bistro. Postanowił ruszyć w miasto piechotą. Prognoza pięknego poranka sprawdziła się – szara kurtyna chmur rozstała się przed chłodnym, jasnym błękitem nieba.

Zbliżając się do Jungfernstieg, usłyszał muzykę, a następnie dostrzegł mniej więcej dziesięcioosobową grupę mężczyzn i kobiet śpiewających w języku, którego nie trzeba było rozumieć, by wiedzieć, że jest to pieśń pełna bólu i smutku. Chórek stał na szerokim chodniku, kilka metrów od wejścia do Alsterhaus. Trzech mężczyzn o słowiańskich rysach próbowało zwrócić na siebie uwagę przechodniów. Jeden z nich podszedł do Fabela.

– Zbieramy podpisy, proszę pana. Mógłbym panu zająć chwilę?

– Obawiam się, że...

– Przepraszam, nie będę panu zabierał czasu. Ale czy wie pan coś o Hołodomorze? – Słowianin utkwiał w nim dociekliwe spojrzenie. Uwagę Fabela zwróciły jego oczy. Jaskrawoniebieskie i zimne. Zupełnie jak niebo nad ich głowami. Na myśl, że zna przecież innego Słowianina o podobnie jaskrawoniebieskich oczach, poczuł skurcz w żołądku.

– Pan jest Ukraińcem? – zapytał.

– Tak. – Mężczyzna uśmiechnął się. – Hołodomor to było ludobójstwo zgotowane mojemu narodowi przez Związek Radziecki i Stalina. Pomędzy tysiąc dziewięćset trzydziestym dru-

gim a trzydziestym trzecim rokiem z głodu zmarło od siedmiu do dziesięciu milionów Ukraińców. Jedna czwarta narodu. – Otworzył teczkę pełną ziarnistych, czarno-białych fotografii przedstawiających ludzką nędzę: wychudzone dzieci, trupy leżące na ulicach, wielkie zbiorowe mogiły pełne wychudzonych ciał. Fotografie przywodziły na myśl te, które Fabel kojarzył wcześniej z Holocaustem. – W pewnym momencie każdego dnia umierało dwadzieścia pięć tysięcy Ukraińców. A praktycznie nikt poza granicami naszego kraju nie ma pojęcia o Hołodomorze. Nawet w naszym kraju zaczęliśmy o nim otwarcie rozmawiać dopiero po odzyskaniu niepodległości. Rosja do tej pory nie chce uznać Hołodomoru za akt ludobójstwa. Jej władze twierdzą, że był on wynikiem nieprawidłowo przeprowadzonej kolektywizacji.

– Kwestionujecie to? – zapytał Fabel i zerknął na zegarek, sprawdzając, ile czasu zostało mu do spotkania z Susanne na ostatnim piętrze Alsterhaus.

– To wierutne kłamstwo – ciągnął niezrażony Słowianin. – Z powodu obsesji na punkcie kolektywizacji, na jaką cierpiał Stalin, ludzie umierali z głodu w całym Związku Radzieckim, to prawda. Ale w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym zaczęliśmy ukrainizować nasz kraj. Oficjalnym językiem został ukraiński, wypierając rosyjski. Stalin czuł, że stanowimy zagrożenie, i próbował nas zagłodzić. Ponad dwadzieścia pięć procent ukraińskiej ludności zniknęło z powierzchni ziemi. Proszę, pański podpis pomoże nam uznać tę zbrodnię za ludobójstwo. Potrzebne nam wsparcie rządów Niemiec, Wielkiej Brytanii i innych krajów. Chcemy, żeby zrobiły to samo co Hiszpania i uznały formalnie Hołodomor za zbrodnię przeciwko ludzkości.

– Przykro mi. Nie twierdzę, że nie popieram waszego protestu, ale nie mogę się pod nim podpisać, dopóki nie dowiem się więcej.

– Rozumiem. – Mężczyzna wręczył Fablowi ulotkę. – Tu dowie się pan, gdzie można uzyskać więcej informacji. I to tylko od naszej organizacji. Ale bardzo proszę, kiedy pan już to wszystko przeczyta, proszę wejść na naszą stronę internetową



i dopisać się do listy.

Kiedy Fabel podniósł wzrok znad ulotki, Ukrainiec zaczął już kolejnego przechodnia na chodniku.

Fabel wspiał się na ostatnie piętro Alsterhaus. Dotarł na miejsce, ale Susanne jeszcze nie było, kupił więc sobie kawę i usiadł blisko ruchomych schodów, skąd widział miejsce, gdzie mieli się spotkać. Przyjrzał się jeszcze raz ulotce, którą otrzymał od nieznanego Ukraińca. Nigdy wcześniej nie spotkał się z określeniem „Hołodomor”, choć słyszał o wielkim głodzie na Ukrainie w latach trzydziestych. W latach osiemdziesiątych ukraiński seryjny morderca Andriej Czikatilo zeznał, że jednym z powodów, dla których został kanibalem, był Hołodomor. Jego brat został zabity i zjedzony przez głodujących mieszkańców wioski, ale działo się to, zanim Czikatilo się urodził. Ten jeden szczegół, będący skutkiem Hołodomoru masowy kanibalizm, nie wiedzieć czemu, demonstranci w swoich ulotkach pominęli. Władze sowieckie powołały do życia specjalne trybunały mające sądzić tych, którzy spożywają ludzkie mięso. Pograżeni w rozpacz rodzice musieli szukać sekretnych miejsc pochówku dla swoich dzieci, ponieważ powszechne było w tamtych czasach wykopywanie zwłok dla zdobycia mięsa. Więcej nawet, sporo było rodziców, którzy zabijali i zjadali własne dzieci. Nawet dziś na Ukrainie zdarza się niezwykle dużo seryjnych zabójstw powiązanych z kanibalizmem.

Dla Fabla jednak Ukraina oznaczała jedno – była mroczną ojczyzną Wasyla Witrenki. Może to właśnie ta myśl spowodowała, że sięgnął po telefon i zadzwonił do Marii Klee. Po kilku chwilach został przekierowany na jej komórkę. Odezwała się głuchym, bezbarwnym głosem.

– Maria? Tu Jan. Pomyślałem sobie, że dowiem się, jak się czujesz. Dzwonię nie w porę? – Fabel podejrzewał, że Maria w trakcie zwolnienia nie opuszczała domu zbyt często. Fakt, że złapał ją poza nim przyjął za dobry znak.

– Och, u mnie wszystko w porządku... – Wydawała się zaskoczona. – Jestem na zakupach. A co u ciebie?

– Wszystko w porządku. Ja też jestem na zakupach, w Alsterhaus. Jak twoja terapia? – Fabel skrzywił się, słysząc, jaką

popęłnił niezręczność. W słuchawce przez dłuższą chwilę trwała cisza.

– Dobrze. Robię postępy. Wkrótce wracam do pracy. Ale bez ciebie nie będzie już tak samo.

– To dobrze czy źle? – Śmiech Fabela zabrzmiał fałszywie.

– Źle. – Z drugiej strony słuchawki nie usłyszał śmiechu. – Wiesz, Janie... Myślę, że też mogłabym to rzucić.

– Jesteś znakomitą policjantką, Mario. Masz przed sobą przyszłość. – Fabel zdał sobie sprawę, że powtarza to, co tyle razy powtarzali mu jego zwierzchnicy. – Ale, oczywiście, decyzja należy do ciebie. Jednego się przez te wszystkie lata nauczyłem: jeśli czujesz, że musisz coś zrobić, nie czekaj, zrób to.

– To właśnie miałam na myśli. Ostatnio... po tym wszystkim, co się wydarzyło... – Było coś w głosie Marii, jakaś obojętność, dystans, co wypełniało jej słowa dodatkową treścią. To był głos człowieka zagubionego. Fabel czuł, jak rodzi się w nim strach.

– Może wpadłbym do ciebie później w odwiedzin? Dobrze byłoby pogadać...

– Chętnie, Janie... ale nie teraz. Nie jestem jeszcze gotowa spotkać się z nikim z pracy. Wiesz, ta moja terapia... Szczerze mówiąc, doktor Minks powiedział, że powinnam na razie unikać kontaktów ze znajomymi z pracy.

– Jasne, rozumiem – odpowiedział, choć wcale tego nie rozumiał. – Może innym razem.

Pozegnali się. Fabel podniósł wzrok i zobaczył, że pojawiła się Susanne i szuka go spojrzeniem.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### 19–21 stycznia

#### 1

Maria wyłączyła telefon komórkowy i schowała go do kieszeni zakietu. Właściwie nie okłamała Fabla, tylko nie powiedziała mu całej prawdy.

Wyposażenie było typowe dla podrzędnego hotelu. Wyjęła ubrania z walizki i, poruszając się jak zwykle z oszczędną precyzją, powiesiła je w taniej szafie z laminowanych płyt. Tym samym oszczędnym ruchem zawiesiła zakiet na wieszaku, przeszła do małej, słabo oświetlonej łazienki, uklękła przed miską klozetową i włożyła palec wskazujący do ust. Zaczęła wymiotować prawie natychmiast. Wcześniej zajmowało jej to więcej czasu – z załzawionymi oczami długo zmuszała się do wymiotów. Teraz opanowała sztukę szybkiego i łatwego opróżniania żołądka do perfekcji. Wstała, przepłukała usta wodą i wróciła do sypialni.

Podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Na ulicy panował gwar. Jej uszu dochodziły głosy, które nie brzmiały po niemiecku; rozpoznawała języki: turecki, farski, rosyjski, ukraiński. W tej części miasta kultury się mieszały, choć nie tworzyły jednej wielobarwnej tkanki. Hotel miał sześć pięter. Maria zajmowała pokój na ostatnim. Spojrzała na dachy okolicznych domów, zbitych ciasno pod ciężkimi, ołowianymi chmurami zimowego nieba. Dokładnie naprzeciwko jej okna znajdowało się mieszkanie z tarasem na dachu. Światła były zapalone i Maria widziała jakąś kobietę sprzątającą wewnątrz. Kobieta była młoda, miała bujne ciemne włosy i ponętne kształty. Zdaniem Marii mogła być Turczynką. Marii wydawało się też, że odkurzając podłogę, podśpiewuje. Trudno było powiedzieć, czy kobieta tam mieszka, czy tylko sprząta, ale niezależnie od tego

sprawiła wrażenie osoby całkowicie zadowolonej z tego, kim jest. Maria poczuła ukłucie zazdrości i odwróciła głowę.

W odległym Hamburgu jest pewnie słonecznie, pomyślała, patrząc na masywne wieże kolońskiej katedry wznoszące się ku posepnemu niebu.

## 2

Fabla uderzyła rozmyślna serdeczność Susanne. Widział, jak stara się zapanować nad narastającą wobec niego złością. Susanne pochodziła z Monachium i kulturowo bliżej jej było do południa, do basenu Morza Śródziemnego. Niejeden raz zazdrościł jej tego, że potrafi rozniecić w sobie tyle emocji, doprowadzić je do stanu wrzenia, a potem w porę ugasić. On zdawał sobie sprawę ze swojego północnego dziedzictwa. Panował nad sobą, dusił w sobie emocje.

– Co to jest? – zapytała Susanne, wskazując ulotkę na stole. Opowiedział jej pokrótce o spotkaniu z ukraińskimi demonstrantami na Jungfernstieg.

– A, tak... widziałam ich. Ale nie wiedziałam, że ci ludzie są Ukraińcami. Znasz mnie, omijam szerokim łukiem każdego, kto próbuje mi coś wcisnąć.

– To musieli być Ukraińcy – powiedział ponuro. – Dlaczego tyłu Ukraińców ma tak niezwykle oczy? Jasnoniebieskie albo zielone?

– To pewnie geny. Czy to nie ty mówiłeś mi kiedyś, że w żyłach Ukraińców płynie dużo krwi wikingów?

– Mhmm... – Najwyraźniej starał się pozbierać myśli. – Po prostu zwróciłem na to uwagę. No i oczywiście... – Urwał.

– Witrenko? – dokończyła z westchnieniem Susanne. – Myślałam, że to już przeszłość.

– Bo to jest przeszłość. Tak tylko przyszedł mi do głowy. – Wyczuwając zbliżającą się kolejną sprzeczkę, zmienił temat i zaczął mówić o swojej przyszlotygodniowej podróży do matki, żałując, że Susanne nie może z nim jechać.

Gadał, co mu ślina na język przyniesie, ale wciąż nie dawała mu spokoju telefoniczna rozmowa z Marią. Obiecał sobie, że

pójdzie ją odwiedzić po powrocie od matki. Niezależnie od tego, co zalecał doktor Minks.

Po zjedzeniu lunchu udali się do księgarni Otto Jensena, znajdującej się o kilka kroków od Alsterhaus. Otto, najbliższy przyjaciel Fabla od czasów studenckich, zaprosił ich na promocję nowej książki. Był wysokim, chudym mężczyzną i jednym z najbardziej niezdarnych indywiduów, jakie Fabel znał, choć pod przykrywką tej nieporadności krył się prawdziwie przenikliwy umysł. Otto kochał książki, a jego księgarnia cieszyła się opinią najlepszej w mieście. Fabel nie miał wątpliwości, że przyjaciel, gdyby tylko zechciał, mógłby odnieść sukces także w innych dziedzinach.

Otto przywitał ich serdecznie, ale pod nosem mruknął, że książka, której promocja miała się dzisiaj odbyć, jest przeraźliwie nudna.

– Nie mogłem was wcześniej o tym uprzedzić – wyjaśnił – bo byście nie przyszli. Przepraszam... ale potrzebowałem was, żebyście robili tłum.

– Od czego są przyjaciele? – zauważył Fabel.

– Za to tym razem wino jest całkiem niezłe. Ty jesteś pół Szkotem, pół Fryzjczykiem... Pomyślałem, że dla darmowego drinka będziesz gotów zrobić wszystko.

Po części oficjalnej Otto przygotował małe przyjęcie dla autora i wybranych gości. Ludzie stali grupkami, popijając wino i rozmawiając. Susanne i żona Ottona, Else, przyjaźniły się i stały teraz pogrążone w rozmowie na temat kogoś, kogo Fabel nie znał. W pewnej chwili Otto chwycił go za łokieć i odciągnął na stronę.

– Chciałbym cię komuś przedstawić – powiedział.

– Tylko nie autorowi, proszę... – wyjęczał Fabel. Zarówno wieczór autorski, jak i sam autor był tak nużący, jak uprzedzał Otto.

– Nie, nie. To ktoś znacznie bardziej interesujący.

Otto poprowadził Fabla do niskiego, około pięćdziesięcioletniego mężczyzny, ubranego w beżowy lniany garnitur, który

wyglądał, jakby był noszony okrągły tydzień bez jakiegokolwiek kontaktu z żelazkiem.

– To Kurt Lessing – wyjaśnił Otto. Mężczyzna w pogniecionym garniturze wyciągnął rękę. Miał inteligentną twarz, którą skrywał za zbyt dużymi okularami o szklach domagających się czyszczenia. – Powiniennem cię ostrzec, że Kurt jest wariatem. Ale takim, z którym warto porozmawiać.

– Dzięki za prezentację – odparł Lessing. Uśmiechnął się do Fabela, ale jego uwagę natychmiast przykuła Susanne, która do nich dołączyła. Pochylił się i uniół jej dłoń do ust.

– Bardzo mi miło – powiedział i uśmiechnął się łakomie. Fabel roześmiał się na widok tego ostentacyjnego wyrazu podziwu. – Jest pani wyjątkowo piękną kobietą, doktor Eckhardt.

– Dziękuję – odparła Susanne.

– Muszę zauważyć, Susanne – dodał Otto – że choć Kurt powiedział rzecz oczywistą, takie słowa w jego ustach stanowią wyjątkowy zaszczyt. Może nie wiesz, ale to światowej klasy ekspert w dziedzinie kobiecej urody.

– Doprawdy? – Susanne obrzuciła Lessinga sceptycznym spojrzeniem.

– Rzeczywiście – odparł Lessing, ponownie się kłaniając. – Jestem autorem autorytatywnej pracy na temat kobiecej urody w różnych kulturach na przestrzeni wieków. To moja specjalność.

– Jest pan pisarzem? – zapytał Fabel.

– Antropologiem – odpowiedział Lessing, nie odrywając oczu od Susanne – i w mniejszym stopniu krytykiem sztuki. Połączyłem te dwie dziedziny. – W końcu spojrzął na Fabela. – Zajmuję się antropologią sztuki i estetyki. Napisałem książkę na temat formy kobiecości na przestrzeni wieków. Zmian w naszym pojmowaniu piękna.

– A te zmiany były tak istotne? – zacięła się Susanne. – Ten temat wydaje mi się interesujący. Jestem psychologiem.

– Piękno i inteligencja. To zawsze budziło zainteresowanie ludzi. Ale odpowiadając na pani pytanie, tak, kanony piękna ulegały radykalnym zmianom. Szczególnie interesujące jest to, że nasz ideał kobiecej urody zmieniał się dużo gwałtowniej

w ciągu ostatnich stu lat niż kiedykolwiek wcześniej w historii ludzkości. Nie ulega wątpliwości, że kluczową rolę odegrały tu środki masowego przekazu. Wystarczy porównać kuszące gwiazdy ekranu z lat czterdziestych i pięćdziesiątych z dzisiejszymi, chudymi jak szczapy, modelkami. Dla mnie szczególnie frapujące jest to, że w tym samym kręgu kulturowym, w tym samym czasie, istnieją różne kanony piękna.

– Co ma pan na myśli? – zapytała Susanne.

– Wychudzone modelki z wybiegów nie są atrakcyjne dla żadnego mężczyzny. To kobieca definicja piękna. Konieczność bycia szczupłą to tyrania narzucona kobietom przez kobiety. Dwie płcie różnią się poglądem na to, co jest dla nich atrakcyjne. Mężczyźni lubią krągłości, a kobiety kształty kanciaste.

– Ale to jest sprzeczne z tym, co pan przed chwilą powiedział – zauważył Fabel. Żarty żartami, ale zaczynał mieć dość zainteresowania, jakim ten mały człowieczek obdarzał Susanne. – Twierdził pan, że ideał kobiecej urody zmieniał się z upływem czasu.

– To prawda, ale tylko pod pewnymi względami. Jeśli spojrzysz pan na klasyczny ideał piękna uwieczniony w greckich czy rzymskich rzeźbach, to jest on dość podobny do ideału z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Później przyszło zainteresowanie dużym biustem. Jeśli jednak przyjrzymy się sztuce renesansu, piersi były tam zawsze małe i jędrne. W tamtych czasach duży biust kojarzono z mamkami – kobietami z niższych klas, karmiącymi dzieci chcących zachować figurę bogatszych matek. Moda ulegała pewnym zmianom, a najjaskrawszym chyba przykładem jest otyła modelka Tycjana. Choć trzeba przyznać, że zwykle zachowywano umiar.

Fabel pomyślał o kobietach zamordowanych w Kolonii. O tym, że miały okrągłe biodra i pośladki.

– A co z pośladkami? – zapytał. – Tu też zmieniała się moda?

– Wiek dziewiętnasty miał w oczywisty sposób bzika na ich punkcie. Turniura uwydatniała pośladki do przesady. Tyle że biodra i pośladki miały podkreślać szczupłość talii. Nie jest ważna jedna część ciała, ważny jest jej związek z innymi częściami. Tęgie kobiety mają pełne pośladki, ale otyłość jest

nieatrakcyjna. Mężczyźni, którym podobają się duże pupy, wydają się szukać kontrastu z wąską talią. To część naszej najbardziej prymitywnej psychologii. Po figurze oceniamy sprawność fizyczną drugiej osoby i jej predyspozycję do zostania naszą partnerką seksualną.

Fabel i Susanne wyszli z przyjęcia i wrócili taksówką do jej mieszkania.

– Wydaje mi się, że wpadłam mu w oko – odezwała się ze śmiechem Susanne.

– Mhmm.

– Co jest? – Susanne objęła Fabla. – Jesteś zazdrosny? On naprawdę nie jest w moim typie...

Uśmiechnął się, ale myślami był daleko, próbując złożyć w wyobraźni wizerunek kobiety, która była w typie kanibala z Kolonii. Jeśli Scholz nie zdoła go osaczyć, morderca wybierze kolejną ofiarę.

### 3

Siedząca w rogu sali para rozpraszała Andreę, która wciąż myślała się w obliczeniach. Próbowała podsumować dochody za ubiegły miesiąc, ale przeszkadzał jej podniesiony męski głos. Ostatni miesiąc nie był tak dobry, jak się spodziewała. Kawiarnia serwowała smaczne, ale proste posiłki; niestety znajdowała się zbyt daleko od centrum miasta, by przyciągnąć tłumy turystów przybyłych na koloński jarmark bożonarodzeniowy. Nawet rząd komputerów z płaskimi monitorami, który zainstalowała w głębi lokalu, nie zarabiał na sobie. Robiła, co mogła, żeby przekroczyć próg rentowności, i denerwowało ją to, że do skromnych przychodów z kawiarni musi dokładać swój dodatkowy zarobek.

Andrea oderwała się od liczb i zerknęła na swój telefon komórkowy. Otrzymała wiadomość z agencji – miała dwa zlecenia. To na dzisiejszy wieczór było irytujące, ponieważ dołączono do niego śmiesznie krótki tekst. Za to drugie przykuło jej uwagę swoją wyjątkową datą. Weiberfastnacht. Któż



chciał umówić się z nią w karnawałową Noc Kobiet? Dlaczego wybrał właśnie tę datę? Odpisała agencji, że przyjmie dzisiejsze zlecenie, jeżeli prześlą jej więcej informacji. Co do tego drugiego... musi to przemyśleć.

Do rzeczywistości przywołały ją znowu podniesione głosy.

Para klóciła się coraz głośniej. A właściwie to mężczyzna się awanturował. Zamówili tylko kawę i wszystko wskazywało na to, że kawiarnia stanowiła dla nich wygodne miejsce do toczenia sporu, który musiał się rozpocząć już dużo wcześniej. Andrea przyjrzała się im: on przypominał obmierzłą ropuchę, za to ona zdawała się stanowczo zbyt urocza dla takiego typu. I była zbyt uległa. Andrea początkowo zerknęła tylko od czasu do czasu w ich kierunku i słuchała tej dziwnej wymiany zdań, ale kiedy sprzeczka przybrała na sile, nie mogła dłużej tego tolerować. Głośna para zaczynała przeszkadzać pozostałym gościom. Andrea z westchnieniem zamknęła księgi rachunkowe i ruszyła przez salę.

– Czy jest jakiś problem? – zapytała spokojnie Andrea, kładąc dłonie z pomalowanymi na czerwono paznokciami na stole i nisko się pochylając. Para była tak zaabsorbowana gorącą wymianą zdań, że nie zauważyli w pierwszej chwili, iż się pojawiła. Młody mężczyzna zwrócił w jej kierunku ospowatą twarz i omiół spojrzeniem zarysy jej ciała. Andrea była ubrana w ciasny czarny T-shirt z logo kawiarni. Pod krótkimi rękawami bluzki przeżyły się bicepsy, za to piersi wyglądały jak dwie niepozorne bułeczki. Na ustach mężczyzny pojawił się lekki uśmiešek.

– A co ci do tego? – Jego uśmiech stał się wyraźnie szyderczy.

– Zaczynacie państwo przeszkadzać pozostałym gościom. – Andrea wciąż mówiła spokojnym tonem. – Dlatego mnie to obchodzi. Proszę opuścić lokal. Natychmiast.

– A nasza kawa? – zapytał mężczyzna. Dziewczyna siedziała ze spuszczoną głową, a włosy niczym kurtyna odgradzały jej twarz od spojrzeń innych gości kawiarni.

– Jest prawie dopita – zauważyła Andrea. – Resztę proszę zostawić. A kawa była na koszt firmy.

– Kim ty właściwie jesteś, suko? – Młody człowiek z trądzi-

kiem na twarzy uświadomił sobie nagle, że ma publiczność. Odchylił się na krzesło do tyłu, oceniając Andreę: grzywę platynowych włosów związanych w kucyk, mocny makijaż, czerwoną szminkę, ramiona ciężarowca. – Właśnie się zastanawialiśmy, jako kto się urodziłaś. Chłopiec czy dziewczynka. Teraz już jestem pewny: nie wiadomo. Może obojnak?

Andrea się wyprostowała.

– Proszę natychmiast wyjść.

– Wydaje ci się, że możesz tu pracować, między normalnymi ludźmi? Kurwa mać, przecież tu się podaje żarcie. Tu się je. A wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby się porzygać.

Jego partnerka siedziała wciąż nieporuszona, skryta za zasłoną włosów.

– Macie dwie sekundy na opuszczenie tego lokalu – spokojny ton Andrei był zaprzeczeniem wzbierającej w niej furii – albo wezwę policję.

Mężczyzna wstał i pociągnął swoją partnerkę za rękaw. Dziewczyna podniosła się szybko i wyszła z kawiarni, nie patrząc nikomu w oczy. Ospowaty mężczyzna obrzucił Andreę nienawistnym spojrzeniem. Próbował odsunąć ją na bok, ale Andrea się nie poddała.

– Pieprzony dziwoląg... – Roześmiał się szyderczo, omijając dziewczynę. Andrea podeszła do okna i odprowadziła spojrzeniem śmiejącego się wciąż bezczelnie mężczyznę i starającą się nie rzucać w oczy dziewczynę. Kiedy zniknęli jej z pola widzenia, wzięła głęboki wdech, odwróciła się do pozostałych gości i szeroko się uśmiechnęła.

– Przepraszam państwa – powiedziała. Przy stolikach siedziało kilkoro stałych klientów i jeden z nich odezwał się głośno:

– Dobra robota, oto jak należy postępować z takimi śmieciakami.

Andrea stała wciąż uśmiechnięta.

– Możesz mnie przez chwilę zastąpić, Britto? – zwróciła się do drugiej kelnerki i wyszła do kuchni, a następnie tylnym wyjściem na ulicę. Pokonała biegiem wąski zaułek i dotarła do miejsca, gdzie boczna uliczka krzyżowała się pod kątem pro-

stym z Eintrachtstraße. Pobiegła dalej do Cordulastraße. Tam ich dostrzegła. Dziewczyna miała wciąż pochyloną nisko głowę, a ten mały padalec głośno ją łajał. Mowa ich ciał, jego agresywna, jej poddańcza, wyraźnie pokazywała charakter łączących ich relacji. Andrea była przekonana, że częścią tego związku jest także przemoc fizyczna. Na chodniku prawie nie było innych przechodniów, pokrytą pośniegową breją ulicą z rzadka tylko przejeżdżał jakiś samochód. Andrea skryła się za rogiem. Chłodne powietrze sprawiło, że jej opalone w solarium nagie ramiona pokryła gęsia skórka. Wewnątrz jednak czuła płonący wciąż gniew.

Mężczyzna był zbyt zajęty obrzucaniem swojej partnerki obelgami, żeby zauważyć, kiedy Andrea stanęła mu na drodze, chwyciła go za poły płaszcza i wciągnęła w boczną uliczkę.

– Jak mnie nazwałeś? – zapytała ze srogą miną. Nie odpowiedział, więc popchnęła go z całych sił na ścianę budynku. – Pytałam, jak mnie nazwałeś?

– Ja... ja... – Mina mężczyzny stanowczo wyrażała przerażenie i zaskoczenie.

Andrea spojrzała na jego ziemistą, pokrytą trądzikiem twarz. Czuła, jak gotuje się w niej złość, rozpala ją do białości nienawiści. Z impetem uderzyła go czołem w twarz i poczuła, że złamała mu nos. Puściła poły jego płaszcza. Mężczyzna, zalany krwią, patrzył na nią z wściekłością. Wykorzystując element zaskoczenia, Andrea wbiła czubek buta w jego krocze. Bezskutecznie usiłując złapać ustami powietrze, ściskając palcami obolałe jądra, mężczyzna osunął się na kolana. Andrea odwróciła się do dziewczyny, która z przerażeniem patrzyła na wijącego się z bólu na chodniku chłopaka. W oczach miała łzy, a jej usta zastygły w niemym krzyku.

– Jesteś gorsza od niego – zwróciła się pełna obrzydzenia Andrea do dziewczyny. – Jesteś gorsza, bo pozwalasz mu robić z siebie ofiarę. Bo spokojnie to wszystko znosisz. Gardzę tobą. Gardzę takimi kobietami jak ty. Dlaczego pozwalasz, żeby tak cię traktował... przy ludziach? Nie masz za grosz szacunku do samej siebie.

Dziewczyna nie odrywała spojrzenia od swojego chłopaka. Jej

twarz wyrażała szok i przerażenie. Andrea prychnęła, obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę kawiarni. Kiedy oddaliła się kilka kroków, jej uszu dobiegł skrzeczący krzyk dziewczyny:

– Ty dziwolągu! Ty popieprzony dziwolągu!

4

Maria siedziała na brzegu hotelowego łóżka i przygotowywała plan. Wiedziała, że posiadanie planu to jedyny sposób na zaplanowanie nad chaosem.

Wpadła na pewien pomysł po tym, kiedy Liese zadzwoniła do niej po całej tej historii z Frankiem. Liese była dawną szkolną koleżanką z Hanoweru, z którą Maria wciąż utrzymywała kontakt. Wiedziała o problemach Marii i zawsze potrafiła ją jakoś wesprzeć. Dała jej szansę na otrząśnięcie się z niedawnych doświadczeń – zaproponowała spędzenie kilku dni w Kolonii. Maria podziękowała, ale odmówiła. Do tego, co planowała, potrzebowała więcej czasu niż krótki pobyt w Kolonii. Potem wszystko ułożyło się samo – Liese zatelefonowała do Marii, informując ją, że musi wyjechać służbowo do Japonii na trzy miesiące. Wyjazd był nieoczekiwany i Liese martwiła się, że musi zostawić mieszkanie bez opieki. Wprowadzając się do niego, Maria oddałaby jej wielką przysługę. Liese zdawała sobie sprawę, że przyjaciółce potrzebna jest zmiana otoczenia, więc pomysł przeprowadzki do Kolonii wydawał się idealny. Dziwna wydała jej się tylko prośba Marii, żeby o jej przyjeździe poinformować jedynie bezpośrednich sąsiadów, w dodatku podając im tylko imię Marii.

– Chcę pozostać przez pewien czas anonimowa – wyjaśniła Maria.

Mieszkanie znajdowało się w dzielnicy belgijskiej, niedaleko jednej z bram będących pozostałością starych murów miejskich. Liese poinformowała Marię, że Dresslerowie, jedyni sąsiedzi na tym samym piętrze, to młoda bezdzietna para, całymi dniami pracująca, a na dodatek spędzająca często wieczory poza domem. Piętro niżej mieszkało kilka rodzin z dziećmi, a na parterze jakiś młodszy mężczyzna, którego Lie-

se nie miała okazji poznać, i kolejna para wykonująca wolny zawód. Doskonale. Ale to było za mało, Maria potrzebowała jeszcze jednego bezpiecznego mieszkania. Tak czy inaczej, Liese miała wyjechać dopiero pod koniec tygodnia. Maria postanowiła zamieszkać przez kilka dni w tanim hotelu. Mogła nawet podtrzymać rezerwację tego pokoju po przeprowadzeniu się do mieszkania koleżanki.

Wyjęła z torby laptopa i otworzyła plik, który wydobyła z bazy danych BKA przed pójściem na zwolnienie lekarskie. Mimo że była oficerem wydziału zabójstw hamburskiej policji, nie miała nieograniczonego dostępu do informacji niejawnych, ale to, co zdobyła, na początek powinno wystarczyć. Umówiła się nawet na lunch z kobietą, z którą kończyła Landespolizeischule, a która obecnie była jakąś ważną figurą w BKA. Podczas lunchu zauważyła na twarzy swojej towarzyszki wyraz niepokoju na widok zmiany, jaka zaszła w jej wyglądzie. Marii udało się ustalić, że istnieje dużo bardziej szczegółowe dossier na temat Witrunki, ale kobieta z BKA nie chciała nic więcej na ten temat powiedzieć. Maria podejrzewała, że dawna koleżanka z akademii obawia się o stan jej umysłu.

Zdawała sobie sprawę, że nie wszystko jest z nią w porządku. Już po kilku sesjach terapeutycznych u doktora Minksa uświadomiła sobie, że zaczęła się dziwnie zachowywać. Wpadła w świat dziwacznych rytuałów i obsesji, które nawarstwione, zaburzały jej spojrzenie na świat. Od chwili gdy została ugodzona nożem, cierpiała na hafefobię, chorobliwy lęk przed fizycznym kontaktem z drugą osobą. Po romansie z Frankiem wpadła w głęboką depresję i pojawiły się u niej zaburzenia odżywiania. Teraz nie mogła na siebie spojrzeć w lustro bez odruchu wymiotnego. Mimo to przeglądała się często. Stawała przed lustrem naga i z głęboką nienawiścią i obrzydzeniem wpatrywała się godzinami w swoje ciało. Często marzyła, żeby stać się kimś innym. Kimkolwiek. Przyczyną był chaos, który panował w jej głowie i z którym zmagala się każdego dnia. Z dawnej Marii pozostało jednak dość, by skompletowała własne szczegółowe dossier przed rozpoczęciem szalonej krucjaty.

Postanowiła zebrać wszystkie możliwe informacje na temat Witrenki i jego organizacji tego dnia, kiedy dowiedziała się, że w wypadku samochodowym zginął ukraiński śledczy Turczenko. Turczenko, cichy, grzeczny, wybitnie inteligentny prawnik, znalazł się w Hamburgu, bo podążał tropem Wasyla Witrenki. Poprosił Marię, żeby szczegółowo opisała zdarzenia, które w konsekwencji doprowadziły do zranienia jej nożem przez Witrenkę. Maria starała się wyjaśnić Ukraińcowi, a także wcześniej, tuż po całym zdarzeniu, psychologom, że najbardziej destrukcyjnie na jej poczucie własnej wartości wpłynął fakt, że Witrenko wcale nie chciał jej zabić. Pchnął ją nożem w tak perfekcyjny sposób, że znalazła się na krawędzi śmierci. Dla Witrenki Maria była tylko sposobem na opóźnienie pościgu. Dobrze wiedział, że pozostawiając ją żywą, ale ciężko ranną, zmusi Fabla do zaprzestania pościgu. Maria czuła się wykorzystana. Witrenko skalał jej ciało, jakby dokonał na niej gwałtu.

I teraz nie potrafiła znieść widoku własnego ciała i dotyku innych. Terapia nie pomogła. To były tylko rozmowy, a Maria nie wierzyła, że powtarzanie w kółko tego samego może być rozwiązaniem. Irytowało ją, że obecnie toczyło się tajne dochodzenie, w które zaangażowanych było wiele federalnych i lokalnych służb. Dowiedziała się o tym przy okazji reprimendy, jaką otrzymała w obecności Fabla i komendanta van Heidena. Ludzie z BKA, prowadzący rozpoznanie, sfotografowali ją, kiedy rozmawiała z kilkoma ważnymi dla śledztwa osobami. Zdaniem federalnych naraziła ich operację na niepowodzenie. Wcześniej udało się jej zdobyć odrobinę zaufania młodej rosyjskiej prostytutki. Nadia zdążyła przekazać Marii kilka informacji i zaraz potem zniknęła. Ludzie z BKA wytknęli Marii, że jej nieporadne działania mogły kosztować dziewczynę życie.

Tym razem nie popełni podobnego błędu. Wiedziała, że BKA prowadzi dalej rozpoznanie, ale ona tym razem nie wejdzie im w drogę. Wielkie operacje policyjne miały to do siebie, że skupiały się na bardzo ogólnym obrazie, na szukaniu powiązań, kluczowych lokalizacji, budowie struktur dowodzenia; setki fachowców pracowały nad detalami, a szefowie operacji starali się widzieć wszystko w ujęciu całościowym. Tyle że działalność

Witrenki dotyczyła handlu ludźmi. To nie to samo co kradzieże samochodów, kiedy spisuje się tylko numery rejestracyjne. Tu chodziło o ludzi, a każda historia kryła ludzką tragedię. I od tego Maria postanowiła rozpocząć – od ofiar. A ponieważ przebywała tu nieoficjalnie – bez żadnego upoważnienia czy choćby uzasadnienia – mogła pozwolić sobie na więcej. Była zdana na samą siebie, choć bardzo chciałaby mieć teraz przy sobie Annę Wolff. Anna nie przejmowała się specjalnie przestrzeganiem reguł, podczas gdy Fabel i Werner zawsze ściśle trzymali się procedur. Maria zamierzała przyjąć strategię Anny.

Na łóżku obok laptopa położyła swojego sig-sauera. Potem kolejny pistolet, dziewięćmilimetrowego glocka 26 compact. Nim została policjantką, przymierzała się do zrobienia szybkiej kariery i studiowała prawo. Prawo było dla niej wszystkim, to ono spajało materię społeczną, ono zaprowadzało porządek w świecie. Tymczasem, aby zdobyć ten drugi pistolet, musiała po raz pierwszy w życiu złamać prawo. Wciąż jeszcze była oficerem policji. Zdobyte w czasie służby umiejętności mogły doprowadzić ją do Witrenki. Ale wtedy... jeśli chciała przeżyć, musiała sięgnąć po glocka. Nie zamierzała podejmować próby aresztowania Witrenki.

Ponownie przejrzała materiały zgromadzone w komputerze. Targ bydłęcy – tak nazywał się zorganizowany handel ludźmi z Ukrainy, Rosji, Polski i innych krajów Wschodu. Tej nazwy nie wymyślili prowadzący dochodzenie policjanci, była używana przez bandytów zajmujących się tym procederem. Otworzyła dokument zawierający wszystkie istotne punkty śledztwa. Całość przypominała porwaną pajęczynę – brakowało bardzo wielu powiązań. Nie było tu praktycznie nic, od czego Maria mogłaby rozpocząć. Organizację Witrenki doskonale skonstruowano, na wzór korporacji. Pion zarządzania i wykonawczy miały taką strukturę, że każdy z elementów działał, ale nikt nie wiedział, kto wchodzi w skład innego. Nawet na tym samym poziomie organizacyjnym poszczególne komórki funkcjonowały samodzielnie, nie wiedząc o istnieniu innych. Każdą z komórek kierował „pachan”, czyli szef, który otrzymywał rozkazy od „brygadiera”. Brygadier miał pod sobą dziesięciu pa-

chanów. Szeregowi żołnierze mafii nie wiedzieli, kim jest brygadier wydający rozkazy za pośrednictwem ich pachana. Oprócz tego organizacja korzystała z niezależnych specjalistów, którzy często wcale nie byli Ukraińcami czy Rosjanami. Tak więc mafia ukraińska była zupełnie inna niż włoska, trudniej było ją też ścigać i rozbić.

Tyle że Maria nie musiała szukać dowodów. Nie zamierzała prowadzić śledztwa. Interesowało ją tylko odnalezienie Witrenki.

Otworzyła następny plik. Z fotografii patrzyła na nią twarz człowieka w mundurze. Pułkownik Wasyl Witrenko, były członek oddziału antyterrorystycznego specnazu Berkut. Maria wpatrywała się w tę fotografię tak często, z takim zacięciem, że twarz ze zdjęcia nie powinna już robić na niej wrażenia. Tymczasem było inaczej. Za każdym razem kiedy patrzyła w te jasnozielone oczy Ukraińca, jego wydatne kości policzkowe i szerokie czoło z grzywą pszenicznych włosów, czuła klucie w pierś, tuż pod mostkiem. W miejscu, gdzie pozostała jej blizna.

Witrenko mógł teraz wyglądać zupełnie inaczej. Turczenko, ukraiński milicjant zabity w drodze do Kolonii, był przekonany, że Witrenko radykalnie zmienił swój wygląd, najprawdopodobniej dzięki operacji plastycznej.

– Ale tego nie mogłeś zmienić – szepnęła Maria do fotografii.  
– Nie mogłeś zmienić sobie oczu.

## 5

W barze panował półmrok, z głośników płynęła piosenka Annett Louisan. Wystrój lokalu był modny, klientela nadziana, a trunki drogie. Oliver zdał sobie sprawę, że zanim wyjdą z baru, on straci tu fortunę. Siedział na stolku, oparty łokciami o kontuar, i popijając koktajl z białym rumem, patrzył na swoje odbicie w przydymionym lustrze za barem. Uśmiechnął się do siebie znacząco. Nic nigdy nie było takie, jakie się wydawało; ludzie nigdy nie byli tacy, na jakich wyglądali. Oliver był przystojny, nosił modne i drogie ubranie, jak wszyscy w tym lokalu. Był też inteligentny, dobrze wykształcony i odpowiednio do



tego wynagradzany jako ceniony fachowiec. Od chwili pojawienia się w barze zwrócił uwagę kilku atrakcyjnych kobiet. Gdyby którakolwiek z nich wiedziała, że pojawił się tu, żeby spotkać się z profesjonalną damą do towarzystwa, na pewno byłaby mocno zdziwiona. Cóż, dla Olivera było to oczywiste; więcej, czuł się w tej sytuacji całkiem dobrze. Przecież miał takie specyficzne potrzeby...

Zamyślił się przez chwilę, akurat kiedy Annett Louisian uderzyła w tle w wyjątkowo chropawą nutę. Oliver nigdy nie musiał spędzać długich, bolesnych godzin na próbie określenia, który z jego podprogowych erotycznych kontaktów w przeszłości był odpowiedzialny za tak specyficzne upodobania. Wyjaśnienie było takie proste i tak czysto freudowskie – kuzynka, wyjątkowo senne lato nad morzem i ta jedna chwila, w której zrozumiał, co znaczy być istotą cielesną.

Kuzynka Sylvia była dwa lata starsza od niego. Zawsze była obecna gdzieś w tle rodzinnego krajobrazu, ale ponieważ ciotka i wujek mieszkali daleko na prowincji, na wybrzeżu, we wczesnej młodości jakby jej nie dostrzegał. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z jej istnienia, gdy dostrzegł krągłości dziewczyny. On miał wtedy czternaście, a ona szesnaście lat. Sylvia miała pełną figurę, ale nie była tęga; miała bujne kształty i ciało jędrne, mocne i gibkie. Była córką wuja Olivera, ale jednocześnie trudno było znaleźć w niej jakiegokolwiek podobieństwo do tej gałęzi rodziny. Po matce miała rudoblond włosy i piegowatą cerę. Zawsze spędzała dużo czasu na świeżym powietrzu, była zdrową, silną i śmiałą dziewczyną, ale nawet w wieku szesnastu lat zbyt emanującą seksem, by traktować ją jak chłopczycę. Jej naturalnie jasną karnację brązowiła lekka złota-wa opalenizna, a podczas długiego lata w promieniach nadmorskiego słońca ciemniały jej piegi. Oliver najlepiej zapamiętał jej figurę – krągłe piersi, a przede wszystkim duży, piękny, ba! wspaniały tyłek.

Tamtego dnia zebrała się cała grupka: młodszy brat i siostra Olivera oraz trzy rozchichotane, głupiutkie siostry Sylvi. Oliver był zły, że pojawiło się tyle młodszych dzieci. Instynkt podpowiadał mu, że powinien zostać sam na sam z Sylvią, choć mil-

czał o tym, co powinien zrobić, kiedy już do tego dojdzie.

Wszystko to wydarzyło się podczas rodzinnych wakacji w północnych Niemczech – na skrawku ziemi niedaleko Stufhusen, który oddzielał odkryte zachodnie wybrzeże od bagiennej równiny Wattenmeer. Dla dzieci to była prawdziwa idylla – okolica prawie bezludna, gdzie dorośli nie przeszkadzali w zabawie.

Idealne miejsce dla dzieci złaknionych przygody, a jednocześnie źródło zagrożenia. Na samym końcu plaży, na wydmie, wznosił się stary dom kryty strzechą. Mieszkał tam „stary nazista” – zręczliwy staruszek, którego niechęć do jakichkolwiek kontaktów z sąsiadami uczyniła niemal pustelnikiem. Był dość stary, żeby walczyć na wojnie – i być członkiem partii nazistowskiej – ale przydomek „stary nazista” nadała mu jedna z młodszych sióstr Sylvii po podsłuchaniu wcześniej rozmowy rodziców na temat odludka. Na podstawie niepotwierdzonych strzępów informacji dzieci stworzyły całą historię staruszka, włącznie z powodami jego niechęci do kontaktów towarzyskich. Uznały, że ukrywa się on przed tropicielami nazistów, którzy szukają go po całym świecie, od Szwecji po Brazylię. Siedział, ich zdaniem, z ponurą miną pod obszarpanym i przykurzonym portretem Adolfa Hitlera i czekał, aż izraelski oddział specjalny wyważy drzwi jego domu, wyciągnie go z niego siłą i wyśle w skrzyni transportowej z nalepką „Adresat: Tel Awiw”. Sam staruszek nie wydawał się groźny, ale niebezpieczne były jego psy – dwie ujadające i warczące złowrogo bestie, owczarek alzacki i doberman – które kazały się trzymać z daleka od domu w zatoce każdemu, kto tam przypadkowo zabłądził.

Tajemnicza i groźna atmosfera, jaka otaczała stary dom na końcu plaży, stanowiła oczywiście dla dzieci pokusę, której trudno było się oprzeć. Pewien incydent na plaży sprawił, że pojawiły się oskarżenia, iż „stary nazista” specjalnie spuścił psy ze smyczy i poszczuł je na dzieci, pewnie tak samo jak na froncie wschodnim wysyłał swoich żołnierzy do ataku. Tymczasem prawda wyglądała dużo bardziej prozaicznie.

W wydmie była niewielka wyrwa, która mogła stanowić schronienie przed rześką morską bryzą. Młodsze dzieci bawiły

się nad wodą, budując zamki z piasku. Rodząca się w Sylvii kobieca intuicja kazała jej zwrócić uwagę na zainteresowanie Olivera jej ciałem, zaczęła więc robić wszystko, by go sprowokować. Zaciągnęła go do wody. Oliver początkowo się wzbraniał, ale kiedy zrobiła nadąsaną minkę, poczuł nagłe mrowienie w dolnych partiach ciała. Woda sprawiła, że jej T-shirt przylgnął ściśle do piersi, a białe bawełniane szorty oplotły pełne pośladki. Po kilku minutach poskarżyła się, że jest jej zimno i wróciła do zagłębienia w wydmie. Oliver musiał odczekać chwilę, aż choć w niewielkim stopniu ustąpi erekcja, i dopiero wtedy ruszył za nią. W końcu dotarł na miejsce, dyskretnie zasłaniając kroczę dłońmi. Sylvia siedziała odchyłona do tyłu, oparta na łokciach, wystawiając twarz na promienie słońca. Oliver spojrział na nią, delektując się każdą krągłością, każdą wypukłością jej ciała. Obróciła głowę i spojrzała na jego kroczę. Bez słowa położyła dłoń w miejscu, gdzie jego członek protestował przeciw uwięzieniu w ciasnych szortach.

W tej samej chwili wyrósł nad nimi, u szczytu wydmy, łeb warczącego złowrogo dobermana. Oliver nie poruszył się, sparaliżowany wciąż po tym, co się przed chwilą wydarzyło. W łędźwiach czuł palący żar dotyku dłoni kuzynki. Za to ona zerwała się z krzykiem i zaczęła uciekać. Jej umykająca postać obudziła w dobermanie instynkt łowiecki i sprowokowała do ataku. Pokonawszy kilka susów, dopadł Sylwię i chwycił szczękami jej pośladek. Oliver widział, jak kły zatapiają się w jędrnym cieple, a mokra bawełniana materia szortów staje się czerwona od krwi. W tej samej chwili Oliverem wstrząsnęła potężna fala orgazmu.

„Stary nazista” biegł z krzykiem za swoim psem. Dla Olivera było oczywiste, że staruszek wybrał się po prostu z psami na spacer po wydmach, a dobermana zaskoczyła nieoczekiwana obecność dwojga młodych ludzi ukrytych w trawie. Rana na pupie Sylvii okazała się znacznie mniej poważna, niż początkowo wszyscy myśleli, choć należało oczekiwać, że pozostanie po niej blizna. Tymczasem znacznie bardziej trwały ślad pozostawiło to zdarzenie w Oliverze.

Oliver spotkał Sylwię zaledwie dwa miesiące temu na weselu

kogoś z rodziny. Przeżył wtedy największe w swoim życiu rozczarowanie. I nawet nie chodziło o to, że jego Wenus Morza Północnego, ikona kobiecości, zaczęła się sypać. Chodziło o to, że zaczęła się roztopiać. Jędrne, pełne ciało przywiędło; krągła doskonałość piersi uległa dwudziestoletniemu nieustannemu wpływowi siły ciężenia; złocisty blask opalenizny przygasł, a jej przedwcześnie postarzała cera stała się ziemista, plamista, zupełnie taka, jaką pamiętał u jej matki. Najgorsze jednak było to, że jędrne, pełne krągłości, pięknie rzeźbione pośladki zmieniły się w ogromną, bezkształtną bryłę cielska. Prowadząc z Sylvią pogawędkę o wszystkim i o niczym w szczególności, Oliver zastanawiał się, czy wciąż ma bliznę po ugryzieniu psa, a na myśl o niej, białej i pomarszczonej, skrytej w bezkształtnych fałdach ciała, czuł, jak robi mu się niedobrze. Mimo to spotkanie z Sylvią po latach nie wyleczyło go z obsesji. Idol spadł co prawda z piedestału, ale żarliwość pozostała.

Pogrążony w myślach o upadłym idolu, Oliver sęczył swój koszmarnie drogi koktajl, kiedy nagle uświadomił sobie czyjąś obecność u boku.

– Czy pan Meierhoff? – zapytała z cudzoziemskim akcentem, zdaniem Olivera rosyjskim lub polskim. Uśmiechnął się i skinął głową, a jednocześnie poczuł, jak serce zaczyna mu się tłuc w piersiach. Gdyby nie ten akcent i brak letniej opalenizny, kobieta mogłaby być Sylvią z czasów młodości. Nie, prawdę mówiąc, była dużo ładniejsza od Sylvii. Tyle że uroda nie była dla Olivera liczącym się kryterium. Mnóstwo pięknych dziewcząt mógłby mieć. Dziewczyna obok niego miała, jego zdaniem, około dwudziestu dwóch lat, rudoblond włosy, kryształicznie błękitne oczy i świeżą cerę ozdobioną jasnymi piegami. Oliver przyłapał się na tym, że bezwiednie taksuje ją wzrokiem od stóp do głów. Włożyła bluzkę luźną w wąskiej talii, za to opiętą na szerokich ramionach i wydatnych piersiach. Stała do niego lekko bokiem uśmiechnęła się z fałszywą skromnością – doskonale wiedziała, co chce zobaczyć. Miała długą spódnicę zwięzającą się ku dołowi, która podkreślała pełność ud i wspaniałych, jędrnych pośladków.

– Tego szukałeś? – zapytała. – Uda mi się ciebie zadowolić?

– Jesteś, skarbie – Oliver wyszczerzył zęby w uroczym uśmiechu – chodzącym ideałem.

6

Maria przyjechała do Kolonii z Hamburga i nie miała teraz swojego samochodu. To była część jej strategii; jej samochód to stary jaguar XJS. W niezwykle dla siebie przyprawiającej ekstremitacji kupiła go specjalnie po to, by ludzie się za nią oglądali. Tak, XJS zbyt rzucał się w oczy i zupełnie nie nadawał do prowadzenia obserwacji. Większą część pierwszego poranka w mieście spędziła na poszukiwaniu samochodu, który mogłaby wypożyczyć. Nawet te małe, ekonomiczne modele były zbyt nowe i lśniące. Kolonię zasnuwały ciężkie ołowiane chmury, z których dawno już powinien spaść śnieg. Nastrój Marii był taki sam jak pogoda, w dodatku bolały ją stopy. W zasadzie mogła obdzwonić z hotelu wszystkie okoliczne wypożyczalnie, czuła jednak, że powinna zobaczyć najpierw samochód, z którego przyjdzie jej korzystać.

Dochodziła trzecia popołudniu i niebo pociemniało jeszcze bardziej, zapowiadając zmrok, kiedy wyszła z ostatniej wypożyczalni. Nie była to żadna znana międzynarodowa firma, jej siedziba przylegała do warsztatu samochodowego i salonu z używanymi pojazdami. Dziewczyna w biurze była zaskoczona, słysząc pytanie Marii, czy może wypożyczyć ciemnoniebieskiego citroena saxo, który stał na parkingu. Telefonicznie wezwała sprzedawcę, który zmierzył Marię takim wzrokiem, jakby wciąż chodziła do szkoły. Sprzedawca wytłumaczył jej, że to auto nie jest do wypożyczenia. Zapewne wzrok Marii utkwiony w samochodzie za oknem wystawowym sprawił, że postanowił kuć żelazo póki gorące i zapewnił ją o wyjątkowości tego egzemplarza. Kiedy Maria zapytała o cenę, zaczął wygłaszać przygotowane z góry przydługie, promocyjne formułki.

– Darujmy sobie. Ile? – Maria obrzuciła go miażdżącym spojrzeniem. Piegowaty sprzedawca spłoszono. Podczas jazdy próbnej powiedziała mu, że zapłaci o siedemset euro mniej, niż proponował. Półtorej godziny później, z kompletem doku-

mentów, Maria wróciła swoim saxo do hotelu. Zostawiła samochód na parkingu za rogiem. To był idealny wóz, całkowicie anonimowy, jakby stworzony do prowadzenia obserwacji. Laker był ciemnoniebieski, lekko spłowiały, samochód nie miał żadnych wgnieceń czy zadrapań, które by go wyróżniały, a Maria na wszelki wypadek zerwała jeszcze z tylnej szyby kolorową nalepkę.

Zostawiła samochód na parkingu i poszła do sklepu Karstadt przy Breite Straße, gdzie kupiła ubranie takie jak jej citroën – kilka niechlujnych bluzek, dżinsy, czapkę z włóczki i dwie kurtki, w tym jedną z kapturem. Wszystko to w stonowanych, ciemnych kolorach. Kiedy płaciła za te tanie ciuchy, kasjer spoglądał ukradkiem zdziwiony, na jej drogi wełniany płaszcz i markową torebkę.

– To prezent dla siostrzenicy – powiedziała Maria z beznamiętnym uśmiechem.

## 7

To był najlepszy hotel, na jaki Oliver mógł sobie pozwolić, płacąc gotówką bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń. Zameldował się w nim jeszcze przed spotkaniem z obdarzoną ponętym tyłkiem prostytutką, jak zwykle pod fałszywym nazwiskiem. Kiedy więc zadzwoniono z agencji towarzyskiej do hotelu, żeby sprawdzić, czy Herr Meierhoff faktycznie jest tam gościem, rozmowa została przełączona do jego pokoju. Aby uniknąć kłopotliwych i budzących podejrzenia targów o zapłatę, Oliver wręczył dziewczynie kopertę z uzgodnioną wcześniej kwotą jeszcze w klubie. Zrobił to dyskretnie, z uśmiechem na ustach.

Przez cały wieczór był jak zwykle gadatliwy i uroczy. Zauważył, że jego partnerka wydaje się zaskoczona, dlatego taki atrakcyjny i wytworny mężczyzna musi płacić za seks. Cóż, wszystko przez jego specyficzne potrzeby. Dopiero w taksówce Oliver zamilkł i obserwował przez okno mijane okolice, od czasu do czasu odwracając się do swojej partnerki z uśmiechem. Dziewczyna wyjaśniła, że ma na imię Anastasia, na co on po-

wiedział, że to piękne imię, myśląc jednocześnie w duchu, że jest pewnie tak samo prawdziwe jak nazwisko Meierhoff. Spełnienie pragnień Oliver zawsze poprzedzał milczeniem. Te chwile uważał za najbardziej smakowite, przyjemniejsze nawet niż samo spełnienie. Były one idealnym połączeniem rosnącego pożądanego i oczekiwania na apetyczne danie główne, którego aromat już rozchodził się w powietrzu. Coraz wyraźniej, coraz intensywniej czuł dotyk pełnego, jędrnego uda Anastasji.

Dał taksówkarzowi przyzwitoity, ale niezbyt hojny napiwek. Robił wszystko, żeby nie zostać przez nikogo wyraźnie zapamiętanym. Razem z Anastasją minęli w możliwie nierzucający się w oczy sposób recepcję i poszli wprost do windy.

– Napijemy się w pokoju – wyjaśnił, kiedy już znaleźli się w windzie. Anastasja uśmiechnęła się do niego z udawaną figlarnością i położyła dłoń na jego kroczu.

– To może zaczekać. – Zaciśnęła palce mocniej na jego genitaliach. – A tak przy okazji, jeśli ci się spodoba to, co dziś dostaniesz, to będzie mi się należał dodatkowy napiwek.

W oknach jego hotelowego pokoju wciąż były odsunięte zasłony. Na tle nocnego nieba wylaniała się sylwetka głównego dworca kolejowego i masywny profil katedry. Oliver odwzajemnił uśmiech Anastasji i zamknął za sobą drzwi.

Mam nadzieję, pomyślał zatrząskując zamek, że nie będzie krzyczała tak jak poprzednia.

Każdy czasem ma potrzebę bycia kimś innym, niż jest, choćby przez kilka godzin w jakimś anonimowym pokoju hotelowym. Andrea zawsze sobie o tym przypominała podczas pierwszych chwil spotkania z klientem. Nie uważała siebie za prostytutkę; nie pozwoliłaby sobie na sprzedawanie się niczym ochłap mięsa. W końcu nie była zwykłą kobietą. Ale też nie każdy ma taki sam ideał kobiecości. Swoją pracą w agencji wypełniała pewną niszę w rynku. Nie była zwyczajną kobietą, a mężczyźni, którzy płacili za spędzony z nią czas, nie szukali zwyczajnego seksu. Andrea doskonale wiedziała, że agencja,

w której pracuje, specjalizuje się w bardziej niezwykłych gałęziach seksbiznesu, ale nawet nie chciała wiedzieć, jakie jeszcze inne gusty klientów zaspokaja. Od zawsze podejrzewała, że „À la Carte” jest w rękach gangsterów, ale jej kontakt z nimi ograniczał się do rozmów przez telefon komórkowy i wysyłania kopert z należną im częścią jej zarobków. Wiedziała też, że od dawna szukali kogoś takiego jak ona.

Pierwszy kontakt został nawiązany w siłowni, gdzie wraz z kilkoma innymi dziewczynami przygotowywała się do zawodów. Podszedł do nich podejrzany typ o nazwisku Nielsen. Był ubrany jak biznesmen, ale miał posturę oprycha i twarz gangstera. Zagadnął Andreę i trzy inne dziewczyny. Andrea zwróciła uwagę, że zainteresował się dziewczynami o podobnej do jej, muskularnej budowie ciała. Początkowo twierdził, że praca ma polegać na pozowaniu do zdjęć. Rodzaj tych zdjęć był dość specyficzny, ale Andrei to nie przeszkadzało. Była przyzwyczajona do paradowania w bikini, które ledwie zasłaniało jej umięśnione ciało, więc nie sprawiało jej różnicy, że będą się na nią gapić bez kostiumu. Dopiero po drugiej sesji fotograficznej Nielsen wspomniał, że podstawową działalnością „À la Carte” jest dostarczanie klientom dziewczyn do towarzystwa. Szczególnie wymagającym klientom.

Kolonia była pierwszym niemieckim miastem, które nałożyło podatki na dochody prostytutek, ale agencja „À la Carte” nie była zbytnio skrupulatna w prowadzeniu ksiąg rachunkowych. A co za tym idzie, Andrei udało się uniknąć zarejestrowania jako dorywczo pracującej prostytutki, a jej dochody nie były opodatkowane. Pieniądze z tej pracy bardzo się przydawały, uzupełniały bowiem przychody z prowadzonej przez nią kawiarni, tyle że Andrea nie pracowała w agencji wyłącznie dla pieniędzy.

Zgodnie z umową Andrea miała spędzić z klientem dwie godziny, a potem zadzwonić do agencji i potwierdzić, że otrzymała zapłatę i bez szwanku wyszła od klienta. Nie, to nie tak, że ktoś w agencji się nią poważnie przejmował; było oczywiste, że musi troszczyć się o siebie sama. Z drugiej jednak strony wiedziała, że w razie kłopotów mogła liczyć na pojawienie się kilku



osiłków.

Dla Andrei jej klienci byli mali. Oni sami pewnie też tak o sobie myśleli. Nie miało to nic wspólnego ze wzrostem – ten na przykład miał metr osiemdziesiąt – chodziło o to, w jaki sposób sami się postrzegają. I jak ona ich postrzega. Ten klient był po czterdziestce, miał szczupłą sylwetkę i bladą cerę. Nosił średniej klasy garnitur i jak widać, mieszkał w średniej klasy hotelu. Usiadł na skraj łożka z wyrazem twarzy, w którym nerwość mieszała się z podnieceniem. Andrea nie zrobiła niczego, by przestał czuć się nieswojo. Potwierdziła jego nazwisko i zażądała koperty z pieniędzmi; zawsze żądała zapłaty z góry. Przeliczyła banknoty i wsunęła kopertę do torebki.

– Rozbierz się – poleciła i zdjęła płaszcz, dżinsy i luźną wełnianą bluzkę. Pod spodem miała całą konstrukcję złożoną z czarnych skórzanych pasków i sprzączek, które odsłaniały piersi i łono. Jak zwykle, przed pójściem do klienta trenowała i teraz jej wszystkie mięśnie były twarde i sprężyste. Mężczyzna na łożku wpatrywał się w nią z podziwem i trwogą. Był już nagi; Andrea spojrzała w dół i z wyrazem pogardy oceniła jego erekcję.

– Wstań! – rozkazała. Mężczyzna posłusznie wykonał polecenie. – Możesz mnie dotknąć.

Klient przesunął drżącymi palcami po jej ciele. Nie po piersiach czy sromie, tylko po ramionach, brzuchu, udach. Stała wyprostowana, nieporuszona. Andrea lubiła swoją pracę; lubiła poczucie siły, panowania. Zdawała sobie sprawę, że w Kolonii jest mnóstwo domin, ale to było coś innego. Jej klientów nie rajcowało to, że każe im się sprzątać toalety czy czyścić buty. Mniej tu było psychologii, a więcej fizyczności. Jej klienci pożąдали jej ciała, pragnęli jej dotknąć. Czasem kończyło się to penetracją. Niekiedy klient prosił o coś szczególnego, tak jak ten.

Klient cofnął dłonie, ale wzrokiem wciąż oceniał jej masywną figurę.

– Jesteś gotowy? – zapytała. Skinął głową.

– Tylko nie w twarz... – odezwał się drżącym głosem.

– Nie w twarz – powtórzyła. – Wiem.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Andrea przywołała wspomnienie twarzy młodzieńca z trądzikiem, który zrobił scenę w jej kawiarni, a następnie zadała klientowi cios pięścią w brzuch. Mężczyzna jęknął i zgiął się lekko. Andrea zdała sobie sprawę, że nie uderzyła dostatecznie mocno; ten cios nie był wart pieniędzy, które klient zapłacił. Wywołała z pamięci kolejny obraz, dużo starszy. Uderzyła ponownie i teraz facet zgiął się wpół, wydając krzyk bólu.

Andrea popchnęła go na łóżko, usiadła na nim okrakiem i uderzyła jeszcze raz. I jeszcze.

## 9

Podróż samochodem z Hamburga do Norddeich zajęła Fabelowi prawie cztery godziny, nieco dłużej niż zwykle. Nie lubił takich podróży zimą, wołał wtedy jechać pociągiem. Ale atak serca, który ostatnio przeszła matka i jej zaawansowany wiek kazał mu odwiedzać ją częściej. Z drugiej strony perspektywa sześciu samotnych godzin spędzonych w samochodzie przemawiała do wyobraźni. Czas na przemyślenia. Dopiero kiedy niebo pociemniało, ta perspektywa nie była już tak kusząca. Fryzja jest płaska, pozbawiona jakichkolwiek wzniesień i zupełnie bezbronna wobec żywiołów Morza Północnego. Kiedy Fabel wjechał w krajobraz swojego dzieciństwa, zachodni wiatr, niepowstrzymywany przez nic, co choćby przypominałoby najmniejszy pagórek, zaczął szarpać samochodem, a na szyby spadł potok deszczu.

Jechał z wyłączonym radiem i marszcząc czoło, wpatrywał się w szarą wstążkę autostrady A28. Potrzebował czasu na przemyślenia. Postanowił podczas tej podróży wyobrazić sobie dwa warianty swojej przyszłości – ten zaproponowany przez Bartza, w którym Fabel mógłby sobie pozwolić na zaspokajanie swoich kosztownych gustów i byłby wolny od strachu i przemocy; i ten, w którym przyjmuje ofertę złożoną przez van Heidena i BKA. Ten drugi był o wiele bardziej atrakcyjny, niż sam chciał to przyznać. Pochlebiało mu, choćby nie wiadomo jak zaprzeczał, że jest uważany za jednego z najlepszych ekspertów w swojej

dziedzinie. Teraz starał się przyjrzeć obiektywnie obu wariantom. A czyniąc to, próbował wyrzucić z pamięci coś jeszcze – dokumenty dotyczące Kolonii, które niepotrzebnie rozpraszały jego uwagę. Próby zawiodły, myśli o Kolonii podstępnie powracały.

W pewnym momencie z przerażeniem stwierdził, że nie pamięta ostatniej półgodziny jazdy, zupełnie jakby samochód prowadził autopilot, kiedy on rozmyślał o swojej przyszłości, związku z Susanne i mordercy bez twarzy grasującym po nieznanym mu mieście. Nagle zdał sobie sprawę, że wokół niego wyrosło miasto Norden. Pojechał dalej Norddeicher StraÙe w kierunku Morza Północnego i domu swojej matki.

## 10

Maria Klee przeszła po raz kolejny obok restauracji. Robiła to już tuzin razy w ciągu ostatnich dwóch dni, zawsze inaczej się ubierając. Włożyła nawet te niechlujne dzinsy i sweter, a blond włosy skryła pod czapką kupioną w Karstadt. Dobrze odrobila swoją lekcję. Jeśli lokal znajdował się pod obserwacją służb federalnych, jej częste spacerzy w tej okolicy powinny pozostać niezauważone.

Właściciele restauracji Biarritz nie byli Ukraińcami, ale lokal znajdował się na liczącej dwadzieścia stron liście niemieckich firm podejrzewanych przez BKA o wykorzystywanie Ukraińców przemycanych przez gang Witrenki. Maria zdawała sobie sprawę, że jest w niekorzystnej sytuacji. W Hamburgu – nawet w Hanowerze – czuła się jak ryba w wodzie, a tu ruszyła na polowanie w całkowicie nieznanym sobie terenie. Czuła się zupełnie odsłonięta. Polowała na grubego zwierzka i łatwo mogła zamienić się z myśliwego w zwierzynę. Krętymi alejkami i uliczkami udało jej się dotrzeć do drzwi zaplecza. Wiedziała, że większość niewdzięcznych prac wykonuje ukraiński chłopak, a w kuchni nie brakuje brudnych naczyń i odpadków. Obserwowała tylne drzwi restauracji z alejki pełnej kontenerów na śmieci. Na parterze budynku, w którym znajdowała się restauracja, nie było żadnych okien, a ciężkie drzwi ewakuacyjne po-

kryto blachą. Takie środki bezpieczeństwa świadczyły o tym, że właściciele lokalu uważali monitoring za zbędny, co pozwoliło Marii zbliżyć się bez narażenia się na sfilmowanie. Jeśli młody Ukrainiec miał mówić, musiał się poczuć bezpiecznie. O ile w ogóle uda jej się skłonić go do rozmowy.

Było zimno. Maria ciepło się ubrała. Nienawidziła zimna od tamtej pamiętnej nocy. Kiedy leżała w wysokiej trawie, z twarzą Fabla tuż przy swojej, czuła chłód, jakiego nigdy wcześniej nie zaznała. Starła się zachować świadomość, miała płytki, urywany oddech. Oddech Fabla był ciepły, czuła go na swoim zmarzniętym policzku. I wtedy zrozumiała, że śmierć jest zimnem. Od tamtej pory starała się nigdy nie marznąć.

Tylne drzwi restauracji otwały się i w progu stanął chudy mężczyzna tuż po dwudziestce. Miał na sobie biały T-shirt i poplamiony fartuch, który zwisał mu od pasa aż do łydek. Spojrzał przez ramię w głąb kuchni, a potem zapalił papierosa i oparł się plecami o ścianę. Wyglądał na zmęczonego i wymizowanego, a papierosa palił z upodobaniem kogoś, kto znalazł wreszcie rzadką chwilę dla siebie. Na widok zbliżającej się Marii wyprostował się i odwrócił, zamierzając wrócić do kuchni.

– Zaczekaj! – zawołała Maria, unosząc w dłoni owalną odznakę policji kryminalnej. – Policja! – Liczyła na to, że młody Ukrainiec nie zechce przyjrzeć się z bliska odznace, przekonałby się bowiem wówczas, że jurysdykcja Marii znajduje się siedemset kilometrów stąd. Mężczyzna sprawiał wrażenie zaskoczonego. I wystraszonego. – W porządku. – Uspokoila go Maria ze zmęczonym uśmiechem. – Nie interesuje mnie twój status. Chcę ci tylko zadać kilka pytań.

Ukrainiec skinął nieznacznie głową. Maria wyjęła z kieszeni płaszcza swój wielki czarny notes.

– Nazywasz się...? – Maria udawała, że kartkuje notes w poszukiwaniu jego nazwiska.

– Sławko Dmytruk... – odparł młody Ukrainiec, dając w ten sposób sygnał, że jest gotów do współpracy. Obejrzał się szybko przez ramię, upewniając się, że nikt ich nie widzi. Zrobił krok naprzód i przymknął drzwi. Sięgnął do kieszeni po dokumenty i wręczył je Marii. Wynikało z nich, że przebywa w Niemczech

nielegalnie – dokument nie był niemiecki, obok fotografii widniały napisy cyrylicą, a żółty trójząb świadczył o tym, że jest to dokument ukraiński.

– Nie zrobiłem nic złego – powiedział Sławko. Mówił z tak silnym akcentem, że trudno go było zrozumieć. – Chcę zostać w Niemczech. Ja dobry pracownik.

– Nie powiedziałam, że zrobiłeś coś złego. Chciałam ci tylko zadać kilka pytań.

– Na jaki temat?

– Jak się tu znalazłeś?

Niepokój Sławka przeistoczył się w prawdziwe przerażenie.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Jak się tu dostałeś z Ukrainy? – powtórzyła Maria możliwie spokojnym tonem. Widziała, że Sławko jest coraz bardziej podenerwowany. Żałowała, że brakuje jej talentu Fabla do uspokajania ludzi. – Nie ma powodu do niepokoju, Sławko. Nikt się nie dowie, że informacja pochodzi od ciebie. Obiecuję. Ale jeśli nie będziesz ze mną współpracował, zostanę zmuszona do powiadomienia urzędu imigracyjnego. – Maria starała się mówić wolno i wyraźnie. – Rozumiesz? Muszę wiedzieć, kto zorganizował twój przyjazd tutaj, kto dał ci pracę i mieszkanie...

– Nie wiem... To bardzo niebezpieczny człowiek. Bardzo niebezpieczni ludzie. – Młody mężczyzna zerknął bojaźliwie przez szparę w drzwiach do kuchni.

– Oni wszyscy tacy są, Sławko. Ale muszę wiedzieć, kto dał ci pracę.

– Ja ciężko pracuję. – Sławko wydawał się bliski łez. – Tak ciężko. Chcę wysłać pieniądze rodzinie na Ukrainie. Ale nie mogę. Pracuję dniami i nocami, a połowę zarobków muszę oddawać człowiekowi, który mnie tu ściągnął. Z tego, co mi zostaje, kolejną połowę zabiera za mieszkanie. To nie jest w porządku. Całkiem nie w porządku.

Maria zauważyła, że Sławko drży. Zrobiło jej się go żal. Zaczęła żałować, że oszukała go, pokazując mu policyjną odznakę. Wiedziała, że naraża go na niebezpieczeństwo, przed którym nie zdoła go ochronić.

– Posłuchaj, Sławko. Potrzebne mi są tylko nazwiska. Choćby

jedno nazwisko. To niewolnicza praca. Będziesz dla tych ludzi pracował za darmo do końca życia. Zresztą i tak miałeś sporo szczęścia. Pomyśl o kobietach i dzieciach, które zostały sprzedane Bóg wie komu.

Sławko spojrzał na nią z uwagą. Chyba zastanawiał się, jak postąpić.

– Przyjechałem tu w kontenerze. Ze Lwowa do Hamburga. Potem, w nocy, zabrali nas do furgonetki i rozwieźli po różnych miejscach w Kolonii. Ja trafiłem tutaj, do restauracji. Był środek nocy, kazali mi czekać na zapleczu do rana, aż przyjdzie ktoś i otworzy knajpę. Potem pracowałem przez piętnaście godzin, a po pracy zawieźli mnie do mieszkania. Są tam dwa pokoje, a nas jest ośmiu. Śpimy na zmianę.

Maria pokiwała głową. Więc nadal istnieje związek z Hamburgiem. Imperium Witrenki nie wyniosło się z miasta, a tylko usunęło w cień.

– Kto to wszystko zorganizował?

– Jest taki człowiek we Lwowie... Ma na imię Pytor. Nazwisk ludzi, którzy nas zabrali z kontenera w Hamburgu, nie znam. Prócz tego, który prowadził furgonetkę... Widujemy go co tydzień. Ma na imię Wiktor. Ale kiedy się po raz pierwszy zatrzymaliśmy tu, w Kolonii, czekał na nas wielki czarny mercedes. Wsiadł z niego jakiś mężczyzna i wydał rozkazy kierowcy furgonetki. Wyglądał na twardziela. Na żołnierza.

Maria wyszperała z torebki fotografię Witrenki.

– Czy ten mężczyzna... mógł być tym żołnierzem?

Sławko pokręcił przecząco głową.

– Nie, tamten wyglądał jak żołnierz, ale był dużo młodszy. Miał trzydzieści, może trzydzieści pięć lat.

– Był Ukraińcem?

– Tak. Słyszałem jak mówi. Nie zrozumiałem co, ale wiem, że jest Ukraińcem.

W tym momencie wyszedł z kuchni wysoki, szczupły Murzyn z kubłem pełnym śmieci, które wrzucił do pojemnika na podwórku. Wracając, przyjrzał się podejrzliwie Marii.

– Szef cię szuka – rzucił do Sławka.

– Już idę... – Sławko był wyraźnie zakłopotany faktem, że zo-

stał przylapany na rozmowie z Marią. – Muszę już iść – usprawiedliwił się.

– W takim razie będę musiała jeszcze tu wrócić – odparła.

– Powiedziałem wszystko. Nic więcej nie wiem.

– Nie wydaje mi się. Kto bierze od ciebie pieniądze za zakwaterowanie?

Sławko sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Za twoje mieszkanie – wyjaśniła. Było go jej żal, ale musiała znaleźć jakiś trop. – Ten mężczyzna, który przywiózł cię tu furgonetką. Wiktor. Powiedziałeś, że to on zbiera pieniądze.

– A... on. – Na twarzy Sławka znów pojawił się strach. – Jeśli pani z nim porozmawia, będą wiedzieli, że to ja przekazałem pani informacje.

– On mnie nie interesuje. Ścigam jego szefów. On nawet się nie dowie, że coś o nim wiem.

– Wiem tylko, że ma na imię Wiktor. Nazwiska nie znam.

– Kiedy się z nim spotykasz? Jak często?

– W piątki dostajemy wypłatę. Większość z nas pracuje w piątek do nocy. W sobotę w dzień odsypiamy, bo wieczorem znów idziemy do pracy. Wiktor przychodzi po pieniądze w sobotę albo niedzielę. Około południa. Niektórzy z nas pracują w sobotę w południe; wtedy pojawia się drugi raz w niedzielę. – Sławko pokręcił z przygnębieniem głową. – Nic nam nie zostaje. On mówi, że musimy spłacić koszty przywiezienia nas tutaj. Wiktor to zły człowiek. Wszyscy się go boją.

– Sądzisz, że Wiktor jest byłym żołnierzem, tak jak pozostali?

– Nie wygląda mi na żołnierza. To gangster. Pewnego razu jeden z nas powiedział, że to nie w porządku, żeby nam wszystko zabierał. Wiktor pobił go za to kijem. Następnego dnia ten człowiek zniknął. Wiktor wyjaśnił, że zabrał mu wszystkie pieniądze i odesłał go z powrotem na Ukrainę. – Dla Sławka wspomnienie tamtego zdarzenia wciąż było żywe. Jeszcze raz zerknął niespokojnie na drzwi, za którymi zniknął Murzyn. – Pójdę już. Nic więcej nie wiem.

– Adres... – przypomniała mu Maria. – Podaj mi adres waszego mieszkania. – Widząc zaniepokojenie w oczach Ukrainka, uniosła dłonie w pojednawczym geście. – Nie martw

się, nikt się niczego nie dowie. Nie zamierzam cię odwiedzać w twoim mieszkaniu, nie wyślę tam też policji ani urzędu imigracyjnego. Chcę się tylko przekonać, jak wygląda Wiktor. To wszystko. Musisz mi zaufać.

Sławko zawahał się, ale w końcu podał Marii adres w dzielnicy Chorweiler. Przywołując z pamięci mapę Kolonii, Maria próbowała sobie uzmysłwić, gdzie to jest.

Sławko wrócił do kuchni. Jakiś mężczyzna o słowiańskich rysach podniósł wzrok znad swojej roboty i podejrzliwie spojrzął na stojącą w progu otwartych drzwi Marię. Odchodząc, Maria zachowała w pamięci strach w oczach Sławka – jego spłoszone spojrzenie i wymizerowaną sylwetkę. Nie dawało jej spokoju, że przekonywała go, żeby jej zaufał, że zapewniała go, iż nic mu nie grozi. Tak samo kiedyś zapewniała młodą prostytutkę z Hamburga, Nadię. A mimo to Nadia zniknęła.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

### 21–25 stycznia

#### 1

Buslenko zwołał spotkanie zespołu w poniedziałek po południu w domku myśliwskim. On sam przyjechał do Korostyszewa już dwa dni wcześniej. Buslenko urodził się w Korostyszewie, który znajdował się o sto dziesięć kilometrów na zachód od stolicy, a więc dostatecznie daleko, by bezpiecznie zorganizować ostatecznie spotkanie przed akcją. Miasteczko leżało pod grubą pierzyną śnieżnego, skrzypiącego pod butami puchu. Rozsądni mieszkańcy siedzieli w domach, tylko nieliczni przemierzali szybkim krokiem rozległy plac Czerwony. Mimo to Buslenko udało się znaleźć sprzedawcę pirogów na tyle zdesperowanego, że rozstawił swój ogrzewany piecykiem na parafinę stragan i czekał na klienta. Pirog to zapiekane ciasto z mięsnym farszem, z którego Korostyszew słynął na całą Ukrainę.

Buslenko powędrował niespiesznie w kierunku cmentarza wojennego, aleją wysadzaną nagimi o tej porze roku orzechami. Za obeliskiem, w głębi stał szereg granitowych pamiątkowych kamieni z wyrytymi podobiznami oficerów. Przychodził tu jako dziecko. Ojciec wytłumaczył mu, że te kamienie ułożono na cześć ludzi, którzy zginęli, broniąc Ukrainy przed Niemcami. W obronie miasteczka poległo czternaście tysięcy żołnierzy. Mały Taras Buslenko wpatrywał się jak zahipnotyzowany w wiernie oddane rysy twarzy i marzył, żeby stać się takim obrońcą Ukrainy jak kozak Mamaj. Był wiele starszy, kiedy ojciec wyjaśnił mu, że dużo więcej ludzi zginęło w Korostyszewie w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku, bezskutecznie broniąc Ukrainy przed bolszewikami. Tyle że ich nie uhonorowano pomnikami.

Buslenko usiadł na ławce i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swój piróg, nim zatopił w nim zęby, wracając w ten sposób do wspomnień z dzieciństwa. Otarł usta chusteczką.

– Spóźniłeś się – skierował swoje słowa do znajdującej się przed nim podobizny poległego dawno temu porucznika Armii Czerwonej.

– Jestem pod wrażeniem – doszedł go głos z tyłu.

– Nic specjalnego. – Buslenko odgryzł kolejny kęs piroga. Farsz był gorący i przyjemnie grzał mu żołądek. – Słyszałem, jak idziesz po śniegu, kiedy byłeś jeszcze dwadzieścia metrów ode mnie. Ty jesteś dobry w przekładaniu papierków na biurku i tropieniu zdradzających żony polityków, a ja w swoim fachu.

– Czyli zabijaniu ludzi?

– W bronieniu Ukrainy – odparł z pełnymi ustami Buslenko i wskazał ruchem głowy pomnik. – Tak jak oni. Co masz, Sasza?

Sasza Andrucki, młody, szczupły mężczyzna w ciężkim wełnianym płaszczu i futrzanej naciągniętej na uszy czapie, usiadł obok Buslenki i objął się ramionami z zimna.

– Niewiele. Wszystko to wydaje się autentyczne. Mówiłeś, że nie masz żadnej oficjalnej zgody na akcję, którą zamierzasz przeprowadzić. Ale wydaje mi się, że rządowi bardzo zależy na zlikwidowaniu Witrenki.

– Myślisz o Malarku?

– Z tego, co wiem, nasz znajomy wiceminister spraw wewnętrznych jest czysty. Jeśli kierują nim jakieś inne pobudki, to starannie je ukrywa. Gdyby był w jakikolwiek sposób powiązany z Witrenką, i tak byś się tego nie dowiedział. Z drugiej strony nie rozumiem twoich wątpliwości... Po co Malarek miałby wysyłać cię z tajną misją zabicia Witrenki, jeśli siedziałby u niego w kieszeni? To się nie trzyma kupy.

– Chyba że mam zostać wysłany Witrence w formie prezentu. Może to ja jestem celem, a Witrenko ma pociągnąć za spust.

– W takim razie nie jedź tam. – Sasza zmarszczył czoło. Z zimna poczerwieniały mu nos i policzki.

– Muszę. Nie sądzę, żeby to była pułapka. Choć tego nie wykluczam. Tak czy owak, robię to we własnym interesie. Jak

dotąd tylko trzy osoby były bliskie złapania Witrenki. Ja i dwójka niemieckich policjantów. Witrenko dobrze o tym wie, a działa zawsze w sposób zaplanowany. I to jest jednocześnie jego słabością. Kiedy uzna, że osoba, którą wziął na cel, jest ważna, zajmuje się nią osobiście. Jest niczym kot, który bawi się swoją ofiarą, nim ją zabije. Tylko w takich sytuacjach się odsłania. Ale wróćmy do tematu, sprawdziłeś mi te trzy nazwiska?

– Tak. Chociaż tego też nie rozumiem. Sam wybrałeś tę trójkę, bo znasz ich osobiście. Skoro im ufasz, po co kazałeś mi ich sprawdzać?

– Ponieważ wcześniej wydawało mi się, że dobrze znam Piotra Samoljuka. – Buslenko miał na myśli dowódcę grupy szturmowej, która uczestniczyła w nieudanej akcji pochwylenia Witrenki w Kijowie. – Ufałem mu. Tymczasem okazuje się, że każdy człowiek ma swoją cenę.

– No więc sprawdziłem ich.

– I żaden z nich nie wie, że grzebałeś w jego życiorysie?

– Jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, to osobiście przejrzałem teczki w ministerstwie. – Sasza drżał z zimna mimo grubego ubrania. – Nie martw się, zatarłem po sobie wszystkie ślady. Cała trójka jest czysta; podobnie jak tych trzech, których sam wybrałem. Żaden z nich nie służył pod dowództwem Witrenki ani żadnego oficera, który służył z Witrenką. Nie znalazłem powiązań.

– I znalazłeś mi odpowiednie trzy osoby?

– Owszem. – Twarz Saszy rozjaśniło na chwilę zadowolenie.

– Jestem dumny ze swojego wkładu. Cała trójka idealnie spełnia twoje kryteria. Włączyłem w to jedną kobietę. Kogoś, kogo już zdążyłeś poznać... kapitan Olgę Sarapenko z wydziału przestępczości zorganizowanej kijowskiej milicji.

Wybór Saszy był dla Buslenki zaskoczeniem. Przypomniawszy sobie ukraińską piękność i to, jak świetnie sobie radziła podczas akcji w Celestii.

– Uważasz, że się do tego nadaje?

– Zna Witrenkę, Mołokowa i ich działania. Jest jednym z najlepszych fachowców od przestępczości zorganizowanej. Ma nie-

skazitelną opinię, poza tym sam się przekonałeś, jak bywa przydatna w trudnych sytuacjach. Cała trójka to zgrany, solidny zespół.

– Martwi mnie tylko jedno, że ściągnęliśmy ich z zupełnie różnych jednostek – rzekł Buslenko. – Czy nie byłoby lepiej, gdyby wszyscy wywodzili się z oddziału Sokół? – Buslenko sam służył w tym elitarnym oddziale specnazu. Dlatego też był bardziej milicjantem niż żołnierzem. Ta wyjątkowa jednostka znajdowała się pod bezpośrednim dowództwem Zarządu do spraw Przestępczości Zorganizowanej MSW. Pozostali członkowie zespołu wywodzili się z innych jednostek specnazu – Tytana, Skorpion, Śnieżnej Pantery, a jeden nawet z Orła, po ukraińsku Berkuta, oddziału, w którym służył wcześniej sam Witrenko. Dwóch członków zespołu było spoza Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Służyli wcześniej w oddziale ukraińskiej służby bezpieczeństwa, specnazie alfa.

– Chciałem zebrać najlepszą ekipę. Każdego z tych ludzi cechują wyjątkowe umiejętności. Martwi mnie tylko to, że Witrenko może dysponować lepszym zespołem. – Sasza wstał i zataupał nogami o ubity śnieg. Wręczył Buslenko teczkę, którą do tej pory trzymał za pazuchą płaszcza. – Tam znajdziesz szczegóły. Uważaj na siebie, Taras.

Buslenko odprowadził wzrokiem przygarbioną sylwetkę Saszy wracającego na plac Czerwony.

– Ty też – rzucił, kiedy Sasza był już zbyt daleko, by usłyszeć jego słowa.

Matka Fabla była uszczęśliwiona, widząc syna. Objęła go czule już w progu i zaprowadziła do salonu, zabierając po drodze jego płaszcz przeciwdeszczowy. Była Brytyjką, a właściwie Szkotką i Fabel uśmiechnął się, słysząc jej niemiecką mowę solidnie okraszoną akcentem fryzyjskim połączonym z angielskim. To była zaiste dziwaczna kombinacja, zresztą dorastał w przeświadczeniu, że jego tożsamość ma jakiś inny, wyjątkowy wymiar. Matka zostawiła go przy wyłożonym płytkami cera-

micznymi kominie, żeby się ogrzał, a sama poszła do kuchni zaparzyć herbatę. Fabel rzadko pijał w domu rodzinnym kawę. Mieszkańcy Fryzji Wschodniej słynęli ze swojego zamiłowania do herbaty. Pili jej znacznie więcej niż Anglicy czy Irlandczycy.

Fabel tak rzadko przebywał w tym pokoju przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, a mimo to wciąż potrafił z zamkniętymi oczami wyobrazić sobie wszystko, co się w nim znajdowało: sofa i krzesła były nowe, ale stały w tym samym miejscu co poprzednie; na ścianie wisiała reprodukcja *Straży nocnej* Rembrandta; na regale, zbyt dużym w tym pomieszczeniu, tłoczyły się książki i czasopisma; do tego dochodziło niewielkie biurko, którego jego matka wciąż używała do pisania korespondencji, nie ulegając modzie na komunikację elektroniczną. Doskonale znał konstrukcję całego domu: grube ściany i ciężkie drewniane drzwi, masywne futryny okien. Łączyła go z Norddeich dziwna więź – przyjeżdżał tu tylko po to, by odwiedzić matkę, choć nie czuł do tego miejsca sympatii. Z drugiej strony to był jedyny świat, który znał jako dziecko. Norddeich go ukształtowało. Zdefiniowało. Opuszczał Fryzję Wschodnią etapami: najpierw studiował na Uniwersytecie Carla von Ossietzky'ego w Oldenburgu, potem na uniwersytecie w Hamburgu.

Kiedy matka wróciła do salonu, niosąc tacę z filiżankami herbaty, podzielił się z nią swoimi myślami.

– Nigdy nie przypuszczałem, że zostanę policjantem. Mam na myśli swoje dzieciństwo.

Matka sprawiała wrażenie zaskoczonej i nieco zmieszanej.

– To zabawne, że w moim wieku mam to wszystko rzucić i zacząć pracę dla kogoś, kto dorastał również tutaj, w Norddeich.

– To nie do końca jest prawda – rzekła matka. Nalała do filiżanek herbaty, dodała mleko i wrzuciła *kluntje*. Wręczyła Fablowi filiżankę, nie zważając na to, że jej syn od blisko trzydziestu lat nie słodził. – Zawsze byłeś bardzo poważnym chłopcem. I zawsze chciałeś opiekować się innymi. Nawet Lexem. On wciąż pakował się w jakieś tarapaty i Bóg jeden wie, z ilu udało ci się go wyciągnąć.

Fabel uśmiechnął się. Imię jego brata, Lex, było zdrobnie-

niem od Aleksandra.

Sam Fabel o mało nie otrzymał imienia Iain. Na szczęście jego pochodząca ze Szkocji matka zawarła kompromis z ojcem, Niemcem, i stało na dość podobnym Janie. Lex był starszy, za to Fabel od samego początku rozsądniejszy i dojrzałszy. Wtedy, dawno temu, beztroska, z jaką Lex traktował życie, denrowowała Fabla. Teraz mu jej zazdrościł.

– A ten obraz... – Matka wskazała na *Straż nocną*. – Kiedy byłeś bardzo mały, często na niego patrzyłeś. Pytałeś o namalowane postacie, a ja tłumaczyłam ci, że patrolują ulice, żeby chronić ludzi przed złoczyńcami. Pamiętam, jak powiedziałeś: „Będę taki jak oni, kiedy dorosnę. Ja też chcę chronić ludzi”. Jak widzisz, mylisz się. Od dziecka chciałeś zostać policjantem. – Roześmiała się.

Fabel zapatrzył się na obraz. Nie miał żadnych wspomnień, które świadczyłyby o tym, że jakoś szczególnie się nim interesował. Był dla niego tylko jednym z wielu elementów otoczenia, w którym dorastał.

– Wszystko jest tu nie tak – powiedział i wypił łyk herbaty, nie mieszając jej wcześniej, pozwalając, by cukier opadł na dno filiżanki. – To nie jest nawet nocna sceneria. Wrażenie mroku daje werniks. A ci ludzie nie mają nic wspólnego z nocną strażą. To członkowie gwardii cywilnej pod przywództwem jakiegoś arystokraty. Oryginał tego obrazu był trzymany razem z innym o tytule *De Nachtwacht* i stąd nieporozumienie.

Margaret Fabel uśmiechnęła się z wyrzutem i potrząsnęła głową.

– Nie zawsze, Janie, wiedza daje odpowiedź na wszystkie pytania. Ten obraz jest tym, czym myślisz, że jest, kiedy na niego patrzysz. A nie tym, czym uczyniła go jego historia. To kolejna twoja cecha. Zawsze musiałeś wszystko wiedzieć. Odkrywać nowe rzeczy. To, że zostałeś policjantem, nie jest wcale dużym zaskoczeniem.

Fabel spojrział ponownie na obraz. Nie noc, tylko dzień. Nie straż, policja, tylko uzbrojona gwardia cywilna. Jeszcze kilka dni temu powiedziałaby, że obraz miał więcej wspólnego z funkcjonariuszem MEK-u, Breidenbachem, niż z nim. Ale Breiden-

bach zginął jak policjant – wystawił się na niebezpieczeństwo, by chronić zwykłego obywatela. Zmienili temat i przez chwilę rozmawiali o Leksie i prowadzonej przez niego z powodzeniem restauracji na wyspie Sylt. Potem matka Fabela zapytała go o Susanne.

– Wszystko u niej w porządku – odparł Fabel.

– A między wami?

– Dlaczego miałyby być inaczej?

– Sama nie wiem... – Ściągnęła brwi. Zwrócił uwagę na pogłębiające się zmarszczki na jej czole. Czas obchodził się z nią podstępnie i nieubłaganie. – Ostatnio nie wspominasz o niej zbyt często. Mam nadzieję, że dobrze wam się układa. Jest urocza. Możesz się uważać za szczęściarza.

Fabel odstawił filiżankę.

– Pamiętasz śledztwo, które prowadziłem w zeszłym roku? To tak tragiczne w skutkach dla Marii Klee?

Przytaknęła.

– Sprawa miała związek z pewnym terrorystą. Zbierałem wtedy informacje na temat grup anarchistycznych i radykalnych, które dawno już zniknęły z pola widzenia. Nazwałabyś to pewnie rozgrzebywaniem przeszłości.

– Ale co to ma wspólnego z Susanne?

– Zdobyłem pewien dokument zawierający dość ogólnikowe informacje. Jedna z fotografii przedstawiała niejakiego Christiana Wohlmuta. Zdjęcie zrobiono około roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego, czyli w czasach kiedy nasz lokalny niemiecki terrorizm już dogorywał. Wohlmut chciał tchnąć w niego nowe życie. Wysłał paczki zawierające bomby do siedzib firm amerykańskich w Niemczech. To była amatorska robota. Większość paczek została przejęta lub nie wybuchła. Ale jedna okaleczyła młodą sekretarkę w amerykańskiej firmie naftowej w Monachium. W Monachium mieszkał Wohlmut. W Monachium studiowała też w tym samym czasie Susanne.

– To przecież duże miasto, Janie – powiedziała matka. Ale jednocześnie zmarszczyła czoło, jakby przeczuwając, co jej za chwilę powie.

– Na zdjęciu obok Wohlmuta widać dziewczynę. Fotografia

jest niewyraźna i opis pod nią brzmi „nieznana kobieta”.

– Czy to Susanne? – Matka Fabla odstawiła filiżankę na spodek. – Nie. Chyba nie przypuszczasz, że Susanne mogła mieć coś wspólnego z terroryzmem?

Fabel wzruszył ramionami i wypił łyk herbaty. Zapomniał o zalegającym na dnie filiżanki cukrze i z trudem przełknął mdlącą słodycz.

– Nie wiem, co ją łączyło z Wohlmudem. Ale broni się na wszelkie sposoby przed opowiadaniem o czasach studenckich. Za to sama wspomniała, że był w jej życiu mężczyzna, którego określiła jako despotycznego manipulatora. Kiedy zaproponowałem, żebyśmy zamieszkali razem, początkowo odniosła się do tego nieufnie.

– Myślisz, że to był ten terrorysta, Wohlmud?

– Nie wiem.

– A jeśli nawet? Jakie to ma teraz znaczenie? Skoro Susanne nie robi teraz nic złego, to znaczy nie łamie prawa?

– O to właśnie chodzi, *Mutti*... Nigdy nie będę miał pewności, czy nie była w coś wplątana.

– Chyba nie myślisz poważnie o jakiejś konfrontacji?

– Ona i tak wie, że coś jest nie w porządku. Próbuje ze mnie wydobyć, o co chodzi. Nie układa nam się już tak dobrze, poza tym widzi, że wykręcam się od wspólnego mieszkania.

– Susanne współpracuje z policją. Gdyby w przeszłości miała rzeczywiście tak radykalne poglądy, nie wyobrażam sobie, żeby teraz mogła to robić.

– Ludzie się zmieniają, *Mutti*.

– W takim razie zaakceptuj ją taką, jaka jest teraz. Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że traktujesz to jako pretekst do zerwania waszego związku.

– To nie tak. Ja po prostu muszę wiedzieć. Muszę poznać prawdę.

– Już ci to mówiłam, Janie... – Uśmiechnęła się do niego w taki sam sposób jak w czasach, gdy był „takim poważnym małym chłopcem”, a ona chciała go uspokoić. – Wiedza nie zawsze daje odpowiedź na wszystkie pytania.



Brytyjskie naloty obróciły Kolonię w gruzy do tego stopnia, że po zakończeniu wojny poważnie zastanawiano się, czy warto odbudowywać miasto. Rozważano przeniesienie go w inne miejsce. Pozostała jednak nietknięta katedra, która przypominała wszystkim, że to najstarsze niemieckie miasto zasługuje na to, żeby dać mu szansę na nowe życie. Odbudowano więc Kolonię. Niestety, całe połacie miasta zostały przywrócone do życia w sztucznej, sterylnej formie. Doskonałym przykładem takiego miejsca, którym architekci mogli się przechwalać podczas uroczystych bankietów, ale w którym za żadne skarby nie chcieliby mieszkać, była dzielnica Chorweiler.

Marii trudno było uwierzyć, że dla Sławka i jego rodaków pełne wysokich bloków mieszkalnych Chorweiler wydawało się szczytem marzeń. Dzielnica znajdowała się na północnym skraju miasta i Maria przypuszczała, że Wiktor tam właśnie rozpocznie swoją sobotnią zbiórkę pieniędzy, przesuwając się stopniowo w kierunku śródmieścia. Kiedy upewniła się, w którym z wieżowców znajduje się mieszkanie Sławka, zaparkowała w głębi ulicy, w pewnej odległości od budynku, i siedziała w swoim saxo.

Wbrew temu, co można zobaczyć w amerykańskich filmach, obserwacja prowadzona z samochodu nie zawsze jest najlepszym sposobem na śledzenie wszystkich ruchów podejrzanej osoby. Ludzie zwykle mijają taki pojazd, nie zauważając siedzącej w nim osoby, ale kiedy już ją zauważą, zwrócą na nią uwagę, ilekroć przejdą obok. Maria miała na sobie dość niechlujny, ale nierzucający się w oczy strój i zsunęła się w fotelu kierowcy, tak żeby nie widać było jej głowy znad zagłówka. Jej największy problem polegał na tym, że nie dysponowała fotografią śledzonego obiektu. Sławko też go dokładnie nie opisał. Około jedenastej trzydzieści przy chodniku zatrzymało się audi i jakiś potężnie zbudowany mężczyzna około czterdziestki wszedł do budynku. Maria zanotowała czas, a także markę, model i numery rejestracyjne samochodu. Małym cyfrowym apa-

ratem fotograficznym zrobiła mężczyźnie zdjęcie, kiedy wchodził do budynku, a później kiedy z niego wychodził z jakimś młodszym od siebie człowiekiem. Maria była pewna, że to nie jest osoba, na którą czekała, więc zrezygnowała ze śledzenia audi. Skuliła się z powrotem w swoim fotelu. Ubrania, które kupiła, były na nią za duże, ale za to ciepłe i wygodne. A co najważniejsze, szczelnie okrywały znieprawione przez nią ciało.

Wiktor pojawił się około dwudziestu minut po dwunastej. Maria nie miała żadnych wątpliwości, że to on. O tym, że jest „członkiem zorganizowanej grupy przestępczej niższego szczebla” świadczyło właściwie wszystko – jego ubranie, samochód. Można było odnieść wrażenie, że Wasyl Witrenko i jego pomagierzy są zjawami pozbawionymi cielesnej formy. Dopiero pod koniec długiego i żmudnego śledztwa Fabel i Maria stanęli z Witrenką twarzą w twarz, a i to tylko na kilka śmiertelnych minut. To za sprawą ludzi pokroju Witrenki jego organizacja zyskiwała widzialną formę. Widzialną w sposób rzucający się w oczy, jak sądził Wiktor. Był wysoki, miał ponad dwa metry, a na sobie długi, czarny skórzany płaszcz, opięty na barczystych ramionach. Włosy ufarbowane na jasny blond. Samochód, którym przyjechał i pozostawił niemal na środku ulicy, był prawdziwym amerykańskim krążownikiem szos z lat sześćdziesiątych. Maria zrobiła kilka zdjęć i notatek. Podejrzała, że Wiktor nie pozostanie w budynku długo, przekreśliła więc kluczyk w stacyjce i przygotowała się do ruszenia za nim.

Rzeczywiście, Wiktor przebywał w środku niecałe pół godziny. W uliczce pojawiła się jakaś furgonetka, a ponieważ samochód Wiktora blokował przejazd, zniecierpliwiony kierowca furgonu kilkakrotnie nacisnął klakson. Kiedy w końcu pojawił się Wiktor z zawiniątkiem w czarnej plastikowej torbie, kierowca wychylił się przez okno i sklął Ukraińca. Wiktor całkowicie zignorował jego słowa, obszedł dookoła swojego chryslera, otworzył przepastny bagażnik i wrzucił do środka pakunek. Potem, równie niespiesznie, podszedł do furgonetki, gwałtownym szarpnięciem otworzył jej drzwiczki, wyciągnął z wnętrza kierowcę i zdzielił go bykiem z taką siłą, że ten uderzył tyłem głowy o bok pojazdu i osunął się nieprzytomny na jezdnię.

Wiktor spokojnie wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł rozprysnięte na swojej twarzy krople krwi, wrócił do swojego samochodu i ruszył w kierunku skrzyżowania z główną ulicą Weichselring, która niczym lasso zaciskała się wokół dzielnicy Chorweiler.

– Jest mój chłopczyk – powiedziała do siebie Maria. – Ty na pewno jesteś Wiktorem. – Ruszyła z miejsca i natychmiast zdała sobie sprawę, że ma ten sam problem, który przed chwilą rozżłościł kierowcę furgonetki. Teraz furgonetka blokowała drogę i nie pozwoliła Marii jechać za samochodem Wiktora. Spojrzała na leżącego na jezdni kierowcę. W podobnej sytuacji w Hamburgu zaniechałaby pościgu i upewniła się, czy kierowcy nic się nie stało. Ale to nie był Hamburg. Wrzuciła wsteczny bieg i wyjechała z bocznej uliczki. Podejrzewając, że Wiktor pojedzie obwodnicą Weichselring, ruszyła mu na spotkanie Mercatorstraße.

Skręciła dwukrotnie w prawo, zakładając, że w ten sposób dotrze do Weichselring. Nie dotarła. Zakłęła i bezradnie rozejrzała się dookoła, szukając jakiegoś charakterystycznego punktu, który podpowiedziałyby jej, w jakim kierunku powinna się udać. Wcisnęła pedał gazu i szybko ruszyła w stronę, gdzie ulica skręcała łukiem w lewo. Następnie skręciła w prawo i zobaczyła przed sobą zatłoczoną Mercatorstraße. Dojechała do skrzyżowania, gdzie zatrzymało ją czerwone światło. Spojrzała na przejeżdżające samochody, ale nigdzie nie dostrzegła charakterystycznego chryslera Wiktora. Światła zmieniły się, a ona wciąż nie była zdecydowana, w którą stronę skręcić. Za nią zatrzymał się jakiś samochód, zniecierpliwiony kierowca zatrąbił. Spojrzała w lusterko i zakłęła. Z tyłu stał olbrzymi amerykański samochód z olbrzymim Ukraińcem za kierownicą. Podniosła w przepaszającym geście rękę i skręciła w Mercatorstraße w lewo, mając nadzieję, że Wiktor zrobi to samo. I zrobił. Maria nie miała pojęcia, jak udało jej się wyprzedzić Wiktora, ale skutek był taki, że ten, którego miała śledzić, jechał teraz za nią. Zaszło jej w ustach na myśl, że to nie zbieg okoliczności, ale celowe działanie. Czyżby zauważył ją pod blokiem? Wiktor nie zwracał na Marię uwagi. Żaden z niego żołnierz, pomyślała,

to zwyczajny zbir. Z drugiej strony większość ukraińskich i rosyjskich gangsterów miała za sobą karierę w specnazie, a sposób, w jaki Wiktor potraktował kierowcę furgonetki, świadczył o tym, że jest może mało subtelnym, ale jednak fachowcem. Zatrzymała się na następnych światłach i zerknęła w lusterko, sprawdzając, czy Wiktor sygnalizuje skręt. Nie włączył żadnego kierunkowskazu, więc pojechała dalej prosto, a on za nią. Dostrzegła przed sobą zatoczki parkingowe. Włączyła kierunkowskaz i zatrzymała się w jednej z nich. Wiktor pojechał dalej. Maria przepuściła kilka pojazdów i ponownie włączyła się do ruchu. Odetchnęła z ulgą. Na razie niepozorny wygląd jej samochodu ustrzegł ją przed zdemaskowaniem. Skupiła całą swoją uwagę na śmiesznych płetwach chryslera, którego dzieliły od niej trzy samochody.

Przez dobry kwadrans jechali przez miasto na południe, nie wjeżdżając na autostradę A57, którą wcześniej dojechała do Chorweiler. Wiktor dwukrotnie zatrzymał się w podupadłych dzielnicach, gdzie zapewne odbierał swoją należność. Po drugim przystanku dwa dzielące ich samochody nieoczekiwanie skręciły w różnych kierunkach i Maria znalazła się bezpośrednio za chryslerem. Starła się zwiększyć dystans, ale ilekroć zatrzymywali się na światłach, stała zderzak w zderzak z samochodem Wiktora. Gdyby w tym momencie Wiktor spojrział w lusterko wsteczne, widziałby wyraźnie jej twarz. Zsunęła wełnianą czapkę niżej na czoło. Straciła już zupełnie orientację, gdzie są, ale starała się zapamiętać mijane ulice. Jechali wciąż przez miasto, tyle że zmienił się zupełnie charakter zabudowy – z mieszkalnej na przemysłową. Z niepokojem obserwowała, że na ulicy jest coraz mniej samochodów, przez co jej jazda za chryslerem stawała się podejrzana. W końcu przejechali tunelem pod autostradą i znaleźli się w kolejnej dzielnicy mieszkaniowej. Żółta tablica przy drodze poinformowała ją, że to Ossendorf. Zapamiętała nazwę ulicy, którą jechali, Kanalstraße. Wiktor, a Maria za nim, skręcił w ulicę, przy której po obu stronach stały czteropiętrowe bloki mieszkalne. Teraz ich dwa samochody były jedynymi poruszającymi się po tej ulicy. Maria stwierdziła, że woli przerwać pościg, niż pozwolić, żeby

Wiktor ją rozpoznał. Skręciła w najbliższą uliczkę w lewo, zawróciła i zatrzymała się przy chodniku.

Zakłęła pod nosem. Wyjęła ze schowka plan Kolonii i znalazła Ossendorf. Przeczucie jej nie zawiodło. Ossendorf był dzielnicą mieszkalną i nie wiódł tędy żaden skrót do innych części miasta. Wiktor musiał tu mieszkać albo przyjechał do kolejnej osoby po pieniądze. Postanowiła zaczekać pół godziny. Jeśli przyjechał po pieniądze, w ciągu pół godziny powinien się stąd ruszyć i wrócić tą samą drogą, którą tu trafił. Jeśli ten plan zawiedzie, będzie codziennie obserwować mieszkanie Sławka i pojedzie za Wiktozem jeszcze raz.

Maria zgłodniała. Prócz mizernego śniadania składającego się z kawy i tosta, nic nie jadła. Wyłączyła silnik, więc nawet nie mogła uruchomić ogrzewania. Przemarzła. Wróciło znajome odczucie. Chłód napelniał ją lękiem. Zerknęła na zegarek: kwadrans po trzeciej. Niebo zdążyło już pociemnieć i to nie tylko z powodu gęstych chmur. Jeśli zrobi się jeszcze ciemniej, trudno jej będzie dostrzec samochód Wiktora. Przypomniała sobie, jakim szokiem był dla niej widok jego samochodu w lusterku wstecznym przy Mercatorstraße. A jeśli to nie był jednak przypadek? Co, jeśli śledził ją od samego początku? Poczula, że wzbiera w niej irracjonalny strach. Coś kazało jej się obejrzyć i upewnić, że za jej samochodem nie siedzi w swoim przestylizowanym wozie Wiktor. Nie było go tam. Obróciła z powrotem głowę. Weź się w garść, powiedziała do siebie. Na litość boską, opanuj się.

W tej samej chwili dostrzegła w głębi ulicy niewiarygodnie długi kształt limuzyny Wiktora. Miała rację, przyjechał tu po pieniądze, a teraz wracał. Włączyła światła samochodu, uruchomiła silnik i ruszyła za nim.

Trzyście... czterdzieści... pięćdziesiąt...

Andrea liczyła po cichu, koncentrując się na swoim oddechu i wypuszczając ze świstem powietrze przez zaciśnięte wargi po każdym opuszczeniu rąk.

– Szesnaście... siedemnaście...

Dołożyła do sztangi kolejne dwa kilogramy. Jeśli uda jej się zrobić trzy serie po dwadzieścia powtórzeń, będzie to znaczyło, że wycisnęła dodatkowo sto dwadzieścia kilogramów.

Osiemnaście... dziewiętnaście...

Przy każdym uniesieniu sztangi czuła, jak napinają się jej mocniej mięśnie wokół szczęki. Takie ćwiczenia z powodzeniem mogą zastąpić lifting twarzy. Nazywało się to napięciem promienistym, a polegało na tym, że podczas każdego ćwiczenia zaangażowana była inna grupa mięśni. Tyle że w czasie wysiłku mięśnie i ścięgna szyi oraz szczęki były zawsze napięte. Pierwsze oznaki intensywnych ćwiczeń zawsze pojawiały się na twarzy, a nie reszcie ciała.

Dwadzieścia.

Andrea odstawiła sztangę na stojak. Atlas to wspinały wynalazek, niepotrzebna jest druga osoba obserwująca poprawność wykonywanych ćwiczeń. Z drugiej strony najlepiej jest rzeźbić sylwetkę przy użyciu hantli i sztangi. Wiedzieli już o tym starożytni Grecy i Rzymianie i stosowali tę metodę w swoich gimnazjach.

Wypiła łyk wody z butelki, spryskała ławkę płynem antybakteryjnym i wytarła do sucha. Wymagała tego etykieta sali gimnastycznej. Lubiła tu przychodzić wieczorami. Mało ludzi, żadnych hałasów, żadnych pogaduszek. Nawet skoczna muzyka do akompaniamentu była wyłączona.

Andrea podeszła do urządzenia do prostowania nóg. Zrobiła kilka ćwiczeń rozgrzewających i rozciągających, a następnie zajęła miejsce na siedzisku. Spojrzała na nastawiony przez poprzednio ćwiczącą osobę ciężar i dodała dziesięć kilogramów.

Raz... dwa... trzy...

Poczuła mrowienie świadczące o tym, że do mięśni zaczął się uwalniać kwas mlekowy łagodzący napięcie. To było przyjemne. Przez ramiona i klatkę piersiową przeszedł ją dreszcz. Wiedziała, że zawdzięcza go układowi dokrewnemu, uwalniającemu walczące z bólem endorfiny.

Cztery... pięć... sześć...

Miała dobre uda. Na każde odwodzenie reagowały napięciem

mięśni przypominających postronki pod opaloną skórą. Tak, była bardzo zadowolona ze swoich ud. Ale za najlepsze uznawała u siebie mięśnie brzucha i twarde jak skała mięśnie ramię. Rozczarowana była tylko mięśniami pośladków – zarówno średnich, jak i wielkich. Pracowała nad nimi przez długie godziny, ale mimo to nie mogła się pozbyć okrywającej muskulaturę warstewki tłuszczu.

Dziesięć... jedenaście...

Do konkursu pozostało jeszcze sześć miesięcy. Tym razem miała duże szanse, ale martwiły ją pośladki. Musiała nad nimi solidnie popracować. Jeszcze dziś poświęci dodatkową godzinę na bieżni. A wszystko po to, żeby spalić ostatnie ślady po dawnej Andrei. Delikatnej i miękkiej. Przypomniała sobie tamtą parę w kawiarni. Dziewczynę, która pozwoliła się w taki sposób traktować swojemu chłopakowi. Na myśl o tym jej gniew przybierał na sile.

Dwanaście... trzynaście... czternaście...

Andrea krzywiła się z bólu przy każdym kolejnym wyproście nóg. Do sali wszedł jakiś mężczyzna. Andrea zauważyła, że patrzy na nią. Ich spojrzenia się spotkały; mężczyzna odwrócił się i zajął rozgrzewką na bieżni. Andrea była przyzwyczajona do tego, że ludzie na nią patrzą. Niektórzy, tak jak ten, robili to z mieszaniną strachu i odrazy. Inni, jak dupek w kawiarni, z obrzydzeniem.

Piętnaście... szesnaście...

Andrea najbardziej lubiła te chwile, kiedy mężczyźni obrzucaли ją spojrzeniem i byli przy tym zmieszani swoją reakcją na jej widok. Potrafiła wyczytać na ich twarzach mieszaninę niesmaku i pełnego zakłopotania pożądania. W podobny sposób patrzyły na nią kobiety. Andrea była dumna ze swojego ciała. Andrea Amazonka. Dla większego wrażenia ufarbowała swoją gęstą czuprynę na platynowy blond. Zawsze miała staranny makijaż – ciemnoczerwona szminka i cienie do powiek podkreślały ogniste spojrzenie błękitnych oczu.

Siedemnaście... osiemnaście...

Była to jedna z tych rzeczy, o których ludzie nie lubili mówić. O tym, że są tacy mężczyźni, dla których była piękna.

Pociągająca. Nielsen płacił jej nawet duże pieniądze za pozowanie nago. Byli też mężczyźni, którzy przychodzili na konkursy. Mali rozpustnicy z pełnymi pożądliwymi oczkami.

Dziewiętnaście... dwadzieścia.

Ostatni wyprost nóg, mimo ogranicznika na udach i miękkiej wyściółki belki na wysokości łydek, przyszedł jej z dużą trudnością. Czowała, że całe ciało jest napięte. Mięśnie na szyi i wokół szczęki naprężyły się do granic wytrzymałości, dłonie zacisnęła kurczowo na uchwytach. Zauważyła, że tamten mężczyzna znów się jej przygląda. Tym razem nie uciekł spojrzeniem. W jego oczach dostrzegła odrazę. Ale jego mina mówiła coś jeszcze – że patrzy na coś fantastycznego.

Coś wspaniałego.

## 5

Maria pojechała za Wiktorem jeszcze w dwa miejsca, gdzie odbierał pieniądze; za każdym razem starała się zapamiętać adres. Od kilku godzin już panowały ciemności, które w pewnym stopniu chroniły ją przed dekonspiracją, choć ryzyko, że Wiktor ją zauważy, wciąż istniało.

Chrysler wracał teraz do części miasta zwaną Nippes. Zatrzymał samochód przy chodniku, wysiadł i zamknął drzwi. Maria przystanęła w pewnej odległości i również wysiadła. Wiktor przeszedł jakieś pięćdziesiąt metrów i zniknął we wnętrzu bloku mieszkalnego. Robił to już tego popołudnia i wieczoru wiele razy, ale teraz była noc, więc Maria podejrzewała, że tu właśnie mieszkał. Po półgodzinnym oczekiwaniu w chłodzie zadowolona, że olbrzym nie wychodzi, sprawdziła spis lokatorów przy domofonie. Znalazła tam jedno nazwisko tureckie, dwa niemieckie, ale żadnego ukraińskiego. Przy jednym przycisku brakowało kartki z nazwiskiem. To musiało być to. Trzecie piętro. Ulica, przy której mieszkał Wiktor, była stosunkowo ruchliwa. Po drugiej stronie był bar, niewielki supermarket z napisami wykonanymi cyrylicą i sklep elektryczny. Maria miała ograniczony wybór sposobu obserwacji; przyjdzie jej chyba siedzieć w samochodzie. Najpierw jednak postanowiła rozgościć się na



jakiś czas w barze po drugiej stronie ulicy. Mogła stamtąd widzieć przez okno mieszkanie Wiktora.

Zaraz po wejściu do baru zrozumiała, że to był błąd. Gośćmi byli niemal wyłącznie mężczyźni, jeśli nie liczyć kilku wyzywających kobiet ubranych, jakby były o dziesięć lat młodsze. Pojawienie się Marii w luźnym swetrze i dżinsach wywołało na pomarszczonych twarzach damulek odrazę. Usiadła przy wybranym wcześniej oknie. Grupka mężczyzn powiodła za nią wzrokiem, wymieniła jakieś uwagi i wybuchła donośnym śmiechem. Do jej stolika podszedł kelner, zamówiła piwo.

– Nic do jedzenia?

– Nic. – Maria zapłaciła za piwo, kiedy tylko kelner je przyniósł. Zdawała sobie sprawę, że spoczywają na niej zaciekawione spojrzenia mężczyzn siedzących przy barze. Kątem oka widziała również wpatrujące się w nią wrogo oczy kobiet. Postanowiła, że zostanie tu tylko kilka minut, a potem będzie obserwować mieszkanie z samochodu. Przed oknem baru przeszło dwóch patrolujących ulicę policjantów. W przeciwieństwie do policji hamburskiej, która zmieniła mundury na nowe, niebieskie, funkcjonariusze z Nadrenii Północnej-Westfalii wciąż nosili pochodzące z lat siedemdziesiątych zielono-musztardowe. Na widok mijających ją policjantów Maria poczuła się dziwnie; wydawali jej się istotami z obcej planety. Zdawała sobie sprawę, że coś w niej nieodwracalnie pękło. Hamburg i jej praca w policji wydawały się teraz tak odległe.

– Jak się masz, skarbie?

Maria nie musiała się oglądać, żeby domyślić się, że to jeden z pijaków siedzących dotąd przy barze. Nie odpowiedziała.

– Zapytałem jak się masz, skarbie – powtórzył mężczyzna i dodał coś w niezrozumiałej dla niej, zapewne kolońskiej gwiazdce.

Maria zostawiła nietknięte piwo i wstała do wyjścia. Zmierający w jej kierunku mężczyzna nie był specjalnie wysoki, ale za to miał wielki wystający brzuch. Stał blisko niej. Zbyt blisko. Poczowała narastającą panikę.

– Przepraszam – wykrztusiła, unikając patrzenia w oczy pijaka.

– Co jest? – zapytał zaczepnie mężczyzna. – Zapytałem tylko, jak się masz. Chcielibyśmy ci z kolegą postawić drinka.

– Mam piwo. Poza tym już wychodzę. Proszę mnie przepuścić.

Grubas odsunął się na bok, wzruszając ramionami, ale nie pozostawił jej zbyt dużo miejsca na przejście. Maria przecisnęła się, tłumiąc odruch obrzydzenia na myśl o fizycznym kontakcie. Chciała jak najprędzej znaleźć się na zewnątrz. Scena wzbudziła spore zainteresowanie i barman najwyraźniej szykował się, by stanąć w jej obronie. Sprawy zaczęły się źle układać. Obserwacja polega przecież na tym, żeby obiekt był dobrze widoczny, a obserwator nie. Mijając pijanego mężczyznę, poczuła z jego ust odór na wpół przetrawionego piwa. Grubas mrugnął do swojego kumpla przy barze. Maria poczuła na pośladkach jego dłoń.

– Małe... – zauważył głośno i wybuchnął śmiechem – ale ujdą.

W jednej chwili Marię zalała fala obrzydzenia, nienawiści i paniki.

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnęła mu prosto w twarz z taką zaciekłością, że jego uśmiech ustąpił miejsca przerażeniu. Śmiech przy barze zamarł. – Ty pieprzony gnoju! – krzyczała dalej. Zamachnęła się tak szybko, że nikt nie zdołał tego zauważyć. Policzek grubasa eksplodował okruchami szkła, strumieniem piwa i krwi. Mężczyzna zachwiał się, a Maria wbiła swój ciężki but w jego krocze. Spojrzała na swoje dzieło i widząc grubasa zgiętego wpół, wybuchła śmiechem. Oстрыm, przenikliwym, wariackim. Potem omiotła spojrzeniem pozostałe osoby w barze. Nikt nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Pewnie po raz pierwszy od lat wyzywające blondynki starały się być niewidoczne. Maria zauważyła, że barman sięga po słuchawkę telefonu. Zamierzał zadzwonić na policję, a przecież dwie minuty wcześniej widziała mijający bar patrol. Wszystko było do dupy. Poczuła nowy przyływ złości i kopnęła leżącego na ziemi grubasa w twarz. Chwyciła płaszcz i ruszyła w stronę wyjścia.

– Więcej tu nie przyjdę – rzuciła do barmana, unosząc lekko sweter, tak by zobaczył kaburę z pistoletem. – Ale jeśli zadzwono-

nisz na policję, mogę zmienić zdanie.

Barman odłożył słuchawkę.

Maria odwróciła się do drzwi i ujrzała na swojej drodze jakąś parę. Dziewczyna była młodszą wersją pozostałych kobiet w barze; miała krzykliwy strój i złoty kolczyk w nosie. On był wysoki i potężnie zbudowany. Miał na sobie ten sam długi skórzany płaszcz, który nosił dziś przez cały dzień. Wiktor spojrział na jęczącego mężczyznę w kałuży krwi i piwa, na barmana, którego dłoń zawisała nad słuchawką telefonu, a wreszcie na Marię. Jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech i grzecznie usunął się na bok.

Maria wypadła w pośpiechu z lokalu. Kiedy owionęło ją zimne powietrze, z cichym szlochem ruszyła ulicą w kierunku przeciwnym do tego, gdzie zostawiła swój samochód. Wróci po niego później, nie chciała ryzykować, że barman albo Wiktor zapisać jej numery rejestracyjne.

Minęła kilka przecznic i w końcu złapała taksówkę. Po powrocie do hotelu przebrała się błyskawicznie w zupełnie inny strój i kolejną taksówką wróciła po samochód. Ośmieliła się spojrzeć w kierunku baru i mieszkania Wiktora dopiero wtedy, gdy siedziała bezpiecznie w ciemnym wnętrzu saxo.

Niech to szlag, pomyślała. Wszystko spieprzyła. Trudno było bardziej zwrócić na siebie uwagę Wiktora. A tak dobrze jej szło do chwili, kiedy wrócił do domu. Zdobyła adresy, przynajmniej przybliżone, miejsc, gdzie zbierał swój haracz. Niestety nie dane jej było zobaczyć następnego etapu tego procederu, kiedy Wiktor przekazywał pieniądze dalej. Nie mógł przecież za długo przetrzymywać takiej ilości gotówki. Ktoś powinien się po nią zjawić albo on powinien pójść i komuś ją przekazać. Tyle że teraz Wiktor znał już jej twarz. W Hamburgu, gdyby to była oficjalnie prowadzona akcja, nie stanowiłoby to większego problemu; co chwila zmienialiby się wywiadowcy i samochody. Znacznie trudniej zorientować się, że jest się śledzonym, gdy robi to pięć osób. Ile by dała za to, żeby zadzwonić do Anny Wolff, która pracowała z nią w wydziale zabójstw hamburskiej policji. Niestety, nie było szans na zaangażowanie do tej sprawy

Anny, Fabla czy kogokolwiek innego. To była osobista krucjata Marii; krucjata, którą właśnie schrzaniła. Musi teraz sama znaleźć jakieś rozwiązanie.

Może Wiktor i ta jego dziwka wciąż jeszcze są w barze; mogłaby zakraść się do jego mieszkania i spróbować znaleźć coś interesującego, jakiś związek między Wiktorem a kimś stojącym wyżej od niego w gangsterskiej hierarchii. Zagryzła wargi i zacisnęła palce na kierownicy. Myślała jak amatorka. Była beznadziejna. Zawiodła jako policjantka i niczego więcej już w życiu nie osiągnie.

Uruchomiła silnik i ruszyła przed siebie bez celu. Przejechała most Zoobrücke i znalazła się na drugim brzegu Renu. Mniej więcej po półgodzinie znalazła stację benzynową z czynnym całą dobę barem. Zamówiła hamburgera z wielką porcją frytek i zjadła wszystko szybko, popijając colą. Kiedy skończyła, podszła do lady i patrząc wyzywająco na kelnerkę, zamówiła jeszcze raz to samo.

Po zjedzeniu drugiej porcji udała się do łazienki, uklękła przed muszlą i wepchnęła sobie palec do gardła.

## 6

Nadkomisarz Benni Scholz rzadko poddawał się zmartwie-  
niom, ale teraz, kiedy oglądał wiadomości telewizyjne, jego szerokie czoło pokrywały głębokie bruzdy świadczące o trapiącym go problemie. To było chyba najważniejsze, najbardziej nagłośnione przez media śledztwo, jakie przyszło mu prowadzić w piętnastoletniej karierze policjanta. Każdy gliniarz z kolońskiej komendy będzie oceniał jego starania. Zupełnie nie był przyzwyczajony do pracy w takim stresie.

Gabinet Scholza tonął w mroku. Rozświetlała go tylko niewielka lampa biurowa i migający ekran telewizora. Obok niego siedział wysoki szczupły komisarz w mundurze i z podobnie zmarszczonym czołem śledził wydarzenia na ekranie.

– Czyja to robota, Rudi? – zapytał Scholz oficera w mundurze, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Haska.

– Haska?! – Scholz obrócił głowę w stronę Rudiego Schaeffera z wyrazem niedowierzania w oczach. – Więc Hasek to zorganizował? Ten palant z wydziału operacyjnego?

Scholz wrócił do oglądania telewizji. Wymyślnie udekorowana platforma z czarnym fordem T ozdobionym niezdarnym białym napisem POLIZEI na drzwiach i otoczonym przez grupę dwudziestu czy trzydziestu mężczyzn oraz kobiet przebranych za Keystone Kops, sunęła powoli pełną gapiów ulicą. „Keystone Kops” bez przerwy na siebie wpadali, przewracali się, obsypywali gapiów konfetti i tłukli się po głowach gumowymi pałkami, podczas gdy inni rzucali w tłum cukierki. Panował totalny chaos.

– Trzy lata temu dostał nagrodę za tę inscenizację – zauważył Rudi.

– Wiem, że wtedy dostał nagrodę – odparł Scholz – ale nie miałem pojęcia, że w tym roku cholerny Hasek też będzie organizatorem. – Jego nastrój jeszcze bardziej się pogorszył. Wszyscy wiedzieli, że Benni Scholz jest człowiekiem czynu. Wszyscy znali jego poczucie humoru. Mocno zwariowane. Był idealnym kandydatem na organizatora tegorocznej parady karnawałowej. Z drugiej strony pewnie wolałby podjąć się prowadzenia dodatkowego tuzina śledztw.

– Przygotowałeś maski? – zapytał Rudiego. Służby z wydziału ruchu drogowego podległe komisarzowi Rudiemu Schaefferowi i jednocześnie staremu przyjacielowi Scholza zgłosiły się na ochotnika do pomocy w organizacji parady. A właściwie zgłosił je na ochotnika Scholz. Nie zamierzał bowiem męczyć się z tym sam.

– Oczywiście. – Rudi uśmiechnął się pogodnie. – Mam nawet prototyp... Scholz patrzył z niechęcią na mistrzowsko przygotowaną platformę Haska. Do gabinetu wrócił Rudi z głową ozdobioną maską z papier mache.

– Co to jest? – zapytał Scholz, obracając się w fotelu. – Zadam to pytanie jeszcze raz... co to, kurwa, ma być?

– Byk... – odparł żałośnie Rudi. Jego głos tłumił papier mski. – Tak jak prosiłeś. No, wiesz, superdowcip, przeberzemy się za *Bullen*. – Rudi miał na myśli obraźliwe niemieckie

określenie policjanta. Amerykanie i Anglicy nazywają swoich policjantów *pigs*, świnie; Francuzi *les Flics*, a Niemcy *Bullen*.

Benni Scholz był znacznie niższy od Rudiego Schaeffera i musiał wysoko podnieść rękę, żeby objąć kolegę ramieniem. Rudi obrócił przyozdobioną papierową maską głowę w jego stronę.

– Rudiger, mój drogi przyjacielu – odezwał się Scholz. – Zdaję sobie sprawę, że pochodzisz z Bergisch Gladbach. I biorę na to poprawkę... Ale jestem pewien, że w latach swojej młodości nigdy nie widziałeś byka, krowy czy innego bydła, które choćby odrobinę przypominałyby to, co masz teraz na głowie. Chyba że Bergisch Gladbach jest miastem bliźniaczym Czarnobyła.

– To tylko prototyp... – bronił się Rudi.

W tym momencie do gabinetu Scholza wszedł młody policjant. Zamarł na chwilę w bezruchu na widok Scholza obejmującego umundurowanego oficera w czymś dziwnym na głowie. Scholz cofnął rękę.

– Domyślasz się, co to jest? – zapytał Scholz policjanta.

– Nie mam pojęcia... człowiek-słoń?

Rudi wypadł za drzwi.

– O co chodzi, Kris? – zapytał Scholz.

– Restauracja Biarritz przy Wolfsstraße. Jakiś facet tasakiem do mięsa porąbał pracownika kuchni...

## 7

Rzeka Teteriw wyglądała pięknie o tej porze roku: pokryta cienką warstwą lodu, ale z wartkim nurtem, pozbawiona za to grubego kożucha kleistych glonów widocznych wyraźnie latem. Dom był niski, ale dość duży, skierowany frontem do rzeki. Otaczał go las, biały teraz od zamarzniętego śniegu. Na bocznej ścianie domu znajdowała się spora drewniana rama, na której myśliwi mogli wieszać i oprawiać upolowaną zwierzynę.

Wszyscy pojawili się tu dzień przed przyjazdem Buslenki. Z Korostyszewa prowadziła tu stara droga, wytyczona pewnie czterysta lat temu przez zaprzęgnięte w woły wozy chumaków. Z powodu głębokich zasp droga była prawie nieprzejezdna, ale

kierowcy trzech mercedesów z napędem na cztery koła potrafilo sobie poradzić w każdych warunkach, od arktycznych bezkresów po pustynie. Wchodzącego do domku Buslenkę przywitał serdecznie krępy mężczyzna po czterdziestce z przewieszonym przez ramię karabinem. Buslenko uśmiechnął się na widok pozornej beztroski Worobiewa. Worobiew służył w oddziale Tytan specnazu i przez ostatnie dziesięć minut obserwował przez lunetę karabinu samochód Buslenki. Opuścił lunetę dopiero wtedy, kiedy upewnił się, że to Buslenko siedzi za kierownicą. I że jest sam. Oddział Tytan specjalizował się w bezpośredniej ochronie osób oraz w strzeżeniu kluczowych ukraińskich obiektów rządowych. Wolny rynek, którego gorliwym zwolennikiem był rząd, sprawił, że można ich było również wynająć. Jeśli się, oczywiście, dysponowało odpowiednio dużą kwotą.

Kiedy Buslenko otworzył drzwi domu, z wnętrza buchnął smakowity aromat wareników gotowanych na ogrzewanym drewnem piecu.

– Ładnie pachnie... – zauważył.

– Przyjechałeś w samą porę, majorze. – Wareniki mieszał w garnku Stojan, Tatar krymski, którego ciemna cera świadczyła o tym, że już tysiąc lat temu w żyłach jego przodków musiała zmieszać się krew mongolska i turecka. – Chcesz trochę?

– No pewnie. I lepiej nie zapomnij o Worobiewie. – Buslenko zdjął wierzchnie okrycie i przywitał się z grupką mężczyzn siedzących przy ciężkim stole z ciosanych bali i grających w preferansa. Buslenko przysiadł się do nich. Wśród żartów i śmiechów zjedli posiłek, chwając umiejętności kulinarne Stojana. Sprawiali wrażenie grupki zwyczajnych ludzi w grubych swetrach i ciężkich butach do wspinaczki, zgromadzonych wokół rozpalonego w myśliwskiej chacie pieca, jedzących kneidle i popijających wódkę, spędzających weekend na łowieniu ryb czy polowaniu. Pozory mylą, to nie była grupka zwyczajnych ludzi.

Po posiłku uprzątnięto naczynia i uwaga wszystkich skupiła się na Buslenke, który wyjął laptopa i kilka teczek z dokumentami i położył je na stole.

– Operacja nosi kryptonim „Większe dobro” – zaczął bez

wstępów. – Jak sama nazwa wskazuje, będziemy musieli przeprowadzić misję, która jest nielegalna w rozumieniu prawa ukraińskiego i międzynarodowego. Z drugiej strony, jest to operacja, która przyczyni się do wzrostu bezpieczeństwa wewnętrznego i dobrej opinii Ukrainy za granicą. Niektórzy z was mogą mieć poczucie, że nielegalność tej operacji stoi w sprzeczności z tym, co robicie jako przedstawiciele sił porządkowych. Muszę was też uprzedzić, że być może nie wszyscy z nas wyjdą z niej żywi. Jeśli natomiast ktoś zostanie złapany, to trafi do więzienia za granicą, a rząd ukraiński nie będzie w jego sprawie interweniował. Jeśli więc uznacie, że nie chcecie brać udziału w tej operacji, teraz jest odpowiedni moment, żeby o tym powiedzieć. Każdy z was może opuścić ten dom i nikt nie będzie miał o to do was pretensji.

Buslenko zrobił krótką przerwę.

– Muszę was też uprzedzić, że czeka was mokra robota. – Słuchający Buslenki ludzie milczeli, wpatrywali się w niego z uwagą i czekali na dalszy ciąg. Uśmiechnął się szeroko i kontynuował: – No dobrze, najgorsze mamy za sobą, przejdźmy teraz do konkretów. – Obrócił laptopa w ich kierunku. Kliknął bezprzewodową myszą i na ekranie pojawiła się przystojna twarz ukraińskiego oficera w średnim wieku.

– To jest nasz cel. Wiem, że wszyscy o nim słyszeliście. To pułkownik Wasyl Witrenko z oddziału antyterrorystycznego Berkut. – Buslenko skinął głową w stronę Bielocerkowskiego, który wywodził się z oddziału Berkut. – Pomyślcie przez chwilę o najbardziej niebezpiecznej postaci, z jaką przyszło wam się kiedykolwiek zetknąć. – Buslenko zrobił przerwę. – A teraz wyobraźcie sobie kogoś dwadzieścia razy groźniejszego, to wtedy zrozumiecie, kim jest Witrenko. O mało nie został schwytany dwa lata temu w Hamburgu. Ścigał go własny ojciec, również były żołnierz specnazu, a także hamburska policja. Witrenko urządził gliniarzom z Hamburga niezłe przedstawienie. Przywiązał własnego ojca do miny przeciwczołgowej i uruchomił włącznik czasowy. Przesłuchujący ojca gliniarz był świadkiem, jak tatuś rozbryzgał się na pół miasta. Jeśli chodzi o zabijanie, Witrenko uważa się za poetę, artystę. Ma upodobanie do sym-



boliki i rytuałów. Zanim objął w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym stanowisko w Berkucie, miał za sobą doświadczenia w Afganistanie i pomoc naszym rosyjskim pobratymcom w Czeczenii. Sęk w tym, że okazał się renegatem i skłonił swoich ludzi, by przedłożyli lojalność wobec niego nad lojalność wobec ojczyzny. Ta właśnie grupka stanowi teraz trzon jego organizacji przestępczej. Wasyl Witrenko to najlepiej wyszkolony zabójca, z jakim kiedykolwiek mieliście do czynienia. I jak już wspomniałem, uważa się za artystę... – Buslenko kliknął myszką i na ekranie pojawił się następny obraz. Dopiero po dłuższej chwili morze krwi i tkanek przybrało postać ludzkich szczątków. – Twierdzi, że Ukraińcy są potomkami wikingów, co jest po części prawdą, i dlatego specjalizuje się w odtwarzaniu rytuału krwawego orła. Żywcem wyrывa ofiarom płuca i zawiesza je im na ramionach niczym skrzydła orła.

Buslenko czekał, aż obraz z ekranu komputera dotrze do świadomości słuchaczy. Słuchaczy, których niełatwo było zaszokować. Kliknął myszką ponownie. Na ekranie pojawiła się inna twarz.

– A to Walerij Mołokow. Rosjanin. Czterdzieści siedem lat. Były gliniarz. I był funkcjonariusz OMON-u. Ludzi, których miał ścigać, czynił swoimi współpracownikami. Przez pewien czas był uznawany za wyjątkowo skutecznego, ponieważ udało mu się wyeliminować bardzo wielu groźnych przestępców. Później okazało się, że systematycznie wyrzynał konkurencję albo dokonywał zabójstw na zlecenie innych szefów mafii, z którymi współpracował. Szybko rozeszła się wieść, że jeśli chcesz kogoś załatwić skutecznie i bezproblemowo, należy zwrócić się do Mołokowa. Chociaż służył w OMON-ie i walczył w Czeczenii, miał bardzo mocne powiązania z czeczeńską mafią – obszcziną. W Rosji jest poszukiwany za przemyt, handel narkotykami, siedem morderstw, osiem przypadków współudziału w morderstwie, gwałt i bezprawne pozbawienie wolności.

– I żadnego złamania przepisów o ruchu drogowym? – zapytał Stojan z uroczym, tatarskim uśmiechem. Wszyscy się roześmiali, Buslenko też. Odrobina poczucia humoru w obliczu tak poważnego wroga nie zaszkodzi.

– Mołokow jest jedyną tak wysoko postawioną osobą w organizacji Witrenki, którą udało się zidentyfikować. Otacza się zaufanymi ludźmi i w zasadzie jest największą i jedyną słabością Witrenki. Ochrona Mołokowa nie dorasta do pięt ochronie Witrenki. To było dość pochopne małżeństwo z rozsądku... Krótko mówiąc, Mołokow otrzymał od Witrenki propozycję nie do odrzucenia. Mołokow zaczął wkraczać ze swoją działalnością na terytorium Witrenki, więc Witrenko przejął kilka jego przesyłek i ostrzelał kontenery z towarem.

– Co to był za towar? – zapytała Olga Sarapenko.

– Mołokow szmugłował przez granicę ludzi...

– Szlag by to... – rzucił Bielocerkowski. – Więc to był Witrenko? Tam, na granicy z Polską?

– Myślałam, że to był wypadek – wtrąciła Olga.

– Taka była wersja dla dziennikarzy – odparł Buslenko. – Gdyby wszystko się rozegrało kilka kilometrów dalej, śledztwo prowadziłaby polska policja i sprawa wyszłaby na jaw. Wyciszyliśmy ten incydent, żeby zyskać czas na dotarcie do Witrenki.

– Nie muszę zgadywać, że Mołokow zrozumiał przesłanie? – zapytał Bielocerkowski.

– Przekazał władzę Witrence. Co prawda niechętnie, ale za to został odpowiedzialny za przemyt ludzi. Sytuacja zmieniła się o tyle, że nie ma teraz na tym polu konkurencji. Ledwie pojawi się jakaś próba przemytu, choćby na najmniejszą skalę, Witrenko szybko to załatwia.

– Dlaczego w takim razie nasza misja jest nielegalna? – zapytał Stojan. – Ukraińscy gangsterzy, ukraińska milicja, ukraińskie ofiary.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, mamy unieszkodliwić Witrenkę. Nie zabieramy ze sobą więźnia. A po drugie, jak już wspomniałem, będziemy działać poza granicami Ukrainy.

– A konkretnie? – zapytała Olga.

– W Republice Federalnej Niemiec.

Powstał straszny harmider.

– Niemcy? – zawołał Bielocerkowski. – Nigdy nie byłem w Niemczech. Za to był tam mój dziadek. W czterdziestym

piątym... z Armią Czerwoną. Pewnie mam jakichś niemieckich kuzynów.

Powszechny wybuch śmiechu rozładował napięcie.

Buslenko przekazał wszystko, co wie na temat Witrenki i jego działalności. Według informatorów jego siedzibą była teraz Kolonia, choć wciąż kontrolował większość rynku prostytucji, narkotyków i hazardu w Hamburgu. Zakres jego działalności był szeroki i obejmował praktycznie wszystko – od obrotu luksusowymi samochodami po ochronę i oszustwa komputerowe. Na koniec Buslenko rozłożył mapę Kolonii – zaznaczono na niej trzy budynki, z których mieli prowadzić operację. Na drugiej mapie zaznaczono miejsca, w których z całą pewnością Witrenko prowadził swoje interesy. Później wręczył każdemu z członków zespołu teczkę zawierającą jego indywidualne cele i zakres odpowiedzialności.

– Tak przy okazji, za informacje, które poznaliście, Witrenko jest gotów was zabić. Bardzo chciałby wiedzieć, ile do nas przebiekło od Mołokowa i z innych źródeł. Szuka zdrajcy.

– Czy to wszystko, co na niego mamy? – zapytała Olga Sarapenko. Siedziała blisko okna i wpadające przez nie światło podkreślało błękit jej oczu. Kiedy Sasza rekomendował ją Buslence, ten docenił jej przydatność i zgodził się, ale teraz jej uroda zaczęła mu przeszkadzać.

– Wszystko, co nam powiedziano – odparł krótko. – Niemcy mają więcej informacji. Pewnie dużo więcej, ale niechętnie się nimi dzielą. Jak większość ludzi z Zachodu uważają Ukraińców za niepewnych. Boją się przecieków.

– Nie możesz ich tak zupełnie potępiać – powiedziała Olga. – Dopadlibyśmy Witrenkę w Kijowie, gdyby Piotr Samuljuk nas nie zdradził.

Buslenko pokiwał głową, choć wciąż trudno było mu uwierzyć, że oficer specnazu zdradził ich dla pieniędzy.

– Zanim skończymy – powiedział – powinniście wiedzieć, że mamy w talii dwa dzokery. Może to nie ma znaczenia, ale lepiej, żebyście je poznali. – Kliknął myszą. – To jest nadkomisarz Maria Klee z policji hamburskiej... A to... – kliknął ponownie – nadkomisarz Jan Fabel, szef wydziału zabójstw

i przełożony Marii Klee. Ta dwójka to jedyne osoby, którym niemal udało się złapać Witrenkę. Witrenko zabił wtedy dwóch policjantów i bardzo poważnie ranił Marię Klee. Fabel nie miał wyjścia i musiał zaniechać pościgu.

– Chyba nie myślisz, że wciąż ścigają Witrenkę? – zapytała Olga.

– Za próbę zbliżenia się do niego trzeba zapłacić wysoką cenę – odparł Buslenko, zamykając laptopa. – Jan Fabel odchodzi z policji, a Maria Klee jest kłębkim nerwów.

## 8

Benni Scholz wszedł do kuchni, zatrzymał się przy rzędzie wielkich aluminiowych kuchenek i zanurzył łyżkę w jednym z garnków. Choć palnik był wyłączony, grochówka wciąż była ciepła. Kilka innych garnków leżało przewróconych, a ich zawartość rozbryźnięta na ścianach i podłodze mieszała się z krwią. Scholz spróbował zupy.

– Chce pan celowo naruszyć sterylność miejsca zbrodni, panie nadkomisarzu? – warknęła klęcząca pośrodku kuchni atrakcyjna młoda kobieta w kombinezonie technika kryminalistycznego.

– Tyle razy już pani powtarzałem, Frau Schilling – w oczach Scholza pojawiły się psotne iskierki – że z przyjemnością dam pani próbkę swojego DNA w celu eliminacji. Ale może najpierw poszlibyśmy razem na kolację? Co pani powie na ten lokal?

– Obawiam się, że dzisiaj będzie zamknięty – odparła beznamiętnym głosem szefowa ekipy, wracając do leżącego przed nią okaleczonego ciała. – A na razie niech pan niczego nie rusza.

W kuchni pracowało jeszcze trzech techników, każdy w innym sektorze. Prócz nich w pomieszczeniu znajdowało się także dwóch funkcjonariuszy policji kryminalnej z wydziału Scholza: Kris, młody komisarz, który przyjechał z Scholzem, i Tansu, półTurczynka, pół Niemka. Młodszy oficerowie stali z niepewnymi minami w drzwiach prowadzących z głównej sali restauracji do kuchni. Oboje wyglądali zdecydowanie niedo-  
brze, szczególnie Kris. Scholz omiół wzrokiem kuchnię.

Wszędzie widoczne były ślady przemocy. Wylane z naczyń potrawy. Rozmazana na futrynie drzwi krew. Poprzewracane stolki. Kałuże krwi na podłodze. W samym środku tej sceny leżał strzęp ciała, który teraz badała Simone Schilling. To ten właśnie strzęp był przyczyną niewyraźnej miny Krisa Feilkego.

– Co się stało? – zapytał Scholz.

– Ukrainiec – wydusił z siebie w końcu Kris. – Pracował w kuchni. Najprawdopodobniej nielegalnie. W tym czasie było tu jeszcze trzech innych pracowników. Dwóch Ukraińców i Somalijszyk. Ukraińcy nie chcą pisać słowa... Są śmiertelnie wystraszeni. Ale Somalijszyk powiedział, że przyszło trzech zamaskowanych mężczyzn i zaczęło krzyczeć na ofiarę. Nie po niemiecku, więc podejrzewam, że też byli Ukraińcami. Zwłaszcza że dwóch Ukraińców pracujących w kuchni dosłownie zdębiało. Jeden z zamaskowanych mężczyzn chwycił tasak do mięsa... – Choć wydawało się to niemożliwe, błady jak ściana policjant zbladł jeszcze bardziej. – No... i oto co z nim zrobili.

Scholz zrobił krok w kierunku ciała. Simone Schilling powstrzymała go, marszcząc uroczo brwi.

– Domyślam się, że jeszcze za wcześnie, żeby określić przyczynę zgonu? – Scholz uśmiechnął się szeroko. W leżącej na podłodze bryle mięsa trudno było rozpoznać człowieka. W miejscu, gdzie w bok twarzy wbił się tasak, ziała ogromna dziura. Z górnej części ramienia, tuż pod krótkim rękawem T-shirta, zwisał odrąbany strzęp ciała. Ostra krawędź tasaka zadała nienaturalnie głębokie rany. Scholz naliczył co najmniej tuzin ciosów. – Ale podejrzewam, że nie był to postrzał. – Roześmiał się głośno z własnego dowcipu. Simone Schilling żart Scholza nie rozbawił. Wstała.

– Dostanie pan pełny raport od patologa. Sekcję przeprowadzi doktor Ludeke.

– Nie namęczy się specjalnie przy krojeniu zwłok... – powiedział Scholz i znów się roześmiał.

Simone Schilling utkwiała wzrok w podłodze, gdzie jej ekipa oznaczyła chorągiewkami plamy krwi.

– Napastnicy nie przejmowali się tym, że zostawiają ślady. Mamy pół tuzina odcisków butów we krwi. Wzór jest wyraźny.

– Spojrzała na Scholza z pełną pogardy pretensją. – Tyle że połowa z nich należy chyba do pana.

Scholz spojrział ponownie na ciało. Cztery, może pięć cięć na przedramionach. Z rozciętej dłoni sterczała naga kość. Takie rany powstają podczas obrony.

– Wiemy, jak się nazywał? – zwrócił się do dwóch policjantów w drzwiach.

– Sławko Dmitruk – odparł Kris. – A przynajmniej pod takim nazwiskiem pracował w restauracji. Właściciele twierdzą, że miał dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Scholz.

– Ta część naszej pracy nigdy mi się nie podobała...

– A co w tym złego? – Scholz kiwnął głową, wskazując ciało.

– To już nie jest istota ludzka. To tylko kupa mięsa. Kimkolwiek wcześniej był Sławko Dmitruk, nie ma to teraz nic wspólnego z tym, co tu pozostało. Musisz przejść nad tym do porządku dziennego. W przeciwnym razie nie dasz sobie rady, kiedy następnym razem trafisz na zwłoki małego dziecka.

Kris wpatrywał się w rozczłonkowane ciało i nie sprawiał wrażenia przekonanego.

– Jadłeś coś wcześniej? – zapytał Scholz. – Najgorzej jest patrzeć na to z pustym żołądkiem. – Obrócił się i zanurzył chochlę we wciąż jeszcze ciepłej zupie. Napełnił ją i podetknął młodemu policjantowi pod nos. – Spróbuj... jest naprawdę dobra. Grochówka...

Kris obrócił się gwałtownie na pięcie i wpadł do restauracji, szukając toalety. Tansu Bakrac spojrzała na szefa i skrzywiła się z dezaprobatą. Scholz obrócił się w kierunku Simone Schilling, która patrzyła na niego z niedowierzaniem w oczach.

– No co? – zaczął się bronić, wciąż trzymając w wyciągniętej ręce chochlę. – Chciałem, żeby się lepiej poczuł...

– Nie każdy jest taki nieczuły na ludzkie cierpienie jak pan, Scholz.

– Proszę mi mówić Benni.

– Zgoda. Do mnie proszę się zwracać pani doktor Schilling. – Skinęła głową w kierunku, gdzie pobiegł policjant. – Nie powinien pan sprawdzić, jak się czuje?

– Nic mu nie będzie. A jeśli mu nie przejdzie, to znaczy, że wybrał niewłaściwy fach. A poza tym nie jestem nieczuły na ludzkie cierpienie. Współczuję ofierze. To straszna śmierć. Ale nie biegam do toalety na widok umarlaka. Jak mówiłem, to już nie są istoty ludzkie. To tylko kupa mięsa. Pani wie to najlepiej.

– Ma pan rację – zgodziła się Simone Schilling. – Zwłoki nie są dla mnie człowiekiem. Są magazynem dowodów. Ale potrzeba lat, żeby się z tym oswoić. Ja podchodzę do nich profesjonalnie, nie emocjonalnie. Ale pan... pan jest zwyczajną pozbawioną wrażliwości świnią.

Scholz uśmiechnął się. Lubił, kiedy obrzucała go obelgami.

– Nie jestem pozbawiony wrażliwości. Po prostu myślę praktycznie. Z toalety wrócił młody policjant.

– Wszystko w porządku, Kris? – zapytał Scholz i zwrócił się do Simone Schilling: – Widzi pani. Jestem wrażliwy.

– Nic mi nie jest – odparł wciąż blady Kris.

– No, dobrze. W takim razie powiedz mi, co tu się wydarzyło. Udało ci się wydusić coś więcej od tego Somalijczyka albo od właścicieli restauracji?

– Niewiele – odparła Tansu. – Somalijczyk początkowo był skory do współpracy, ale potem nagle zaniemówił. Przypuszczam, że Ukraińcy powiedzieli mu, kim ich zdaniem byli ci siepacze. Prawdopodobnie ukraińska mafia. Tak czy owak, całą trójkę zabrali do aresztu ci z urzędu imigracyjnego. Właściciele restauracji też nie są zbyt rozmowni. Nimi też zajął się urząd imigracyjny.

– Więc odpowiedź brzmi: nic? – rzucił zniecierpliwiony Scholz.

– Niezupełnie – wtrącił Kris. – Zanim Somalijczyk umilkł, zdążył powiedzieć, że z Dmitrukiem rozmawiała jakaś kobieta. Wysoka, szczupła, elegancko ubrana. Sprawiała wrażenie, jakby była z urzędu imigracyjnego. Albo z policji.

Maria obudziła się we wtorek o szóstej i leżąc na hotelowym łóżku, wsłuchiwała się w dźwięki budzącego się leniwie miasta.

Od niedzielnego wieczornego obżarstwa nie miała nic w ustach i bolał ją teraz żołądek nadmiernie wtedy wypchany, a potem siłą opróżniony. Do tej pory czuła się też przemarznięta. Niemniej coś się zmieniło.

Przeniosła się w inne miejsce, inny czas. Nigdy nie potrafiła zrozumieć do końca, po co to robi. Mnóstwo czasu poświęciła, próbując zrozumieć, co się wtedy wydarzyło. Robiła to regularnie – leżała w ciemnościach i wyobrażała sobie siebie tam, nocą, na pustkowiu niedaleko Cuxhaven.

Aż do tamtego wieczoru mieli wrażenie, że uganiają się za zjawą. Wreszcie udało im się osaczyć Witrenkę wraz z kilkoma jego ludźmi. Witrenko zdołał wyskoczyć przez okno i uciec. Na miejscu była Maria i dwóch funkcjonariuszy miejscowej policji z Cuxhaven. Rozproszyli się. Witrenko poderżnął jednemu z policjantów gardło. Maria pamiętała, jak Fabel wykrzykiwał przez radio ostrzeżenie. Ale ona niczego nie widziała. Niczego nie słyszała. Witrenko od najmłodszych lat był szkolony, jak pozostawać niewidocznym. Usłyszała za plecami jakiś dźwięk. Obróciła się, ale niczego nie spostrzegła. Nagle wyskoczył z wysokiej trawy, niecały metr od niej i rzucił się w jej stronę. Skierowała w jego kierunku broń, ale on z łatwością chwycił ją za nadgarstek. W tej samej chwili poczuła uderzenie w splot słoneczny. Kiedy pochyliła głowę i spojrzała w dół, zrozumiała, że to nie był cios pięścią. Z jej brzucha sterczała rękojeść rytualnego noża o szerokim ostrzu. Przeniosła wzrok na twarz Witrenki. Spojrzała głęboko w jego zimne, błyszczące, jasnozielone oczy. Uśmiechnął się. A potem zniknął.

Noc była bezchmurna, a ona leżała, patrząc w gwiazdy. Ból złagodniał, choć nóż – obce ciało w jej ciele – wciąż uwierał. Zdała sobie sprawę, że może oddychać tylko dzięki gwałtownym, płytkim spazmom i czuła potworne, rozprzestrzeniające się stopniowo po całym ciele zimno. Zdawało jej się, że minęła wieczność, nim usłyszała głos nawołującego ją Fabela. Było to pewnie tylko kilka minut, ale dla Marii trwało to tak długo, że już zaczęła się zastanawiać, czy umarła; czy tak właśnie wygląda śmierć – ostatnia chwila rozciągnięta w nieskończoność. Na szczęście pojawił się Fabel, pochylił nad nią, dotknął



jej, przemówił. Stał się jej łącznikiem ze światem żywych. Jej szef Fabel, ojciec jej zespołu.

Teraz, tu, w Kolonii Fabla nie było. Co więcej, rzucił pracę w policji. Maria wiedziała, że ona też nie wróci do służby. Złożyła rezygnację. Albo zginie tutaj. Ta myśl zbyt jej nie przerażała. Witrenko i tak zabił ją już trzy lata temu. Teraz mógłby tylko wygonić jej zmaltratowanego ducha z tego świata. Może lepiej by było, gdyby Fabel jej wówczas nie znalazł. Śmierć byłaby lepsza niż piekło, które teraz przeżywała.

A potem w jej życiu pojawił się Frank. Maria wiedziała, że to miłość. Frank pomógł jej w najtrudniejszych chwilach. Był delikatny, czuły, kochający. I był mordercą.

Rozległ się klakson przejeżdżającego pod hotelem samochodu, który przywołał ją na chwilę do rzeczywistości. Maria zatrzymała jeszcze na moment wspomnienie Franka i zapłakała. Nie użalała się nad nim, lecz nad sobą. Frank był przecież jej ostatnią nadzieją na ocalenie.

Poczuła się pusta w środku, zboleła i stara. Ale pozostało coś jeszcze. Cel. Cel, który wykrystalizował się, kiedy tylko się obudziła. A wraz z nim pojawiła się siła i zdecydowanie.

Maria wzięła prysznic, przebrała się i wyrwała odpowiednią stronę z książki telefonicznej. Zamierzała od razu wyjść, bez śniadania, ale powstrzymała się w porę. Poszła do jadalni i zmusiła się do zjedzenia porcji musli z owocami. Śniadanie i wypita kawa jakby dodały jej sił. Tym razem nie odwiedzi toalety, żeby opróżnić żołądek. Pełna determinacji wyszła z hotelu. W nocy poproszył śnieg, który zamienił się teraz w szarą, błotnistą breję. Wsiadła z samochodu i ruszyła do centrum miasta. Najpierw odszukała zakład fryzjerski. Nigdy nie nosiła zbyt długich włosów i wydawała fortunę na najlepszych hamburskich fryzjerów. Salon był raczej standardowy. Oferował ograniczoną liczbę stylizacji i równie ograniczone umiejętności fryzjerek. Dziewczyna, która wyglądała, jakby jeszcze chodziła do szkoły, umyła Marii włosy i zapytała, czego oczekuje. Maria wyjęła z torebki fotografię.

– Tego – odpowiedziała. – Tak chcę wyglądać.

– Jest pani pewna? – zapytała fryzjerka. – Pani włosy mają

piękny naturalny kolor. Większość moich klientek dałaby się zabić za taki odcień blond. Wciąż mnie pytają o taką farbę, a ja nie mogę im pomóc.

– Da pani sobie radę? – zapytała Maria.

Fryzjerka wzruszyła ramionami i oddała zdjęcie, na którym była Maria i jej koleżanka z pracy, a zarazem przyjaciółka, Anna Wolff.

– Nie ma sprawy. Skoro pani sobie tego życzy...

Półtorej godziny później Maria znalazła się ponownie na ulicy. Mimo dojmującego chłodu, nie włożyła czapki. Mróz szczyptał ją w odsłonięte teraz uszy i co chwila zatrzymywała się, żeby zobaczyć swoje odbicie w witrynach sklepowych. Miała teraz ciemnobrązowe włosy, nie tak ciemne jak Anna ani nie tak krótkie i sterczące, ale i tak znacząco zmieniła swój wygląd.

Sprzedawczyni w sklepie z kosmetykami na Hohe Straße była nieco zaskoczona widząc, że jej klientka nie jest pewna, jakie kolory pasują do jej włosów, ale już po kilku minutach Maria, dotychczas zachowawcza w doborze makijażu, wyszła z torbą pełną szminek, cieni i różów w ostrych barwach. W następnym sklepie, do którego weszła, opisała zakupione przed chwilą kosmetyki, twierdząc, że takich używa od lat, a teraz potrzebuje czegoś zupełnie innego.

Zanim znalazła następny sklep, musiała się kilka razy zatrzymać, wyjmować z kieszeni kartkę wyrwaną z książki telefonicznej i sprawdzać adres na planie miasta. Zbliżała się pora lunchu i choć wciąż miała pełny żołądek po śniadaniu, zjadła lekką zupę z chlebem w restauracji po drugiej stronie ulicy. Czowała się wzdęta, wyobrażała sobie, jak musi wyglądać teraz jej żołądek, ale udało jej się zwalczyć potrzebę zwymiotowania. Wszystko to było częścią jej planu.

Z obszernej kolekcji peruk tę odpowiednią pomógł jej wybrać mężczyzna w średnim wieku, bez wątplenia gej. Maria powiedziała mu, że jest aktorką i szuka czegoś, co pozwoli jej zmienić wygląd. Widać było, że sprzedawca ma wątpliwości, czy jej historia jest prawdziwa, więc dodała, że często musi sama kupować peruki i kostiumy. To bardzo specyficzna forma aktorstwa, wyjaśniła, dla rynku płyt DVD. Sprzedawca uśmiechnął

się znacząco i pokazał jej cały wachlarz peruk: krótkie oraz długie, czarne, blond i rude. Maria, załamana ceną, kupiła ku zadowoleniu sprzedawcy aż pięć sztuk.

– Zawsze możemy jedną odłożyć... – zasugerował sprzedawca, widząc jej minę.

– Nie... w porządku. Wezmę wszystkie.

W drodze powrotnej do hotelu Maria zahaczyła jeszcze o kilka sklepów odzieżowych i wróciła do swojego pokoju obładowana torbami. Zaciągnęła zasłony, rozebrała się do naga i stanęła przed lustrem w pełnym świetle lamp. Bała się tej chwili. Wiedziała, że po zjedzeniu po raz pierwszy od kilku miesięcy dwóch posiłków w ciągu dnia, będzie wzdęta i gruba. Nic takiego się nie stało. Od dawna patrzyła na swoją cielesną formę z odrazą, uważała się za tęgą i nieapetyczną, ale nie tym razem. Wyglądało na to, że decyzja stania się kimś innym zmieniła jej sposób patrzenia i teraz spogląda na zupełnie inną osobę. Zawsze była zgrabna i szczupła. Teraz, po miesiącach obżarstwa, wymiotowania i głodzenia, jej ciało było wyniszczone. Pod skórą wyraźnie rysowały się żebra, a nogi w udach były cieńsze niż w kolanach. Ramiona miała jak patyki, a blizna po ostrzu noża pod przywiedłymi piersiami kontrastowała różem z bladą, ziemistą cerą. Twarz pod niemal czarnymi, krótko obciętych włosami sprawiała wrażenie wymizerowanej. *Co ja z siebie zrobiłam?*

Odrzuciła od siebie te myśli; powinna odseparować się od swojego ciała. Teraz będzie ono tylko płótnem, na którym powstanie tuzin różnych Marii. Pomysł ten powstał, kiedy się obudziła i pomyślała, jak dobrze byłoby ściągnąć Annę do pomocy. Obecnie mogła sama przeistoczyć się w Annę lub w kogośkolwiek zapragnęła. Kiedy jej myśl ewoluowała od pomysłu, przez strategię i wreszcie do gotowego planu, przypomniała sobie znaczenie słów determinacja i cel. Zamiast próbować wtopić się w tło za pomocą niechlujnych strojów, mogła stać się kimś zupełnie innym.

Oliver pił kawę, wpatrując się w białe płytki na ścianie naprzeciwko. Niczego w nich nie zobaczył. Jego myśli powędrowały ku temu, co wydarzyło się w pokoju hotelowym. Minęło już pięć dni, a nie usłyszał na ten temat żadnej wiadomości. Wiedział, że policji zajmie sporo czasu trafienie na jego trop, o ile w ogóle uda im się go wysledzić. Bardzo starannie wszystko zaplanował, postarał się zatrzeć za sobą wszelkie ślady. A ona narobiła takiego straszego zamieszania, takiego hałasu. Przecież wiedziała, czego on pragnie, wiedziała, że ma specjalne potrzeby. Dlaczego w takim razie zaczęła krzyczeć? Dlaczego te głupie dziwki zawsze zaczynają krzyczeć, skoro wiedzą od początku, co zamierza im zrobić? Oliver nie miał wyjścia i musiał ją uciszyć, zanim ktoś w hotelu usłyszałby jej wrzaski.

Wypił kolejny łyk kawy. Nie. Nie miał powodów do zmartwień. Nie zamierzał więcej korzystać z usług tej agencji towarzyskiej, na chwilę powinien się też przyczaić i siedzieć cicho. A gdyby zechciał nacieszyć się mroczną stroną swojej natury, powinien wyjechać do innego miasta.

Oliver dopił kawę. Naciągnął rękawiczki chirurgiczne z wyjątkowo grubego lateksu i schował pod nie mankiety fartucha. Wszedł do pomieszczenia, które rozjaśniało zimne, ostre światło jarzeniówek. Na tacy ze stali nierdzewnej leżały już gotowe wszystkie ostrza i narzędzia, jakich potrzebował.

W powietrzu unosił się lekki, choć coraz silniejszy nieprzyjemny zapach. Oliver znał jego źródło, wiedział, jak to działa: z otwartych ran, posiniąłych skrzepów krwi w najniższych częściach, przez skórę uwalniał się zapach rozkładających się tkanek. Nieważne, jak bardzo naukowo tłumaczyłoby się jego powstawanie, był to po prostu zapach śmierci. Zaczerpnął głęboko powietrza i wziął do ręki skalpel z dużym ostrzem. Ręka z narzędziem na chwilę nieruchomo zawisała nad rozciętym już ciałem.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### 25–26 stycznia

#### 1

W Speisekammer nie istniało coś takiego jak spokojny dzień. Ansgar Hoeffler zawsze pojawiał się w restauracji sporo przed rozpoczęciem swojej zmiany. Był szefem kuchni i uważał, że jego obowiązki wykraczają poza oficjalny początek i koniec pracy. Rosnący sukces Speisekammer zawdzięczała przede wszystkim jego reputacji. Obroty były w tej chwili największe w dziesięcioletniej historii lokalu. Kiedy Ansgar objął we władanie kuchnię, Speisekammer była zamknięta w środy. Obecnie nawet w środzku tygodnia nie brakowało chętnych do zjedzenia tu lunchu czy kolacji. Ludzie zjeżdżali z odległych części miasta, a nawet spoza Kolonii, by delektować się kuchnią Ansgara, będącą połączeniem najlepszych dań niemieckich z wpływami tajskimi, francuskimi i japońskimi. W Kolonii było to nie lada osiągnięciem – istniało tu ponad trzydzieści restauracji na światowym poziomie. Nawet przylegające do lokalu delikatesy korzystały z rosnącej sławy Speisekammer. Oczywiście zostało to dostrzeżone i nagrodzone. Ansgar był jednym z najlepiej zarabiających szefów kuchni w Kolonii, a właściciele restauracji, pan i pani Gallwitzowie, proponowali mu nawet przystąpienie do spółki. Ansgar zareagował na tę propozycję ostrożnie; miał dość zdrowego rozsądku, żeby zdawać sobie sprawę, że za ofertą Gallwitzów stała ich przedsiębiorczość, a nie sympatia dla człowieka, który, jak sam przyznawał, traktował ludzi chłodno i z dystansem, wkładając całą swoją pasję w przygotowanie potraw. Wszyscy wiedzieli, że gdyby Ansgar przeniósł się do innej restauracji, klientela przeszłaby wraz z nim.

Jekaterina, ukraińska *sous-chef*, czekała niecierpliwie na pojawienie się Ansgara. Nie przebrała się jeszcze w swój fartuch

i miała na sobie krótką, odsłaniającą brzuch i podkreślającą krągłość piersi bluzkę.

Ansgar starał się nie patrzeć na koleczyk w jej pępku. Jekaterina spojrzała na niego swoimi błękitnymi ukraińskimi oczami, rozjarzonymi teraz dodatkowo niezdrowym podnieceniem.

– Słyszałeś o Biarritz? – zapytała z ciężkim, seksownym akcentem. Ansgar potrząsnął głową. Znał Biarritz, ale to była knajpa w lidze *Gulaschsuppe*; przychodzili do niej głównie turyści i ludzie zachęceni promocyjnymi cenami lunchów.

– Co z tym Biarritz? – zapytał, rzucając ukradkowe spojrzenie na jej biust.

– Zamordowano pracownika kuchni. Przedwczoraj. – Pokiwała głową z poważną miną, jakby chciała tym gestem dodać swoim słowom wiarygodności.

– Co takiego?

– Porąbali go – sprecyzowała Jekaterina.

– Co ty mówisz? – Ansgar poczuł, jak serce skacze mu do gardła. Spojrzał Jekaterinie głęboko w oczy. Dlaczego Ukrainki mają takie błękitne oczy?

– Ktoś go porąbał tasakiem do mięsa. – Jekaterina była wyraźnie podekscytowana.

Nie, pomyślał Ansgar. Tylko nie to. Nie chcę o tym słyszeć.

– To było straszne – ciągnęła. – W całej kuchni pełno było strzępów ciała.

Ansgar zdjął płaszcz i trzymał go przed sobą, ukrywając erekcję.

– Wiedzą, kto to zrobił?

– Nie. Na dodatek ten, którego zabili był Ukraińcem. Ale pracował tam nielegalnie. – Słowom Jekateriny towarzyszyło kolejne poważne skinienie głową. Jekaterina była dumna ze swojego statusu legalnej imigrantki. Przebywała w Niemczech już pięć lat i patrzyła na nowych przybyszy ze Wschodu z lekką pogardą. – Straszne, prawda Herr Hoeffler? To znaczy... ten tasak...

Ansgar przytaknął i poszedł do kuchni, wciąż trzymając płaszcz przed sobą.

Maria siedziała przed barem. Podejrzewała, że skoro Wiktor mieszka w pobliżu, jest pewnie stałym bywalcem tego lokalu. Nie zawiodła się. Zanotowała godzinę, o której wyszedł z mieszkania ze swoją odpicowaną panienką. Godzina była prawie ta sama co w niedzielę. Maria poczuła, że robi jej się słabo. W żołądku ciążyło jej wszystko, co zjadła. Przed pojawieniem się tutaj poszła do restauracji na obiad, co w połączeniu z dwoma wcześniejszymi posiłkami tego dnia wywołało protest organizmu nieprzyzwyczajonego do regularnego jedzenia. Ale przyczyną mdłości były chyba przede wszystkim nerwy. Nie mogła uwierzyć, że jest bliska zrobienia tego, co sobie zaplanowała. Całe popołudnie spędziła na eksperymentach z nową paletą kosmetyków, przymierzaniu kolejnych peruk i strojów. Intuicja podpowiadała jej, żeby zrealizować pierwszy pomysł, ani trochę go nie zmieniając. Wyglądała teraz jak Anna Wolff. Anna była co prawda drobniejszej budowy i miała ciemnobrązowe oczy, ale Maria zdołała przeistoczyć się w wyższą wersję swojej przyjaciółki. Na twarz i całe ciało nałożyła samoopalacz i nastroszyła dopiero co ufarbowane włosy, tak jak zawsze czyniła to Anna. Pomalowała wargi krwistoczerwoną szminką i podkreśliła oczy sporą ilością cienia do powiek i kredki, której nigdy wcześniej nie używała. Kupiła sobie nawet skórzaną, nieco za dużą kurtkę i założyła stanik z poduszczkami, żeby uwypuklić swoje mizerne krągłości pod T-shirtem.

To było to. Teraz czekał ją ostateczny test sprawdzający. Wsiadła z samochodu i przeszła na drugą stronę ulicy, kierując się do baru.

Maria była zaskoczona, kiedy dwie pierwsze osoby, które odwróciły się w kierunku drzwi wejściowych, okazały się mieniami zaczepiającymi ją poprzednim razem. Ten, którego uderzyła szklanką z piwem, przyjrzał się jej z ponurą miną; na opuchniętym policzku miał opatrunek. Maria poczuła, że serce zamiera jej w piersi. To mogło oznaczać, że jej wyprawa dobiegnie końca, nim się na dobre rozpocznie. Na szczęście

mężczyźni, obrzuciwszy ją spojrzeniem, wrócili do swoich drinków. Doświadczenia poprzedniego wieczoru chyba ich czegoś nauczyły. A może po prostu nie byli jeszcze dość pijani, żeby zaczepiać nieznaną kobietę. Za to z całą pewnością jej nie rozpoznali. Poczula lekki dreszcz satysfakcji na widok opatrunku na twarzy tłusciocha. Większym wyzwaniem był barman. W przeciwieństwie do tamtych dwóch był trzeźwy. Zamiast usiąść jak poprzednio przy stoliku, zajęła stołek przy barze. Z ulgą stwierdziła, że spojrzenia wyzywających blondyn są nieco łagodniejsze.

– Co pani podać? – zapytał barman.

Maria uśmiechnęła się szeroko. Miała piękne zęby i ze zdumieniem stwierdziła, że odcień szminki używanej przez Annę podkreśla ich biel i sprawia, że usta wydają się bardziej seksowne.

– Poproszę wódkę z colą. – Starą się zastąpić hanowerski akcent kolońskim. – Umówiłam się tu ze znajomym. Nie mogłam znaleźć tego baru i trochę się spóźniłam. Czy nikt nie zostawił dla mnie wiadomości?

– A jak ma pani na imię? – zapytał barman.

– Anna...

Barman poszedł zapytać pozostały personel.

– Nie. Nie mam żadnej wiadomości. Przygotować drinka mimo to?

– Czemu nie? – Maria znów się uśmiechnęła. Napięte mięśnie twarzy uświadomiły jej, jak dawno tego nie robiła.

Siedziała i sączyła wódkę, mając wrażenie, że tak jak poprzedniego wieczoru wszyscy ją obserwują. Na szczęście dzisiaj panowała nad sobą. Napięcie zaczynało mijać. Przy stolikach i barze siedziało sporo ludzi. Kilka osób stało w grupkach i głośno rozmawiało. W takim tłumie mogła pozostać niezauważona. Była tylko jedną z wielu samotnych młodych kobiet w tym lokalu. W pewnym momencie zauważyła, że część rozmów jest prowadzona w jakimś słowiańskim języku. Nie wiedziała, czy po polsku, rosyjsku, czy ukraińsku; wszystkie one brzmiały dla niej tak samo.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na dwóch mężczyzn, którzy



nagabywali ją w niedzielę wieczorem. Ten ze zranionym policzkiem w wyraźny sposób użalał się nad sobą, a jego kumpel od kieliszka miał równie posępną minę, choć starał się pocieszać kompana.

Maria od niechcienia obróciła się na barowym stołku. Po krótkiej chwili odnalazła Wiktora. Siedział przy stoliku w kącie, otoczony błękitnym dymem papierosowym. Rozmawiał z jakimś drugim mężczyzną, a jego dziewczyna siedziała ze znużoną miną. Mowa ciała Wiktora wskazywała, że w jakimś stopniu boi się swojego rozmówcy. Mężczyzna był odwrócony do Marii plecami, ale udało jej się zobaczyć jego profil. Zapamiętała też budowę ciała i kolor włosów, i nie miała wątpliwości, że zdoła go rozpoznać, kiedy wyjdzie z baru. Opróżniła szklanekę i wstała.

– A co z pani znajomym? – zapytał barman.

– Chrzącić go. Jego strata – rzuciła z promiennym uśmiechem i wyszła z baru.

### 3

Była środa, dwudziestego piątego stycznia. Buslenko zafundował swoim ludziom trzydniowe intensywne szkolenie. To nadal nie było wystarczające przygotowanie, ale zdawał sobie sprawę, że Witrenko ma tylu informatorów i podwójnych agentów w aparacie bezpieczeństwa Ukrainy, że przewagę mogli zyskać tylko dzięki szybkości i zaskoczeniu.

Buslenko i tak był pod dużym wrażeniem, Sasza dokonał właściwego wyboru. Już po trzech dniach spędzonych razem zdawało się, że ośmioro członków oddziału współpracuje od lat. Jedynym wyjątkiem była Olga Sarapenko. Służba w kijowskiej milicji sprawiła, że odróżniała się nieco od reszty. Sasza ręczył za nią, a Buslenko postanowił przyjąć ją do oddziału. Nie ulegało wątpliwości, że jest wystarczająco twarda, by podołać zadaniu, ale Buslenko trudno było zapomnieć o tym, jak bardzo go pociągała.

Tymczasem oddziałowi przyszło się zmierzyć z innym wrogiem, może jeszcze bardziej nieprzewidywalnym niż Witrenko.

Pogoda się pogorszyła i śnieg zasypał jedyną drogę prowadzącą do domku myśliwskiego. Buslenko od początku zdawał sobie sprawę, że wyznaczenie takiego miejsca spotkania wiąże się z podobnym ryzykiem. Mógł sobie pozwolić na kilka dni opóźnienia w rozpoczęciu misji. Krótko mówiąc, musieli się najpierw stamtąd wykopać.

Zdecydował, że trzeciego dnia wieczorem nie będą w ogóle rozmawiać na temat niebezpiecznej misji. Stojan odgrzał resztki wareników. Zjedli je i grali w karty, na zmianę pełniąc nocną wartę. Buslenko był naprawdę spokojny, kiedy nad ich bezpieczeństwem czuwał Worobiew. Jego wybrał osobiście i Worobiew miał odpowiadać za bezpieczeństwo wszystkich pozostałych. Wyszkolenie, jakie przeszedł w oddziale Tytan, sprawiło, że potrafił działać w dowolnym otoczeniu i bezbłędnie rozpoznawał zagrożenie. I nie miało znaczenia, czy jest to jakieś nieznane mu wcześniej niemieckie miasto, czy tonący w zaspach śniegu las. Worobiew kończył właśnie swoją dwugodzinną służbę i spóźniał się z powrotem o kilka minut.

Olga Sarapenko, ubrana w polar, wróciła do salonu. Powiedziała, że miała ochotę zapalić, i wyszła na papierosa przed dom.

– Widziałaś Worobiewa? – zapytał Buslenko.

Wzruszyła ramionami.

– Nie. Ale byłam tylko na werandzie. Może poszedł dalej drogą. Buslenko spojrzał na zegarek.

– Spóźnia się. To mu się nie zdarza. – Chwyił radiostację, wcisnął guzik nadawania i wywołał Worobiewa. Cisza. Wywołał go ponownie. Brak odpowiedzi.

Buslenko nie musiał wydawać rozkazu. Tieniszczew i Serduczka rozpięli ogromne, płócienne torby stojące w kącie i zaczęli z nich wyjmować fabrycznie nowe ukraińskie karabiny Wiepr, amunicję, a na koniec dwa AK-47 M.

– Światło! – zakomenderował Buslenko, dobywając z kabury pistolet Fort 17. W domu zapanowała ciemność. Księżyc nie był jeszcze w pełni, ale jego blask i tak odbijał się jaskrawo od śniegu. Buslenko przeczołgał się przez podjazd prowadzący do domku i zniknął w gęstym lesie. Nie znalazł żadnych świeżych

śladów. Spojrzał na swoich ludzi. Za chwilę okaże się, jacy są dobrzy. Pokazał na migi Tieniszczewowi, żeby dał mu noktowizor. Buslenko starannie przyjrzał się lasowi i skrajowi podjazdu, szukając śladów jakiegokolwiek ruchu. Nic.

Ręką dał znak swoim ludziom, żeby się rozproszyli i zaczęli poszukiwania. Oldze kazał zostać w domku.

Nie było szans, żeby poruszać się bezszelestnie. Śnieg przestał już sypać, ale ponieważ w nocy temperatura spadła, chrzęścił pod nogami i odbijał światło księżyca. Jeśli ktoś na nich czekał w ciemnościach, doskonale ich widział i słyszał. Buslenko gorączkowo myślał. Zdawał sobie sprawę, że coś tu nie gra. Worobiew był już mocno spóźniony. Wysłał po dwóch ludzi na boki – Tieniszczewa i Serduczkę w stronę lasu, a Stojana i Bielocerkowskiego w stronę rzeki. Sam ruszył środkiem ścieżki, nie kryjąc się, licząc, że jego ludzie zapewnią mu osłonę. Starał się wychwycić jakiś dźwięk zdradzający obecność wroga, ale szum rzeki skutecznie wszystko zagłuszał.

Skręcił, nie schodząc ze ścieżki. Miał teraz rzekę za plecami, a z obu stron las. Zaczekał, aż pozostali zrównają się z nim, kryjąc się w gąszczu drzew. Trzysta metrów dalej znalazł na ścieżce świeże ślady butów – butów Worobiewa; on jeden z nich wszystkich nosił obuwie rosyjskiego OMON-u. Buslenko przyklęknął i dał znak pozostałym, żeby posuwali się dwadzieścia metrów za nim na obu flankach. Ruszył śladem butów w las, w głębszy śnieg. Podejrzewał, że Worobiew szedł tędy, żeby coś sprawdzić. Buslenko czuł przyspieszone bicie swojego serca. Znajdował się zaledwie o kilka kilometrów od rodzinnego miasta, ale wiedział, że jest teraz na wojnie. Najwyraźniej Witrenko postanowił nie czekać, aż pojawią się w Niemczech, i rozprawić się z nimi na miejscu. Nagle zamarł w bezruchu. Jakies dwadzieścia metrów przed nim widniała rozświetlona przez blask księżyca przecinka w lesie. Wymierzył broń w klęczącą na jej skraju, nieruchomą postać. Zbliżył się jak najciszej, nie spuszczając z oczu klęczącej postaci. Był gotów strzelić, gdyby tylko klęczący człowiek obrócił się na dźwięk jego kroków. Nagle noga Buslenki wpadła w wypełnioną śniegiem dziurę. Mężczyzna w przecince musiał usłyszeć towarzyszący

temu cichy trzask. Mimo to nie poruszył się. Buslenko podszedł jeszcze bliżej. Z tej odległości rozpoznał już czarną puchową kurtkę z kapturem naciągniętym na głowę tajemniczej postaci.

– Worobiew! – syknął. – Worobiew... nic ci nie jest? – Nie padła żadna odpowiedź. Zrobił kilka kroków naprzód. – Worobiew!

Dał znak pozostałym, żeby do niego dołączyli. Stojan i Bielocerkowski wyrosli przed nim jak spod ziemi.

– Gdzie jest Tieniszczew i Serduszka? – zapytał Buslenko.

– Byli tam jeszcze minutę temu... – odparł Tatar.

Buslenko przecesał las po prawej. Nie znalazł żadnego śladu dwóch żołnierzy specnazu. Nie słyszał też żadnego dźwięku.

– Oślaniajcie mnie – polecił. – Mamy tu wroga.

Podczołgał się w śniegu do kłęczącej postaci.

– Worobiew!

Buslenko już od kilku minut wiedział, czego się spodziewać. Na śniegu przed kłęczącym Worobiewem widniała ciemna plama. Dotknął jego ramienia i ciało upadło do tyłu. Worobiew miał poderżnięte gardło; w świetle księżyca krew połyskiwała zimnym, ciemnopurpurowym blaskiem.

– Szlag by to! – Buslenko omiół wzrokiem skraj przecinki, szukając śladów obecności nieprzyjaciela. Po chwili wrócił w miejsce, gdzie zostawił Stojana i Bielocerkowskiego.

– Nie żyje. Worobiew był jednym z najlepszych w tym fachu. Ten, który go podszedł, musiał być jeszcze lepszy. Mamy kłopoty.

– Witrenko?

– Bóg jeden wie, jak zdołał nas tu wytropić, ale to na pewno on.

– A co z Tieniszczewem i Serduszką? – zapytał Bielocerkowski. – Oni też?

Buslenko nagle przypomniał sobie o Oldze Sarapenko.

– Musimy wracać do domku. Szybko!

Spojrzał na leżące na stole ciało.

Dla Olivera śmierć nie stanowiła żadnej tajemnicy. Przywykł

do niej. W końcu tyle trupów widział przez te wszystkie lata. Wciąż pamiętał swoją pierwszą ofiarę. Patrzył jej w twarz i widział człowieka, a nie martwe ciało; kogoś, kto miał swoje życie i osobowość, kogoś, kto marzył i śmiał się, czuł promienie słońca na twarzy. Widział rozstępy po dawnych ciążach, bliznę na kolanie z dzieciństwa, zmarszczki wokół ust powstałe od częstego uśmiechania się. A potem wbił w nią nóż i zaczął rozcinać i wtedy przestała być człowiekiem. Później, po tym pierwszym razie, było już łatwiej. Nadal patrzył na twarz, nim zaczynał ciąć, ale nigdy już nie myślał, kim były ofiary. Teraz stanowiły dla niego tylko zimne ciała – zimne z powodu śmierci i przebywania w lodówce, gdzie czekały, aż będzie gotowy.

Wziął głęboki wdech i przystąpił do pracy. Rozczłonkowanie ludzkiego ciała jest znacznie cięższą pracą fizyczną, niż można by przypuszczać. Zwłoki to ciężka, martwa masa, o różnej gęstości, od niemal ciekłej po żylastą i twardą. Są tam narządy i kości, skóra i tłuszcz, chrząstki i ścięgna. Rozcięcie materiału, z którego składa się ludzkie ciało, wymaga solidnych narzędzi, czasem nawet elektrycznych. Oliver miał w zasięgu ręki wszystko, czego potrzebował. Nóż do chleba. Piłę elektryczną. Piłę ręczną. Obcęgi. Nożyce. Nóż.

Rozpoczął, jak zwykle, od obejścia stołu dookoła i przyjrzenia się pozbawionemu życia ciału. Martwy mężczyzna wciąż był jeszcze ubrany. Oliver zauważył, że nasączony krwią T-shirt i kuchenny kombinezon weszły w głąb ciętych ran. Policzył na głos cięcia, niektóre otwarte, ukazujące podskórne warstwy bladego tłuszczu, i ciemniejsze, twardsze tkanki mięśni i ścięgien. Z niektórych nacięć wystawały kości. Oliver przyjrzał się dokładniej ranom, w których tasak naciął kość.

W pomieszczeniu znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn; razem pomogli Oliverowi przewrócić zwłoki na brzuch. Oliver zbadał plecy ofiary. Tu ran było mniej, choć były one równie głębokie.

– Rozbierzmy go – polecił i dwaj mężczyźni bez słowa pomogli mu rozciąć i zdjąć z nieboszczyka ubranie. Kiedy ciało było nagie, Oliver ponownie okrążył stół, głośno wypowiadając swoje myśli.

Była to jedna z pierwszych rzeczy, których Oliver nauczył się, pracując jako lekarz sądowy – nie spieszyć się i uważnie patrzeć. Czynić obserwacje. Często porównywał swoje zajęcie do pracy archeologa, któremu technika, nauka i fachowe umiejętności pomagały odkrywać tajemnice przeszłości. Ale najpierw trzeba było, tak jak to czynił archeolog, przyjrzeć się krajobrazowi i wybrać miejsce, gdzie należy kopać.

– Zwłoki należą do mężczyzny po dwudziestce, o drobnej budowie ciała. Liczne rany wskazują na użycie ostrego narzędzia... – Patrząc na ciało, Oliver mówił na głos do dyktafonu. – Rany cięte i szarpane wskazują, że zmarły przemieszczał się podczas napaści. Większość ran została zadana z przodu, choć z tyłu też jest ich sporo. – Oliver skinął na technika i drugiego asystującego mu lekarza sądowego. Zmierzyli ciało miarką. Oliver bez pośpiechu badał każdy ślad, każde zadrapanie na ciele, opisując je głośno. Mężczyzna leżący na stole sekcyjnym został porąbany, ale Oliver nie widział jego przerażenia i bólu, skupił się na metodycznym opisie zadanych ran, mierzeniu ich wielkości i głębokości. Dla Olivera śmierć była niczym więcej jak punktem w czasie, chwilą, która dzieliła obrażenia na przedśmiertne i pośmiertne. W ciągu tych kilku sekund towarzyszących śmierci rozpoczyna się zupełnie nowa chronologia. Komórki zaczynają się rozkładać, krew, dotąd krążąca nieprzerwanie w żyłach, opada do najniższej położonych części ciała i zabarwia na purpurowo posiniałą skórę; procesy chemiczne zachodzące w mięśniach ustają, powodując stężenie pośmiertne; bakterie we krwi i narządach zaczynają wydzielać gazy wypełniające wszystkie jamy ciała i tkanki miękkie.

Oliver zaczął od głowy i przesuwając się do stóp, głośno komentował topografię ciała. A przy tym obserwował, mierzył, czynił uwagi. Zaznaczył na mapie ciała każdą z ran, ciętą, o gładkich krawędziach, i szarpaną, gdzie ostrze zagłębiło się w ciało, rozrywając brzeg rany. Dla lekarza sądowego była to bardzo istotna różnica. Kiedy skończył, dał znak technikowi, który uniósł głowę martwego mężczyzny i wyjął spod niej podgłówek.

Oliver wrócił myślami do swojego dzieciństwa i wspomnień

o ojcu krojącym mięso. To było tak dawno temu. Technik wykonał skalpelem nacięcie w kształcie litery U na linii włosów. W tym czasie Oliver rozciął klatkę piersiową – jednym ruchem od zewnętrznej krawędzi jednego obojczyka, do krawędzi drugiego, a potem od gardła aż po pachwinę. Rozsunął płaty skóry i tkanki podskórnej, odsłaniając wnętrze klatki piersiowej. Z powodu licznych nacięć było to bardziej skomplikowane niż zazwyczaj. Oliver nie mógł się też uwolnić od podekscytowania na wspomnienie tego, co wydarzyło się w hotelu. Wziął do ręki nożyce, które wyglądały tak, jakby służyły do pielęgnacji róż w ogrodzie i zaczął rozcinać klatkę piersiową. Wykonał dwa cięcia – jedno na prawo i drugie na lewo od środka, wzdłuż linii środkowoobojczykowej, tam gdzie żebra są zbudowane z chrząstki. Usunął mostek i odsłonił worek osierdziowy, który rozciął mniejszymi nożycami.

Oliver zdawał sobie sprawę, że w końcu zostanie złapany. Był człowiekiem inteligentnym, a z racji wykonywanego zawodu miał ciągłą styczność z policją. Wiedział, że za każdym razem, kiedy robił to, co robił, ryzyko aresztowania rosło w postępie geometrycznym. Wziął do ręki długi, ostry nóż, znany jako nóż do chleba, i wyciął serce. Asystujący mu patolog odessał strzykawką z serca trochę krwi i ułożył je w naczyniu. Oliver rozsunął skórę na szyi. Jeden z ciosów trafił ofiarę w szyję, musiał więc odsłonić gardło, rozcinając je od klatki piersiowej po podbródek. Przyjrzał się miejscu, gdzie ostrze tasaka niemal całkowicie uszkodziło mięsień mostkowo-obojczykowo-sutkowy. I ten właśnie cios był bezpośrednią przyczyną śmierci. Ofiara umarła z upływu krwi z licznych ran ciętych, ale przecięcie tętnicy obojczykowej znacznie przyspieszyło krwawienie. Oliver wyobraził sobie śmierć tego człowieka, choć zwykle tego nie robił. Ofiara musiała być w szoku, zrobiło jej się potwornie zimno, a potem szybko straciła przytomność i umarła.

Być może policja ma już jakieś podejrzenia; może Oliver powiedział coś lub zrobił, może zostawił jakiś ślad, który doprowadzi śledczych do niego. Może nawet już go obserwują. Czeka ją, aż zrobi to jeszcze raz.

Zrobił nacięcie i dostał się do jamy otrzewnowej. Nożem

odciął narządy znajdujące się w szyi i usunął język oraz tchawicę. Potem ostrożnie uniósł wciąż połączone ze sobą oślizgłe płuca, oskrzela i aortę. Z wielką uwagą odciął od krezki siedem metrów jelita cienkiego i grubego, i wyjął je z jamy otrzewnowej. Z doświadczenia wiedział, że uszkodzenie jelit może spowodować wypływ ich treści, której smród jest dziesięć razy silniejszy od mieszaniny wymiocin i ekskrementów. Następnie usunął wątrobę, trzustkę, śledzionę i żołądek, nie oddzielając ich od siebie. Nie, pomyślał, to nie ma sensu. Gdyby policja go podejrzewała, zostałyby natychmiast odsunięty od obowiązków zawodowych.

W czasie gdy asystent zajęty był ważeniem narządów, Oliver usunął kolejną ich partię, tym razem nerki, pęcherz moczowy i aortę brzuszną. Wnętrze ciała ofiary było teraz puste; widać było szaro-biały kręgosłup. Oliver zajął się głową. Usunął mózg i zbadał wewnętrzną powierzchnię czaszki. Kiedy wytrzewienie zostało zakończone, pobrał próbki do badań histopatologicznych i zanurzył je w naczyniu z formaldehydem. Nie było potrzeby trzymać całego mózgu w formalinie. Widać było, że mózg nie uległ żadnemu uszkodzeniu, dlatego Oliver odciął tylko plaster potrzebny do badań toksykologicznych. Kolejną godzinę zajęło mu szczegółowe badanie skóry w miejscu urazów.

Po skończonej autopsji umył się i wrócił samochodem do domu. Miasto skrzyło się nocnym, mokrym blaskiem. Uśmiechnął się do siebie. Podekscytowanie zniknęło. Jakiś wewnętrzny głos uspokajał go: nie, nie złapią cię. Jesteś zbyt bystry. A wkrótce rozpocznie się karnawał.

## 5

Minęło pół godziny, nim mężczyzna, z którym rozmawiał Wiktor opuścił bar. Wyszedł sam, ale Maria go poznała. Był niższy od Wiktora i nie tak potężnie zbudowany, ale coś w jego postawie i sposobie poruszania się mówiło Marii, że to jest ten „żołnierz”, o którym wspomniał Sławko. Maria dokładnie przestudiowała sylwetki sowieckich i postsowieckich żołnierzy specnazu. Jednym z kryteriów doboru ludzi do tej jednostki był



niezbyt wysoki wzrost i nie nazbyt muskularna postura. Ci ludzie musieli wtapiać się w tło, czy to była pustynia, czy dżungla, czy duże miasto. Ale zawsze zdradzał ich sposób poruszania się. Teraz Maria nie miała wątpliwości, że widzi przed sobą byłego żołnierza specnazu. Oraz że udało jej się poczynić znaczący krok w poznaniu struktury organizacji Witrenki.

Czuła lęk. Zdawała sobie sprawę, że śledzenie takiego osobnika to zupełnie inna para kaloszy. W przeciwieństwie do Wiktora, facet przypuszczalnie wiedział, gdy ktoś go śledził. Miała tylko jedną szansę.

Ukraińiec wsiadł do średniej klasy bmw i odjechał. Maria zaczęła, aż rozdzieli ich kilka pojazdów, i włączyła się do ruchu. Woląa zgubić obiekt, niż dać się przyłapać na tym, że go śledzi. Wyjechali z dzielnicy Nippes. Maria prowadziła jedną ręką, rzucając co chwila okiem na trzymany w drugiej ręce plan miasta. Wyglądało na to, że jadą Kempener StraÙe w kierunku Neu Ehrenfeld, a więc być moÙe na autostradę. Rozpadało się i Maria musiała ustawić wycieraczki na najszybszy tryb. Od nagłego wyrzutu adrenaliny, kiedy sprawdzała w barze jakoÙ swojego kamuflaÙu, i od nieustannego wpatrywania się w tylne światła bmw rozboleła ją głowa.

Wjechali na autostradę i skierowali się na północ. Maria nieco się rozluźniła. Teraz mogła się trzymać jeszcze dalej za bmw, dodając gazu tylko przed kolejnymi zjazdami z autostrady, na wypadek gdyby on chciał skręcić. W końcu Kolonia znikła z widoku, a oni jechali dalej w stronę Düsseldorfu. Nagle bmw zjechało z autostrady bez zasygnalizowania tego kierunkowskazem. Maria poczuła nieprzyjemny ucisk w piersi. Czy fakt, że nie włączył kierunkowskazu, miał jakieÙ znaczenie? Włączyła kierunkowskaz i zjechała za nim z autostrady. Na ślimaku straciła śledzony pojazd z oczu. Deszcz wciąż bębnił w szybę, a nieoświetlony łuk drogi wydawał się pełen drzew. Dalej droga prowadziła prosto do skrzyÙowania. Przed i za sobą miała tylko ciemnoÙ. Nie widziała żadnych tylnych światel. Zatrzymała się. Ani przed nią, ani za nią nie było żadnego samochodu. I tylko krople deszczu połyskiwały w rozjarzonych światłach jej reflektorów. Westchnęła. Pogodziła się z faktem, że straciła go

z oczu. Teraz pozostawało jej czekać na niego pod barem, gdzie być może regularnie spotykał się z Wiktorem. Uruchomiła ponownie silnik i ruszyła.

Wiedziała, że jadąc dalej tą drogą, może się zgubić, postanowiła więc zawrócić do autostrady. Promień skrętu saxo był niewielki, mogła więc zawrócić na drodze, nie szukając żadnego skrzyżowania. Spojrzała w lusterko wsteczne. Pusto. Zawróciła, zahaczając tylko prawym przednim kołem o pobocze. W tej samej chwili oślepiły ją długie światła bmw. Samochód Ukrainca jechał z ogromną prędkością niewłaściwą stroną drogi wprost na nią. W dodatku wyłączył światła. Maria szarpnęła kierownicą i bmw minęło ją, zahaczając o tylny błotnik saxo i wprowadzając go w poślizg. Wyszkolenie Marii wzięło górę nad instynktem i szybko wyprostowała koła. Wcisnęła do oporu pedał gazu i mały samochodzik wyrwał do przodu szybciej, niż się spodziewała. Spojrzała w lusterko wsteczne. Bmw musiało zawrócić na trzy razy, dzięki czemu oddaliła się spory kawałek.

Umysł Marii pracował na pełnych obrotach. Bydlaku, pomyślała, zgasiłeś światła i przyczałeś się na leśnej drodze. Zdawała sobie sprawę, co zamierzał: chciał ją zepchnąć z jezdni, a potem pewnie rozbić jej głowę i upozorować śmiertelny wypadek. Może w taki sam sposób postąpili z Turczenką, ukraińskim śledczym, który był na tropie Witrenki. Maria czuła dławiący ją strach, a jednocześnie radosne podniecenie. I wyzwanie. Nie ma mowy, ten skurwiel nie da jej rady.

Zobaczyła za sobą światła bmw. Minęły ją dwa samochody jadące w przeciwnym kierunku, a potem już nic. Ukrainiec wiedział, że to dość odludny odcinek drogi i specjalnie ją tu zwabił. Bmw wciąż jeszcze znajdowało się dość daleko w tyle, ale szybko się zbliżało. Gdyby droga była bardziej kręta, miałyby większe szanse: saxo miał dobre przyspieszenie i niezłe się trzymał drogi na łukach, ale na prostej nie mógł się równać z potężnym bmw. Wcisnęła pedał gazu do oporu, starając się utrzymać dystans, i jednocześnie intensywnie myślała. On był żołnierzem. Ze specnazu. Pewnie potrafiłby zabić człowieka spinaczem do papieru w czasie burzy śnieżnej, ale w tym otoczeniu nie miał aż tak wielkiej przewagi. Przed sobą zobaczyła

łagodny zakręt. Na trzydzieści, czterdzieści sekund straci ją z oczu. Wjechała w zakręt z dużą prędkością. Deszcz wciąż bębnił w przednią szybę. Rozpięła pasy bezpieczeństwa i zgasła światła. Zawróciła w miejscu z największą możliwą prędkością, nie tracąc przyczepności na mokrym od deszczu asfalcie. W tej samej chwili zza zakrętu wyłoniło się bmw. Maria wcisnęła hamulec, zatrzymała się po przeciwnej stronie drogi i wyskoczyła z samochodu.

## 6

Trzech żołnierzy specnazu szło wzdłuż brzegu rzeki Teterew. Buslenko wyliczył, że przy takim świetle księżycy każdy, kto spróbuje się do nich zbliżyć, będzie dobrze widoczny na tle nieba. Kiedy dotarli do domku myśliwskiego, wewnątrz panowały ciemności, a drzwi wejściowe były szeroko otwarte. Buslenko posłał Stojana na tyły domku, Bielocerkowskiemu kazał się osłaniać, a sam wbiegł do środka.

– Sarapenko?

– Tutaj – odpowiedziała Olga i włączyła lampę na stole. W dłoni trzymała wycelowany w niego pistolet. Zabezpieczyła go i opuściła lufę.

– Bardzo dobrze... – Buslenko uśmiechnął się. – Ale zgasł światło. Mamy kłopoty.

– Worobiew?

Buslenko pokręcił głową.

– Obawiamy się, że Tieniszczew i Serduczka też.

Bielocerkowski wpadł do domku i zamknął za sobą drzwi. Od tyłu wszedł Stojan.

– Na tyłach czysto. Ale jest też zła wiadomość. Ktoś uszkodził samochody. Jeśli chcemy się stąd wydostać, musimy iść.

– Ułatwimy im zadanie – zauważył ponuro Bielocerkowski.

– Dosyć – rzucił Buslenko. – Nie pozwolę, żeby Witrenko zrobił ze mną to samo co z Worobiewem.

– Myślisz, że on gdzieś tu jest? – zapytała Olga.

– O tak. Jeśli ma na oku wyjątkową zwierzyńkę, lubi zapoławać osobiście. – Zmarszczył czoło. – Zabawne... Wczoraj po-

wiedziałem komuś to samo. – Na myśl o Saszy poczuł gwałtowny uścisk w piersi. Sasza nie był żołnierzem, tylko analitykiem. Stanowił łatwy cel. Na twarzy musiały mu się odmalować ponure myśli.

– Coś nie tak? – spytała Olga.

– Facet, który skompletował ekipę... Tylko on wiedział, że tu będziemy. Musieli do niego dotrzeć.

– Zdradził?

– Nie... – Buslenko pokręcił głową. – Nigdy. Nie Sasza. Musieli go... – Urwał w pół zdania.

Bielocerkowski położył mu dłoń na ramieniu.

– Jeśli to on, już nie cierpi. Nie zostawiliby go żywego, kiedy już wszystko im powiedział.

## 7

Wyłoniwszy się zza zakrętu, bmw zaczęło gwałtownie hamować, kiedy kierowca dostrzegł na swojej drodze saxo Marii, ale opony straciły przyczepność na mokrej nawierzchni. Kierowca skontrował kierownicą, dodał gazu i ominął przeszkodę. Kiedy mijał stojącą na poboczu Marię, ta wycelowała swój nielegalnie zdobyty pistolet w bok mknącego z dużą szybkością samochodu. Wystrzeliła serię sześciu pocisków, roztrzaskując w drobny mak boczną szybę. Samochodem zakołysało na boki, ale po chwili kierowca zapanował nad nim i dodał gazu. Maria strzeliła jeszcze trzykrotnie do oddalającego się pojazdu.

Patrzyła jeszcze chwilę za niknącym w oddali bmw, potem wyjęła z kieszeni drugi magazynek i wcisnęła go w kolbę pistoletu, przeładowała i z wyciągniętymi przed siebie rękoma czekała na powrót prześladowcy. Serce waliło jej jak młotem. Bmw nie wróciło. Deszcz przykleił jej świeżo ufarbowane czarne włosy do skóry. Była zziębnięta do szpiku kości.

Mimo to czuła się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy.

Ten bydlak sądził, że Marta będzie łatwym łupem. Ona sama też się tak postrzegała. Ale teraz zwierzyzna przeistoczyła się w myśliwego. Wystrzeliła dziewięć pocisków w kierunku samo-

chodu – któryś musiał go trafić. Wróciła do samochodu, zawróciła i ruszyła śladem bmw.

8

Siedzieli w domku myśliwskim od trzech godzin. Nie zapalili świateł.

– Nie rozumiem – rozmyślał na głos Buslenko. – Dlaczego nie kończą z nami. Jest nas tylko czworo. Wokoło pustkowie. Mogliby nas spokojnie załatwić i nikt by się niczego nie domyślił. Gdzie oni są?

Stojan przytaknął szefowi.

– To rzeczywiście nie ma sensu. Dobrze zatarli za sobą ślady. Może czekają, aż stąd wyjdziemy?

Bielocerkowskiemu nagle przyszła do głowy myśl.

– A może ich tam wcale nie ma? – wykrztusił w końcu. – Może powinniśmy się martwić obecnością wroga we własnych szeregach?

– Co ty wygadujesz? – rzucił Buslenko.

– Może nie ma tu w okolicy ludzi Witrenki – upierał się Bielocerkowski. – Może mamy do czynienia z kretem?

– Bzdura – odparł Stojan, choć minę miał niepewną.

– Taras ma rację. Tylko jego przyjaciel wiedział, gdzie będziemy – ciągnął myśl Bielocerkowski. – To stawia nas poza kręgiem podejrzanych. – Popatrzył na Olgę Sarapenko. – Ale ona nie jest jedną z nas. Skąd mamy wiedzieć, czy nie siedzi w kieszeni Witrenki?

– Nonsens – zaprotestował Buslenko.

– Nie, nie... Zaczekajcie chwilę – wtrącił się Stojan. – Przecież to ona była na zewnątrz na krótko przed tym, jak zginął Worobiew.

Buslenko pociemniał na twarzy.

– Dość! Chcecie mi wmówić, że ona – wskazał ruchem głowy Olgę – potrafiłaby podejść najlepszego żołnierza, z jakim kiedykolwiek służyłem? Bez urazy, pani kapitan.

– Nie czuję się urażona – odparła. – Sama wiem, na co mnie stać. Ale może dlatego do tej pory z nami nie skończyli. Może

czekają, aż sami sobie skoczmy do oczu.

– Słuszna uwaga. – Mina Buslenki wskazywała, że już podjął decyzję. Spojrzał na zegarek. – Za dwie godziny zrobi się jasno. Do tego czasu musimy wydostać się z lasu. Pakujcie ekwipunek. Ruszamy piechotą.

Stojan, idziesz przodem. – Buslenko spojrział w niebo. Księżyc wisiał nisko nad czubkami drzew. Dziękował Bogu za tych kilka chmur, które napłynęły z zachodu. – Pani kapitan, mam nadzieję, że potrafi się pani tym posługiwać... – Wręczył jej karabin szturmowy Wiepr.

– Dam sobie radę.

Buslenko wskazał rzekę na lewo od domku.

– Tak jak poprzednio, idziemy brzegiem. Trzymajcie się razem i bądźcie cicho. Jeśli napotkamy przeciwnika, to od strony lasu. Jeśli zechcą zaatakować, będą musieli się odsłonić. Musimy tylko uważać na granaty. Możliwe też, że przewidzieli nasz ruch i położyli miny. Uważajcie na rozciągnięte nisko nad ziemią druty.

Buslenko spojrział na Stojana i zaczął odliczać na palcach. Na jeden, Stojan wybiegł z chaty i ruszył pędem w poprzek podjazdu w kierunku brzegu rzeki. Biegł nisko pochylony, prawie w kucki, ale mimo to szybko. Buslenko czekał. Nie padł żaden strzał. Stojan dał znak, że teren jest czysty, i Buslenko kazał biec Oldze, a potem Bielőcerkowskiemu. Nikt ich nie atakował.

To nie miało sensu. Teraz był najlepszy moment, żeby ich wystrzelać jak kaczki. Wyglądało na to, że uciekają przed duchem. A może Bielőcerkowski miał rację? Może to jeden z nich zdradził? Z drugiej strony nie potrafił sobie wyobrazić, żeby ktoś z ocalałych był w stanie podejść Worobiewa. A już na pewno nie kobieta.

Buslenko dokładnie obejrzał przez noktowizor skraj lasu. W końcu sam pobiegł po skrzypiącym śniegu w kierunku brzegu rzeki.

Maria spędziła trzy godziny na poszukiwaniach bmw. Była pewna, że znajdzie go gdzieś na poboczu z Ukraińcem osuniętym bezwładnie na kierownicę. Była też szczerze zaskoczona faktem, że nie czuje dla kierowcy żadnego współczucia. A przecież zabiła kolejną istotę ludzką, a przynajmniej ciężko zraniła. Z drugiej strony on też próbował ją zabić, a tacy ludzie jak on, to handlarze śmiercią. Maria zawróciła, szukając śladów skręcania, które mogła przeoczyć, ale nie znalazła żadnych. Ukraińiec uciekł. Spojrzała na wskaźnik poziomu paliwa. Zbliżał się do zera i nie miała pewności, czy zdoła dojechać do autostrady i z powrotem do Kolonii. Sama też czuła się, jakby zabrakło jej paliwa. Ogarnęło ją zmęczenie. Dotarła w końcu do skrzyżowania, skąd rozchodziły się drogi do Düsseldorfu, Kolonii i autostrady A57. Wjechała na autostradę i ruszyła w stronę miasta.

Buslenko obliczył, że w ciągu ostatniej godziny pokonali około pięciu kilometrów. To całkiem niezły wynik, biorąc pod uwagę nierówności terenu oraz panujący mrok. Nie natrafili na żadne miny, nie wpadli w zasadzkę. W Buslence narastało przekonanie, że pomiędzy drzewami nie czai się żaden wróg. Olga Sarapenko radziła sobie zaskakująco dobrze, biorąc pod uwagę, że nie przeszła tak morderczego treningu jak pozostali.

– Odpoczynek – zarządził.

– Mówię ci... – Bielocerkowski rzucił się na ziemię tuż obok Buslenki i oparł plecami o zamarzniętą nadrzeczną skarpe – Nie ma żadnych napastników. To musiał zrobić ktoś z nas.

– Dokąd idziesz?! – zawołał Buslenko do Stojana, który zaczął wspinać się na szczyt skarpy.

– Chcę się rozejrzeć, szefie. Będę uważał. Poza tym muszę się odlać.

Buslenko skinął głową i wrócił do rozmowy z Bielocerkowskim.

– To nie mógł być żaden z nas. Myślałem o tym. Nikt z naszej czwórki nie miał okazji. Kapitan Sarapenko była na zewnątrz niecałe dziesięć minut. Podejście Worobiewa zajęłoby jej więcej czasu. Ty, Stojan i ja cały czas siedzieliśmy w środku.

– Nie wiemy, gdzie dokładnie zabito Worobiewa – odparł Bielocerkowski.

W lesie rozległo się pohukiwanie i nagle nad ich głowami przeleciała z głośnym łopotem skrzydeł sowa. Obaj bez namysłu skierowali broń w jej kierunku. Minęła chwila nim się rozluźnili.

– Robimy się nerwowi – zauważył Buslenko. – A co do Worobiewa, to chyba wiem, kiedy zginął. Jego ciało było jeszcze ciepłe. Przy tej temperaturze powietrza oznacza to, że zginął wtedy, kiedy miał zejść z posterunku. I nie zabiły go duchy, więc lepij miejmy się na baczności.

Stojan przykucnął na szczycie skarpy i obserwował okolice rzeki. W oddali widział światła Korostyszewa. Powinni tam dotrzeć za niecałą godzinę, ale zaczęło się już rozwidniać i ten etap ich podróży będzie najbardziej ryzykowny. Przeniósł spojrzenie na skraj lasu. Pierwsze trzy rzędy pni były widoczne, dalej panowały ciemności. W lesie będzie ciemno jeszcze przez kilka godzin. Postanowił namówić Buslenkę do odbicia od rzeki i wykorzystania lasu jako osłony. Będą poruszać się wolniej, ale zmniejszy się niebezpieczeństwo. Dał znak Buslence, przykładając dwa rozcapierzone palce do oczu, a potem wskazując dłonią najbliższą okolicę. Buslenko kiwnął głową, informując Stojana, że zgadza się, żeby zrobił mały rekonesans.

Stojan przebiegł wąski pas otwartej przestrzeni pomiędzy skarpią a lasem. Przywarł plecami do pnia drzewa i sięgnął po mały noktowizor, żeby sprawdzić, co się dzieje w głębi lasu. Nie zobaczył niczego. Dosłownie. Nawet noktowizor nie potrafił przebić się przez panujące w lesie ciemności.

– Stojan!

Obrócił się i skierował noktowizor w kierunku, z którego dochodził głośny szept.

– Stojan! Tutaj!

Stojan nie odpowiedział. Starał się zlokalizować głos na tyle



dokładnie, by trafić wołającą go osobę serią z karabinu.

– Stojan! To ja, Tieniszczew!

Stojan ruszył powoli w jego kierunku, skulony tak, by stanowić jak najmniejszy cel, z bronią skierowaną w stronę, skąd dochodził głos.

– Tutaj. – Zza krzaków rosnących na skraju lasu wyłonił się Tieniszczew. Był obdarty, brudny i nie miał broni. Ciemna plama na jego twarzy wyglądała jak krew. – Chodź tutaj... ale spokojnie. Gdzieś tu jest Serduczka. Śledził cię. Serduczka to zdrajca. Zabił Worobiewa, a potem próbował zabić mnie.

Stojan podbiegł do krzaków i obaj ukryli się w ich gąszczu. Tieniszczew sprawiał wrażenie wystraszonego. Miał rozdartą kurtkę. Kiedy Stojan jej dotknął, okazało się, że jest mokra. Stojan obejrzał koniuszki swoich palców, były śliskie od krwi.

– Wszystko w porządku? – zapytał. Tieniszczew kiwnął głową, ale Stojan odebrał mu karabin i rozchylił kurtkę w miejscu, gdzie była nasączona krwią.

– Więc mówisz, że Serduczka zabił Worobiewa?

– Tak... – odparł Tieniszczew. – Trudno w to uwierzyć, co? A wiesz, w co jeszcze trudniej uwierzyć...?

Stojan spojrzął błędnym wzrokiem w oczy Tieniszczewa. Poczul, że nie może oddychać. Opuścił wzrok i zobaczył rękojeść myśliwskiego noża, który Tieniszczew wbił w jego mostek.

– ...że ja też – dopowiedział Tieniszczew, patrząc w martwe już oczy Stojana.

Buslenko i Bielocerkowski przez dobry kwadrans leżeli na ziemi i obserwowali skraj lasu. Niebo niebezpiecznie pojaśniało.

– Musimy się zbierać – rzucił Buslenko.

– Nie możemy tak zostawić Stojana.

– Stojan nie żyje – powiedziała z przekonaniem Olga Sarapenko. Stała poniżej nich, nad rzeką i obserwowała drugi brzeg. – I my też zginiemy, jeśli nie uciekniemy z tego odludzia. Witrenko nie bez powodu wziął nas na cel tutaj. Albo chciał się za-

bawić w polowanie i traktuje nas jak stado dzików, albo uznał, że w Niemczech będziemy stanowić dla niego zbyt duże zagrożenie.

– Nigdy nie dotrzemy do Niemiec – rzekł bezbarwnym głosem Bielocerkowski.

– Nie dopadnie nas tutaj – odparła z przekonaniem Olga. – Zamierzam patrzeć, jak ten sukinsyn umiera.

Buslenko uśmiechnął się i odwrócił do Bielocerkowskiego.

– Gotowy do biegu?

Bielocerkowski przytaknął. Nagle jego uwagę przykuło coś widniejące wysoko na jaśniejącym niebie.

– Kryć się! – wrzasnął.

## 12

Maria zamierzała spać do przedpołudnia. Zawiesiła na klamce przywieszkę „Nie przeszkadzać”, rzuciła się na łóżko i niemal natychmiast zasnęła. Kiedy się obudziła, ze złością stwierdziła, że leży w ubraniu, na dodatek nie umyła zębów i czuła w ustach niesmak. Leżała przez chwilę, nie pamiętając, jaka jest przyczyna przyporządkowanego o mdłości bólu w piersiach. Wreszcie przypomniała sobie, jak strzelała w kierunku samochodu. Pewnie kogoś zabiła. Popełniła zbrodnię, której powinna zapobiegać. W sądzie mogła się tłumaczyć, że działała w obronie własnej. Tyle że pistolet zdobyła nielegalnie. No i jej intencje – strzelała do samochodu po to, żeby zabić Ukraińca. Nie miała już prawa tytułować się oficerem policji. Wymierzyła sprawiedliwość na własną rękę.

Podeszła do okna i rozsunała zasłony. W mieszkaniu naprzeciwko nie paliły się światła, a przeszklone drzwi prowadzące na taras na dachu były zasłonięte ciężką kotarą. Posępne niebo migotało pierwszym blaskiem. Dopiero świtało, ale Maria wiedziała, że już nie uda jej się zasnąć. Patrzyła beznamiętnie na rozjaśniające się niebo. Czas zacząć działać.

Rozebrała się, wzięła prysznic i spakowała bagaże. Zeszła do recepcji i wymeldowała się. Hotel jej odpowiadał, ale zameldowała się w nim pod prawdziwym nazwiskiem i używała karty

kredytowej, a poza tym personel z pewnym zaskoczeniem obserwował przemiany, jakim ulegał jej wygląd. Zamierzała przenieść się do innego hotelu w tej samej okolicy. Tym razem zapłaci gotówką i zatrzyma się w nim przez kilka dni. Dopiero potem przeniesie się do mieszkania przyjaciółki, która wyjechała do Japonii.

Wyszła z bagażami przed hotel, nie mając zielonego pojęcia, jak natrafić znowu na ślad Witrenki.

### 13

Nie było żadnej kryjówki. Wszyscy widzieli ciemny, okrągły przedmiot, lecący w powietrzu łukiem w ich kierunku. Rzucili się, każde w inną stronę, rozpaczliwie próbując się schronić i czekając na wybuch, który pozbawi ich życia.

Eksplozja nie nastąpiła.

Buslenko dostrzegł ciemny przedmiot leżący na śniegu i podczołgał się do niego. To była głowa. Chwycił ją za włosy i obrócił twarzą do siebie. Stojan. Biełocerkowski był już przy Buslenku i patrzył na śniadą, przystojną twarz Tatara.

– Bydlaki! Zabiję skurwysynów! – Biełocerkowski zerwał się z ziemi, ale Buslenko chwycił go za rękaw i przytrzymał.

– Nie zachowuj się jak pieprzony amator – skarcił go. – Wiesz dobrze, co tu jest grane. Nie wolno tracić zimnej krwi. Wynosimy się stąd. Spróbujemy szczęścia nad rzeką. Musimy działać szybko.

Biełocerkowski skinął stanowczo głową i Buslenko wiedział już, że podwładny się opanował.

– Chodźmy.

Na wpeł biegli, pokonując w krótkim czasie sporą odległość. Las na obu brzegach rzeki zaczął rzednąć i nie zapewniał już ich prześladowcom tak znakomitej osłony. Na dodatek świt, który właśnie nastał, a którego Buslenko się wcześniej obawiał, teraz działał na ich korzyść. Rosły szanse na to, że im się uda.

Ale Teterew była szersza i płytsza w tym miejscu, poza tym skończyła się wysoka skarpa, za którą mogliby się ukryć. Buslenko usłyszał za plecami krzyk. Obrócił się i zobaczył, że Olga

Sarapenko upadła, a jej karabin uderzył z hukiem o kamienie.

– Nic ci się nie stało? – zapytał.

Usiadła i objęła dłońmi nogę w kostce.

– Nie ma złamania. – Z trudem wstała. – Zwichnęłam ją, ale but uchronił mnie przed czymś gorszym.

– Możesz iść?

– W tej chwili – powiedziała z przeproszącą miną – tylko bym was opóźniała.

– Trzymamy się razem – odparł na to Biełocerkowski. Potężnie zbudowany Ukraińiec przekazał swój karabin Buslenko i przerzucił Olgę przez ramię niczym upolowanego jelenia. – Już niedaleko. Musisz nas osłaniać, szefie.

Buslenko uśmiechnął się i zarzucił sobie na ramię karabiny Olgi i Biełocerkowskiego. Na jego komendę ruszyli w stronę znajdujących się na obu brzegach rzeki domów, to było już przedmieście Korostyszewa. Buslenko nie tylko zamierzał ująć z życiem i dotrzeć do rodzinnego miasta. Jego cel znajdował się dużo dalej na zachodzie – dziwne miasto w obcym kraju.

## CZEŚĆ II

### Karnawał

#### Pamiętnik klauna

#### Piętnasty wpis – bez daty

Jestem głodny taki głodny kiedy byłem innym byłem mały i słaby i ja ten inny nie mogłem nic zrobić żeby zmienić swój tego drugiego świat i zapanować nad swoim światem tego drugiego zawsze musiałem zjadać wszystko z talerza i siedzieć cicho i nie rozmawiać przy stole mój tata był taki zły cały czas był zły i musiałem wszystko zjadać mieszkaliśmy na wsi na farmie i jadaliliśmy rheinische soorbrode z koniny marynowane w occie i winie i przyprawach i krwiste kielbasy i widziałem go widziałem jak to robi zabił świnię ja byłem mały i widziałem to przytrzymał ją pomiędzy kolanami i poderznął jej gardło świnia RZUCAŁA SIĘ I KWICZAŁA I WSZĘDZIE BYŁA KREW ZIEMIA BYŁA CZARNA i świnia biegała chwilę dookoła a potem upadła i cała krew wsiąkław ziemię czułem jej zapach i płakałem po świni i ojciec uderzył mnie i powiedział nie wiesz skąd się bierze twoje jedzenie nie wiesz co jesz nie wiesz że świnia musi umrzeć zanim ją zjesz nie myślałem o tym wtedy kazał mi jeść świnię kiedy mama ją ugotowała była dobra i wciąż myślałem jak biegała w kółko i tryskała z niej krew i szarpała się szarpała kiedy zdychała ale mięso mi smakowało płakałem ale mi smakowało ale to nie to zrobiło ze mnie tego kim jestem nie to było coś innego coś późniejszego co mi się zdarzyło i wtedy już wiedziałem że on to ja a ja to on i że powracam do życia kiedy jest karnawał czuję kiedy się zbliża KARNAWAŁ i wtedy zobaczą wtedy zrozumieją czym jest chaos zabrali mnie do

kościola kiedy byłem mały i powiedzieli że jestem zły i powie-  
dzieli o wszystkich rzeczach które się przydarzają złym ludziom  
teraz i zawsze nie dam się zamknąć nie dam się trzymać z dala  
ZABIJĘ TEGO DRUGIEGO i urządzę KARNAWAŁ przez cały  
rok zapewnię im wszystkim szaleństwo jestem KLAUNEM obu-  
dziłem się JEŚLI PRAGNĄ CHAOSU BĘDĄ GO MIELI jestem  
ich sędzią mój uśmiech wypali im oczy i ZJEM ICH zjem ich  
wszystkich

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### 1–3 lutego

#### 1

Fabel odłożył słuchawkę telefonu. Teraz wszystko zaczęło się wyjaśniać.

Od kilku dni coś go dręczyło, tyle że nie potrafił określić co. Był niespokojny, ponieważ za każdym razem kiedy ogarniało go podobne uczucie, okazywało się, że ma ono solidne podstawy. Dobrze wiedział, jaki jest tego mechanizm: skrawki pozornie niepowiązanych ze sobą informacji układały się w jego podświadomości w całość i wtedy włączał się dzwonek alarmowy. Nie było nic niezwykłego w jego rozmowie telefonicznej z Marią, ale zapewnienia, że psycholog kazał jej zerwać wszelkie kontakty z kolegami, zabrzmiały fałszywie.

A teraz, dwa tygodnie później, zadzwonił do niego do komendy doktor Minks i wszystko stało się jasne.

Fabel zetknął się z doktorem Minksem w trakcie poprzedniego śledztwa. Minks był ekspertem od stresu pourazowego i zachowań lękowych. W Hamburgu otworzył nawet Klinikę Strachu. Policja zapewniła co prawda Marii pomoc psychologiczną, ale teraz jej leczeniem zajmował się przede wszystkim doktor Minks, który był niegdyś wykładowcą na uniwersytecie w Monachium, gdzie studiowała Susanne. Miała bardzo dobre zdanie na temat jego umiejętności.

– Nie mogę, oczywiście, zdradzać szczegółów dotyczących leczenia Frau Klee – powiedział Fabelowi przez telefon Minks – ale wiem, że ona bardzo ceni sobie pańskie... rady... To znaczy, nie tylko jako przełożonego. Dlatego postanowiłem do pana zadzwonić.

– Co się stało, panie doktorze?

– Cóż... Wydawało mi się, że robimy z Frau Klee postępy

i dlatego uważam, że popełnia błąd, przerywając terapię. Daleko jej jeszcze do całkowitego wyzdrowienia. Miałem nadzieję, że pan ją przekona...

– Przepraszam, panie doktorze, ale nie rozumiem. Chce pan powiedzieć, że Maria przestała się u pana pojawiać?

– Od czterech czy pięciu tygodni.

– Proszę mi powiedzieć, czy zasugerował jej pan, żeby unikała kontaktu ze mną i z pozostałymi kolegami?

– Nie... – odparł zaskoczony Minks. – Dlaczego miałbym coś takiego sugerować?

Fabel obiecał, że porozmawia z Marią na temat ponownego podjęcia przez nią leczenia i rozłączył się. Maria go okłamała. Nie tylko na temat terapii. Nie powiedziała też prawdy, gdzie się obecnie znajduje. Ale Fabel już wiedział.

Siedział przez chwilę bez ruchu ze wzrokiem utkwionym bezmyślnie we własne dłonie leżące na biurku. Następnie chwycił słuchawkę telefonu z zamiarem przeprowadzenia pierwszej z trzech rozmów, które musiał odbyć...

## 2

Benni Scholz zaczynał nienawidzić karnawału. Tuż za miastem były hotele, które zaczęły oferować wytchnienie od karnawałowego szaleństwa i przymusowej serdeczności, w których zachowany został naturalny porządek, i gdzie gwarantowano zachowanie zdrowia psychicznego aż do Wielkiego Postu. Nigdy wcześniej nie rozumiał, dlaczego niektórzy ludzie szukają takich miejsc albo dlaczego tyle rodzin wyjeżdża z miasta na urlop na czas karnawału. Do tej pory uważał, że skoro jest rodowitym kolończykiem, to karnawał ma we krwi. Ale teraz, kiedy komitet organizacyjny policji zasypywał go mailami i telefonami, Scholz zaczynał żałować, że nie urodził się w Berlinie.

I jeszcze ten dodatkowy stres. Do Karnawałowej Nocy Kobiet pozostały trzy tygodnie, a był przekonany, że morderca zaatakuje ponownie. Zginie kolejna kobieta, zanim oni zdążą złapać jakiś trop w sprawie morderstw z poprzednich dwóch lat. Na jego biurku i podłodze wokół leżały sterty akt. Schulz miał



wrażenie, że coś mu umyka. Wiedział sporo o seryjnych mordercach. A przynajmniej znał teorię. Teraz po raz pierwszy miał do czynienia z prawdziwym seryjnym zabójcą i czuł się nieco zagubiony. Zadzwoił jeszcze raz do komendy w Hamburgu, ale powiedziano mu, że szef wydziału zabójstw, nadkomisarz Fabel, odchodzi ze służby i nie jest zainteresowany udziałem w śledztwie. Scholzowi nie pozostawało nic innego, jak prze-myśleć całą sprawę jeszcze raz samemu, bez pomocy jakiegoś hamburskiego supergliny. Niech go szlag, pomyślał, nadęty *Fischkopp*. Scholz był w Hamburgu tylko kilka razy. Piękne miasto, tylko ci ludzie... I gówniane żarcie, oni tam jedzą tylko ryby i *Labskaus*.

Odłożył akta i wyjrzał przez okno, ale niewiele udało mu się zobaczyć, bo miasto zasnuła szarówka zimowego wieczoru. Wrócił myślami do kolejnego powodu swoich zmartwień – przygotowania platformy i kostiumów na karnawałową paradę. Przewertował mnóstwo książek, przejrzał setki stron w internecie. Wiedział wszystko o genezie karnawału, jego znaczeniu, tym, co na przestrzeni wieków uległo zmianie, a co pozostało takie samo. Może to był jego błąd – traktował sprawę zbyt poważnie.

Właśnie w chwili, gdy Scholz był w podwójnie złym nastroju, zadzwonił telefon. Zdziwił się słysząc, że dzwoni do niego ten gliniarz z Hamburga, Fabel.

– Przecież miał pan odejść ze służby – powiedział. – Nie przypuszczałem, że pan zadzwoni.

– Zamierzam odejść ze służby, jednak dzwonię – odparł Fabel.

Legendarna uprzejmość ludzi z północy, pomyślał Scholz.

– Przejrzał pan akta, które panu przesłałem? – zapytał.

– Tak.

– I?

– I moim zdaniem ma pan na swoim terenie kanibala – odpowiedział Fabel.

– Jasna cholera... Więc te odcięte kawałki pośladków... trafiają pańskim zdaniem do garnka?

– Może opis jest zbyt dosłowny, ale prawdę mówiąc, tak. Ten

człowiek najprawdopodobniej gotuje swoją zdobycz i ją zjada. W jego sposobie działania są pewne sprzeczności, ale wydaje mi się, że ma ono podłoże seksualne. Spożywaniu ludzkiego ciała towarzyszy prawdopodobnie mimowolny wytrysk albo masturbacja.

– To chyba wystarczy, żeby zrezygnować na zawsze z McDonalda. – Scholz zaśmiał się z własnego dowcipu. Po drugiej stronie słuchawki panowała cisza. – Miał pan już do czynienia z tego rodzaju przestępcą, nadkomisarzu? – Scholz przybrał poważniejszy i bardziej oficjalny ton.

– Z podobnym – odparł Fabel. – Ale pański morderca uaktywnia się przed Karnawalem. Sądzę, że ma on dla niego jakieś symboliczne znaczenie.

– Nie tylko dla niego, dla wszystkich mieszkańców Kolonii, Herr Fabel. Wy, tam w Hamburgu, nie macie swojego karnawału, prawda?

– Nie, nie mamy.

– Karnawał to coś więcej, niż może pan zobaczyć w telewizji. To nie tylko fantazyjne stroje, komiczne monologi, *Büttenrede*, wygłaszane przed obliczem *Elferratu*. Przepraszam, *Elferrat* to jedenastu członków komitetu karnawałowego...

– Wiem, co to jest *Elferrat*, Herr Scholz – przerwał mu oschle Fabel. – Jestem z Hamburga, nie z Ulan Bator.

– Przepraszam... W każdym razie chodzi o to, że karnawał jest częścią naszej duszy. To rodzaj emocjonalnego doświadczenia, którego nie da się opisać i wytłumaczyć; trzeba to przeżyć. Nic dziwnego, że w okresie karnawału uaktywniają się wszystkie świry. Dzięki temu mogę podejrzewać, że ten facet jest rodowitym kolończykiem.

– To chyba nie wszystko – odpowiedział Fabel – ale omówimy to, kiedy się u pana pojawię.

– Jak to?

– Uzgodniłem wszystko z komendą w Hamburgu. Przyjeżdżam w piątek. Powinienem zjawić się gdzieś między drugą a trzecią po południu. Mógłby mi pan zarezerwować hotel? Niezbyt drogi, obawiam się, że to obywatele Kolonii zapłacą rachunek.

Czegóż można się było spodziewać po człowieku z północy, pomyślał Scholz.

– Oczywiście... – powiedział serdecznym tonem. – Załatwione.

### 3

Po zakończeniu rozmowy z Scholzem Fabel zadzwonił z telefonu komórkowego do Anny Wolff i poprosił ją o spotkanie w mieszkaniu Marii.

– Pamiętasz ten pęk kluczy w swojej szufladzie?

– Tak... – odpowiedziała z wahaniem i nutką podejrzliwości.

– W takim razie weź je ze sobą.

– Pachnie mi to nielegalnym działaniem – rzuciła żartobliwie i dodała już całkiem poważnie: – Czy z Marią wszystko w porządku?

– To właśnie chcę ustalić, Anno. Co do pierwszego, zgoda, to pewnie jest nielegalne, ale śmiem twierdzić, że Maria nie wniesie oskarżenia.

– Będę za pół godziny.

Na tym samym piętrze kamienicy, w której mieszkała Maria, oprócz jej mieszkania znajdowały się jeszcze dwa inne. Fabel zadzwonił do obu, ale doczekał się reakcji tylko z drugiego, oznaczonego nazwiskiem „Franzka”. W drzwiach pojawiła się drobna kobieta w średnim wieku. Sprawiała wrażenie znużonej.

– Mittelholzerowie są o tej porze w pracy – wyjaśniła Frau Franzka.

Fabel pokazał swoją odznakę i zapewnił, że nie ma powodu do niepokoju. Wyraz twarzy pani Franzki wskazywał, że musiałoby się wydarzyć coś znacznie ważniejszego niż przyście Fabla, żeby zaczęła się niepokoić.

– Jestem szefem Frau Klee – wyjaśnił. – Ostatnio źle się czuła i trochę się o nią martwimy. Widziała ją pani?

– Ostatnio to nie – odparła Frau Franzka. – Ale widziałam, jak zносиła do samochodu bagaże. To była środa, dokładnie

dwa tygodnie temu. Wyglądała, jakby wybierała się w podróż służbową. Miała ze sobą walizkę i torbę na laptopa.

– Dziękuję – powiedział Fabel. Razem z Anną podeszli do drzwi mieszkania Marii. Frau Franzka obserwowała ich z progu, w końcu wzruszyła ramionami i wróciła do mieszkania. Anna wyjęła swoją kolekcję kluczy, przypominającą jakiś plemienny naszyjnik – na drucianym kółku miała ich ponad setkę. Fabel pamiętał czasy, nim nastąpiła era centralnych zamków sterowanych pilotem, kiedy w każdym komisariacie był podobny zestaw kluczyków samochodowych. Postanowił nie pytać Anny, dlaczego uznała za konieczne posiadanie takiego imponującego zestawu narzędzi do włamań; zawsze podejrzewał, że Anna czasem posuwa się za daleko w naginaniu prawa. Aż do dzisiaj udawał, że nie wie o jej kolekcji kluczy. Po pięciu minutach i wypróbowaniu mnóstwa kluczy rozległ się charakterystyczny zgrzyt. Anna zatrzymała się i spojrzała przez ramię na szefa.

– Czy Maria ma system alarmowy?

– Nie wiem... – Fabel miał przez chwilę niepewną minę, aż w końcu kiwnął ze zdecydowaniem głową.

Anna wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi na oścież. Ze znajdującego się w przedpokoju panelu z klawiaturą dochodziło głośnie pikanie.

– O kurwa... – szepnęła. Fabel przecisnął się pomiędzy nią a futryną i wystukał na klawiaturze ciąg liczb. Pikający dźwięk nie ustał, a na wyświetlaczu pojawił się komunikat BŁĘDNY KOD. Spróbował innych liczb. Nastąpiła cisza.

– Jej data urodzin? – westchnęła Anna.

– Data wstąpienia do policji. Znalazłem obie w jej aktach.

– Co byś zrobił, gdyby to nie było to?

– Aresztowałbym cię za włamanie – odpowiedział Fabel i ruszył w głąb mieszkania.

– Pewnie tak...

Znaleźli się w salonie. Tak jak się spodziewał, było tu nieskazitelnie czysto i panował idealny porządek. Pomalowane na biało ściany ozdobiono obrazami olejnymi, oryginałami. Fabel podejrzewał, że są to dzieła dobrze się zapowiadających młodych artystów, a ich cena z każdym rokiem rosła. Maria

była typem osoby potrafiącej łączyć zamiłowanie do sztuki z przedsiębiorczością.

– Wiesz, szefie, zawsze zazdrościłam Marii – powiedziała Anna.

– W jakim sensie?

– Chciałam być taka jak ona. No... elegancka, zrównoważona, zorganizowana...

– Teraz nie jest zorganizowana.

– Nigdy nie miałaś takich myśli? – zapytała, przyglądając się kolekcji płyt. – Nie chciałaś być kimś innym? Choćby przez krótką chwilę?

– Nie pozwalałam sobie na takie filozoficzne rozważania jak ty – skłamał z uśmiechem.

– Zawsze uważałam się za zbyt impulsywną. Chaotyczną. Maria była taka zdyscyplinowana, dobrze zorganizowana. Sam zobacz... – Anna wskazała kolekcję płyt CD. – To już graniczy z chorobliwą pedanterią. Spójrz na te płyty... Poukładane gatunkami muzyki, a potem alfabetycznie. Życie jest za krótkie...

Fabel roześmiał się, głównie po to, by ukryć zmieszanie, jakie go ogarnęło, kiedy zobaczył, jak bardzo styl życia jego i Marii jest podobny. Obeszli całe mieszkanie, sprawdzając każdy pokój. Fabel znalazł to, czego szukał, a czego miał nadzieję nie znaleźć, w najmniejszej z trzech sypialni.

– Jasna cholera... – Anna cicho gwizdnęła. – Niedobrze. Bardzo niedobrze. To jakaś obsesja.

– Anno...

– Tak postępują seryjni...

– Anno, daruj sobie.

Ściany małego pokoju pokrywały zdjęcia, wycinki prasowe i odręczne notatki. Wisiała też mapa Europy z powbijanymi w nią kolorowymi pinezkami. Na ścianach nie było ani jednego wolnego centymetra kwadratowego. Mimo to nie panował tam chaos. Fabel dostrzegł cztery główne obszary poszukiwań: jeden wiązał się z Ukrainą, jeden z życiem osobistym Witrenki, jeden z przemysłem ludzi, i ostatni z przestępczością zorganizowaną w Kolonii.

– Maria nie spędzała czasu na odzyskiwaniu sił – zauważyła

Anna. – Pracowała. Na własną rękę.

– Mylisz się, to nie jest praca. To wendeta. Maria planowała zemstę na Witrence.

– Co robimy, szefie?

– Ty zajmij się biurkiem. Ja przejrzę rzeczy na regale. I jeszcze jedno, Anno. To zostanie między nami, zgoda?

– Ty jesteś tu szefem.

Fabel i Anna spędzili dwie godziny na przeglądaniu notatek Marii. Dowiedzieli się, że Maria, wykorzystując stanowisko oficera policji, nawiązała kontakt z licznymi organizacjami, od których uzyskała poufne dane – na przykład z Centrum Zwalczenia Handlu Ludźmi w Belgradzie, Human Rights Watch – oraz ekspertami Interpolu zajmującymi się przemytem ludzi. Znaleźli mnóstwo notatek na temat handlu ludźmi w Europie, pełne dossier ukraińskich jednostek specnazu i cały segregator wycinków prasowych, które nie zmieściły się na ścianie. Wśród nich był artykuł o pożarze kontenera, w którym spłonęło kilkunastu nielegalnych emigrantów z Europy Wschodniej; o modelce zamordowanej w Berlinie przy użyciu kwasu; o krwawych porachunkach podziemia w Gruzji; o ukraińskim Żydzie, szefie gangu, którego znaleziono zamordowanego w jego luksusowym apartamencie w Izraelu.

– Masz coś? – zapytał Annę.

– Listę hoteli w Kolonii. Brakuje wzmianki, w którym zamierzała się zatrzymać. Korespondowała też z kimś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Ukrainy, z jakimś Saszą Andruckim.

Fabel pokiwał głową. Znaleźli mnóstwo szczegółowych, ale pozbawionych większego znaczenia danych. To, co najważniejsze, Maria zabrała ze sobą do Kolonii. Rozejrzał się po przekształconej w gabinet do pracy sypialni, szukając walizki lub torby podróżnej.

– Pomóż mi spakować część tych dokumentów. Potem muszę zadzwonić w kilka miejsc.

Po czterogodzinnej jeździe pod szaroniebieskim niebem Fabel zatrzymał się na stacji benzynowej przy autostradzie i za-tankował swoje bmw. Na twarzy poczuł kilka nieśmiało spadających płatków śniegu. Zamiast pójść do restauracji, kupił na stacji kawę i salami. Usiadł w samochodzie, włączył ogrzewanie i zjadł lunch, nie czując nawet jego smaku, zaczytany w notatkach, jakie zrobił po rozmowie z Scholzem. To nie przypominało lektury powieści. Informacje zawarte w notatkach przeniosły Fabela w inny czas, w inne miejsce. Poznał wszystkie szczegóły dotyczące wieczoru, kiedy dwa lata temu zginęła pierwsza ofiara. Dziwne było to, że nie potrafił się odnaleźć w kontekście karnawału. Kolończycy chyba mieli obsesję na punkcie tej wymuszonej wesołkowatości. Czytał, co działo się z pierwszą ofiarą w dniu zabójstwa. Sabine Jordanski miała wówczas wolne, a mimo to przez większą część dnia robiła to samo co zwykle w pracy. Ponieważ zbliżała się Karnawałowa Noc Kobiet, postanowiła wraz z koleżankami wziąć udział w paradzie, jaka przechodziła przez miasto, a potem usiąść w którymś z barów z muzyką. Dzień spędziła na farbowaniu włosów najpierw koleżanek, a potem swoich. Używała innych farb niż zazwyczaj – jaskraworóżowych, czerwonych, wściekle niebieskich i żółtych. Na dodatek na każdej głowie pojawiał się więcej niż jeden kolor. Był to element przeistoczenia się w kogoś zupełnie innego na czas karnawału, wpływający z wiary, że jedynym sposobem na uwolnienie się od codzienności jest przybranie maski, włożenie kostiumu czy radykalna zmiana wyglądu. Sabine Jordanski wydawała się typową obywatelką Kolonii – żywiołową, przyjacielską, lubiącą dobrą zabawę. Miała dwadzieścia sześć lat, od czterech pracowała w salonie fryzjerskim. W chwili śmierci nie miała chłopaka, a przynajmniej nikogo na stałe, choć wyglądało na to, że jest to sytuacja przejściowa. Wiadomo było, że cieszyła się zainteresowaniem wielu młodych mężczyzn. Tamtego wieczoru widziano, jak rozmawia z trzema mężczyznami. Wszystkich ich odnaleziono, przesłuchano i wyeliminowano jako ewentualnych

sprawców. Szóstka dziewczyn odwiedziła wtedy cztery bary. Wszystkie piły alkohol, ale żadna nie była pijana. Około drugiej w nocy odprowadziły wspólnie Sabinę do jej mieszkania w Gereonswall i pożegnały się przed domem. W pobliżu kręciło się trochę ludzi, ale dziewczyny na nikogo nie zwróciły szczególnej uwagi. Żadna z nich nie widziała Sabiny wchodzącej do mieszkania, ale wszystkie przypuszczały, że to właśnie zrobiła.

Znaleziono ją następnego ranka w alei oddalonej zaledwie dwieście metrów od jej domu. Została uduszona czerwonym krawatem, pozostawionym przez sprawcę na miejscu zbrodni. Jej zwłoki były częściowo obnażone, a z prawego pośladka wycięto czterysta sześćdziesiąt osiem gramów ciała. Czas zgonu oszacowano mniej więcej na tę chwilę, kiedy pożegnała się z koleżankami. Ktoś zatem czekał na nią lub śledził całą grupkę i zaczął się na ofiarę niczym lew, który poluje na osobniki odłączające się od stada.

Sabine Jordanski była uroczą, prostolinijną dziewczyną, niewymagającą zbyt wiele od życia. Fabel odgryzł kawałek salami i przyjrzał się ponownie zdjęciom z miejsca zbrodni. Na jednym widać było duże, białe, odsłonięte pośladki Sabine. Z błądą skórą kontrastowało zagłębienie po wyciętym kawałku ciała. Schulz miał rację: zabójca wykonał swoją rzeźnicką robotę z wielką precyzją. Nie było żadnych nierówności, żadnych śladów po nieśmiałych pierwszych cięciach. Ten człowiek znał się na swojej robocie. Fabel nagle uświadomił sobie, że patrząc na zdjęcia zmaltretowanych zwłok, przeżuwa salami. W tej samej chwili dotarło do niego wyraźnie, dlaczego postanowił odejść z wydziału zabójstw. Co się z nim porobiło?

Zamknął teczkę, skończył w pośpiechu lunch i wrócił na autostradę prowadzącą do Kolonii.

Ansgar siedział ze zbolaną miną. Wiedział, co powinien zrobić, a jednocześnie tłumaczył sobie, że nie powinien. Wiedział, że zdarzały mu się chwile słabości. Takie jak teraz, kiedy pozostało mu pół godziny do rozpoczęcia zmiany w restauracji.



Siedział przed monitorem komputera i powtarzał w myślach, że nie powinien więcej odwiedzać tej strony. Obiecał to sobie już poprzednim razem. I wcześniej też. Tymczasem ekran migotał złowrogo, otwierając okno do innej, alternatywnej rzeczywistości. Rzeczywistości pełnej chaosu.

Jego palce zawisły nad klawiaturą. Wciąż jeszcze mógł zrezygnować. Mógł wyłączyć komputer. Starał się ze wszystkich sił zapanować nad rodzącym się w nim chaosem. Zbliżał się karnawał. A w czasie karnawału... cóż, wszyscy pozwalają sobie na więcej. Ten mały ekran był jednak niebezpieczny – sprawiał, że wewnętrzny chaos łączył się z większym, rozleglejszym chaosem. Ansgar zdał sobie sprawę, że to nie zaspokaja jego głodu. Tylko go zaostrza.

Palce mu drżały z niecierpliwości, obrzydzenia, strachu. Wpisał adres strony internetowej i wydał z siebie pełen udręczenia okrzyk, kiedy na ekranie pojawiły się obrazy. Kobiety. Ciała.

Wgryzające się w nie zęby.

## 6

Fabel od razu zauważył w gabinecie komisarza Benniego Scholza brud i bałagan. Potem leżącą w kącie wielką głowę. Zerkał na nią mimowolnie, próbując odgadnąć coś to takiego. W końcu uznał, że to musi być jakiś gatunek łosia.

– Nie ma pan pojęcia, jak bardzo się cieszę z pańskiego przyjazdu – powiedział rozpromieniony Scholz, ściskając dłoń Fabela. Scholz był zdaniem Fabela jakieś dziesięć lat od niego młodszy i dziesięć centymetrów niższy. Jednak pomimo niskiego wzrostu był potężny i muskularny. – Widzę, że podziwia pan naszą głowę byka. To karnawałowy rekwizyt. W tym roku to ja organizuję paradę.

– Aha... – wykrztusił nagle oświecony Fabel. – Więc to jest byk! A ja myślałem, że łoś...

Scholz skrzywił się i mruknął coś, czego Fabel nie dosłyszał, mogło to być „kurwa mać”. Po chwili przestał się krzywić.

– Pan siada, nadkomisarzu.

– Proszę mi mówić Jan – zaproponował Fabel. – Jesteśmy

kolegami. – Było w tryskającym energią Scholzu coś, co wydało się Fablowi wyjątkowo sympatyczne. Poza tym zazdrościł mu, podobnie jak zazdrościł swojemu bratu Lexowi, łatwości w nawiązywaniu kontaktów z nieznanymi i dystansu do życia. W tej samej chwili zrozumiał, co mu się tak podobało w Scholzu: po prostu przypominał mu Lexa.

– Okej... Janie – odparł Scholz. – Ja mam na imię Benni. Jadłeś coś?

– Po drodze. – Mina Fabla mówiła wyraźnie, co sądzi o jakości tego posiłku.

– Pomyślałem, że zabiorę cię dziś wieczorem do typowej kolońskiej restauracji. Jeśli oczywiście będziesz miał ochotę.

– Jasne... – odpowiedział Fabel. – Ale może najpierw zastanówmy się, co zrobić z tym śledztwem...

– Och, będziemy mieli dość czasu... – Scholz wykonał zamazywany gest. – Jedzenie pomaga w myśleniu. Zawsze powtarzam, że nie potrafię myśleć z pustym żołądkiem.

Fabel uśmiechnął się.

– A skoro już mowa o śledztwie – ciągnął Scholz – to sporo myślałem o twojej sugestii, że mamy do czynienia z kanibalem. Wiesz co... możesz mieć rację. Pojawiały się już wcześniej takie przypuszczenia. Prawdę mówiąc, wyciszyliśmy je, żeby prasa tego nie rozdmuchała.

– Jestem przekonany, że się nie mylę. Poza tym masz w rękę dowody na to, że sprawca ma doświadczenie w krojeniu mięsa. Może to chirurg albo rzeźnik...

– Wie, co robi, prawda? – Benni pochylił się i oparł łokciami o biurko. – To prawda, że jesteś Anglikiem? Nie masz angielskiego akcentu. Ktoś mi powiedział, że nazywają cię „angielskim komisarzem”...

– Jestem pół Szkotem i pół Fryzjczykiem.

– Boże! – Benni roześmiał się. – No to musisz być podwójnie oszczędny. Założę się, że nieczęsto stawiasz kolejkę!

Fabel uśmiechnął się.

– Masz jakichś podejrzanych? W aktach nie ma żadnej wzmianki na ten temat.

– Nie mam. To musiał być jakiś kompletny popapraniec. Kar-

nawałowa Noc Kobiet to istne szaleństwo. Zresztą jak cały karnawał. Ludzie zachowują się jak obłąkani, a z niektórych wyłazi draństwo. Wszystko przez tę anonimowość. W czasie karnawału można zapomnieć, kim się jest, i robić rzeczy, których w innej sytuacji nigdy by się nie zrobiło. To idealny czas, żeby kogoś załatwić.

– Rozumiem.

– Ale to tylko moja teoria. Ta o anonimowości i robieniu rzeczy, których normalnie się nie robi. Mówiłem ci już przez telefon, że moim zdaniem to ktoś miejscowy. Powiem więcej, ten facet może przez resztę roku być Panem Normalnym. A w karnawale pozwala sobie na więcej. Zawsze powtarzamy, że my, kolończycy, jesteśmy przez resztę roku bardziej normalni niż inni, dlatego że mamy swój karnawał. Być może ten koleś przez cały rok trzyma swoje perwersyjne zachcianki schowane głęboko w portkach, a kiedy przychodzi karnawał, daje im upust.

– Wyjątkowo trafny profil psychologiczny. – Fabel roześmiał się. – Choć ja użyłbym bardziej formalnych określeń.

– W każdym razie – ciągnął Benni – nawet sądy rodzinne przy rozstrzyganiu o rozwodach traktują pobłażliwie zachowania w czasie karnawału. Cudzołóstwo w *Rosenmontag* jest uznawane za wybacalne... No i jest jeszcze na koniec karnawału *Nubbelverbrennung*, ogień pokuty, kiedy wszystkie grzechy popełnione w czasie tych dni szaleństwa zostają zmasane przez płomień. Co, jeśli nasz sprawca czuje się usprawiedliwiony, bo jest karnawał?

– W tych morderstwach wyraźnie zaznacza się element mizoginii. On nienawidzi kobiet. Obie ofiary były raczej szczupłe, ale miały charakterystycznie zaokrąglone biodra i uda. Kto wie, może wybiera ofiary według takiego kryterium. Zwłaszcza że wycina kawałki ciała właśnie z tych okolic.

– No więc dlaczego właśnie je wybiera? – zapytał Scholz. – Dlatego że takie kształty są dla niego atrakcyjne seksualnie czy po to, żeby zdobyć lepszy kawałek mięsa?

– Jedno i drugie – odparł Fabel. – Pozwól, że opowiem ci trochę o kanibalizmie...

Nie powinien był wchodzić na tę stronę. Teraz odczuwał palące pragnienie i nie mógł nawet spojrzeć w stronę Jekateriny. Wydawało mu się, że dziewczyna wyczuła napięcie i sądząc, że jest niezadowolony z jej pracy, szukała okazji, żeby z nim porozmawiać. Ansgar nie mógł znieść jej obecności. Tymczasem kuchnia była ciasna i pewna bliskość, a nawet przypadkowe ocieranie się o siebie były nieuniknione. Chwilami znajdowała się tak blisko niego, że czuł jej zapach.

Ansgar uważał się za człowieka przeklętego. Marzył, żeby być normalnym mężczyzną, takim jak inni. Wszystko wtedy stałoby się proste. Ona pewnie pozwoliłaby mu się zerznąć. A może nie? Tyle że Ansgara nie dręczyły erotyczne fantazje i słodkie obsceniczne wyobrażenia. Prawdziwe erotyczne katusze przeżywał, widząc, jak Jekaterina bierze do rąk mięso, odrąbuje tasakiem kości, odcina nożem tłuszcz, filetuję piersi kurczaka, rozkrawa posłuszne jej palcom mięso. A największą udręką była zakazana, niebezpieczna i kusząca myśl, że mógłby spełnić swoją fantazję. Że mógłby zrobić z Jekateriną to, czego tak pragnął.

Wciąż myślał o Jekaterinie, aż wreszcie jego spojrzenie na niej spoczęło. Pieściło każdy centymetr jej ponętnych, bujnych kształtów. Potem ich spojrzenia się spotkały. Patrzyła mu prosto w oczy. I uśmiechała się.

Zupełnie jakby wiedziała.

Restauracja, do której Scholz zabrał Fabela, znajdowała się przy Dagobertstraße w dzielnicy Altstadt na parterze eleganckiej kamienicy.

– Co polecasz? – zapytał Fabel.

– Ten lokal ma świetną opinię. Rok temu zaczął tu pracować nowy szef kuchni i zdziałał cuda. Właśnie wprowadzili karnawałowe menu... ale ty pewnie wolałbyś rybę. – Benni studiował

menu ze zmarszczonym czołem. – Mamy tu wielki wybór mięs...

– Możesz mi wierzyć albo nie – odezwał się z uśmiechem Fabel – ale na północy jadamy nie tylko ryby.

– A my jadamy dużo ryb. Wiesz, że Kolonia to największy rynek rybny w Niemczech? Dzięki Renowi, który płynie przez miasto niczym średniowieczna autostrada, Kolonia była centrum dystrybucyjnym dla całych środkowych Niemiec. No dobrze, co powiesz na potrawkę z jagnięciny z figami? Podają tu bardzo dobrą. A do picia? Łagodne wino reńskie czy jeszcze lepsze piwo kolsch?

Stańło na butelce czerwonego assmannshausen spätburgen-der. Złożyli zamówienie.

– Ładnie tu – pochwalił Fabel, patrząc na białe sklepienie i wychodzące na ulicę podwójne łukowe drzwi. Zauważył, że śnieg zaczął mocniej prószyć.

– Taaa... – Scholz omiótł lokal spojrzeniem pełnym aprobaty – ...nieźle. W Kolonii jest mnóstwo fajnych miejsc, gdzie można zjeść. Znajdziesz tu prawie wszystkie kuchnie świata. Nawet wegetariańską. Miasto stało się jednym wielkim centrum konferencyjnym, poza tym ulokował się tu wszelkiego rodzaju biznes. Lubię Kolonię, ale czasem chciałbym przenieść się do jakiegoś bardziej... zwyczajnego miejsca. Wolę, żeby to, co jem, było dobrze ugotowane, a nie dobrze wymyślone. Rozumiesz, co mam na myśli? Ale miałeś mi powiedzieć coś o kaniibalizmie. Wygląda na to, że trochę o nim wiesz.

Kelner przyniósł wino i Scholz poprosił Fabela o degustację. Najwyraźniej spodziewał się, że nadkomisarz dobrze się zna na winach.

– Doskonale – powiedział Fabel i kelner napełnił oba kieliszki. – Szczerze mówiąc, obryłem się przed przyjazdem tutaj.

Scholz pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Wciąż nie mogę pojąć, jak może kogoś rajcować zjedanie drugiego człowieka.

– Seksualność człowieka to bardzo skomplikowana rzecz, Benni. Na pewno nie raz miałeś do czynienia z różnymi upiornymi sprawami. Są takie zboczenia, które polegają na fantazjo-

waniu o zjedaniu swojego partnera seksualnego albo o byciu zjedanym. Nasze usta to drugi pod względem ważności narząd seksualny. Można się pokusić nawet o stwierdzenie, że seks oralny to forma kanibalizmu.

– Chyba spotykamy się z innym rodzajem kobiet... – zażartował Scholz.

– Wracając do tematu, istnieje kilka form kanibalizmu. A właściwie motywów. Ale antropolodzy i psycholodzy dzielą kanibalizm na dwie podstawowe grupy: kanibalizm rytualny i odżywczy. Kanibalizm odżywczy może być kanibalizmem epikurejskim, kiedy zjada się ludzkie mięso ze względu na jego smak, bez osiągania satysfakcji seksualnej. Ale najczęstszą formą kanibalizmu odżywczego jest zjedanie ludzkich ciał z głodu, kiedy nie ma żadnych innych źródeł pożywienia. Przed przyjazdem tutaj czytałem o Hołodomorze, wielkim głodzie na Ukrainie w latach trzydziestych. O żywność było tam tak trudno, że ludzie zaczęli się nawzajem zjadać.

– Czym w takim razie jest endokanibalizm i egzokanibalizm? – zapytał Scholz.

– Z egzokanibalizmem mamy do czynienia wtedy, kiedy zjadamy obcych, a z endokanibalizmem, kiedy zjadamy członków własnego plemienia czy osobników z tej samej kultury.

– Czyli endokanibalizm to podanie babci na talerzu... – podsumował Scholz. – Ale to chyba bardzo rzadkie zjawisko, prawda?

– Nie tak rzadkie, jak przypuszczasz. W pewnym okresie historycznym robili to wszyscy. Rytualny endokanibalizm pogrzebowy był bardzo rozpowszechniony w Europie w epoce kamienia.

– A co to oznacza prostymi słowami?

– Kiedy umierał jakiś krewny, urządzano uroczystości pogrzebowe, podczas których głównym daniem był drogi zmarły, a zwłaszcza jego mózg. Dla archeologii było to znaczące odkrycie. Już w epoce kamienia uważano, że rozum, czy też dusza, mieszczą się w mózgu. Bliscy członkowie rodziny zjadali mózg zmarłego, żeby przejąć jego duszę. A jeśli potrzebujesz dowodów na to, że ludzie zjadali ludzi, wystarczy pojechać sto ki-

lometrów stąd. Do jaskiń koło Balve nad rzeką Hönnę. Tam archeolodzy znaleźli dowody na nasz kanibalizm.

– Dlaczego w takim razie nasz morderca wycina taką odmierzoną porcję?

Fabel zamierzał odpowiedzieć na to pytanie, ale pojawił się kelner z ich posiłkiem.

– Wygląda apetycznie – powiedział.

Potrawka jagnięca, ozdobiona figami i warzywami, prezentowała się na talerzu jak prawdziwe dzieło sztuki. Fabel wziął do ust pierwszy kęs.

– Mmm... w smaku też dobre. Świetny wybór, Benni. – Jagnięcina rozpływała się w ustach. Po chwili Fabel wrócił do tematu rozmowy: – A odpowiadając na twoje pytanie... karnawałowy morderca odcina dokładnie taką porcję mięsa, jakiej potrzebuje. Tak jak my, kiedy idziemy do sklepu i prosimy o kilogram mielonego. Inna sprawa, że morderca nie traktuje jedzenia abstrakcyjnie.

– To znaczy?

– Weźmy to danie – tłumaczył Fabel. – Siedzimy tu i jemy potrawkę jagnięcą... ale słowo „jagnię” w tym kontekście kojarzy nam się wyłącznie z rodzajem potrawy. Nie myślimy o młodej owcy, a już na pewno nie o zabijaniu jej, skórowaniu i patroszeniu. Nawet w sklepie mięsnym widzimy tylko kawałek mięsa i nie wyobrażamy go sobie jako części ciała zwierzęcia. Nie zaczynamy się też ślinić na widok krwi bądź jagnięcia na łące czy kaczki pływającej w stawie.

– Przepraszam – przerwał mu z pełnymi ustami Scholz – ale nie rozumiem, do czego zmierzasz.

Fabel spojrzął na pusty w połowie talerz Scholza i pomyślał, że powinien mniej mówić, a więcej jeść.

– Kiedyś mieliśmy bardziej bezpośredni kontakt z tym, co jemy. Ale teraz żyjemy w czasach, kiedy egzotyczne owoce czy zioła, zanim trafią na nasz talerz, muszą przemierzyć pół świata. Trudno nam sobie wyobrazić, że kiedyś głównym zajęciem człowieka było poszukiwanie pożywienia. A w związku z tym także kanibalizm. Jak już mówiłem, wszystkie kultury i cywilizacje mają jakieś doświadczenia w zjadaniu ludzkiego mięsa,

choć pozostaje to społecznym i kulturowym tabu.

Scholz uniósł swój widelec i zaczął się wpatrywać w nabity na niego kawałek jagnięciny.

– Ciekawe, jak smakuje... no, wiesz... ludzkie mięso. – Wzruszył ramionami i włożył jagnięcinę do ust.

– Z tego, co wiem, podobnie jak wołowina. Albo wieprzowina – odparł Fabel. – Tak więc nasz morderca czuje związek ze źródłem pożywienia. Zależności w jego łańcuchu pokarmowym są silniejsze. Widzi kobietę, ocenia jej kształty i dokonuje wyboru. Wystarczy, że na nią spojrzy i już czuje jej smak.

– Co ty opowiadasz? Myślisz, że zjada je z powodu ich smaku?

– Nie... albo nie tylko. Sądzę, że to go podnieca. Ale łączy się tu parę innych spraw. W wypadku kanibalizmu wojennego zabijasz potężnego wroga i zjadasz go, żeby pojąć część jego siły. Jeśli chodzi o kanibalizm rytualny, zjadasz poświęconą ofiarę, żeby połączyć się z bóstwem albo z duchem ofiary... Ten symbolizm jako pozostałość pogańskich wierzeń odnajdujemy w chrześcijańskiej komunii. A jak mówiłem, kanibalizm pogrzebowy polega na zjadaniu ciała bliskiej osoby, która dzięki temu może żyć dalej poprzez ciebie.

– Albo w tobie... – dodał Scholz.

– Moim zdaniem zabójca doprowadził swoje perwersyjne upodobania seksualne do takiej abstrakcji, że uważa swoje związki z ofiarami za o wiele bardziej intymne, niż gdyby uprawiał z nimi po prostu seks.

– Zjadając plasterek tyłka ofiary, pochłania jej ducha i staje się jej bratnią duszą? – Scholz powiedział to z tak poważną miną, że Fabel nie wytrzymał i roześmiał się.

– Coś w tym rodzaju. Ale kiedyś to się musiało zacząć. Możliwe, że początkowo tylko napastował kobiety... może gwałcił. Pamiętasz sprawę Joachima Krolla? W Duisburgu, w latach siedemdziesiątych?

Scholz przytaknął.

– Kroll był gwałcicielem i mordercą i udało mu się uniknąć aresztowania przez dwadzieścia lat. Potem w którymś momencie postanowił spróbować ciała swoich ofiar. Co ciekawe, zjadał



te same części ciała co nasz morderca: mięso z pośladków i ud.

– Sądzisz, że mamy naśladowcę?

– Nie. Kroll nie był inspirującą postacią. Miał IQ na poziomie idioty i był żalonym durniem. Zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym albo dziewięćdziesiątym pierwszym. Podobieństwa są przypadkowe. Ale istnieje moim zdaniem możliwość, że nasz zabójca zaczynał od drobniejszych przestępstw. Od molestowania kobiet. I gryzienia ich.

– Taaa... – Scholz w zamyśleniu poszturchiwał widelcem kawałek jagnięciny na talerzu. – Może masz rację. Jedna z moich koleżanek, Tansu Bakrec, ma na ten temat swoją teorię.

– Jaką?

– Wyjaśni ci to sama jutro. Mówiąc w skrócie, stawia znak zapytania przy kilku sprawach z minionych lat. A szczególnie jednej.

Zapadła cisza i obaj mężczyźni zajęli się posiłkiem.

– Byłem zaskoczony, że się pojawiłeś – odezwał się w końcu Scholz. – Powiedziano mi, że rzucasz służbę.

– Bo tak miało się stać – odparł Fabel i zdał sobie sprawę, że chętnie na ten temat rozmawia. W szczerości i otwartości Scholza było coś, co wzbudzało zaufanie. U policjanta to bardzo przydatna cecha. – Oficjalnie jestem w okresie wypowiedzenia. Ale sam nie wiem, czy postępuję słusznie. – Opowiedział Scholzowi o swoich doświadczeniach z podróży do Kolonii: o jedzeniu salami podczas oglądania zdjęć okaleczonego ciała Sabine Jordanski, kiedy nawet nie przyszło mu do głowy, że takie zachowanie nie jest normalne.

– Sam łapię się na tym bez przerwy. – Scholz roześmiał się. – Tłumaczę to tym, że przywykłem do takich widoków. Wmawiam sobie, że obiektywne i profesjonalne podejście to zaleta. Tyle że inni uważają mnie za świnię.

– I to mnie właśnie martwi – powiedział Fabel. – Chyba zbyt nio przywykłem.

– Taka praca... – rzekł Scholz. – Wyobraź sobie, że jesteś lekarzem albo pielęgniarką. Uważa się, że medycyna to ratowanie ludzkiego życia, podczas gdy tak naprawdę chodzi o śmierć. Lekarze każdego dnia mają do czynienia z pacjentami, którzy

odchodzą z tego świata, czasem w potwornych mękach. Ale to jest ich praca. Gdyby podchodzili emocjonalnie do każdego pacjenta albo w wolnym czasie myśleli o nieuchronności śmierci, oszaleliby. Nie możesz się obwiniać za to, że przywykłeś do zbrodni.

– Przyznałbym ci rację – Fabel uśmiechnął się szeroko – gdyby nie fakt, że jak obaj dobrze wiemy, statystycznie to właśnie lekarze najczęściej zostają seryjnymi mordercami. Poza tym alkoholizm, samobójstwa...

– Okej, może to był zły przykład. Ale przecież wiesz, co miałem na myśli. Jesteś zawodowcem. A znalazłeś się tutaj, ponieważ uważają cię za najlepszego fachowca od takich spraw. Może nie powinieneś tego rzucić.

– Może... – Fabel popijał wino, patrząc na oświetloną latarniami ulicę, teraz pokrytą warstwą śniegu. Tam, za oknem, było miasto, którego nie znał. Miasto, w którym Witrenko prowadził handel żywym towarem. I była tam również Maria. Samotna. – Może masz rację.

Kończyli właśnie deser, kiedy zadzwonił telefon Scholza. Gestem dłoni przeprosił Fabla i wdał się w krótką wymianę zdań.

– Przepraszam – powiedział, chowając telefon do kieszeni. – To w sprawie innego śledztwa, które prowadzę. Kolega powiedział mi właśnie, że utknęliśmy w martwym punkcie.

– Morderstwo?

– Tak. Gangsterskie porachunki. Pomocnik kucharza został porąbany tasakiem. – Roześmiał się. – Nie martw się, to nie ta restauracja.

– Często wam się trafiają gangsterskie porachunki?

– Niezbyt. Zwłaszcza ostatnio. Tym razem to była mafia rosyjska albo ukraińska.

Fabel poczuł dreszczyk emocji.

– Naprawdę?

– Tak. Jakiś rok temu pojawił się tutaj gang Witrenki i Mołokowa. Zagadkowa banda, sami byli wojskowi i funkcjonariusze służb specjalnych. Podejrzewamy, że załatwili biednego sukinsyna, bo przyłapali go na przekazywaniu informacji władzom. I tu pojawia się problem. Nie możemy w żadnym wy-

dziale znaleźć tego, kto rozmawiał z ofiarą.

– Dlaczego sądzisz, że ofiara miała kontakt z policją?

– Dzień wcześniej widziano, jak rozmawiał z jakąś elegancko ubraną kobietą. Dla świadków tej rozmowy było jasne, że babka jest z urzędu imigracyjnego albo z policji. Tyle że to żadna z naszych funkcjonariuszek.

– Aha... – Fabel wziął łyk kawy i starając się sprawiać wrażenie rozluźnionego, wyglądał przez okno. Maria. Odwrócił głowę i przez chwilę patrzył Scholzowi prosto w oczy.

– Chciałeś coś powiedzieć? – zapytał Scholz.

Fabel uśmiechnął się. I pokręcił przecząco głową.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### 4 lutego

#### 1

Następnego dnia Fabel wstał wcześniej i pojawił się w kolońskiej komendzie policji przed Scholzem. Z plakietką z napisem GOŚĆ w klapie marynarki czekał w olbrzymim atrium przy wejściu. Dziwnie się czuł w innej komendzie. Ta tutaj bardzo się różniła od hamburskiej, poza tym policjanci wyglądali dziwnie w starych zielono-musztardowych mundurach, choć jeszcze dwa lata temu policja w Hamburgu nosiła takie same. To ciekawe, pomyślał, jak szybko przyzwyczajamy się do zmian.

Scholz nieco zbyt żarliwie przeprosił za spóźnienie i zaprowadził Fabla na górę do swojego gabinetu. Fabel uśmiechnął się, widząc, że stara wersja wielkiej karnawałowej głowy znikła. Poza tym ktoś zepchnął na bok biurka wszystkie papierzyska i klawiaturę komputera, a na samym środku położył nową wersję. Do pyska przyklejona była żółta karteczka z wielkim znakiem zapytania.

– Bardzo zabawne – skomentował Scholz, zwracając się do Fabla. – Ta jest lepsza?

– Inna...

Scholz spojrzał ponownie na głowę, westchnął i położył ją w kącie gabinetu, tam, gdzie leżała jej poprzedniczka.

– Chciałbym, żebyś poznał zespół, z którym pracuję nad sprawą karnawałowego mordercy – powiedział w końcu. Skinieniem ręki zaprosił do gabinetu dwoje policjantów znajdujących się za przeszklonymi drzwiami. Jeden z nich to młody mężczyzna pod trzydziestkę, komisarz w wydziale zabójstw, choć przez wyjątkowo szczupłą sylwetkę i bladą, trądzikową cerę wyglądał na nastolatka. Towarzyszyła mu kobieta, mniej

więcej trzydziestoletnia, o pełnych kształtach i kręconych, miedzianoczerwonych włosach.

– To jest Kris Feilke – powiedział Scholz, wskazując młodego mężczyznę – a to Tansu Bakrac.

Fabel uśmiechnął się. Sądząc z nazwiska, kobieta musiała być pochodzenia tureckiego. Zastanawiał się, czy miedziany kolor jej włosów to spadek po starożytnych celtyckich plemionach, które osiedliły się w Galacji. Fabel uściśnął dłonie policjantów. Zauważył, że ich zachowanie wobec szefa jest mało formalne, i przeszło mu przez myśl, czy w pracy cały zespół jest dostatecznie zdyscyplinowany.

– Posłuchaj, Janie – zaczął Scholz, kiedy usiedli – do karnawału pozostały nam trzy tygodnie. Jest więcej niż pewne, że nasz kolega wyruszy na żer. Mam szansę zapobiec morderstwu, a nie prowadzić śledztwo już po zbrodni. Właściwie chciałem powiedzieć, że my mamy szansę. A ponieważ odnoszę wrażenie, że poruszam się po omacku, czekam na twoje sugestie.

– Okej, pozwolę sobie poruszyć kilka innych kwestii, zanim przejdę do właściwego tematu – powiedział Fabel. – Pamiętacie sprawę Armina Meiwesa?

– Oczywiście... To ten kanibal z Rotenburga?

– Meiwes zamieścił w internecie ofertę, którą przeczytała jego ofiara. Używał nicku Mistrz Masarski. Dwadzieścia lat wcześniej Meiwes żyłby ze swoimi niespełnionymi fantazjami. Ale teraz miał internet. A ten bywa bardzo pomocny. To miejsce anonimowych spotkań, gdzie można podzielić się z innymi swoimi fetyszami i perwersjami. To, co wyjątkowe, staje się powszednie, to, co nienormalne, normalne.

– Sądzi pan, że w tym wypadku internet też odegrał jakąś rolę? – zapytała Tansu.

– Myślę, że może istnieć bezpośredni związek. Ale zanim przejdziemy dalej, musimy pojąć sposób rozumowania mordercy.

– A licho wie, co on kombinuje – powiedział Kris. – Pewnie żyje w świecie fantazji. To psychol.

Fabel pokręcił przecząco głową.

– I tu się pan myli. Psycholodzy i psychiatrzy nie stosują już terminów „psychopata” czy „socjopata”. Te etykiety były tak powszechnie używane w mediach, że straciły swoją wartość. Ludzie zaczęli używać słowa „psychopata” równie często jak „morderca”. Tymczasem psychopata to ktoś z osobowością chorą i antyspołeczną. Zwykle jest pozbawiony uczuć, emocji i empatii wobec innych ludzi. Nigdy nie ma wyrzutów sumienia. Zwykle łatwo taką osobę rozpoznać, ponieważ wykazuje symptomatyczne zachowanie już od dzieciństwa. – Fabel przerwał. Przyszedł mu do głowy Witrenko, osobnik całkowicie pozbawiony ludzkich uczuć. – Seryjni mordercy zwykle cierpią na zaburzenia osobowości, ale rzadko są chorzy psychicznie. Wiedzą, że postępują źle. A psychopata tego nie wie. Wielu psychopatów, których udało się skutecznie wyleczyć, ogarnęły tak straszne wyrzuty sumienia, że nie potrafili żyć ze świadomością tego, co zrobili, i popełnili samobójstwo.

– Więc nasz morderca nie jest psychopatą?

– Nie wiem tego na pewno – zastrzegł Fabel – ale uważam to za mało prawdopodobne. Seryjni mordercy zwykle nie mają jednej, stałej osobowości; zmieniają tożsamość, dostosowując się do sytuacji, w jakiej się znaleźli. I nie oznacza to, że mają rozdwojoną osobowość. Ich osobowość jest po prostu niestała. Zwykle też cechuje ich nadmiernie wybujałe ego. Uważają, że świat kręci się wokół nich. I to jest cecha, która łączy ich z psychopatami. Ale najważniejsze jest to, że nie są chorzy psychicznie. Myślę, że wasz karnawałowy kanibal bardzo potrzebuje pewności, że nie jest stuknięty, że jest częścią społeczności.

– I tu pojawia się związek z internetem? – zapytała Tansu.

– Niewykluczone. On potrzebuje miejsca, gdzie mógłby się podzielić swoimi fantazjami, a nawet składać przyszłym ofiarom oferty. Założę się, że zabójca musiał choć raz, siedząc wieczorem przed ekranem komputera, wpisać do wyszukiwarki słowo „kanibal”.

– Zgoda – powiedział Scholz – ale w czym to nam pomoże?

Fabel wyjął z teczki plik papierów.

– Przed przyjazdem tutaj poprosiłem jednego z ekspertów z naszego działu technicznego, żeby dał mi listę stron interne-

towych, które mogłyby interesować mordercę. Nie ma tu oczywiście wszystkich takich stron. W internecie jest mnóstwo mrocznych zakamarków, gdzie można się skryć. W każdym razie poprosiłem, żeby skupili się na stronach niemieckich, zwłaszcza tych na serwerach znajdujących się w rejonie Kolonii.

– Czy to ważne? Sądziłem, że geografia nie ma w wypadku internetu znaczenia.

– Bo nie ma. Ale jeśli uda nam się znaleźć kogoś w tej okolicy, kto przesyła tego rodzaju treści, to będzie nim członek tej wyjątkowej społeczności. I ten ktoś może nam pomóc w przeniknięciu do niej.

Scholz przejrzał listę. Patrząc na obrazki, kilkakrotnie skrzywił się z niesmakiem.

– Boże... Trzeba być pieprzonym popaprańcem, żeby...

– Internet łączy takich ludzi. Nasz morderca być może faktycznie stara się nie zwracać na siebie uwagi, trzyma się w cieniu i uważa za wyjątkowego. Ale podejrzewam, że choć raz odwiedził takie strony.

– Ale? – Scholz dostrzegł w wyrazie twarzy Fabela wahanie.

– Ale Andriej Czikałto, ukraiński kanibal z lat osiemdziesiątych, Fritz Haarman z Hanoweru w latach dwudziestych, Joachim Kroll z Duisburga w siedemdziesiątych, Ed Gein z USA w czterdziestych... Oni wszyscy żyli przed nastaniem internetu. Istnieje zawsze możliwość, że nasz kanibal rozwija swoje fantazje w samotności. Cóż, mam nadzieję, że nie. W internecie wszyscy czują się bezpieczni. Sądzą, że są anonimowi, choć to nieprawda. – Fabel zwrócił się do Tansu Bakrac: – Mówiłem Herr Scholzowi, że moim zdaniem ten człowiek już wcześniej próbował to robić. Komisarz powiedział, że ma pani na ten temat jakąś teorię.

– To więcej niż teoria. Znalazłam kilka spraw, które mogą mieć z nim związek.

– Ale nie muszą... – zauważył sceptycznie Scholz. – Jedyнным punktem wspólnym jest karnawał.

– Jakie to sprawy? – zapytał Fabel.

– W dwa tysiące trzecim znaleziono martwą Annemarie Kup-

pers. Została śmiertelnie pobita. Sprawca musiał wpaść w nie-ludzką furję, bo zupełnie roztrzaskał jej głowę.

– Ale nie została uduszona – wtrącił Scholz. – Nie wycięto jej też kawałka ciała. Jej bielizna była nietknięta.

– Powiedziałeś, że to miało związek z karnawałem – zauważył Fabel. – Czy została zamordowana w karnawałową Noc Kobiet?

– Nie... – odparła Tansu. – Dzień później. Dam panu kopię akt. A właściwie dwie kopie.

– A ta druga?

– Dotyczy napaści w noc kobiet. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym. Studentka medycyny Vera Reinartz została pobita, zgwałcona i prawie uduszona, uwaga, męskim krawatem.

– Przeżyła?

– Tak. Ale najbardziej przerażające jest to, że napastnikiem był klaun. To znaczy ktoś przebrany za klauna.

Fabel w zamyśleniu potarł policzek.

– Podobieństwa rzucają się wyraźnie w oczy. Ale mówi pani, że dziewczyna została zgwałcona. Nasz morderca nie podejmuje współzycia. Wykryto spermę?

– Tak, ale moim zdaniem decydującym czynnikiem nie był fakt, że próby uduszenia dokonano krawatem... Na całym ciele znajdowały się ślady ugryzień.

– No, dobrze – zgodził się Fabel – rozumiem, że przesłuchała pani ofiarę.

– Niestety – odparła Tansu. – To kolejny ślepy zaułek. Vera Reinartz rzuciła studia medyczne na uniwersytecie w Kolonii. Zniknęła nam z oczu mniej więcej rok po napaści.

– Przecież musimy mieć jej adres – rzekł Fabel. – Jeśli się przeprowadziła, musiała się zameldować na miejscowym posterunku policji.

– Nie ma śladu po osobie o tym nazwisku. Ale wciąż to sprawdzam.

– Może nie żyje. Może warto byłoby zgłosić zaginięcie? – zapytał Fabel. Kris zrobił kawę i podał mu kubek. Na kubku widniała podobizna klauna i napis „Kölle Alaaf!” w dialekcie



kolońskim znaczyło to „Wiwat Kolonia!”.

– Ona żyje – wtrącił się Kris. – Kilka razy napisała do rodziców, dając im znać, że ma się dobrze, ale żyje, jak to ujęła, „innym życiem”. Na listach nie było adresu zwrotnego, a stemple pochodziły z Kolonii. Rodzice mieszkają niedaleko Frankfurtu. Stamtąd też pochodzi Vera.

– Okej – rzekł Fabel. – Tansu może mieć rację, że coś jest na rzeczy. Nadajmy priorytet poszukiwaniom Very.

– Przywiozłeś nam coś jeszcze? – zapytał Scholz.

– Mam profile.

– Sprawcy? My też zrobiliśmy... – Scholz spochmurniał.

– Nie sprawcy. Mam psychospołeczne profile ofiar. Chyba sprawdziliście wszystkie ewentualne zbieżności?

– Tak. Z tego, co wiemy, drogi ofiar nigdy się nie skrzyżowały. Chyba że ty masz inne informacje. – Scholz wciąż był naburmuszony.

Fabel uśmiechnął się przepraszająco.

– Posłuchaj, zrobiłem to samo co wy nie dlatego, że uważałem waszą analizę za niewłaściwą. Zrobiłem to, bo jeśli mam się zaangażować w sprawę, muszę pewne rzeczy sam sprawdzić.

Scholz skinął głową.

– Jasne.

– Wiem, że zrobiliście podobny profil, ale ja przygotowałem ocenę z punktu widzenia geograficznego.

– My też. Ale nasi psychologowie uznali, że opierając się tylko na dwóch zabójstwach, trudno ustalić wzór postępowania. Wyrazili za to opinię, że powinniśmy skoncentrować się na dzielnicy Altstadt.

– Czy uwzględnili bliskość kościołów? – zapytał Fabel.

– Tak, ale uznali, że to nie ma znaczenia. W Kolonii jest mnóstwo kościołów. Gdyby istniał wątek religijny, spodziewałbym się, że jakąś rolę może odgrywać katedra. Ale nawet to trudno byłoby ocenić. Katedra znajduje się w samym centrum miasta. Od niej odchodzą promieniście wszystkie ulice. A ty uważasz, że wątek religijny może mieć znaczenie?

– Być może, choć niekoniecznie. Może chodzić o kościoły

jako budynki, a nie miejsca kultu. – Fabel uśmiechnął się promiennie. – Co byście powiedzieli na to, żeby jednego dnia oprowadzić mnie po mieście?

## 2

Minął tydzień. I nic. Maria słuchała radia, oglądała wiadomości w telewizji, codziennie kupowała „Kölner Stadt-Anzeiger”. Najprawdopodobniej pozbawiła człowieka życia, a przynajmniej ciężko go zraniła, a mimo to nie znalazła żadnej wzmianki o odnalezieniu ciała czy choćby podziurawionego kulami bmw. Ukraińiec rozpląnął się w powietrzu. Znalazła za to w gazecie krótką wzmiankę o morderstwie w kuchni restauracji Biarritz. Przekonała Sławka Dmytruka, żeby jej zaufał. Obiecała, że zapewni mu bezpieczeństwo, a tymczasem chłopak został zamordowany z powodu ich rozmowy.

Ciało Ukraińca pochowali już pewnie jego ludzie albo jeśli przeżył, leczył teraz rany. Tak czy owak, będą jej szukać. Uznała, że nic jej nie grozi, o ile będzie się trzymać z dala od baru i mieszkania Wiktora. Jeśli nie wiedzą, kim jest i gdzie jej szukać, istniała szansa, że uda jej się bezpiecznie wymknąć z miasta. Wrócić do Hamburga. Do pracy. Do własnej tożsamości.

Mimo wszystko warto było tu przyjechać, stać się kimś innym, przestać odczuwać do siebie nienawiść, wyrwać się z morderczego uścisku fobii i obsesji, które piętrząc się jedna na drugiej, w końcu mogłyby ją przygnieść. Wszystko wokół przypominało o zbliżającym się karnawale i Maria zaczynała rozumieć, dlaczego mieszkańcy potrafią upajać się tymi kilkoma dniami szaleństwa i chaosu. Miasto stawało się jakieś inne i ludzie też. A kiedy karnawał się kończył i ludzie wracali do codziennych zajęć, pozostawało w nich trwałe wspomnienie.

Wiele tu nie działała. Co ją opętało, że przyjechała tu sama i tropiła jednego z najgroźniejszych szefów mafii w Europie? Dopiero teraz dostrzegła, jak beznadziejną i nieprzemyślaną krucjatę podjęła. Zadekuje się w mieszkaniu przyjaciółki na kolejny tydzień, nie będzie się nikomu pokazywać na oczy, a po-

tem wróci do Hamburga. Znajdzie jakiegoś przyzwoitego fryzjera i przefarbuje włosy na swój naturalny kolor. Wróci do dawnej tożsamości i ciuchów, ale już bez dręczących ją obsesji. Nikt w Hamburgu nie dowie się, że tu była.

Musiała coś zrobić z samochodem. Drugi hotel, w którym zamieszkała, znajdował się przy Konrad-Adenauer-Ufer, nad rzeką, a samochód zostawiła na parkingu przed pierwszym hotelem. Odstawi go z powrotem do komisju, w którym go kupiła, i w ten sposób odzyska część kwoty, jaką zapłaciła.

Już zamierzała włożyć tanie ciuchy, które służyły jej za przebranie, ale spojrzała na siebie i zdecydowała się na przywieziony z Hamburga markowy modny zakiet. Świetnie pasował do jej ciemnych teraz włosów. Umalowała się i ponownie spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała prawie tak samo jak tamta dawna Maria. Po drodze do komisju samochodowego musi pamiętać o zjedzeniu późnego śniadania.

Wyszła z hotelu. Kroczyła po chodniku z odzyskanym na nowo wigorem i pewnością siebie. Przeszła dwie przecznice, kiedy zdała sobie sprawę z czyjejś obecności za plecami. Nieznajomy mężczyzna nagle zbliżył się i zacisnął mocno palce na jej ramieniu. Na plecach w okolicy nerek poczuła kształt, który był bez wątpienia lufą pistoletu.

– Rób, co ci każe. – Słyszając ukraiński akcent, Maria poczuła strach. – Wsiadaj do furgonetki.

Tylne drzwi samochodu otworzyły się od środka. Prowadzący Marię uzbrojony mężczyzna wepchnął ją do wnętrza, a drugi osobnik, któremu nie zdążyła się przyjrzeć, zarzucił jej na głowę worek. Poczuła ukłucie w ramię, a potem rozlewającą się po ciele falę chłodu.

### 3

Rok temu w Karnawałową Noc Kobiet właśnie tu znaleziono drugą ofiarę, Melissę Schenker – powiedział Scholz. On, Fabel, Kris i Tansu stali u wylotu ulicy, kuląc się przed zimną mżawką ze śniegiem.

Fabel spojrział w głąb ulicy. Na końcu zataczała łuk, ale i tak

dostrzegł górującą nad dachami domów wieżę kościelną. Wskazał w tamtym kierunku.

– Co to jest?

– Kościół Świętej Urszuli.

– Tam została znaleziona pierwsza ofiara, Sabine Jordanski.

– Tak. Po drugiej stronie. Jej mieszkanie znajdowało się przy Gereonswall. Trudno powiedzieć, czy to ma jakieś znaczenie. W Kolonii jest zatrzęsienie kościołów. W pobliżu znajdują się co najmniej cztery z dwunastu romańskich kościołów: Świętej Urszuli, Świętego Kuniberta, Świętego Gereona i Świętego Andrzeja, no i oczywiście... – Scholz odwrócił się i wyciągnął przed siebie rękę. Fabel dostrzegł masywne, dominujące nad otoczeniem bliźniacze wieże kolońskiej katedry.

Fabel jeszcze raz przyjrzał się miejscu, które rok temu stało się miejscem zbrodni. Była to wąska uliczka pomiędzy dwoma czteropiętrowymi blokami mieszkalnymi. Wybrukowana i starannie zamieciona. Po jednej stronie stał rząd kontenerów do segregacji śmieci, przez co pozostało przejście dla jednej osoby. W chwili zabójstwa kontenery stały w tym samym miejscu. Fabel przypomniał sobie, że widział je na wykonanych przez policję fotografiach. Znalazłszy się tu osobiście, potwierdził tylko swoje przypuszczenia.

– Przyjęto założenie, że zabójca szedł za swoimi ofiarami. Wybierał je z tłumu, kierując się odpowiadającą mu ich budową fizyczną. Uważam jednak, że wyboru dokonywał dużo wcześniej. Kilka tygodni, może nawet miesięcy wcześniej. Może szedł za nimi w dniu zbrodni, ale doskonale wiedział, gdzie mieszkają, i dlatego potrafił przewidzieć ich ruchy. Myślę, że czekał tutaj, aż Melissa Schenker wróci do domu. Ukrył się w ciemności, w jakimś osłoniętym miejscu, niczym pająk czyhający na swoją ofiarę.

– Więc wybierał z wyprzedzeniem nie tylko ofiarę, ale także miejsce popełnienia zbrodni?

– Tak... I to zupełnie zmienia postać rzeczy – stwierdził Fabel. – Seryjni mordercy dzielą się na dwa typy: impulsywnych i zorganizowanych. Typ impulsywny po prostu zaspokaja swoje żądze. Robi to, kiedy poczuje potrzebę. Seryjni morder-

cykanibale zwykle są typem impulsywnym. Wcześniej myślałem, że właśnie z takim mamy do czynienia.

– Czy to taka wielka różnica? – Na posiniałej z zimna skórze Krisa Feilkego trądzik był jeszcze wyraźniej widoczny.

– Owszem – odparł Fabel. – Oba typy popełniają serię zbrodni, oba zwykle zbierają trofea, oba cierpią na zaburzenia osobowości i oba zwykle są nieudacznikami... Ale istnieje między nimi zasadnicza różnica. Mordercy impulsywni mają niskie IQ. Zwykle bardzo niskie.

– Jak Joachim Kroll... – Scholz odniósł się do ich rozmowy w restauracji.

– Jak Joachim Kroll. Tymczasem zorganizowani seryjni mordercy zwykle mają ponadprzeciętne IQ. I dobrze o tym wiedzą. Są sprytni, ale nigdy aż tak, jak im się wydaje. Zaczynam podejrzewać, że nasz karnawałowy morderca jest typem zorganizowanym. Planuje zbrodnie. Zwłaszcza w tym wypadku. Melissa Schenker była zupełnym odludkiem. To kolejna rzecz, jaką znalazłem w aktach, które mi przesłałeś. Nie prowadziła w zasadzie życia towarzyskiego. Miała tylko dwie przyjaciółki, które wciąż starały się wydobyć ją ze skorupy, w której się skrywała.

– To prawda. To one namówiły ją do pójścia na Karnawałową Noc Kobiet. Biedne dziewczyny. Przesłuchiwałem je. Były kompletnie załamane, dręczyło je poczucie winy. Czują, że gdyby nie nakłoniły wtedy Melissy do pójścia z nimi, dziewczyna by żyła.

– Pewnie mają rację. Nie rozumiem tylko, dlaczego wybrał akurat Melisę. Nasz morderca jest tropicielem i myśliwym. Wcześniej musiał ją widzieć gdzieś poza domem.

Scholz wzruszył ramionami.

– Sprawdzaliśmy to. Melissa była osobą bardzo uporządkowaną. Pracowała w branży komputerowej. Tworzyła gry. Zbiła na tym niezłą kasę, choć trudno w to uwierzyć, patrząc na jej mieszkanie.

Fabel spojrział na górne piętra stojących przy ulicy bloków. Melissa Schenker mieszkała na ostatnim piętrze.

– Czy jej mieszkanie jest zajęte?

– Nie. Przez ponad sześć miesięcy stało puste, a potem zo-

stało sprzedane. Kupiła je firma zajmująca się nieruchomościami i zamierza wynajmować, ale rozeszła się o nim zła sława. Ludzie tutaj są bardzo przesądni.

– Czy mieszkanie odnowiono?

– Jeszcze nie. – Scholz uśmiechnął się szeroko.

– Chciałbym je obejrzeć – poprosił Fabel.

Scholz z nieznikającym z twarzy uśmiechem sięgnął do kieszeni kurtki. Wyjął z niej pęk kluczy i pomachał nimi jak dzwoniem.

– Pomyślałem o tym...

Mieszkanie było przyjemne i jasne, nawet w taki dzień jak ten, ale pozbawione mebli, nie pozwalało Fablowi wkomponować w to wnętrze osoby, którą poznał, czytając akta. Ściany były białe. Sufit wysoki, z rzędem wbudowanych reflektorków rzucających jasne światło na drewnianą podłogę. Przez zwieńczone łukami okna zaglądał do środka ponury dzień. Salon był okazałych rozmiarów, jeden szeroki stopień prowadził na podwyższenie.

– Tutaj pracowała – wyjaśnił Scholz, podążając za spojrzeniem Fabla, który pokiwał głową. Ściana w podwyższonej części salonu była upstrzona gniazdkami elektrycznymi i internetowymi.

– Wygląda dość luksusowo – stwierdził Fabel.

– Nie powiedziałem, że nie jest luksusowe – odparł Scholz. – Mówiłem tylko, że było ją stać na dużo więcej. Z jej deklaracji podatkowej wynika, że zarabiała ponad trzysta tysięcy euro rocznie. Pracowała na własny rachunek, a kiedy sprzedała jakąś grę poważnemu producentowi, zachowywała prawa autorskie i otrzymywała tantiemy od każdego sprzedanego egzemplarza. Przyjaciele twierdzą, że kochała swoją pracę. Nawet za bardzo.

Fabel, który przyglądał się przez okno bliźniaczym wieżom katedry, odwrócił się do Scholza.

– Co masz na myśli?

– Zaczęli się martwić o jej stan psychiczny. Melissa tworzyła w grach alternatywną rzeczywistość. Wymyślała nowe światy. Przyjaciele twierdzili, że spędzała w tym wirtualnym świecie za

dużo czasu. Niepokoił się, że zaczyna tracić kontakt z rzeczywistością. Kiedy nie zajmowała się tworzeniem nowych światów, żyła w już stworzonych, grając online.

Fabel pokiwał ze zrozumieniem głową.

– To się nazywa siecioholizmem. Albo zespołem uzależnienia od internetu... Przyczyną jest spędzanie zbyt długiego czasu w świecie wirtualnym. Ograniczony kontakt z rzeczywistością i prawdziwymi ludźmi prowadzi do poważnych problemów psychicznych. Co ciekawe, najczęściej dotyczy to osób z niską samooceną, a zwłaszcza z oceną swojego ciała. Przebywanie w sieci pozwala im uwolnić się od swojej cielesności... Cielesności, z której nie są zadowoleni.

– To by pasowało do tego, co wiemy o Melissie – zauważyła Tansu Bakrac. Stała pod jednym z reflektorów, którego światło nadało jej miedzianym włosom ogniście czerwony odcień. – Sporo się dowiedzieliśmy, przeglądając zawartość jej komputera. Recenzowała cudze gry na forach i na stronach sklepów internetowych. Większość recenzji liczyła sto do stu pięćdziesięciu słów.

– Cóż, to była jej praca...

Tansu roześmiała się.

– Doliczyliśmy się dwóch tysięcy recenzji w ciągu dwóch lat. To daje około trzystu tysięcy słów. W wielu z nich jest pełno jadu i sarkazmu. Musiała tymi recenzjami parę osób porządnie wkurzyć.

– No proszę...

– Nie, nie. To ślepy zaułek. Wszystkie recenzje pisała pod pseudonimem. Choć nietrudno wyczytać coś między wierszami. Jej recenzje to dzieło osoby pozbawionej własnego życia, anonimowo dającej upust furii. Na dodatek spędzała całe godziny, grając w sieci. Robiła wszystko, żeby unikać realnego świata. Moim zdaniem była żalospną oferumą...

– Nie widzę związku między jej zachowaniem a tym, co ją spotkało – stwierdził Scholz.

– Może nie ma takiego związku. Co się stało z jej sprzętem komputerowym?

– Wciąż trzymamy go w magazynie dowodów rzeczowych –

odparł Kris Feilke. – Na wypadek gdyby okazało się, że poznała kogoś w internecie.

– A poznała?

– Nie. Przynajmniej nic o tym nie wiemy. Jeden z naszych specjalistów zaczął przeglądać jej pliki, ale musiałem go od tego odsunąć. Zajmowało to zbyt dużo czasu i wyglądało na to, że nigdzie nas nie doprowadzi. Największym problemem było to, że mnóstwo plików miało zabezpieczenia, których nie zdołaliśmy złamać. Jednak w tym, co udało nam się odczytać, nie ma śladu po jakiejś wirtualnej znajomości.

– U osoby tak dobrze znającej się na nowoczesnych technologiach to o niczym nie świadczy. Byłbyś zaskoczony, gdyby udało się złamać zabezpieczenia. Założę się, że Melissa prowadziła bardzo aktywne życie towarzyskie i seksualne. Tyle że online. A co z rodziną?

– Miała jedną siostrę. Chyba nie były ze sobą blisko. Sprzedają mieszkania zajmowali się prawnicy. Rodzice nie żyją.

– Obecny lub były chłopak?

– Ani śladu. Melissa nie pochodziła z Kolonii. Wychowała się w Hessen. W jej życiu było niewielu chłopców. Wszystkich sprawdziliśmy. I nic.

– Chciałbym zobaczyć jej rzeczy. Ale to później. – Fabel rozejrzał się po mieszkaniu. To był jej azyl. Miejsce, gdzie mogła żyć w cyfrowej rzeczywistości. Tu nic złego nie mogło się jej przydarzyć. Niebezpieczeństwo czyhało na zewnątrz.

Wracając na ulicę, gdzie napadnięto i zamordowano Melisę Schenker, Fabel rozmyślał o tym, że nie myliła się w swoim przeświadczeniu.

Andrea czekała. Głowa pękała jej z bólu z powodu odwodnienia. W ostatnim tygodniu ograniczyła przyjmowanie płynów do szklanki wody dziennie, licząc na to, że organizm spali ostatnie zapasy tłuszczu w jej ciele. W szatni było pół tuzina krzeseł, ale ona nie usiadła na żadnym. Nie było czasu na odpoczynek. Musiała teraz pracować nad ciałem, podporządkować je swojej



woli. Serce waliło jej jak młot. Ściągnęła, nerwy i tkanki przenikał prąd elektryczny. Pięć minut temu skończyła ćwiczenia z hantlami, a teraz prężyła mięśnie w pozach, które zaprezentuje podczas występów na scenie.

Najpierw pozycje obowiązkowe: biceps przodem, najszerze mięśnie grzbietu przodem, mięśnie brzucha – te miała najlepsze dzięki wyraźnemu zarysowaniu mięśni skośnych zewnętrznych – uda, klatka piersiowa bokiem, triceps bokiem, bicepsy tyłem. I w końcu najsłabszy punkt w programie Andrei, kiedy musi się odwrócić plecami do jurorów i pokazać najszerze mięśnie grzbietu. Właśnie przez brak wyraźnie zarysowanych mięśni pośladkowych poprzednim razem przegrała. Tym razem ćwiczyła w sposób bardziej przemyślany: robiąc wymachy nóg, koncentrowała się na pośladkach. Jej ostatnią obowiązkową pozą będzie *most muscular*. Potem przejdzie płynnie do pierwszej pozy dowolnej, czyli *most muscular* na kraba.

Słyszała okrzyki zachwytu publiczności. Brytyjska Suka skończyła swój pokaz i słychać było, że się podobał – tłum gwizdał, tupał, ryczał. Nazywanie Maxine Brytyjską Suką nie znieważało jej; to był jej przydomek, tak jak przydomkiem Andrei była Amazonka. Andrea i Maxine brały razem udział w wielu konkursach. Kiedy Andrea podróżowała z tournée po Anglii, Maxine gościła ją u siebie w Nottingham, a dzisiaj Andrea miała przenocować Maxine w swoim mieszkaniu. Często razem trenowały. Były przyjaciółkami.

Zawsze i wszędzie, tylko nie na podium. Na podium nie ma przyjaciół. Tam nie potrzeba nikogo ani niczego prócz adrenaliny i agresji. Nawet wściekłości. Ukrytej, oczywiście, pod maską szerokiego, jasnego i bezmyślnego uśmiechu. Tam Maxine, najlepsza przyjaciółka Andrei, była tylko Brytyjską Suką. Przeciwnikiem, którego trzeba pokonać.

Andrea słyszała kolejny wybuch aplauzu. Następna zawodniczka kończyła swój występ. Teraz jej kolej. Musi wyzwolić w sobie agresję. Andrea wiedziała, jak wywołać u siebie złość, potrafiła to zrobić na zawołanie. Wystarczyło sobie przypomnieć. Czekając, aż zostanie wywołana na scenę, rozpalila w sobie żar złości i nienawiści.

Rozległo się pukanie. Jeden z pracowników otworzył na oścież drzwi, dając znak, żeby Andrea wyszła na scenę. Czuła się jak lew wpuszczany do Koloseum. Pewnie krocząc przed siebie, usłyszała głośny, zwierzęcy ryk. I zdała sobie sprawę, że dobywa się on z jej gardła.

## 5

Marii zdawało się, że została wepchnięta do bagażnika samochodu. Albo furgonetki. Ale wkrótce i ta myśl gdzieś odpłynęła. Tymczasem Marii rzeczywiście związano ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach, naciągnięto na głowę jakiś worek i zakneblowano. Na koniec założono jej coś, co przypominało przemysłowe ochraniacze na uszy. To była klasyczna metoda działania służb specjalnych – totalna deprywacja sensoryczna, która ma otępić ofiarę. Czas przestał istnieć. Maria czuła, że jej umysł oddzieliła się od ciała – traciła czucie w rękach i nogach, przestawała panować nad całym układem nerwowym. Poruszyła palcami i naprężyła mięśnie. Więzy wpiły się w skórę. Pomogło, na chwilę odzyskała jedność ze swoim ciałem. Ale to uczucie szybko minęło, a ból fizyczny zmienił się w cierpienie sięgające głęboko w duszę.

Nie miała pojęcia, jak długo przebywała w furgonetce; do chwili gdy poczuła, że wynoszą ją z pojazdu, nie wiedziała nawet, że samochód się zatrzymał. Posadzono ją na twardym krześle, przywiązano do niego i pozostawiono na kilka minut. Od pęt na nadgarstkach zdrętwiały jej dłonie, a z powodu ochraniaczy na uszach i zarzuconego na głowę worka nie wiedziała nawet, czy znajduje się w jakimś pomieszczeniu, czy nie. Pomyślała o ludziach, na których w ten sposób dokonywano egzekucji. Pozbawiona wzroku i słuchu, nie usłyszałaby nawet odgłosu odciąganego kurka ani nie zauważyłaby obecności kata. Wszystko stałoby się tak nagle, życie uszłoby z niej w jednej chwili. Może to nie najgorsze rozwiązanie, pomyślała, choć serce wciąż tłukło się w piersi jak oszalałe. Zaledwie kilka dni temu sama była zaskoczona faktem, że nie boi się śmierci. Ale teraz na nowo nauczyła się żyć – w obcej skórze – i życie odży-

skąło swoją wartość. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek odnajdą jej ciało. Wyobraziła sobie Fabla pochylającego się ze zmarszczonym czołem nad jej zwłokami, nad nią z cudacznie ufarbowanymi włosami.

Ochroniacze na uszy nagle zniknęły. Zdjęto jej też worek z głowy. Ktoś stojący za jej plecami wyjmował jej knebel z ust. Serce Marii zabiło jeszcze szybciej. Może przed śmiercią czekają ją tortury. Zdjęto jej przepaskę z oczu. Była zdezorientowana. Siedziała z pochyloną nisko głową i mrużyła oczy przed jaskrawym światłem.

W końcu wzrok się przyzwyczał. Naprzeciw niej siedzieli mężczyzna i kobieta.

Znajdowali się chyba w jakimś opuszczonym magazynie albo hali fabrycznej. W pobielonej wapnem ścianie naprzeciwko dostrzegła podwójne drzwi, a po prawej stronie wielkie metalowe wrota na prowadnicach. Pod sufitem były podwieszane szyny z metalowymi hakami. Wyglądało to na nieczynną przetwórnnię mięsa.

Kobieta wstała i podsunęła Marii pod nos szklaną fiolkę. W nozdrza uderzył ją ostry zapach, szybko i boleśnie przywołując do rzeczywistości.

– Chcę, żeby mnie pani wysłuchała – odezwał się mężczyzna. Mówił z wyraźnym ukraińskim akcentem. – Proszę się skupić. Rozumie pani, co mówię?

Maria skinęła głową.

– Wiemy, kim pani jest, Frau Klee. Wiemy też, po co pani tu przyjechała. Działa pani na własną rękę, bez wiedzy i wsparcia swoich przełożonych. Jest pani zupełnie sama.

Maria nie odezwała się.

– Może jest pani znakomitą policjantką, Frau Klee, ale w tej sytuacji zachowuje się pani jak kompletny amator. Nie wystarczy ufarbować włosy, żeby stać się mistrzem w śledzeniu ludzi.

Maria spojrzała na kobietę. Była młoda i niezwykle piękna, miała błękitne oczy. Trudno byłoby jej się ukryć w tłumie. Mężczyzna przestraszył Marię. Miał takie same zielone oczy jak Witrenko, spojrzenie dziwne i przenikliwe, tak typowe dla Ukraińców. Do tego dochodziły czarne włosy i wyraźnie

słowiańskie rysy twarzy. Sprawiał wrażenie wysportowanego i pełnego sił, ale Maria odniosła wrażenie, że jest zmęczony.

– I co teraz ze mną będzie? – zapytała. – Dlaczego przywieźliście mnie tutaj, zamiast wyrzucić moje zwłoki gdzieś w lesie? Nic z tego, co wiem, nie przyda się wam.

Ukrainiec i siedząca obok kobieta uśmiechnęli się do siebie.

– Nie mamy zamiaru zrobić pani krzywdy, Frau Klee. Prawdę mówiąc, musieliśmy interweniować, bo sama się pani pchała w objęcia śmierci. Naprawdę pani sądzi, że Kuszniery nie domyślił się od razu po wyjściu z baru, że go pani śledzi?

– Kuszniery, Maksym Kuszniery – odezwała się kobieta – to były ukraiński spadochroniary. A obecnie jeden z gangsterów Witrenki. Raczej niskiego szczebla. On pewnie nigdy nie widział Witrenki na oczy. I co, sądziła pani, że on doprowadzi panią do Witrenki?

– Nie. Ale od czegoś musiałam zacząć.

– I niewiele brakowało, żeby to się źle skończyło – stwierdził mężczyzna. Wstał i dał znak kobiecie, która obeszała krzesło i przecięła więzy krępujące Marię. – Śledziliśmy panią. Tak żeby ani pani się nie zorientowała, ani Kuszniery. Oboje byliście zbyt zajęci tańczeniem walca na drodze do Delhoven.

– Jeśli to był taniec – powiedziała Maria rozcierając nadgarstki – to ja prowadziłam.

– Tak... – przytaknął pojednawczo Ukrainiec. – To robiło wrażenie. Ale kiedy pani błąkała się po pustkowiach Nadrenii, my posprzątaaliśmy bałagan, który pani zostawiła.

– On nie żyje?

– Trafiała go pani trzema kulami. W ramię, szyję i nerkę. Strzał w nerkę powinien spowodować długą agonię. Miał jednak szczęście, bo wykrwawił się z rany na szyi.

Marii zrobiło się nagle niedobrze. Wiedziała, że musiała go trafić, ale ponieważ nie znalazła samochodu, do tej pory nie przyjmowała do wiadomości, że pozbawiła życia inną istotę ludzką.

– Sama pani widzi – ciągnął Ukrainiec – że obecnie działa pani poza prawem. Tak samo jak my.

– Kim jesteście? – zapytała Maria, biorąc od kobiety szklanekę

z wodą.

– Pani nowymi partnerami.

– Wywiad ukraiński?

– Nie. Nie jesteśmy z SBU. Formalnie jesteśmy milicjantami. Kapitan Taras Buslenko z oddziału Sokił. Czyli Sokół... To oddział specnazu zwalczający przestępczość zorganizowaną. A to jest kapitan Olga Sarapenko z kijowskiej milicji, czyli czegoś podobnego do waszej *Schutzpolizei*. Pani kapitan służy w wydziale antymafijnym.

– Tropicie Witrenkę? – zapytała Maria.

– Tak. A on tropi nas. Ma pani przed sobą resztki siedmioosobowego oddziału specjalnego, który miał za zadanie przyjechać tu i... porachować się z Witrenką.

– Planujecie dokonać zabójstwa na terytorium Niemiec?

– A czy przypadkiem pani nie planowała tego samego?

Maria puściła pytanie mimo uszu.

– Powiedział pan, że było was siedmioro. Gdzie pozostali?

– Trzech nie żyje. Mieliśmy w oddziale dwóch zdrajców. Spokalkaliśmy się w leżącej na uboczu chatce myśliwskiej na Ukrainie. Nikt o tym nie wiedział. Nim zdążyliśmy się zorientować, że zagrożenie stanowi dwóch z nas, a nie jakieś siły działające z zewnątrz, zaczęliśmy ginąć. Z lasu wyszło nas żywych tylko troje, a potem Bielőcerkowski dostał kulę w plecy.

– To moja wina... – Na twarzy Olgi Sarapenko pojawił się grymas bólu. – Zwichnęłam nogę, a on pomagał mi w ucieczce.

– A ja miałem was ubezpieczać – powiedział Buslenko. Oboje zamilkli. Z wyrazu ich twarzy Maria odgadła, że są teraz myślami w innym miejscu, w innym czasie. Wiedziała dobrze, co znaczy przywoływać takie wspomnienia.

– Dlaczego nie sformowaliście oddziału na nowo? – zapytała.

– Nie było ani czasu, ani sensu – odparł Buslenko. – Czas jest sprzymierzeńcem Witrenki. Musimy go dopaść, nim on dopadnie nas. Na szczęście Witrenko myśli, że zrezygnowaliśmy z misji... że kapitan Sarapenko i ja stchórzyliśmy. Nie było też pewności, czy jeśli odtworzymy oddział, znów nie znajdzie się w nim jakiś kret. My oboje wiemy, że możemy sobie ufać. I jest jeszcze jedna osoba, na której możemy polegać...

– Kto taki?

– Pani – odparł Buslenko, oddając Marii jej pistolet.

## 6

Widownia szalała. Andrea stała przed nią, skrywając złość za promiennym uśmiechem. Jej ciało było pokryte samoopalaczem i śliskie od olejku. Muzyka, którą Andrea wybrała do swojego występu, dudniła głucho w wypełnionej widzami sali. Cały czas myślała o tym, jaką była kiedyś głupią, bezwolną dziwką. Oto teraz wszyscy mogli zobaczyć prawdziwą Andreeę Sandow. Andreeę Amazonkę. Każda jej poza wywoływała okrzyki zachwytu. Na koniec programu zaimprovizowała pozę dowolną – *Overhead Victory*. Jej bicepsy, większe niż u którejkolwiek z rywalek, naprężyły się wysoko nad głową, ujawniając topografię żył i ścięgien. Widzowie zgotowali jej owację na stojąco. Opuściła ramiona i nisko się skłoniła. Oddała jeszcze ukłon na boki i szybkim krokiem przeszła na bok sceny, gdzie stały pozostałe zawodniczki. Maxine uśmiechnęła się do niej szeroko i z szacunkiem pokiwała głową. W tym momencie Andrea wiedziała już, że zwyciężyła. Całe dotychczasowe cierpienie, cały ból i poświęcenie służyły temu jednemu celowi. Nikt z audytorium nie wiedział jednak, że pokonała nie tylko swoje rywalki.

Kiedy tylko sędziowie ogłosili werdykt, Maxine uściskała ją gorąco i szczerze. Andrea miała wrażenie, że płacze, choć łzy, oczywiście, nie płynęły jej z oczu. Pozostałe zawodniczki pogratulowały jej, ale wiedziała, że tylko Maxine jest szczerze zadowolona z jej sukcesu. Poczowała się podle, zdawała sobie bowiem sprawę, że gdyby sytuacja uległa odwróceniu, nie zachowałaby się równie szlachetnie.

– Urzniemy się dzisiaj – powiedziała do niej po angielsku Maxine. – Zawody skończone... Damy sobie tydzień luzu, a potem wrócimy do kieratu.

– Zdecydowanie należy mi się szampan – powiedziała Andrea, kiedy wchodziły do szatni. Czekały tam na nie trzy osoby. W jednej z nich rozpoznała Herr Waldheima, członka komitetu organizacyjnego zawodów.

– To jest doktor Gabriel i jego pielęgniarka, pani Bosbach – przedstawił pozostałych Waldheim. – Przyszli tu jako przedstawiciele związku kulturystycznego, żeby pobrać krew do badań antydopingowych. Rzecz jasna, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie – odparła Andrea i poczuła, że wymuszony uśmiech przyprawia ją o ból szczęki.

## 7

Na sugestię Fabela zostawili samochód na parkingu i poszli piechotą do Świętej Urszuli. Kościół stał na niewielkim placu, otoczony przez sąsiadujące budynki. Na jednym końcu placu znajdował się bar restauracyjny, a na przeciwległym budynek przylegający do bocznego skrzydła kościoła.

– Gdzie znaleziono Sabine Jordanski? – zapytał Fabel.

– Tam, za kościołem.

Fabel wraz z pozostałymi ruszył za Scholzem. Obeszli kościół dookoła. Podobnie jak przy morderstwie Melissy Schenker, miejsce zbrodni było mało widoczne. Kolejna śmiertelna pułapka.

– Gdzie mieszkała?

– Za rogiem, przy Gereonswall. – Scholz wskazał skracając łukiem ulicę.

– Coś mi tu nie pasuje... – Fabel obrócił głowę w stronę miasta.

– Co? – zapytał Scholz.

– Jestem pewny, że zabójca czeka na swoje ofiary. Ale kościół znajduje się po niewłaściwej stronie. Ona nie powinna tędy przechodzić.

Scholz uśmiechnął się ponuro i pokręcił głową.

– Wracała do domu z koleżankami. Tu się pożegnały i każda poszła w swoją stronę. Nawet gdyby tędy przechodziła, morderca by nie zaatakował. Byliby świadkowie.

– W takim razie musiał ją w jakiś sposób zmusić do przyjścia tutaj.

– Pewnie tak.

– A to może oznaczać, że ten konkretny kościół ma jednak znaczenie. Nie było żadnych śladów kontaktu seksualnego? – zapytał Fabel, choć znał odpowiedź.

– Nie – odpowiedziała Tansu. – Żadnych śladów nasienia czy napastowania seksualnego.

Stali, wpatrując się w miejsce zbrodni. Drugie już tego dnia. Fabel zaczynał rozumieć, jak działa ten zespół: Scholz zachowywał się, jakby nie był szefem, Kris i Tansu zwracali się do niego „Benni” zamiast „szefie”, a mimo to kierował pracą swoich ludzi może nawet lepiej niż Fabel. Kris dopiero terminował – pokornie zbierał perełki wiedzy spod stóp Scholza. Tansu była uparta i inteligentna, choć wciąż brakowało jej pewności siebie i nie ośmielała się podważać zdania przełożonego. Widać było wyraźnie, że Scholz odrzuca jej teorię związaną z ofiarą gwałtu z dziewięćdziesiątego dziewiątego. Fabel natomiast rozumiał jej racje.

– Jest coś, co musisz zobaczyć. – Scholz skulił się z zimna i poprowadził Fabla w stronę wielkich, ciemnych drzwi kościoła. Fabel wszedł za nim do wnętrza i rozejrzał się.

– Bardzo ładny – powiedział, patrząc na sklepienie i witraże wpuszczające mdłe światło zimowego dnia.

– Nie to chciałem ci pokazać. – Scholz zaprowadził go do ciężkich, wzmocnionych drzwi, znajdujących się na prawo od wejścia.

– Zostaniemy tutaj – powiedziała Tansu. – To przyprawia mnie o gęsią skórkę.

Fabel i Scholz zeszli po kamiennych stopniach do krypty pod kościołem.

– Krypta jest otwarta dla zwiedzających w dzień, ale monitorowana jest cały czas. Te masywne drzwi, które widziałeś, są na noc zamykane na głucho.

Fabel zatrzymał się w pół kroku. Sklepienie krypty było pobielone wapnem i ozdobione złożonymi detalami. Całe pomieszczenie wydawało się wyłożone złotem. Ale najbardziej zainteresowało go to, co się pod tym złotem kryje.

– Złota Komnata... – wyjaśnił Scholz. – Święta Urszula to drugi najstarszy kościół romański w Kolonii. Jak miałeś okazję



się przekonać, miasto do pewnego stopnia wkroczyło na jego teren. Kiedyś, w czasach romańskich, przed kościołem znajdował się olbrzymi cmentarz.

Fabel rozejrzał się po krypcie. Wszystkie ściany zdobiły kości i czaszki. Prawdziwe kości i czaszki wciśnięte w tynk i ułożone w geometryczne wzory. Setki kości. Tysiące. I wszystkie pozłacane. Sztuka śmierci. W ścianach znajdowały się niewielkie wnęki, a w nich gipsowe popiersia.

– Znasz legendę o świętej Urszuli? – zapytał Scholz.

Fabel pokręcił głową. Wciąż nie mógł oderwać oczu od wystroju krypty. Tylu tu było zmarłych. Pozłacane ludzkie szczątki wykorzystano w celach zdobniczych. Przerazające. I obrzydliwe.

– Urszula była brytyjską księżniczką, która przybyła tu w towarzystwie jedenastu tysięcy dziewcz. Niestety, kiedy znalazły się w Kolonii, miasto obległy hordy jurnych Hunów ze wschodu. Urszula i jej towarzyszki wołały umrzeć, niż stracić cześć. – Scholz roześmiał się. – Spróbuj w dzisiejszych czasach znaleźć jedenaście tysięcy dziewcz w Kolonii. A tak prawdę mówiąc, w tej historii pierwotnie wspomniano o jedenastu dziewczach, ale wiesz, jacy są mieszkańcy Kolonii... Liczba szybko urosła do jedenastu setek, a potem tysięcy. Mimo to istnieją podstawy, żeby wierzyć, że około czwartego wieku faktycznie doszło tu do męczeńskiej śmierci dziewcz. Legenda głosi, że zostały one pochowane na przykościelnym cmentarzu. Kiedy cmentarz likwidowano, stworzono Złotą Komnatę i umieszczono w niej wykopane szczątki. A prawda jest taka, że te szczątki pochodzą z różnych wieków. Są tu też dziesiątki ossuariów w formie gipsowych popiersi zawierających szczątki bogaczy, których stać było na oddzielny pochówek.

– To jest makabryczne... – stwierdził Fabel.

– To jest katolicyzm. – Scholz uśmiechnął się. – Dla nas bardzo ważne jest *memento mori*. Baw się, pókiś żyw, ale pamiętaj o czekającej cię śmierci i wieczności. Ta myśl znalazła swoje odzwierciedlenie w obchodach karnawału.

– Dlaczego chciałeś, żebyśmy to zobaczyli? – zapytał Fabel. – Myślisz, że to może mieć jakieś znaczenie? Cała ta legenda

o dziewicy i Złota Komnata? Tansu twierdzi, że gwałcieł zaatakował swoją ofiarę siedem lat temu na tyłach tego kościoła. I ofiara była dziewicą.

– Zakładam, że może istnieć jakiś związek między tamtym przypadkiem a naszymi zabójstwami. Ale pomyślałem, że będziesz chciał zobaczyć Złotą Komnatę. Oba morderstwa zostały popełnione w pobliżu Świętej Urszuli. Może to – Scholz zamaszystym gestem ogarnął kryptę – ma dla sprawcy jakieś szczególne znaczenie. Może uważał, że Melissa Schenker była dziewicą. Faktycznie żyła jakby w celibacie. Ale z kolei Sabine Jordanski wygląda mi na osobę, która chętnie pozbyła się dziewictwa już jakiś czas temu.

Fabel pokiwał głową.

– Coś jednak musiało zwrócić jego uwagę na te dziewczyny. Nie tylko fakt, że miały budowę ciała odpowiadającą jego gustom. Znał je na długo przedtem, nim je zabił. Gdzieś musi istnieć jakiś związek.

Fabel wpatrywał się w jedną z ozdobionych kośćmi ścian. Odpowiadało mu spojrzenie pustych oczodołów. Odwrócił się i ruszył ku schodom prowadzącym na zewnątrz.

– Chciałbym jeszcze raz przejrzeć akta, kiedy wrócimy do komendy. Jestem pewny, że coś nam umyka.

## 8

Mówimy teraz o popełnieniu morderstwa. – Buslenko pochylił się nad stołem i intensywnie wpatrywał w oczy Marii. Nienawidziła spojrzenia tych jasnych oczu. Twardego niczym szmaragd. Takich samych, jakie miał Witrenko. – Żeby wszystko było jasne. Zamierzamy złamać prawo, na którego straży pani powinna stać. Jest pani w końcu oficerem policji... Musi pani zdawać sobie sprawę, że formalnie nic nie usprawiedliwia zabójstwa Wasyła Witrenki.

– Ale moralnie owszem... – odparła.

– Nie o to chodzi. Jeśli zostaniemy ujęci, trafi pani do więzienia. Chcę, żeby pani zdawała sobie z tego sprawę. Jeśli chce pani się wycofać, proszę to zrobić teraz. I wrócić do Hamburga.

Wolę, żeby nie wchodziła nam pani w drogę.

– Zdaję sobie sprawę, jaka jest stawka – powiedziała Maria.  
– Zrobię wszystko, żeby dopaść tego bydlaka. Z jego powodu jestem skończona jako policjantka, więc dlaczego miałabym przestrzegać prawa?

– Okej... – Buslenko rozłożył mapę Kolonii. Nie był to zwyczajny plan miasta. Marii przypominał raczej mapy, jakimi posługują się służby wywiadowcze na całym świecie. Na mapie naklejono kilka czerwonych kwadracików.

– To są miejsca, przynajmniej te, które znamy, gdzie działa organizacja Witrenki. Mamy je dobrze rozpoznane, ale to nie są ich kluczowe siedziby. O tamtych nic nie wiemy. Jesteśmy też pewni, że Witrenko znacząco zmienił swój wygląd. Może się kręcić w pobliżu nas, a my nawet o tym nie wiemy. Za to tego rozpracowaliśmy porządnie... – Buslenko położył na stole fotografię. – To jest Walerij Mołokow, Rosjanin. Mołokow to w pewnym sensie rosyjski odpowiednik Witrenki. Różnica polega na tym, że nie jest równie bystry ani równie groźny. Witrenko uważa się za kogoś lepszego od zwykłego kryminalisty i wydaje mu się, że wciąż dowodzi operacją wojskową, tymczasem Mołokowowi, choć służył wcześniej w specnazie, wystarcza w zupełności rola szefa mafii.

– Mołokow był oficerem milicji? – Maria zdziwiła się.

– Nie w takim sensie, jak pani myśli. Służył w OMON-ie, rosyjskim oddziale do zadań specjalnych, ale został stamtąd usunięty, rzekomo za korupcję. W Moskwie jest tylu skorumpowanych milicjantów, że może to być prawda. Potem został oskarżony o przestępstwa związane z nielegalnym przetrzucem emigrantów przez granicę i spędził trzy lata w moskiewskim więzieniu Matrosskaja Tiszina. To kolejna rzecz, która różni go od Witrenki. Witrenko nigdy nie był aresztowany, a tym bardziej skazany czy osadzony w więzieniu. Mołokow zyskał sławę jako płatny zabójca. Jest poszukiwany za popełnienie mnóstwa przestępstw. Mołokow nie znosi Witrenki, ale w tej sytuacji nic nie może zrobić. W pewnym momencie obaj znaleźli się na kursie kolizyjnym i Mołokow stwierdził, że nie ma szans. Dlatego Witrenko zmusił go do współpracy, wyznaczając mu rolę mniej

ważnego współnika.

– Dlaczego Mołokow nie został wydalony z Niemiec? – zapytała Maria.

– Obaj, Witrenko i Mołokow, mieszkają tu pod przybranymi nazwiskami. Różnica polega na tym, że Witrenko jest w lepszej sytuacji, po prostu zmienił tożsamość. A policja niemiecka wciąż nie może ustalić, pod jakim nazwiskiem ukrywa się Mołokow i gdzie go szukać. I tu my mamy przewagę.

– Naprawdę?

– Wiemy, gdzie jest. Dowiedzieliśmy się przypadkiem, to nie było planowane. Nas Mołokow interesuje wyłącznie dlatego, że jest najwyższym postawionym członkiem w organizacji Witrenki, jakiego możemy obserwować. W przeciwieństwie do małej płotki Kuszniara, za którym się pani uganiała, Mołokow rzeczywiście może nas doprowadzić do Witrenki.

– Wygląda na to, że nie pałają do siebie miłością.

– Nie. Szczególnie Mołokow. Witrenko jest dość potężny, żeby go trzymać w szachu, ale Mołokow to kawał niebezpiecznego sukinsyna. W tandemie Witrenko-Mołokow jest jeszcze jeden punkt zapalny. Wasza Federalna Policja Kryminalna ma w ich organizacji informatora. Według naszego rozeznania Witrenko uważa, że źródłem przecieków jest ktoś z grupy Mołokowa. Brałem udział w nieudanej akcji ujęcia Witrenki na Ukrainie. Zginął wtedy jeden z ważniejszych ludzi Mołokowa, bandzior o nazwisku Kotkin, i jeden z naszych ludzi, który najprawdopodobniej był płatnym informatorem Witrenki.

Do rozmowy wtrąciła się Olga Sarapenko:

– Musimy wiedzieć, czy zamierza pani z nami współpracować. Pomoże nam pani dopaść Witrenkę?

Maria napiła się wody. Zauważyła, że drży jej ręka, w której trzyma szklankę. Wciąż jeszcze bolały ją nadgarstki.

– A gdybyśmy zrobili to w sposób legalny? Namierzyli go i przekazali informację BKA?

– Chyba zdaje pani sobie sprawę, że to nie wchodzi w rachubę – odparł Buslenko. – Witrenko zyska szansę, żeby nam się wymknąć. Pani wie najlepiej, z jaką łatwością mu to przychodzi. A zresztą nie taki jest nasz cel. Przyjechaliśmy tu, żeby

z nim skończyć. Dosłownie.

Maria wbiła wzrok w Ukraińca. Wytrzymał jej spojrzenie, pochylił się bardziej i oparł łokcie na kolanach. Sam uważał się za policjanta, wiedział, że Maria jest policjantką, a mimo to nakłaniał ją do współudziału w zabójstwie. Z drugiej strony sama musiała zakładać takie zakończenie własnej operacji. Skąd jednak miała wiedzieć, czy może Buslence zaufać? Przecież mógł być jednym z cyngli Witrenki. Ale gdyby był, to czy ona nie powinna już leżeć martwa?

– Jak już mówiłam – odezwała się wreszcie – chcę zobaczyć śmierć Witrenki. Wchodzę w to.

## 9

Ansgar, nienawykły do umizgów, szukał niezdarnie odpowiednich słów. Jekaterina, niczym przewodnik pomagający zbląkanemu turyście odnaleźć się w zupełnie obcym mieście, wybawiła go z zakłopotania i wymamrotała propozycję, żeby za kilka tygodni poszli razem na karnawałową paradę. Aby ułatwić mu zadanie, zasugerowała, że wcześniej powinni pójść na kolację, najlepiej do ukraińskiej restauracji, którą dobrze znała.

Ansgar nie należał do głupców. Był od niej co najmniej piętnaście lat starszy i na pewno stanowił dobrą partię. A ona wiedziała, że małżeństwo z obywatelem Niemiec zapewni jej prawo stałego pobytu w Republice Federalnej. Mimo to wierzył, że dziewczyna naprawdę go lubi. Ale czy znała jego prawdziwą naturę? Jego skrywane pragnienia?

Ren dzieli Kolonię nie tylko w sensie geograficznym. Już od czasów pierwszego osadnictwa rzeka stanowiła granicę nie tylko etniczną, ale także społeczną i kulturową. Mieszkańcy lewego brzegu, do których należał także Ansgar, zawsze uważali swoją stronę miasta za właściwą Kolonię w przeciwieństwie do „tamtej”. Ukraińska restauracja znajdowała się „tam”, w dzielnicy Vingst. Potrawy były ukraińskie. Ansgar podejrzewał, że większa cześć klientów, a pewnie i właściciele, należą do ukraińskiej mafii. Zwrócił uwagę na kilka grupek osiłków

w czarnych garniturach od Armaniego, obowiązkowym stroju wschodnioeuropejskich gangsterów.

Menu było napisane cyrylicą i po niemiecku, ale Ansgar zdał się przy wyborze dań na Jekaterinę. Zdążył się już zorientować, że Ukraińcy znają tyle gatunków barszczu, ile Eskimosi określić śniegu. Prócz barszczu były jeszcze pieczywo, pampuszki, haluszki, wareniki, bitki i cały zestaw deserów. Jekaterina zaproponowała, żeby zaczęli od *zakuski* z gęszej piersi, po której przyszła kolej na *hetmański borszcz*, a następnie żeberka wieprzowe z duszonymi burakami i kluseczkami o nazwie haluszki.

– Możesz spróbować czegoś jeszcze bardziej ukraińskiego – rzuciła z entuzjazmem. Ansgar widział, jak bardzo jest dumna, że może mu pokazać kulturę i kuchnię swojego narodu. Kiedy pojawił się kelner, żeby przyjąć zamówienie na drinki, Jekaterina wdała się z nim w żywą dyskusję po ukraińsku. Kelner skinął głową i uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe – odezwała się do Ansgara. – Musisz tego spróbować...

Kelner wrócił ze schłodzoną butelką przypominającą butelkę szampana. Kiedy ją odkorkował, dziewczyna znów przejęła inicjatywę, spróbowała i z zadowoleniem skinęła głową. Kelner napełnił kieliszki i Ansgar wypił łyk. Jego usta wypełniły aromatyczne bąbelki.

– To jest wspaniale – powiedział szczerze. – Naprawdę wspaniale.

– To krimart – odpowiedziała zadowolona. – Pochodzi z winiarni w Artemiwsku w obwodzie donieckim. Winiarnię założyli jeszcze Niemcy, to znaczy Prusacy. Stalin i inni komunistyczni władcy chętnie to pili.

Ansgar przyglądał się jedzącej i rozgadanej Jekaterinie. Buzia jej się nie zamykała, paplała z tym swoim uroczym ukraińskim akcentem, ale Ansgar przede wszystkim przypatrywał się, jak dziewczyna je. W trakcie posiłku starała się usilnie wydobyć od niego jakieś informacje na temat jego dzieciństwa, rodziny, tego, co zainspirowało go do zostania szefem kuchni. Ansgar stwierdził, że powinien być bardziej rozmowny. Sam chciał być

bardziej przystępnym i interesującym kompanem. Ale przede wszystkim pragnął stać się kimś innym: siedzieć w tej ukraińskiej restauracji z atrakcyjną, młodą kobietą i być człowiekiem prowadzącym normalny tryb życia, mającym normalne pragnienia.

Jekaterina zdawała się nie przejmować małomównością Ansgara. Opowiadała szczegółowo o dzieciństwie spędzonym na Ukrainie, o zdumiewającym pięknie tamtej ziemi i serdeczności ludzi.

Ansgar słuchał i uśmiechał się. Jekaterina była ubrana w najlepszy w jej mniemaniu strój. Z całą pewnością nie był drogi, ale dość gustowny. Trzy guziki białej bluzki były rozpięte i kiedy pochyliła się, Ansgar mógł podziwiać pełną krągłość jej piersi, jasnych i gładkich. Doceniał jej wysiłki. Ale słuchając tego szczebiotu, cały czas musiał odganiać od siebie mroczne fantazje, jakie snuł na temat dziewczyny.

Spod restauracji wzięli taksówkę. Posiłek był, Ansgar musiał to przyznać, interesujący. Zawsze dziwnym, nawet trudnym doświadczeniem było dla niego jedzenie w innej restauracji. Począwszy od tego, że nigdy nie był traktowany jak zwyczajny klient: miał dobrą opinię, która się za nim ciągnęła, i każdy, kto choć trochę znał rynek restauracyjny w Kolonii, wiedział, kim on jest. Ansgar był pewien, że słyszał swoje nazwisko w potoku słów wymienianych pomiędzy Jekateriną i kelnerem. Kolejnym problemem było zapomnienie o własnym zawodzie i cieszenie się nowym doświadczeniem. Mimowolnie analizował każdy kęs, oceniał kombinację smaków i sposób ułożenia potrawy na talerzu. Ansgar był artystą i lubił porównywać swoje dzieła z innymi, sprawdzać, czy może się czegoś nowego nauczyć. Wiele drobiazgów, jakie dołączył do swoich najlepiej ocenianych dzieł sztuki kulinarnej, podpatrzył w drugorzędnych knajpach.

Kiedy usiadł w taksówce obok Jekateriny, czuł, że ma pełny żołądek. Dla niego liczyła się raczej jakość, a nie ilość jedzenia, a dziś zjadł za dużo. Czuł ciepło ciała przytulonej do niego Jekateriny. Czuł też, że tego wieczoru wypił więcej niż zwykle. Denerwowało go to: czuł się śmielszy, gotów do działania pod

wpływem impulsu. Swojego najsilniejszego impulsu. W ruchach Jekateriny też dostrzegł beztróskę i rozluźnienie. Sytuacja stawała się niebezpieczna. Za wszelką cenę usiłował odsunąć od siebie myśli, jakie przychodziły mu do głowy. Fantazje, które wydawały się w tej chwili możliwe do spełnienia, choćby tylko w części.

Ansgar zamierzał odprowadzić Jekaterinę do domu. Odmówił wstąpienia na kawę. Tłumaczył się, że musi wcześniej wstać. Ale Jekaterina przysunęła się do niego i pocałowała go, wsuwając mu język do ust. Smakowała kawę zmieszaną z aromatem *maliniwki*, którą pili na deser.

Zapłacił taksówkarzowi za kurs i poszedł za Jekateriną do jej domu.

## 10

Wiesz, spotykałem się z dziewczyną, która lubiła być wiązana. – Scholz rozparł się na krześle i uniósł butelkę piwa Kölsch. – Ale tak naprawdę wiązana. Mocno. Robiliśmy to za każdym razem. Rajcowało ją to.

– Cieszę się, że mi to mówisz... – Fabel uśmiechnął się cierpko i sam też napił się piwa. Lekko szumiało mu w głowie. Jak zwykle wystraszył się, że nie zauważy granicy, której nie powinien przekraczać, i postanowił nieco zwolnić tempo.

– Ona chyba nie potrafiła bez tego dojść – ciągnął Scholz. Przestał marszczyć czoło i uśmiechnął się promiennie. – Nie chodzi mi o to, żeby opowiadać jakieś sprośne szczegóły swojego życia intymnego. Zarówno w życiu zawodowym, jak i osobistym zetknąłem się z różnymi dziwnymi rzeczami, ale nie potrafię sobie wyobrazić czubka, który czerpie przyjemność ze zjadania drugiego człowieka.

Fabel siedział na sofie i nerwowo dłuwał widelcem w pizze, którą Scholz zamówił, kiedy szli do jego mieszkania. To był pomysł Scholza, żeby zabrać akta, zamówić coś na wynos i pójść do niego. Jak powiedział, zapowiadał się długi wieczór i trzeba było go sobie uprzyjemnić.

– Szczerze mówiąc, niewiele jest rzeczy, których nie wi-



działem przez wszystkie te lata – powiedział Fabel. – Na gruncie zawodowym, oczywiście – zastrzegł. – Właśnie dlatego postanowiłem odejść ze służby.

Scholz uśmiechał się, patrząc, jak Fabel rozgrzebuje swoją pizzę.

– Przykro mi, nie było pizzy ze śledziem...

Fabel wybuchnął śmiechem.

– To zabawne. Śmiejecie się z nas, że na północy jemy tylko ryby. Jasne, jemy ryby, bo mieszkamy nad morzem i ryby są najbardziej dostępnym pożywieniem. Ale ważną rolę odgrywa związek z innymi kulturami. Znasz taką hamburską potrawę zwaną labskaus?

– Chyba o niej słyszałem – odparł z poważną miną Scholz.

– Sprowadzili ją do Hamburga skandynawscy żeglarze. A my rozpowszechniliśmy ją w Anglii. Brytyjczycy wzruszają ramionami, kiedy zapytać ich o labskaus, ale nazywają mieszkańców Liverpoolu *scousers*, bo tam ta potrawa była najpopularniejsza. Chodzi mi o to, że na naszą dietę wpływ miało to, co było najłatwiej dostępne. Pewnie, że teraz możesz pójść do supermarketu i kupić to, na co masz ochotę, ale tradycja przetrwała. Wygląda na to, że preferencje kulinarne dostajemy w spadku po poprzednich pokoleniach. A wracając do naszego karnawałowego kanibala... dziwne jest, że od zawsze istniało jakieś tabu w dziedzinie pożywienia. Weźmy na przykład wieprzowinę. Nawet tutaj, gdzie je się tyle mięsa, i dalej na południe, mnóstwo ludzi ma problem z jedzeniem wieprzowiny.

– Co takiego? – Scholz miał pełną powątpiewania minę. – Na południe od Równoleżnika Białej Kielbasy?

– Nawet tam wśród zagorzałych mięsożerców zdarzają się osoby, które nie jedzą wieprzowiny. Wieprzowina to najczęściej spotykane tabu pokarmowe. Muzułmanie jej nie jedzą, dla Żydów jest zakazana, nawet u Szkotów znajdujemy ostrzeżenie przed jej jedzeniem. Ma to pewnie coś wspólnego z podobieństwem mięsa wieprzowego i ludzkiego. Żyjemy w czasach ksenotransplantacji, kiedy świńskie narządy są przeszczepiane ludziom. Plemiona w Papui-Nowej Gwinei nazywają ludzi „długimi świniami”.

– Więc myślisz, że dzieje się tak dlatego, że przypomina to jedzenie ludzkiego mięsa?

– Może po prostu zachowaliśmy kulturowe wspomnienie kanibalizmu. A odrzucenie kanibalizmu czyni nas ludźmi cywilizowanymi. Dziewiętnastowieczna kolonizacja usprawiedliwiona była koniecznością chronienia tubylców przed nimi samymi. A kanibalizm był przytaczany jako najważniejszy przykład dzielnego zachowania.

Scholz sięgnął po piwo.

– Celowo nie ujawniliśmy dziennikarzom szczegółów dotyczących obu morderstw. Powiedzieliśmy im, że o pewnych sprawach wiemy tylko my i sprawca. Nie potwierdziliśmy nawet bezpośredniego związku między tymi zabójstwami. Masz rację, kanibalizm przeraża. Za to dziennikarze byliby zachwyce- ni takim newsem.

– Więc jednak rozważałeś możliwość, że sprawca jest kanibalem, zanim ci o tym wspomniałem?

– Tak – odparł Scholz. – Ale nie byłem tak pewny jak ty. Wydawało mi się, że waga wyciętego kawałka ciała może mieć znaczenie. Funt mięsa – powiedział z silnym akcentem. Zamilkł i zaczął wpatrywać się w szklanę z piwem. – Jak sądzisz, istnieje możliwość, że sprawcą kieruje inny motyw niż seksualny kanibalizm? Biorąc pod uwagę, że nie znaleźliśmy na miejscu zbrodni nasienia?

– Brak nasienia nie oznacza, że nie doszło u niego do wytrysku. Mógł być na tyle ostrożny, żeby nie zostawiać śladów. A może onanizował się później. Ale załóżmy, że nie mamy do czynienia z przypadkiem seksualnego kanibalizmu. Może sprawca po prostu lubi smak ludzkiego mięsa. I płynące stąd doznania.

– Czyli?

– Istnieje pewna teoria, że bogactwo białek w ludzkim mięsie może działać odurzająco. Pojawia się rodzaj euforii. Niektórzy uważają, że zjadając ludzkie mięso, przyswajają życiodajne śladniki, których brak w innych rodzajach mięsa. Istnieje jednak naturalny imperatyw przeciwko kanibalizmowi. I u ludzi, i u zwierząt kanibalizm może prowadzić do chorób priono-

wych: choroby szalonych krów, kuru i tym podobnych.

– A może sprawca po prostu eksperymentuje? Może chciał się przekonać, jak smakuje ludzkie mięso?

– Lubię i zawsze będę lubił steki – odparł Fabel – ale to nie znaczy, że byłbym zdolny zabić krowę, żeby je sobie usmażyć. Zwykle moralność każe nam trzymać się z dala od źródła pożywienia. Pewien amerykański dziennikarz przekupił pracownika kostnicy w Paryżu i zdobył kawałek świeżego ludzkiego mięsa. Potem opisał, jak je gotował i jadł. Stwierdził, że w smaku przypominało wołowinę. Ale zabić z ciekawości, i to dwa razy, nie jest takie proste. Mogę się założyć, że te morderstwa to spełnienie jakichś seksualnych fantazji.

Scholz zebrał pudełka po pizzy i wyszedł do kuchni. W tym czasie Fabel rozejrzył się po jego mieszkaniu. Miało wszelkie cechy lokum starego kawalera – było kombinacją praktyczności i niechłujstwa. Rośliny doniczkowe znajdowały się w różnych stadiach odwodnienia i śmierci. Fabel musiał oprzeć się pokusie poproszenia o konewkę. Półki za to były pełne starannie poukładanych książek. Poza tym Scholz był posiadaczem wyjątkowo bogatej kolekcji płyt DVD, ułożonych tytułami w porządku alfabetycznym. Ta skrupulatność krzycząco kontrastowała z rzucającym się w oczy bałaganem panującym w mieszkaniu. Na ścianach wisiało kilka zaskakująco dobrych reprodukcji i plakat z *Makbeta*, którego wystawiano w Kolonii. Fabel przypomniał sobie o odniesieniu do Szekspira zawartym w raporcie. Scholz wrócił z kuchni z dwoma kolejnymi butelkami piwa i uprzątnął stolik do kawy, robiąc miejsce na akta.

– Lubisz Szekspira? – zapytał Fabel.

– W pewnym stopniu. Ale nie po angielsku. Za słabo znam ten język. Za to uwielbiam historię Makbeta. Pamiętam z dzieciństwa ekranizację Orsona Wellesa z niemieckim dubbingiem. Ubóstwiałem tę postać. Bezgranicznie złą i bezwzględną. Choć jeśli chodzi o naszego mordercę, *Tytus Andronikus* byłby odpowiedniejszy.

Fabel uśmiechnął się. Doskonała znajomość twórczości Szekspira zupełnie nie pasowała do wyglądu i zachowania Scholza.

– Kiedyś myślałem o tym, żeby zostać aktorem – wyznał

z lekkim zakłopotaniem Scholz. – Pewnie wolałem odgrywać rolę innych ludzi, niż być sobą.

– Dość dziwna przemiana, z aktora w policjanta.

– Nigdy poważnie nie myślałem o aktorstwie – odparł Scholz.

– Tata był policjantem i miał... bardzo praktyczne podejście do życia. Szybko i skutecznie wybił mi z głowy tamten pomysł, a ja trafiłem do policji.

– Ze szkodą dla teatru... – Fabel uśmiechnął się. Próbował wyobrazić sobie Scholza grającego Makbeta. Nagle przyszedł mu do głowy inny czarny charakter i poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. – A jak postępy w twoim drugim śledztwie? – Starał się, by pytanie zabrzmiało możliwie niezobowiązująco.

– Myślisz o morderstwie w Biarritz? Nijak. Szczerze mówiąc, niespecjalnie się nim zajmuję. Sprawą zajęła się BKA i wydział przestępczości zorganizowanej.

– Naprawdę?

– To znaczy wciąż jestem w to zaangażowany. Jeśli znajdą coś istotnego w sprawie morderstwa, zostanę o tym poinformowany, ale mam wrażenie, że tu chodzi o dużo grubszą sprawę. Jeśli w śledztwo zaangażowała się BKA, to moim zdaniem ma to coś wspólnego z gangiem Witrenki i Mołokowa.

– Znam ich. Szczególnie Wasyla Witrenkę. Nasze drogi już raz się skrzyżowały.

– Naprawdę? – Scholz uniósł brwi. – To niebezpieczne spotkanie.

Fabel uśmiechnął się ponuro. Trudno było stwierdzić, jak dużo Scholz wie na temat jego porachunków z Witrenką, a nie chciał wspominać mu o Marii. Przynajmniej nie teraz.

– A ta kobieta, którą widziano, jak rozmawiała z ofiarą... – Fabel znów starał się mówić jakby od niechcienia – ...no wiesz, ta, która rozmawiała z ofiarą dzień czy dwa dni przed zabójstwem. Mówiłeś, że wyglądała na przedstawicielkę władzy. Policjantkę albo funkcjonariuszkę służb imigracyjnych. Zająłeś się tym na poważnie?

– To bardzo dziwna sprawa – odpowiedział Scholz. – Nadal nie możemy jej powiązać z żadnym oficjalnym organem. Może

tylko sprawiała takie wrażenie.

– Taaa... – Fabel pociągnął łyk piwa, wpatrując się z uwagą w twarz Scholza rozkładającego na stoliku akta sprawy. – Może nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

– Tego nie wiem. Zespół powołany w BKA do sprawy Witrenki i Mołokowa za wszelką cenę chce ją odnaleźć. Moim zdaniem chcą dzięki niej trafić do nich.

11

Napięte jeszcze po zawodach mięśnie Andrei sprawiły, że lekarz nie miał problemów z wkłuciem się w żyłę. Następnie pielęgniarka poszła z nią do toalety i zaczęła pod kabiną, aż Andrea odda próbkę moczu do analizy. Andrea przez cały czas zachowywała się przyjaźnie, co było równie szczerze jak głupawy uśmiech, który towarzyszył jej nieustannie podczas zawodów. Próbowwała nawet żartować z posępną pielęgniarką, choć czuła obrzydzenie do jej zwiotczalej twarzy i bezkształtnego ciała.

Lekarz również nie przypadł jej do gustu. Był aroganckim, ponurym niskim człowieczkiem, który ograniczył rozmowę z Andrea do nakazania jej wyciągnięcia ręki.

– Kiedy dostanę wyniki? – zapytała Andrea z uśmiechem, choć miała ochotę skrócić doktorowi kark.

– Pani nie dostanie wyników. Zostaną przekazane bezpośrednio do władz związku. Od nich się pani dowie. Ale dostanie pani ode mnie połowę próbki, na wypadek gdyby chciała pani przeprowadzić niezależne badania i zakwestionować nasze wyniki.

Andrea pohamowała się przed uderzeniem pięścią w tę pełną satysfakcji twarz.

– Nie będzie czego kwestionować.

Lekarz wstał, chowając swoje przybory do torby.

– Droga pani, jestem lekarzem. Wykonuję testy na zlecenie wielu organizacji sportowych. I powiem pani coś, co jest niepodważalnym faktem medycznym. Nie opinią, ale faktem. A oto on: przerost mięśni jest zjawiskiem typowym dla mężczyzn. Szczególnie przerost tego rodzaju jak u pani. Kobie-

ty mogą rozbudować muskulaturę dzięki podnoszeniu ciężarów, ale nie do tego stopnia. Taki przyrost masy mięśniowej bez sięgania po zakazane substancje może uzyskać tylko mężczyzna. Mężczyźni w średnim wieku już tracą swoją masę mięśniową. Dlaczego? Ponieważ zaczyna się u nich obniżać poziom testosteronu. Testosteronu, Frau Sandow. Takie jego ilości występują tylko u młodszych mężczyzn. Mężczyźni mają prawie dziesięciokrotnie wyższy poziom testosteronu niż kobiety.

– Oskarża mnie pan o oszustwo? – Andrea nagle przestała się uśmiechać. Zaciśnęła mocniej szczęki.

– Nikogo o nic nie oskarżam. Stwierdzam tylko fakt medyczny. Nie mogła pani uzyskać takiej budowy ciała bez przyjmowania sporych dawek testosteronu. A test ma tylko wyjaśnić, czy jest go w pani organizmie dostatecznie dużo, żeby wynik był pozytywny. Ośmielę się jednak podejrzewać, że dobrze to pani sobie przekalkulowała.

Andrea zerwała się z wściekłością z miejsca. Nieporuszony lekarz zamknął swoją torbę.

– Efektem ubocznym jest nienormalnie wysoki poziom agresji, Frau Sandow. – Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. – Muszę też przyznać, że wygląda pani wyjątkowo niezdrowo. Wnoszę to z pani cuchnącego oddechu, łupieżu na głowie i stanu zapalnego śluzówek oczu, które są poważnie odwodnione. Proszę posłuchać rady lekarza i przyjmować więcej płynów.

Andrea wyprostowała się, wciągnęła brzuch i zgięła ramiona.

– Pańskim zdaniem to wygląda niezdrowo? – Roześmiała się.

– Szczerze mówiąc, tak. Już udało się pani uszkodzić narządy wewnętrzne. Ciągłe odwodnienie zrobiło Bóg wie co z pani wątrową i nerkami. Podejrzewam, Frau Sandow, że prócz sterydów głównie przyjmowała pani testosteron. Ale sądząc po nadmiernym unaczynieniu – wskazał dobrze widoczne żyły na przedramionach – myślała pani, że uda się oszukać testy, stosując boldenon. Otóż mam dla pani złą wiadomość: okres połowicznego rozpadu boldenonu wynosi prawie sześć miesięcy.

– Nie wie pan tylko – Andrea uśmiechnęła się po męsku – że

znam fizjologię człowieka lepiej, niż się panu wydaje. I jak już powiedziałam, nie znajdzie pan w tych próbkach niczego. A jeśli przyjmowałam sterydy w przeszłości? To jest legalne. I zupełnie naturalne w tym, co robimy, tak jak dieta wysoko-białkowa.

Lekarz i pielęgniarka ruszyli do drzwi. Doktor Gabriel odwrócił się i pokręcił ze współczuciem głową.

– Przynosi pani wstyd temu nazwisku, Frau Sandow. Mam tylko nadzieję, że Eugene Sandow nie jest pani przodkiem. Jego wizja sportu zakładała odtworzenie etosu klasycznych gimnazjonów. Osiąganie idealnej symetrii i równowagi. Kształtowanie, a nie zniekształcanie. Tymczasem ludzie tacy jak pani zmienili sport w jarmark osobliwości. Jak już wspominałem, zarząd związku poinformuje panią o wynikach testów.

Andrea została sama z Maxine, która objęła ją czule ramieniem.

– Nie przejmuj się, skarbie – odezwała się po angielsku. – Przejdiesz testy bez problemu. A o czym właściwie głądził ten staruszek?

– O niczym. – Andrea uśmiechnęła się. – Zupełnie o niczym. Chodźmy dziś w miasto, tak jak proponowałam. – Mimo to gdzieś w głębi czuła płonący w niej żar nienawiści. Myślała o napuszonym doktorku i zadzierającej nosa krowie, jego pielęgniarce. Byli tacy pewni siebie. Nie wiedzieli jednak, że Andrea jest równie sprytna jak silna. Niczego nie znajdą w próbce.

Miała wybrać się wieczorem z Maxine w miasto. Ale będzie musiała też szybko dać upust swej złości.

Kiedy Scholz poszedł do kuchni po kolejne piwo dla siebie i kawę dla Fabla, ten rozłożył obok siebie na stoliku fotografie obu ofiar – zrobione za życia i po śmierci.

– Przed przyjazdem tutaj rozmawiałem z pewnym antropologiem! – zawołał w stronę kuchni. – To ekspert w dziedzinie

ideału kobiecego piękna na przestrzeni wieków. I nie chodzi tu o to, co jest piękne, tylko co za piękne uważamy. Był taki czas, kiedy obie te kobiety pasowały do ideału piękna: miały lekko gruszkowatą sylwetkę, szczupłą górną część ciała, nieco zaokrąglone biodra. Taki był ideał do pierwszej wojny światowej. Potem przysła moda na chłopczyce, jeszcze później na sylwetkę klepsydry, aż w końcu na kobiety zupełnie chude.

– I czego to dowodzi? – W drzwiach kuchni pojawił się Scholz z filiżanką kawy dla Fabla.

– Te kobiety miały sylwetkę niepasującą do dzisiejszych czasów. Mogły chcieć coś z tym zrobić. – Fabel zaczął grzebać w papierach.

– Czego szukasz? – zapytał Scholz.

– Karty członkowskiej na siłownię, śladów wizyty u dietetyka, dowodu, że rozważyły operację plastyczną, liposukcję, czegoś w tym rodzaju.

– Przecież wyglądały normalnie... – Scholz przyłączył się do poszukiwań. – Nie były jakoś szczególnie otyłe.

– Nie masz pojęcia, co kobiety są gotowe zrobić, żeby pozbyć się jakiejś skazy na urodzie.

Dziesięć minut później mieli już kilka śladów, a wszystkie dotyczyły Sabine Jordanski. Dwa razy w tygodniu odwiedzała prywatną siłownię, regularnie chodziła do salonu kosmetycznego, a w środy, kiedy miała wolne popołudnia, uczęszczała na basen. Na temat Melissy Schenker nie znaleźli niczego.

– Musi coś być. – Fabel nerwowo gładził włosy.

– Może Melissa Schenker nie przejmowała się tak swoją figurą – zastanawiał się głośno Scholz. – Żyła w swoim cyberświecie, gdzie rzeczywisty wygląd nie ma znaczenia.

– Okej... – Fabel wczytał się w akta Melissy. – Co to jest... „Lordowie zamętu”?

– To jej największy przebój. Bardzo skomplikowana gra. W chwili śmierci pracowała nad drugą częścią.

Na zdjęciu była okładka gry. Trzy mityczne postacie – wojownik, kapłanka i jakiś czarnoksiężnik – stały na szczycie góry w zupełnie baśniowym krajobrazie.



– „Lordowie zamętu”... – Fabel przeczytał jeszcze raz na głos angielski tytuł. – Świat wywrócił się do góry nogami. Nastaly Dni Chaosu. Głupiec został obrany Królem. To jest właśnie karnawał. Może ta gra jest brakującym ogniwem. Może za sprawą tej gry jej los splótł się z losem Sabine Jordanski i mordercy.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### 6–9 lutego

#### 1

Ansgar leżał w łóżku Jekateriny i przyglądał się, jak zadowolona dziewczyna śpi. Kochali się gwałtownie, dramatycznie, jak szaleni. Jekaterina wzięła to za przejaw długo skrywanej namiętności Ansgara. Po części miała rację – pochłaniało go całkowicie jej ciało, kiedy stał bez tchu w obliczu jej nagości, nie zdawała sobie jednak sprawy, że ujawnił tylko część swojej pasji.

Seks dobrze mu zrobił. Przynajmniej na tyle, na ile mógł go zadowolić normalny stosunek płciowy. Ale leżąc w półmroku, wpatrując się w zarys pełnego biodra Jekateriny, czuł się tak, jakby zjadł apetyczną przystawkę, a nie podano mu dania głównego. Ale cóż, pierwszy krok został uczyniony. Połączyła ich intymna więź. Może... może z czasem uda mu się spełnić najskrytsze fantazje.

Był niedzielny poranek, dla Ansgara dzień wolny. Jekaterina poszła do pracy. Powiedziała mu, że może spędzić w jej mieszkaniu cały dzień, a wieczór znów będą mieli dla siebie. Kiedy wróciła zmęczona, zarumieniona od kuchennego żaru, ze skórą lśniącą od potu, uprzedziła, że przed pójściem do łóżka musi wziąć prysznic. Ansgar powiedział, żeby się nie trudziła. Jego namiętność z poprzedniej nocy powróciła ze zdwojoną siłą.

Następnego ranka na śniadanie wypili sok pomarańczowy, kawę i zjedli przywiezione z Ukrainy bułki z mięsnym nadzieniem. Siedząc przy stole, Ansgar poczuł nagły przyptyk melancholii. Zobaczył siebie jakby przez okno mieszkania: siedział z młodszą o kilka dobrych lat dziewczyną, jedli śniadanie jak normalna, zadowolona z życia para. Najbardziej bolesny dla niego był fakt, że w tej chwili rzeczywiście odczuwał zadowole-

nie.

Umówili się, że do pracy przyjadą oddzielnie i przez cały dzień będą udawać, iż łączą ich wyłącznie stosunki służbowe. Choć Ansgar przeczuwał, że Jekaterina będzie miała wielkie trudności z utrzymaniem ich romansu w tajemnicy. Pocałował ją na pożegnanie i wybrał się do hurtowni przy An der Münze, żeby dokupić kilka brakujących w restauracji produktów.

Panująca od kilku dni pochmurna pogoda ustąpiła miejsca jaskrawo świecącemu nisko nad horyzontem zimowemu słońcu. Ansgar był zadowolony. Jego mroczne wnętrza sprawiało, że wydawało się to niemożliwe, a jednak cieszył się pogodnym dniem i dawno zapomnianym poczuciem normalności. Nareszcie wiódł życie takie jak inni.

Taksówką dojechał do Zoobrücke i przesiadł się do swojego samochodu. Zawsze był bardzo wybredny w doborze mięsa i nigdy nie kupował najważniejszych składników w hurtowniach, ale całą resztę tak. Dla restauracji było to wygodne, a hurtownia realizowała zamówienia zawsze na czas.

Wziął wózek i zapakował go przyborami do czyszczenia, środkami do mycia rąk, ściereczkami i innymi niespożywczymi produktami. Następnie skierował się do działu z napojami. Wina kupował zawsze w nadreńskich winiarniach i w kilku małych francuskich wytwórniach, za to w hurtowni zaopatrywał się w piwo i mocne trunki.

Spostrzegł ją. Całkiem przypadkiem znalazł się w dziale z żywnością i ona tam była. Zamarł na chwilę w bezruchu, a zaraz potem skulił się za jednym z wysokich pod sufit regałów. Nie zauważyła go. Ansgar widział ją tylko przez ułamek sekundy, ale nie miał wątpliwości, że to ona. Poznał te jasnoblonde włosy, intensywnie czerwoną szminkę, mocną jak na luty opaleniznę. A przede wszystkim poznał ją po barczystej sylwetce, kiedy bez wysiłku pchała wyładowany po brzegi wózek w kierunku kas.

Jakiś klient mruknął z niezadowolaniem za jego plecami. Ansgar natychmiast przysunął swój wózek bliżej regału, umożliwiając tamtemu przejście. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Zawsze bał się takiej chwili. Miał nadzieję, że to się

nigdy nie zdarzy. Na samą myśl dostawał gęziej skórki. Aż do tej chwili miał nadzieję, że ona już dawno wyjechała z Kolonii. To było przecież tak dawno temu. Poza tym całe ich spotkanie trwało zaledwie kilka minut. Ale to wystarczyło, żeby zobaczyła jego prawdziwą naturę.

## 2

Maria zauważyła, że teraz, kiedy budzi się rano, czuje się zupełnie oderwana od rzeczywistości. Niepokoił ją fakt, że patrzy na siebie jak na postać z jakiegoś filmu albo odległy zarys sylwetki gdzieś w krajobrazie. Wiedziała, że wciąż nie jest zdrowa, choć czuła się inaczej niż wcześniej. Jakby coś w niej pękło. Martwiło ją to, że jest zdolna niemal do wszystkiego, że jest gotowa zrobić wszystko, o co poproszą ją Ukraińcy. Choć jednak coś ją powstrzymywało.

Była już z nimi od trzech dni. Spotykali się co rano, wcześniej, w budynku dawnych zakładów mięsnych, który Buslenko wynajął w dzielnicy Raderberg. Na noc Maria nadal wracała do swojego taniego hoteliku. Coś kazało jej trzymać w sekrecie istnienie mieszkania Liese i postanowiła na razie się tam nie przeprowadzać. Nie wiedziała, gdzie śpią Buslenko i Sarapenko, i nie pytała o to. Jak na operację przeprowadzaną przez dwie osoby, Ukraińcy byli wyjątkowo dobrze wyposażeni. Uświadomiło to Marii, jak nieudolne były jej próby i nieprzemyślane plany. Buslenko i Sarapenko przywieźli ze sobą mnóstwo sprzętu elektronicznego i dwie wielkie torby pełne broni. Maria zdała sobie sprawę, że już sam jej udział w nielegalnym przewiezieniu broni i wyposażenia wojskowego na terytorium Niemiec wystarczał, żeby trafiła do więzienia.

Dziwne wydawało się to, że czuła się teraz fizycznie silniejsza niż w ciągu ostatnich miesięcy. Odkąd zaczęła normalnie się odżywiać, jej figura zaokrągliła się, a kończyny przestały być ciężkie. Prócz apetytu wzmogła się też jej determinacja. Zadośćuczynieniem za śmierć Sławka miało być zabicie Witrenki. Zabicie Witrenki miało być zadośćuczynieniem za wszystko.

– Obserwujemy Mołokowa dwadzieścia cztery godziny na dobę – wyjaśnił Buslenko.

– Jak? Jest was tylko dwoje... razem ze mną troje...

Mołokow mieszka na przedmieściach Kolonii, między Lindenthal i Braunsfeld. W dużej willi, która należy podobno do Bogdanowa, rosyjskiego biznesmena zajmującego się eksportem i importem. Nie wiemy, czy Bogdanow istnieje, czy jest tylko fałszywym nazwiskiem używanym przez Mołokowa lub Witrenkę. Zainstalowaliśmy wokół willi kamery. Dom stoi na skraju parku, a na ulicy rosną drzewa, więc nie było to trudne.

– Buslenko uśmiechnął się. – Zatrudniłem się na jeden dzień w miejskim przedsiębiorstwie zieleni. Kamery są zupełnie niewidoczne, ale znajdują się trochę za daleko od willi. Najchętniej zainstalowałbym mikrofony i kamery wewnątrz, ale to niemożliwe.

Olga Sarapenko pomogła Buslenko podłączyć trzy monitory. Dostroiła je i na ekranach ukazał się widok domu z różnych pozycji. Ruchem kamer sterowała zdalnie za pomocą joysticka.

– Ale nawet gdybyśmy założyli podsłuch wewnątrz – ciągnął Buslenko – mogę się założyć, że co kilka dni cały dom jest sprawdzany. – Roześmiał się gorzko. – Niełatwo jest być po tej stronie barykady. Mołokow nie wie, co to ograniczenia budżetowe w zakupie wyposażenia. Jestem pewien, że dysponuje dużo lepszym sprzętem od nas.

– Sęk w tym – powiedziała Maria – że nie przyjechałam do Kolonii dla Mołokowa.

– Wierz mi, Mario, my też.

– Jak mogę wam pomóc? – zapytała z pełnym rezygnacji westchnieniem. – Dlaczego w ogóle się przede mną ujawniliście? Przecież i tak nie miałam żadnych szans, żeby dotrzeć do Witrenki. Byłoby dla was łatwiej i bezpieczniej działać niewidocznie. Naprawdę nie rozumiem, po co wciągacie mnie do gry.

– Trzech naszych zabito jeszcze na Ukrainie – odparła Olga Sarapenko. – Przyda się dodatkowa para oczu. I dodatkowa lufa pistoletu, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Ale to, co jest najcenniejsze – odezwał się Buslenko – to

twoje kontakty. Ewentualny dostęp do informacji, do których my nie moglibyśmy dotrzeć. Na temat Witrenki powstało całe dossier. A właściwie dwa, tyle że jedno, to pełniejsze, jest trzymane na zabezpieczonym komputerze Federalnej Policji Kryminalnej, a kopie papierowe mają ściśle ograniczony obieg. Grupa wydzielona z BKA do poszukiwań Witrenki na pewno ma do niego dostęp. My widzieliśmy tylko wersję przekazaną Ukraińcom, w której brakuje wielu kluczowych informacji.

– Wasyl Witrenko ma obsesję na punkcie bezpieczeństwa – kontynuowała Olga Sarapenko. – Do szalu doprowadza go fakt, że nie może zapoznać się z tym dossier. Podejrzewa, że informatorem jest ktoś z kręgu Mołokowa, a może nawet sam Mołokow, ale nie może tego dowieść. Chcemy, żebyś spróbowała zdobyć dla nas kopię tego pełnego dossier. Jeśli udałoby nam się zidentyfikować informatora, zmusilibyśmy go do wydania Witrenki.

– Niestety nie mam dostępu do dossier Witrenki. Prawdę mówiąc, jestem chyba ostatnią osobą, której pozwolono by do niego zajrzeć.

– Ale znasz kody dostępu i hasła do systemu komputerowego BKA – odparł Buslenko. – To na dobry początek. Nie ma co udawać, że taką misję jak ta uda się przeprowadzić w kilka dni. Może się okazać, że najlepszą rzeczą, jaką możesz zrobić, będzie powrót do Hamburga albo ponowne podjęcie pracy w wydziale zabójstw. Informacje, które możesz dla nas zdobyć, mają większą wartość niż twoja obecność w Kolonii.

– Jestem tutaj, żeby doprowadzić całą sprawę do końca. Zobaczyć, jak Witrenko dostaje to, na co zasługuje – rzuciła wyzywającym tonem Maria. Była gotowa zrobić niemal wszystko, żeby dopaść Witrenkę, ale Buslenko prosił o zdobycie tajnych dokumentów i przekazanie ich działającemu nielegalnie na terenie Republiki Federalnej oddziałowi wojskowemu innego kraju. To byłoby przekroczeniem kompetencji. I zostałyby pewnie potraktowane jako szpiegostwo.

– Rozumiem trawiącą cię żądzę zemsty – odezwał się Buslenko. – Ale to nie jest hollywoodzki western. Będiesz dla nas cenna jako dostarczycielka informacji o tym, co niemieckie

władze wiedzą na temat działalności Witrenki. Jestem pewny, że znajdziesz jakiś sposób. A na razie możesz zostać tutaj i pomóc nam w obserwacji Mołokowa.

Maria na zmianę z Ukraińcami obserwowała monitory, notując wszystkie zdarzenia – kto odwiedzał Mołokowa w jego willi, o której przyjeżdżał, o której wychodził, spisywała numery rejestracyjne samochodów. Cały czas czekała niecierpliwie na pojawienie się kogoś, kto mógł być Witrenką. Choć odmówiła Ukraińcom podania kodów dostępu, podzieliła się z nimi wszystkimi informacjami, jakie udało jej się zebrać. Uznała, że takie postępowanie można od biedy uznać za uprawnioną wymianę informacji pomiędzy siłami porządkowymi dwóch krajów.

Buslenko tłumaczył, że ich sytuacja przypomina taką, kiedy dwóch myśliwych w tym samym czasie poluje w lesie. Od Olgi, Marii i niego zależy, czy dopadną zwierzynę przed BKA, i to niezauważenie. Kody dostępu były mu potrzebne tylko do tego, by przekonać się, gdzie przyczaił się drugi myśliwy. Maria nie miała wątpliwości, że z biegiem czasu Buslenko będzie coraz natarczywiej domagał się tych kodów.

Trzeciego dnia siedzenia przed ekranami monitorów Maria dostrzegła podjeżdżającego pod bramę willi wielkiego czarnego lexusa. Brama otworzyła się niemal natychmiast. Kamera umieszczona przez Buslenkę na drzewie była tak oddalona od domu, że trudno było dostrzec wyraźnie mężczyzn wysiadających z samochodu. Niemniej ostatnia postać przyprawiła Marię o dreszcz podniecenia.

– Olga! – zawołała.

Sarapenko podeszła do niej.

– Co jest?

– Ten... – Maria miała ściśnięte gardło, bała się, że wypowiadając to nazwisko, udławi się nim. – To on.

– Skąd możesz wiedzieć? Widać tylko zarys postaci.

– To on, wiem to. Kiedy go ostatni raz widziałam, też był tylko odległym zarysem, tyle że wtedy biegł przez pole. Gdzie jest Buslenko?

– Poszedł na spotkanie. Nasz kontakt tutaj... lepiej, żebyś nie

wiedziała.

– Zadzwoń do niego na komórkę. Powiedz mu, że zlokalizowaliśmy nasz cel. – Maria wpatrywała się w postać na ekranie. Nareszcie. Nareszcie miała go w zasięgu wzroku. Kiedy patrzyła na niego, nieświadomego, że jest obserwowany, poczuła się nagle bardzo silna. Niewyraźna postać, której tożsamości Maria była absolutnie pewna, odwróciła się do jednego ze swoich osiłków, powiedziała coś i po chwili zniknęła w drzwiach willi.

Maria patrzyła na tę scenę z zimną nienawiścią w oczach.

– Teraz cię mam – powiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

### 3

W kącie pokoju bezgłośnie migotał ekran telewizora. Rząd dziewcząt w czerwono-białych minispódniczkach, przypominających osiemnastowieczne pruskie mundury, z trójgraniastymi kapeluszami na głowach, przytupywał w takt niesłyszalnej muzyki. Na drugim planie zasiadał rozbawiony *Elferrat*, jednastoosobowa rada karnawału. Karnawał trwał w najlepsze, rosło szaleństwo, które miało osiągnąć swoje apogeum w Różany Poniedziałek. Fabel leżał na łóżku ze wzrokiem utkwionym bezmyślnie w ekran, myśląc o tym, że kanibal też pewnie przygotowuje się do swojego występu w karnawałową Noc Kobiet. Skończył właśnie rozmawiać przez telefon z Susanne. Rozmowa nie przebiegła dobrze. Po tym, jak nie potrafił udzielić jasnej odpowiedzi, kiedy wraca do Hamburga, zapadła w słuchawce długa cisza. Susanne przerwała ją tylko po to, żeby powiedzieć mu, że porozmawiają, kiedy wróci, i rozłączyła się.

Rozpromienione dziewczęta gęsiego opuściły scenę, ustępując miejsca mężczyźnie z beczką na brzuchu, który zaczął wygłaszać jakiś zabawny monolog.

Fabel włączył lampkę na nocnym stoliku i sięgnął po akta Very Reinartz, dziewczyny pobitej i zgwałconej podczas karnawału w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. W teczce było jej zdjęcie w towarzystwie grupki studentówmedycyny. Vera była drobną dziewczyną o mysich włosach, ale ładną. Stała niepewnie z boku i widać było, że czuje się skrępo-



wana faktem, iż jest fotografowana. Drugie zdjęcie zostało zrobione w słoneczny dzień w jakimś parku albo ogrodzie. Letnia sukienka w jasnych barwach pozwalała dostrzec jej figurę – szczupłą, nieco gruszkowatą, okrąglejszą wokół bioder. Taką jak u wszystkich ofiar karnawałowego kanibala. Tu też miała minę osoby, która nie lubi być w centrum zainteresowania.

Fabel przeczytał jej zeznania, opinie lekarzy i przyjrzał się surowym, szpitalnym fotografiom przedstawiającym siniaki, zadrapania i skaleczenia na twarzy oraz szyi. W opuchniętej i posiniaczonej górze mięsa trudno było rozpoznać dziewczynę z poprzednich zdjęć. Były też fotografie ran na ciele. W tym ślady ugryzień. Ślady ugryzień nie były w wypadku gwałtu niczym dziwnym, lecz Fabel mimo to uważał, że Scholz myli się, nie dostrzegając związku z morderstwami.

Myśli Fabla poszybowały ku obcemu miastu za oknem, jego dziwnym zwyczajom, karnawałowi, tańczącym dziewczętom i przebranim klaunom. Ku mordercy, który napastował kobiety w tę jedyną w roku noc, kiedy uwalniały się od tyranii mężczyzn. I ku Marii, przyczajonej gdzieś w mroku, narażającej się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Pomyślał o spotkaniu, które czekało go następnego dnia. Spotkaniu, o którym Scholz nie mógł się dowiedzieć.

Tansu dodała mnóstwo uzupełniających informacji na temat Very Reinartz. Dziewczyna była błyskotliwa, dużo bardziej niż jej rówieśnicy. Czekala ją kariera. Posiadała intelekt, który predysponował ją do specjalizacji lub pracy badawczej. Miała chłopaków, ale badanie lekarskie potwierdziło jej zapewnienia, że była dziewicą. Gdzie jesteś teraz, Vera? – zapytał w duchu Fabel, czytając akta. – Jak mogłaś tak po prostu zniknąć?

Fabel zjadł porządne śniadanie: musli z owocami i jogurtem, dwie bułki z wątrobianką i jajko na miękko. Popił to wszystko sokiem owocowym i kawą. Wyszedł z hotelu wcześniej, ale nie skierował się w stronę komendy policji. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu do Kolonii mógł być sam: Scholz musiał wziąć udział w zebraniu komitetu organizacyjnego karnawału, które miało potrwać cały ranek. Fabel myślał, że zebranie będzie dotyczyć dyskretnej, choć przeprowadzonej na wielką skalę

ochrony policyjnej karnawału.

– Nic bardziej błędnego – stwierdził ponuro Scholz. – Chodzi o policyjną platformę podczas parady w Róźany Poniedziałek. Chcą mi urwać głowę, bo mamy opóźnienie w przygotowaniu platformy i kostiumów.

Fabel wspiał się po stopniach katedry przy Bahnhofsvorplatz, głównym placu znajdującym się pomiędzy katedrą a stacją kolejową. Przed nim wyrastało sąsiadujące z dworcem centrum handlowe Collonaden. Zimowe słońce rzucało ostry blask, pannaował dotkliwy chłód, a plac przemierzał spory tłum opatulonych szalikami ludzi. To było centrum miasta. Od blisko dwóch tysięcy lat główne ulice otaczały je koncentrycznymi kręgami przypominającymi zmarszczki na powierzchni wody. Gdzieś tam Maria przeprowadzała swoją kiepsko przygotowaną operację odwetową. Przyjechała do Kolonii, żeby odnaleźć Witrenkę. Niewykluczone, że jej się uda. I że on ją zabije.

Czekał zaledwie dziesięć minut. Podszedł do niego wysoki mężczyzna o siwiejących włosach. Fabel zwrócił uwagę, że Ulrich Wagner miał na sobie swobodny ubiór, zupełnie inny niż podczas ich pierwszego spotkania w gabinecie van Heidena w Hamburgu.

– Widzę, że dotarła do pana moja wiadomość – zagadnął Fabel. – Cieszę się, że pan przyszedł.

– Nie mogłem nie przyjść po tym, co mi pan wczoraj powiedział przez telefon. – Wagner podniósł wzrok i spojrzał na mroczny gmach katedry. Jedna z wież była otoczona rusztowaniami, które w porównaniu z jej masywną sylwetką przypominały łamliwe wykałaczki. – Zawsze gdzieś tu są rusztowania... Budowa zajęła trzysta lat, a remont całą wieczność. – Uśmiechnął się. – Zupełnie jak u Grahama Greene'a... spotkanie u stóp katedry.

– Nie chciałem się z panem spotykać w komendzie policji. Pracuję z Bennim Scholzem nad sprawą karnawałowego mordercy. Nie chciałem... no, komplikować spraw. Brakowało mi czasu, żeby pójść do siedziby BKA, a skoro mówił pan, że będzie w Kolonii...

– Nic się nie stało. A tak przy okazji... Chciałbym zapytać

o pańską decyzję... tę, o której powiedział mi pan przez telefon. Czy jest ostateczna?

– Tak... – Fabel wrócił myślami do rozmowy telefonicznej z Wagnerem, którą przeprowadził zaraz po tym, jak dowiedział się od doktora Minksa, że Maria nie przychodzi na wizyty.

– Muszę przyznać, że zgadzam się z panem. Trzeba odsunąć Frau Klee. Nie tylko dlatego, że znowu naraża na szwank naszą operację, ale przede wszystkim dla jej własnego dobra. Będę z panem szczerzy, Herr Fabel...

– Proszę mówić do mnie Jan... – Kolońska bezpośrednio musiała mieć jakiś wpływ na Fabla.

– Będę szczerzy, Janie, obawiam się, że Frau Klee jest skończona jako policjantka.

– Zajmijmy się najpierw ratowaniem jej życia, a potem zastanowimy się nad ratowaniem jej kariery.

Fabel był wcześniej tylko raz w katedrze i teraz, kiedy razem z Wagnerem przekroczyli próg podwójnych drzwi prowadzących do wnętrza, przypomniał sobie swój ówczesny zachwyty. Katedra była jednym z najbardziej imponujących gmachów, jakie kiedykolwiek zbudowano. Otwierająca się przed nimi przestrzeń wydawała się niemożliwa do ujęcia w ramy konstrukcji budynku. Obaj mężczyźni przez chwilę trwali w milczeniu onieśmieleni majestatem katedry i jej olbrzymich witrażowych okien. Przesuwając się w głąb świątyni, minęli niskiego, tęgawego mężczyznę z gęstą czupryną włosów koloru piasku i sumiastymi wąsami. Wydawało się, że pod płaszczem ma kilka warstw wełnianych ubrań. Mężczyzna zsunął okulary na czubek głowy i wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w jeden z witraży. W jednej ręce trzymał długopis i gruby notatnik, a w drugiej przewodnik.

– Przepraszam... – zwrócił się do nich po angielsku, kiedy go mijali. – Czy możecie mi panowie powiedzieć... tam jest herb... Widzicie panowie?

– Pewnie należał do jakiejś bogatej rodziny kupieckiej z Koloonii – wyjaśnił Fabel.

– I to jest najbardziej zdumiewające – powiedział zakłopotany, ale i uśmiechnięty mężczyzna. – Tam przecież widać... no-

sorożca... A w przewodniku napisano, że ten witraż pochodzi ze średniowiecza. Wydawało mi się, że w tamtych czasach w Niemczech nie znano nosorożców...

– Pan jest z Hiszpanii? – Język matki był dla Fabela jak ojczysty i potrafił wychwycić obcy akcent.

– Mieszkam w Hiszpanii, ale pochodzę z Meksyku. Mam na imię Paco. – Turysta uśmiechnął się promiennie. – Jestem pisarzem i interesują mnie takie rzeczy. – Pokręcił z zachwytem głową. – Kolonia to wyjątkowo interesujące miasto.

– Obawiam się, że nie pomogę panu. Pochodzę z Hamburga...

– Może ta rodzina handlowała z Afryką – wtrącił się Wagner.

– Kolonia była początkowo miastem rzymskim i utrzymywała kontakty z całym imperium. Od zawsze stanowiła centrum handlowe dla reszty Europy. I dla całego świata. Ale nie potrafię panu powiedzieć, co może oznaczać ten nosorożec.

– Mimo to dziękuję – odparł turysta.

Już mieli pójść dalej, kiedy Wagnerowi przyszło coś do głowy.

– Chyba wiem, co to może oznaczać.

– Naprawdę?

– Chrystusa często przedstawiano w sposób symboliczny, a symbolikę tę zapożyczano z czasów pogańskich. W średniowieczu bardzo popularne były bestiariusze, w których egzotyczne zwierzęta symbolizowały Chrystusa lub Zmartwychwstanie. Fenicki mit o feniksie czy przedstawienie pelikana oznaczało Zmartwychwstanie.

– Dlaczego pelikan? – zapytał Fabel.

– Uważano wtedy, że młode pelikany przychodzą na świat z rozdartej piersi matki.

– A nosorożec? – zapytał turysta.

– Nosorożec był symbolem gniewu Chrystusa. Szlachetnej zemsty.

– To bardzo ciekawe... – powiedział Meksykanin. – Dziękuję.

Fabel i Wagner zostawili turystę, który kręcił z podziwem głową i wciąż wpatrywał się w witraż.

– Jestem pod wrażeniem... – stwierdził z uśmiechem Fabel.

– Pochodzę z bardzo katolickiej rodziny – powiedział cierpko Wagner. – Sporo się na ten temat nasłuchałem.

Usiedli w ławce niedaleko miejsca, gdzie wysokie okno witrażowe rzucało na posadzkę czerwone, zielone i niebieskie plamy.

– Zachwycające, prawda? – zauważył Wagner. – Wiesz, że katedra w Kolonii aż do końca dziewiętnastego wieku była najwyższą budowlą wzniesioną przez ludzi? Zdetronizowała ją chyba wieża Eiffla. Albo pomnik Waszyngtona.

Fabel pokiwał głową.

– Tyle kamienia. Nic dziwnego, że budowa zajęła trzysta lat.

– To nie jest tylko miejsce kultu, ale także fizyczne przesłanie. Wielkie świadectwo. Wielki Bóg i my, małuczcy.

– Coś mi się wydaje, że mimo katolickiego wychowania nie jesteś zbyt religijny.

– Po przeczytaniu dossier Witrenki łatwiej uwierzyć w szatana niż w Boga.

– Chciałbym zobaczyć to dossier. Czy to możliwe?

Obok nich przeszedł przewodnik w mnisim habicie, z kasetką na pieniądze i plikiem książkowych przewodników. Przystanął przed amerykańskim turystą i poprosił go o zdjęcie z głowy czapki baseballowej.

– To jest także miejsce kultu – upomniał go po angielsku.

– Obieg tego dokumentu jest ściśle kontrolowany – powiedział Wagner, kiedy przewodnik i Amerykanin nie mogli go już usłyszeć. – Musisz się wpisać do rejestru, żeby choćby na niego spojrzeć. Ale zobaczę, co da się zrobić. Jeśli jednak chcesz się w to zaangażować, musisz to zrobić profesjonalnie. Jedna policjantka z Hamburga niwecząca pracę naszych ludzi wystarczy.

– Jasne. Udało ci się ustalić to, o co prosiłem?

Mina Wagnera świadczyła, że nie było to łatwe zadanie.

– Hotel Linden przy Konrad-Adenauer-Ufer. Zameldowała się trzy tygodnie temu. Dziewiętnastego stycznia. Mieszkała tam przez tydzień, dwudziestego szóstego wymeldowała się. Zdajesz sobie sprawę, że zdobycie tych informacji nie było całkowicie legalne?

– Nieżyły z ciebie szpieg, Ulirich. – Fabel uśmiechnął się. Hotel Linden był na liście, którą z Anną znaleźli w mieszkaniu

Marii. – Mógłbym dziś wieczorem zerknąć do akt Witrenki?

– Dziś? – Wagner wydał wargi. – Zobaczę. Nie mogę wynieść papierów z biura... Przyjadę po ciebie do hotelu koło ósmej.

– Dzięki. Naprawdę doceniam to.

– Nie ma sprawy. Pamiętaj tylko o naszej umowie.

– Będę pamiętał – odparł Fabel. – Do zobaczenia wieczorem.

Patrzył, jak Wagner podchodzi do zachodnich drzwi katedry, mijając meksykańskiego turystę wpatzonego w nosorożca, którego nie powinno w tym miejscu być.

#### 4

Olga Sarapenko rozmawiała z Buslenką przez telefon komórkowy, a Maria nie odrywała oczu od ekranu monitora, czekając, aż w drzwiach willi Mołokowa ponownie pojawi się Witrenko.

– Taras mówi, że mamy się nie ruszać – powiedziała Olga po zakończeniu rozmowy. – On już jedzie do Lindenthal. Za dwadzieścia minut powinien być na miejscu. Jeśli Witrenko nie wyjdzie przed jego przyjazdem, Taras pojedzie za lexusem.

– Sam? Buslenko podejmuje takie samo ryzyko jak ja wcześniej.

– Taras wie, co robi. – Olga wykonała przeproszający gest. – Przepraszam, ale wiesz chyba, co mam na myśli. Przeszedł specjalne szkolenie.

– Takie samo jak ludzie, których śledzi – odpowiedziała Maria, nie spuszczać oczu z ekranu.

Olga przysunęła krzesło do Marii i teraz obie obserwowały zupełny brak aktywności. Dwóch ochroniarzy. Jeden przy drzwiach, drugi kręcił się po domu. Zdawało się, że minęły wieki, nim ponownie zadzwonił telefon Olgi. Nastąpiła krótka wymiana zdań.

– Jest na miejscu. Mamy dać mu znać, w którą stronę lexus skręci, wyjeżdżając z bramy.

Fabel zjadł w drodze powrotnej do hotelu. Usiadł w kącie na parterze piwiarni urządzonej w dawnym browarze blisko katedry i wypił tradycyjne kolońskie piwo, które nosiło taką samą nazwę jak dialekt używany w rozmowach przez mieszkańców tego miasta – Kölsch. Podawano je zwykle w małych, wąskich, przypominających rurkę szklankach zwanych *Stange*. Ze zdumieniem zauważył, że kiedy tylko ją opróżnił, wyrosła przed nim następna, choć jej nie zamawiał. Potem przypomniał sobie o miejscowym zwyczaju – kelner będzie donosił kolejne piwa tak długo, aż położy się na szczycie szklanki podstawkę. W tej chwili poczynione ustalenia wydawały się Fablowi satysfakcjonujące. Pomyślał, jak dobrze byłoby posiedzieć dłużej w piwiarni i powoli, po cichu się upić. Oczywiście nie zrobi tego. Nigdy w życiu nie był kompletnie pijany. To oznaczałoby utratę kontroli, poddanie się chaosowi. Pojawił się kelner w długim kitlu i powiedział coś całkowicie niezrozumiałego. Fabel patrzył na niego bezradnie, aż w końcu roześmiał się głośno, przypominając sobie kolejną kolońską tradycję. W miejscach takich jak to kelnerzy byli nazywani *Köbes* i mówili dialektem *Kölsch*, okraszonym zwykle barwnymi zwrotami. Kelner wyszczerzył w uśmiechu zęby i powtórzył pytanie w czystej niemieczyźnie. Fabel złożył zamówienie.

Kolonia była tak różna od Hamburga. Czy to możliwe, zastanawiał się Fabel, żeby zmieniając otoczenie, zmienić samego siebie? Czy gdyby urodził się tutaj, a nie na północy Niemiec, byłby inną osobą? Pojawił się kelner z zamówionym daniem i kolejną szklanką piwa.

Minęły już cztery godziny, ale Maria odrzuciła propozycję Olgi, która chciała ją zastąpić przed monitorem. Zaczęło się ściemniać i willa była teraz tylko mroczną bryłą z jaśniejącymi blaskiem świateł oknami. Nagle nad drzwiami zapaliły się dwie lampy, oświetlając postać jednego z ochroniarzy.

– Powiedz Buslence, że idą! – zawołała Maria do Olgi.

Drzwi otwarły się i w progu stanął ochroniarz Witrenki. Uchylił drzwi lexusa dla kogoś, kto jeszcze był w willi, poza zasięgiem wzroku. Wreszcie w drzwiach pojawia się jakaś wysoka postać. Rozpoznaniu towarzyszył kolejny dreszcz. Mógł zmienić wygląd twarzy, ale nawet z tak dużej odległości jakiś pierwotny instynkt pozwolił Marii rozpoznać sylwetkę, która wryła jej się tak głęboko w pamięć. Mężczyzna przystanął i przekrzywił głowę. Maria zamarła z wrażenia. Wyglądało to tak, jakby Witrenko patrzył wprost w obiektyw kamery, wprost na nią.

Podszedł w końcu do samochodu i wsiadł do środka.

Maria obserwowała, jak lexus sunie bezgłośnie po podjeździe w stronę bramy.

– Skręcają w prawo.

Lexus zniknął. A wraz z nim Witrenko.

– Taras jedzie za nimi – powiedziała Olga Sarapenko. – Zmierzają w kierunku autostrady. Chce, żebyś mu pomogła. – Wręczyła Marii krótkofalówkę. – Kanał trzeci. Taras cię poprowadzi. Ja mam zostać tutaj na posterunku. Będę łączniczką między tobą a Tarasem.

– Nie byłoby lepiej, gdybyś ty pojechała? – zapytała Maria. Nieoczekiwanie poczuła strach przed konsekwencjami spotkania z Witrenką. – Jesteś lepiej wykształcona.

– Jestem taką samą policjantką jak ty. Różnica jest tylko taka, że ty jesteś niemiecką policjantką. Taras uważa, że możesz się przydać, gdyby sprawy zaczęły się komplikować.

– Ale ja nie znam miasta...

– Dostaniesz nawigację, która cię pokieruje. Jedź swoim samochodem. Ruszaj.

Było ciemno, mokro i zimno. Kolonia lśniła bladym światłem. Do Lindenthal jechało się prosto przez Zollstock i Sülz. Leżąca na fotelu pasażera krótkofalówka milczała. Dziesięć minut później, kiedy Maria dotarła do parku Stadtwald, podniosła ją do ust.

– Olga... Olga, słyszysz mnie?



– Słyszę.

– Dokąd mam teraz jechać?

– Jestem na autostradzie, jadę na północ... – To był głos Buslenki. – Dojeżdż do Kreuz Köln-West, wjedź na autostradę i kieruj się na północ. Dam ci znać, jeśli gdzieś skrećimy. Olga, pokieruj Marią przez Junkersdorf do autostrady. Samochód Witrenki nie porusza się szybko, ale Maria nas nie dogoni, jeśli się nie zatrzymamy. Olga... Masz jakiś pomysł, dokąd jedziemy?

– Zaczekaj. – Nastąpiła chwila ciszy. W końcu Olga odezwała się ponownie: – Wygląda na to, że Witrenko wyjeżdża z miasta. Możliwe, że skieruje się dalej na północ. Do Hamburga.

– O tej porze? Mało prawdopodobne – stwierdził Buslenko. Jego głos dochodził jakby z odległej planety. Maria poczuła się samotna, otoczona szczelnym kokonem ciemności i padającego śniegu z deszczem. Jak mogła dopuścić do znalezienia się w takiej sytuacji? Czy nie za bardzo zaufała tym ludziom? Kto może potwierdzić, że są tymi, za kogo się podają? Szybko odrzuciła tę myśl. Przecież uratowali jej życie. Znaleźli ciało Maxima Kuszniera i pozbyli się go.

Wcisnęła przycisk wywołania krótkofalówki.

– Powiedz, dokąd mam jechać...

## 7

Hotel Linden znajdował się zaledwie o kilka minut drogi od skrzyżowania Hansaring z biegnącą wzdłuż brzegu Renu Konrad-Adenauer-Ufer. Wybór miejsca dawał Fablowi nadzieję, że zostało jednak coś z dawnej Marii: hotel leżał w samym centrum, a jednocześnie można było w nim pozostać niezauważonym. Powiedział kierowcy taksówki, żeby na niego zaczekał, a sam wszedł po schodkach do niewielkiego holu. Zza recepcyjnej lady patrzyła na niego z uśmiechem ładna, ciemnowłosa dziewczyna. Uśmiech znikł z jej twarzy, ustępując miejsca zatroskanej minie, kiedy ujrzała policyjną odznakę w rękę Fabla.

– Nie ma powodów do niepokoju – zapewnił dziewczynę. –

Po prostu próbuję kogoś odnaleźć.

Fabel pokazał recepcjonistce fotografię Marii.

– Przypomina ją sobie pani?

Dziewczyna zmarszczyła brwi, skupiając wzrok na fotografii i wyteżając pamięć.

– Raczej nie... ale w zeszłym tygodniu nie było mnie w pracy. Może poproszę kierownika.

Zniknęła w pomieszczeniu za recepcją i wróciła z mężczyzną, który wydawał się zbyt młody na takie stanowisko. Mężczyzna spoglądał na Fabela podejrzliwie.

– O co chodzi, Herr...?

– Nadkomisarz Fabel. – Fabel uśmiechnął się i powtórnie wyjął odznakę. – Przyjechałem z Hamburga. Poszukuję tej kobiety... – Urwał, a ładna recepcjonistka wręczyła kierownikowi zdjęcie. – Nazywa się Maria Klee. Z naszych informacji wynika, że zatrzymała się w tym hotelu. Mogła się zameldować pod innym nazwiskiem.

– Co ona zrobiła?

– To nie ma nic do rzeczy. – Fabel pochylił się nad ladą. – Widział ją pan czy nie?

Kierownik uważnie przyglądał się fotografii.

– Tak, widziałem. Ale ona teraz tak nie wygląda.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Wymeldowała się kilka tygodni temu. – Kierownik zaczął stuknąć palcami w klawiaturę komputera. – O, mam, dwudziestego szóstego. Kiedy opuszczała hotel, miała krótko obcięte i ufarbowane na czarno włosy. No i te jej stroje...

– To znaczy?

– Ciągle inne. Nie chodzi mi o to, że się przebierała... Ona zupełnie zmieniała styl. Jednego dnia nosiła naprawdę drogie ciuchy, a następnego byle jakie.

Prowadziła obserwację, pomyślał Fabel. Złapała trop i podążała nim.

– Coś jeszcze? Spotkała się tu z kimś?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale trzymała na hotelowym parkingu swój samochód, nie podała nam numeru rejestracyjnego. O mało nie kazaliśmy go odholować, ale jeden z por-

tierów rozpoznał w nim wóz naszego gościa. Miałem zamiar z nią na ten temat porozmawiać, ale wymeldowała się, zanim zdążyłem.

– Ma pan ten numer rejestracyjny?

– Oczywiście... – Napuszony kierownik znów pochylił się nad klawiaturą komputera. Zapisał coś na kartce i podał ją Fablowi.

– Ale ta rejestracja zaczyna się od litery „K”... To numer z Kolonii. – Fabel spojrzął jeszcze raz na kartkę. – Jaki to był wóz?

– Tani i stary. Chyba citroën.

– Nie wie pan, dokąd mogła się udać?

Kierownik wzruszył ramionami. Fabel zapisał na odwrocie wizytówki swój numer komórkowy.

– Jeśli pan ją zobaczy, proszę do mnie natychmiast zadzwonić pod ten numer. To bardzo ważne.

Siedząc z powrotem w taksówce, Fabel wyjął listę kolońskich hoteli. Musiał zacząć myśleć tak jak Maria. Podejrzewał, że wyprowadziła się z tego hotelu, bo zameldowała się w nim pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Poszukała więc miejsca, gdzie będzie się jeszcze mniej rzucała w oczy. Fabel pochylił się i wręczył taksówkarzowi listę.

– Który byłby najodpowiedniejszy, gdybym chciał się zameldować pod fałszywym nazwiskiem, zapłacić gotówką i uniknąć zbędnych pytań?

Taksówkarz wyjął w zamyśleniu wargi, w końcu wziął długopis i zakreślił trzy nazwy.

– Moim zdaniem te będą najlepsze.

– Okej... – Fabel rozsiadł się wygodnie. – Zaczniemy od najbliższego.

## 8

Zatrzymują się... – Głos Buslenki przerwał ciszę w eterze, która zdawała się trwać od wieków. – Jesteśmy przy jakimś opuszczonym budynku fabrycznym obok zbiornika wodnego albo jakiegoś zalanego kamieniołomu. Jest tu drugi samochód. Najwyraźniej wyznaczyli sobie to miejsce na spotkanie.

– Widzisz kogoś? – dał się słyszeć głos Olgi.

– Nie, nie widzę. Mario, gdzie jesteś?

– Na autostradzie A57, na północ od miasta, niedaleko Dormagen. – Marii zrobiło się słabo. Zdała sobie sprawę, że jedzie tą samą drogą co wtedy, gdy bawiła się w kotka i myszkę z Maximem Kusznierelem.

– Dobrze... – W głosie Buslenki czuło się wahanie. – Będziesz na miejscu za jakieś piętnaście minut. Jedź Provinzialstraße w kierunku Delhoven aż zobaczysz zakręt. Skręć w lewo i jedź aż do odchodzącej w bok polnej drogi. Na tej drodze zostałem swój samochód, czarne audi. Widzimy się za kwadrans.

– Okej – odpowiedziała Maria, czując suchość w ustach.

– Olga – odezwał się Buslenko. – Podejdę bliżej, żeby się przyjrzeć. Chcę się przekonać, z kim spotyka się Witrenko.

– Zaczekaj, Taras – odparła Olga. – Zaczekaj na przyjazd Marii. Chyba będziesz musiał się skontaktować z miejscową policją. Mamy szansę go złapać.

– Poradzimy sobie z nim w inny sposób. Nic mi się nie stanie. Wyłączam krótkofalówkę. Witrenko na pewno wystawił wartowników.

– Uważaj na siebie, Taras – powiedziała Maria i mocniej wcisnęła pedał gazu. Nareszcie, pomyślała. Nareszcie będzie po wszystkim.

Olga prowadziła Marię do miejsca, gdzie ostatnio znajdował się Buslenko. Drogi stawały się coraz węższe, coraz mniej widać było domów. W końcu Maria znalazła się wśród pól z rozsianymi gdzieniegdzie kępami ogołoconych z liści drzew. Atramentowoniebieski mrok zaczął gęstnieć i przybierać barwę czerni, dając delikatnie do zrozumienia, że kończyło się późne popołudnie, a zaczynał wieczór. Deszcz przestał padać.

– Dojechałam do skrzyżowania z Provinzialstraße – powiedziała. – Dokąd teraz?

– Skręć w prawo i jedź mniej więcej kilometr. Wtedy zobaczysz zakręt, o którym mówił Taras, i dróżkę, przy której ukrył samochód.

Początkowo Maria przejechała zjazd w polną drogę, ponieważ zasłaniały go gęste cierniste krzewy, i musiała się cofnąć. Po

przejechaniu dwudziestu metrów zobaczyła audi Buslenki. Wy-  
siadła z samochodu i zadrżała z zimna. Znała ten dreszcz. Ta  
polna droga, noc, to było prawdziwie mroczne *déjà vu*.

– Znalazłam samochód – powiedziała szeptem do krótko-  
falówki. Zajrzała przez mokre od deszczu boczne okno. – Ani  
śladu Buslenki.

– Zostań tam – odpowiedziała Olga. – Taras poszedł na reko-  
nesans. Zaraz wróci.

Maria spojrzała na zegarek. Mówił o kwadransie. Droga tutaj  
zajęła jej dwadzieścia minut. Nagle jej uwagę przykuł jakiś  
przedmiot leżący na fotelu pasażera.

– Olga... on zostawił w samochodzie walkie-talkie.

Przez chwilę słychać było tylko zakłócenia. W końcu rozległ  
się głos Olgi:

– Ogłosił ciszę w eterze.

– A nie wystarczyło wyłączyć krótkofalówkę, zamiast zоста-  
wiać ją w samochodzie?

– Nie ruszaj się stamtąd!

Maria wsunęła walkie-talkie do kieszeni płaszcza. Idąc po  
błocie, wróciła polną drogą do szosy. Skrywając się za krzaka-  
mi, sprawdziła, czy nie nadjeżdżają z którejkolwiek strony sa-  
mochody. Nie usłyszała niczego, tylko zimny wiatr hulał w na-  
gich gałęziach. Doszła szosą do zakrętu. Po drugiej stronie dro-  
gi dostrzegła puste pole z budynkiem, który przypominał sto-  
dołę. Przed budynkiem stały dwa samochody. Znów poczuła  
mdłości, a serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe. Scena, na  
którą patrzyła, przypominała do złudzenia tamto pole i tamtą  
stodołę w pobliżu Cuxhaven. Miejsce, gdzie ostatnio zetknęła  
się z Witrenką. Wpatrywała się w bezgwiezdne, przykryte  
ciężkimi chmurami niebo i jałową ziemię u swoich stóp, chcąc  
upewnić się, że nie cofnęła się w czasie. Nie, nie było teraz żad-  
nych gwiazd, żadnej szumiącej na wietrze trawy. Nisko pochy-  
lona pobiegła szosą, potem polną drogą do samochodu. Za-  
trzasnęła za sobą drzwi i mocno zacisnęła palce na kierownicy.  
Spojrzeła na kluczyki tkwiące w stacyjce. Wciąż był do nich do-  
czepiony breloczek komisju, w którym kupiła wóz. Wystarczyło  
przekręcić kluczyk, wrzucić wsteczny bieg, wyjechać na szosę

i za kilka minut być na autostradzie prowadzącej do Hamburga. Zostawić wszystko za sobą. Rozpocząć od nowa.

W nagłym przypiływie stanowczości otworzyła schowek na rękawiczki i wyjęła z niego służbowego sig-sauera i nielegalnie zdobytego glocka. Wsunęła oba pistolety do kieszeni. Sięgnęła jeszcze po lornetkę i wróciła piechotą do szosy.

Pole nie dawało jej żadnej osłony. Buslenko wiedział, co robi, tak samo Witrenko i jego ekipa. Ale Maria nie przeszła szkolenia, jak pozostać niewidoczną. Szybko i w miarę cicho pokonała przestrzeń dzielącą ją od cienkiego, pochylającego się w porywach wiatru drzewa, któremu towarzyszyło nieco bezlistnych zarośli. Skrywszy się za nimi, podniosła do oczu lornetkę i przyjrzała się przez nią polu, stodołę i zaparkowanym przed nią samochodom. Nie dostrzegła niczego. Żadnych wartowników, żadnych śladów życia. Ze stodoły nie wydostawał się na zewnątrz żaden promyk światła. Nie dostrzegła też nigdzie Buslenki. Usiadła na mokrej trawie, opierając się plecami o pień drzewa. Słyszała jedynie szum wiatru. W tym mrocznym, przerażającym świetle, który ją otaczał, nie było śladu obecności innego człowieka. Sięgnęła po jeden pistolet, potem drugi, wsunęła pełne magazynki, przeładowała broń i odbezpieczyła. Służbowego siga włożyła z powrotem do kieszeni. W chłodnym powietrzu widziała wyraźnie obłoczki pary wydobywające się z jej ust.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, pochyliła się nisko i trzymając w gotowości glocka, ruszyła biegiem przez pole w stronę stodoły.

Była mniej więcej w połowie drogi, kiedy zapaliły się światła.

Instynkt Marii zareagował szybciej niż mózg, który potrzebował czasu, by zrozumieć, że światło dochodzi ze stodoły i rzuca żółty snop na pole. Padła na wilgotną, zimną ziemię i przez chwilę leżała zupełnie bez ruchu z pochyloną głową i rozrzuconymi na boki rękami i nogami. Kiedy zdała sobie sprawę, że wciąż jest widoczna, przetoczyła się na bok w miejsce, gdzie pa-

nował mrok. Uniosła głowę. W ciemnościach jaśniał żółty prostokąt okna. Na krótką chwilę w oknie pojawiła się jakaś postać. To wystarczyło, by z przerażającą pewnością rozpoznała tę osobę. Wycelowwała glocka w zarys postaci Witrenki, ale ta w tej samej chwili znikła. Nie spuszczać z oczu okna, poderwała się, podbiegła dwadzieścia metrów i znów rzuciła się na ziemię. Rozejrzała się po polu i otoczeniu stodoły, ale nikogo nie zauważyła. Gdzie jest, do diabła, Buslenko?

Nagle przypomniała sobie o swojej krótkofalówce i załapała ją fala paniki. Była włączona, a minęło już kilka minut od jej ostatniej rozmowy z Olgą. Olga mogła się w każdej chwili odezwać, zdradzając jej obecność. Zaczęła rozpaczliwie szukać w wewnętrznej kieszeni płaszcza. W końcu wydobyła krótkofalówkę i położyła na ziemi. Nakryła dłońmi, żeby stłumić ewentualny odgłos, i palcem odszukała wyłącznik. Odetchnęła z ulgą i przytknęła czoło do zimnej ziemi.

Była już zbyt blisko stodoły, by biec, musiała się czołgać. W końcu dotarła do kamiennej ściany stodoły i oparła się o nią plecami. Spojrzała na otoczone zaroślami pole. Odezwały się w niej złe przeczucia. Niedobrze. Bardzo niedobrze. Wszystko to zbyt przypominało tamto pole i stodołę. Zbyt łatwo udało jej się pokonać pole, tak jak wtedy, gdy Witrenko czuł się na tyle pewnie, że nie wystawił odpowiedniej liczby posterunków. Na pewno nie popełniłby tego samego błędu drugi raz. I tylko jedno różniło tamtą noc od tej – wtedy był przy niej Fabel, który zdołał ją uratować. Maria czuła dotkliwy chłód. Sprawdziła jeszcze raz broń i zaczęła podkraść się do okna.

Uświadomiła sobie, że budynek był raczej jakimś warsztatem niż stodołą. W okna wstawiono nowe szyby, choć zdążyły już się pokryć, szczególnie w narożnikach, grubą warstwą brudu. Maria próbowała usłyszeć jakieś dźwięki dochodzące z wnętrza, ale wzmógł się wiatr i szyby tłumili wszelkie odgłosy. Ujęła kolbę pistoletu oburącz i wyciągnęła szyję, żeby zajrzeć przez okno. Po chwili cofnęła gwałtownie głowę i wtuliła się plecami w ścianę budynku. Analizowała to, co ujrzała w ułamku sekundy. W środku był Mołokow i co najmniej trzech jego goryli. Nie widziała Witrenki, ale to wcale nie znaczyło, że go tam nie było.

Z trudem zapanowała nad oddechem i uporządkowała myśli. Czas zacząć znów myśleć jak policjant. Fabel zawsze im powtarzał, że pierwszym obowiązkiem oficera policji jest stać pomiędzy ofiarą a katem, pomiędzy chaosem a porządkiem. Maria wiedziała, że za chwilę ktoś może zginąć i to straszną śmiercią.

Zaglądając przez okno, zobaczyła tam kogoś, kogo nie powinno być w środku. Pośrodku pomieszczenia siedział na krześle mężczyzna. Nie widziała jego rąk, pewnie były związane z tyłu. Pozostałe osoby, w tym Mołokow, otaczały go. Najpierw będą tortury. Potem śmierć.

Maria wyjęła z wewnętrznej kieszeni grubego czarnego płaszcza walkie-talkie. Musiała zaryzykować i skorzystać z niego. Zmniejszyła głośność, pamiętając o wyjąłym wietrze.

– Olga... no, dalej, odbierz... Olga...

Cisza.

– Olga... odbierz... – W głosie Marii pojawiła się nuta rozpaczy.

– Maria? Gdzie ty, do diabła, się podziewałaś? Cały czas próbuję się z tobą połączyć. Taras ma nadal wyłączoną...

– Mają go...

– Co?!

– Mają Tarasa. Chyba zamierzają go zabić.

– Boże... Co teraz zrobimy?

– Sytuacja wymknęła się spod kontroli, Olgo. Muszę teraz działać jak policjantka. Nie możemy popełnić błędu. Zadzwoń na policję i powiedz, że jesteś milicjantką z Kijowa i komisarz z hamburskiego wydziału zabójstw potrzebuje pilnie wsparcia. Powiedz im, że mamy tu Wasyla Witrenkę i potrzebny będzie oddział specjalny BKA. I dodaj jeszcze, żeby się pospieszyli.

– Rozumiem... Już dzwonię. A ty jesteś bezpieczna?

– Jeszcze tak. Ale będę musiała coś zrobić, nim te bydlaki zaczną torturować Tarasa. Dzwon.

Maria ponownie wyłączyła krótkofalówkę i zajrzała przez okno do wnętrza budynku. Mołokow krzyczał, wściekle gestykulował i wymyślał Buslence. Od czasu do czasu spoglądał na coś lub kogoś poza zasięgiem wzroku Marii.



Na pewno na Witrenkę.

Maria przykucnęła i przeszła na drugą stronę okna, bliżej narożnika budynku. Zerknęła za róg. Drzwi, dwóch osiłków z bronią automatyczną. Tędy nie da rady. Sprawy się komplikowały – nie było innego bezpośredniego wejścia do pomieszczenia, gdzie przetrzymywano Buslenkę. Tą samą drogą wróciła do drugiego narożnika.

Musiała dostać się do środka. Czują, jak łyzy szczypią ją w oczy. Pomyślała o tym, przez co przeszła przez ostatnie trzy lata, o tamtej nocy na polu w pobliżu Cuxhaven, o Fablu, o Franku. Dobrze wiedziała, dlaczego płacze, to był płacz żałobny. Oplakiwała tego, kim była, nim to wszystko się zdarzyło. Oplakiwała życie, które nigdy już nie będzie takie samo. Miejscowej policji dotarcie tutaj może zająć dużo czasu. Oboje z Buslenką będą już martwi, a Witrenko jak zwykle rozplynie się w powietrzu. Mimo wszystko musiała to zrobić. Musiała to zakończyć. Znajdzie jakiś sposób, żeby dostać się do środka i wykorzystać szansę tego jednego strzału, nim ją zabiją. Strzału, który zlikwiduje Witrenkę. Była pewna, że on jest tam w środku. Zdawała sobie sprawę, że może nie rozpoznać jego twarzy zmienionej przez operację plastyczną. Ale te oczy. Ta sylwetka. Rozpozna je w ułamku sekundy.

Maria przytrzymała się ściany. Pociągnęła mocno nosem i otarła łyzy. Stała chwilę w bezruchu, próżno nasłuchując policyjnych syren. W nagich gałęziach drzew i krzewów otaczających budynek hulał tylko wiatr. Wyjęła z kieszeni służbowy pistolet i stała z bronią w obu dłoniach. Roześmiała się cicho. Zupełnie jak w filmie. Ale to zwiększało jej szanse na zabicie Witrenki, zanim sama padnie pod gradem kul.

Wyprostowała się i skręciła za róg budynku. W jej głowie zadźwięczał znowu dzwonek alarmowy. To było zbyt proste. Bok budynku wyglądał na zupełnie niepilnowany. Tutaj też było okno – wybita szyba, a w głębi pomieszczenia panowały ciemności. Maria zerknęła na fosforyzujące wskazówki zegarka. Od jej ostatniego kontaktu radiowego z Olgą minęło siedem minut. Minie pewnie jeszcze kolejne pięć lub dziesięć, nim pojawi się tu miejscowa policja. Zawahała się. Przecież nie mogą

przyjechać z włączonymi syrenami. Spojrzała na znajdującą się za polem drogę. Nie dostrzegła żadnych świateł, żadnego ruchu. Zajrzała przez rozbite okno do wnętrza. Pomieszczenie było puste, jeśli nie liczyć kilku rozklekotanych krzesel i podsuniętego pod ścianę brudnego biurka.

Maria wsunęła dłoń do środka, natrafiła na zasuwkę i otworzyła ją. Okienne skrzydło zaskrzypiało głośno w proteście przed wyrwaniem go z trwającego dziesięciolecia uśpienia i dało się lekko uchylić. Kilka dobrych minut zajęło jej otwarcie okna na tyle szeroko, by mogła się przez nie wślizgnąć do środka. Kiedy już to zrobiła, zamarła w bezruchu, nasłuchując dźwięków nadchodzącej pomocy. W dalszym ciągu panowała cisza. Gdzie oni są, do diabła? Starając się nie myśleć o hałasie, który wywoła, weszła przez okno i stanęła na pokrytej gruzem podłodze. Mimo chłodu zimowej nocy czuła zbierające się nad górną wargą krople potu. Zamarła w bezruchu. Zza drzwi dochodziły jakieś dźwięki. Wycelowała oba pistolety w kierunku brudnych drewnianych skrzydeł, ale drzwi nie otwarły się, a odgłosy umilkły. Maria stwierdziła, że warsztat musiał się składać tylko z tych dwóch pomieszczeń rozdzielonych korytarzem. Podkraśla się pod drzwi. Były niedomknięte i przez szparę mogła obserwować część korytarza. Z drugiego pomieszczenia dochodziły przyciszone głosy. Żadnych krzyków.

Postanowiła działać szybko. Otworzyła drzwi na oścież i wślizgnęła się do korytarza z bronią gotową do strzału. W korytarzu nie było nikogo i tylko promień światła prześwitywał zza drzwi drugiego pomieszczenia, znajdujących się o dwa metry od niej. Musieli ją usłyszeć. Z pomieszczenia w dalszym ciągu dolatywały strzępy rozmowy. Ruszyła przed siebie korytarzem. Drzwi wejściowe były na wprost niej, ale nie mogła dostrzec dwóch pilnujących ich osiłków – pewnie stali na zewnątrz. Musiała być przygotowana na to, że na odgłos wystrzału natychmiast się pojawią. Dwóch doskonale wyszkolonych, uzbrojonych w pistolety automatyczne żołnierzy specnazu kontra anorektyczna, neurotyczna policjantka na zwolnieniu lekarskim. Nie ma sprawy, pomyślała. Nie czuła strachu. Opuścił ją wraz z pierwszym krokiem w kierunku otwartych drzwi. Słyszała już wcześniej, że

poczucie nieuchronności śmierci potrafi zdziałać takie cuda. Przeciwnie, zyskała nowe siły i zapał.

Ruszyła dziarsko naprzód i stanęła w progu, wymachując bronią, gotowa strzelić do każdego, kto stanie na jej drodze.

## 10

Ulrich Wagner spóźnił się dziesięć minut. Fabel usadowił się przy barze, skąd mógł widzieć recepcję i wchodzącego do hotelu Wagnera.

– Napijesz się? – zaproponował, prowadząc funkcjonariusza BKA w stronę baru.

– Czemu nie? – odparł Wagner. Odebrali od barmana szklanki i usiedli na sofie przy oknie wychodzącym na Turinerstraße, skąd widać było tereny dworca kolejowego i wieże katedry. – Może lepiej zrobmy to w twoim pokoju – zaproponował, wyciągając z teczki gruby segregator. – Jest tu trochę nieprzyjemnych zdjęć. Poza tym musisz złożyć swój podpis w rejestrze, jeśli chcesz to obejrzeć.

Fabel omiół wzrokiem hotelowy hol. W drugim krańcu baru siedziała grupka mężczyzn wyglądających na biznesmenów. Było ich sześciu, wszyscy przed trzydziestką, rozmawiali i śmiali się głośno. Para siedząca o dwie sofy od nich wydawała się zbyt zajęta sobą, żeby cokolwiek zauważyć, nawet gdyby hotel stanął w płomieniach.

– W porządku – odparł Fabel. – Jeśli okaże się, że to zajmie więcej czasu, przeniesiemy się na górę.

Wagner zamknął segregator.

– To poważna, bardzo poważna sprawa. Mamy do czynienia z działaniem sił ewolucji. Witrenko się zmienia. Adaptuje do nowych warunków. Jest bez wątpienia najbardziej znaczącą figurą w przemyśle ludzi ze Wschodu na Zachód. Oprócz tego kontroluje znaczną część rynku prostytucji w Niemczech. Ale przede wszystkim interesuje go specjalizacja. Można by to określić mianem działań niszowych.

– Co masz na myśli?

– Istnieje mnóstwo ludzi, którzy mają, powiedzmy, wyjątko-

we potrzeby. prostytutki Witrenki te potrzeby zaspokajają. Chyba nie muszę się wdawać w szczegóły. To są naprawdę czasem bardzo nieprzyjemne rzeczy. Większość prostytutek nie robi tego dobrowolnie. Witrenko handluje ludźmi jak mięsem. Wszystko, co udało nam się ustalić, znajdziesz tutaj. Powiem ci jeszcze jedno: wiele osób nie jest zadowolonych, że masz dostęp do tych informacji.

– Więc ktoś jeszcze wie? Wie, dlaczego chciałem zobaczyć to dossier?

– Nie... Gdybym wspomniał o tym, że w sprawę jest zaangażowana Frau Klee, natychmiast zostałby wystawiony nakaz jej aresztowania. Powiedziałem, że chcę cię włączyć do tego śledztwa, żeby przekonać cię do ponownego rozważenia propozycji szefowania Federalnemu Wydziałowi Zabójstw.

– Więc nie poinformowałeś ich o mojej decyzji?

– Nie... Mam jeszcze na to czas.

Fabel przejrzał część dokumentów. Były przerażające. Zapis zbrodni zleconych przez Witrenkę, dokonanych w Azji Środkowej i Europie. Morderstw, od zwykłych zabójstw po mordy popełnione ze szczególnym okrucieństwem, które miały być ostrzeżeniem dla jego przeciwników. Szczegółowo opisano działalność Witrenki w Hamburgu, z napaścią na Marię Klee włącznie. Był dokładny opis masowych mordów, o których wspominały też notatki Marii, na przykład śmierć trzydziestu nielegalnych emigrantów, którzy spłonęli w pożarze kontenera na granicy ukraińsko-polskiej. Fabel przeczytał informację o gruzińskim szefie mafii, który odrzucił złożoną przez Witrenkę propozycję współpracy, tłumacząc, że jedynymi współnikami będą jego trzej synowie, kiedy już dorosną. Witrenko wysłał Gruziniowi trzy paczki. Wszystkie dotarły dokładnie w Dzień Ojca, a w każdej z nich znajdowała się ludzka głowa. Był też opis, jak pewna piękna Ukrainka, zmuszona do pracy w charakterze luksusowej call-girl, próbując wyswobodzić się z rąk Witrenki, skontaktowała się z berlińską policją. Znalaziono ją przywiązaną do krzesła, siedzącą naprzeciwko wielkiego lustra. Zmarła na skutek uduszenia – drogi oddechowe miała poparzone kwasem siarkowym, jaki wylano jej na

twarz. Pewnie nie widziała dokładnie swojego odbicia w lustrze, ale widziała dostatecznie dużo, żeby zadowolić Witrenkę. W dokumentacji wspomniano też o zabójstwie ukraińsko-żydowskiego szefa gangu w Izraelu. Czytając to wszystko, Fabel kiwał głową z uznaniem dla Marii. O wszystkich tych wyczynach można było przeczytać w jej notatkach. Nie dysponowała takimi źródłami jak BKA, a mimo to zdołała zebrać tyle informacji.

– Pewnie nic cię nie zaskoczy – powiedział Wagner. W dossier była też mowa o tym, jak Witrenko zamordował swojego ojca; i o tym, że świadkiem tego był Fabel.

– Musimy zabrać Marię z Kolonii – rzekł Fabel, nie odrywając oczu od akt. – Jeśli do Witrenki dotrze wiadomość, że Maria podjęła osobistą krucjatę przeciwko niemu, stanie na głowie, żeby ją zabić.

– Zgadzam się z tobą, ale priorytetem musi być złapanie Witrenki. Maria Klee sama wpakowała się w kłopoty.

– Nie do końca jest za to odpowiedzialna... – Fabel przewrócił kartkę i zobaczył zdjęcia kolejnych ofiar. Podniósł wzrok i sprawdził, czy nikt z hotelowych gości nie widzi okropności, które trzymał w ręku. – Co to jest?

– Ach, to... Patrzysz właśnie na szczątki członków elitarniej jednostki ukraińskiego specnazu. Operacja Achilles. Wersja oficjalna podana przez rząd Ukrainy głosi, że zamierzali się z nami skontaktować i dopaść Witrenkę na Ukrainie. My sądzymy, że była to ostatnia desperacka próba zabicia go na terytorium Republiki Federalnej.

– Czy to jest w Niemczech? – Fabel patrzył na znajdujący się w tle las.

– Nie, na Ukrainie. W miejscowości Korostyszew, na zachód od Kijowa. Spotkali się tam, żeby odbyć naradę. W myśliwskiej chacie. Rozumiesz?

Fabel ponownie spojrzął na fotografię.

– Cóż za ironia losu. W stylu Witrenki. Nikt nie przeżył.

– O, tak – powiedział Wagner ze znaczącym uśmiechem. – W stylu Witrenki. Ciała, które widzisz na zdjęciu, zabrali pozostali członkowie oddziału. Następnie wszyscy zniknęli.

Wyjaśnianie sprawy zajęło Ukraińcom kilka dni, ale już chyba wiedzą, kto zdradził. Kilka dni wcześniej próbowano złapać Witrenkę podczas jego pobytu w Kijowie. Władze ukraińskie miały swojego człowieka, dowódcę oddziału Sokół, Piotra Samojułuka, który odgrywał rolę potrójnego agenta. Samojułuk wskazał, gdzie i kiedy pojawi się Witrenko. Ale wtyczka Witrenki zdradziła Samojułuka, który w rezultacie został wykastrowany. Kiedy został powołany do życia ten oddział specjalny, kret i dwóch innych zdrajców, znaleźli się w jego szeregach. Wygląda na to, że dwójce ludzi prawie udało się dotrzeć do Korostyszewa, ale w końcu zostali zabici, zaciągnięci z powrotem do chaty i... sam zobacz.

Fabel przyjrzał się fotografii mniej więcej trzydziestoletniego mężczyzny, który podobnie jak pozostali został rozebrany, wypatroszony i powieszony przed chatą na haku służącym do wieszania upolowanej zwierzyny. Na ścianie chaty widniał jakiś napis wymalowany cyrylicą na czerwono, zapewne krwią.

– Co tu jest napisane? – Fabel obrócił zdjęcie do Wagnera.

– Hmm... Też byłem ciekawy. To ezoteryczny tekst. „Szatan potrafi być w dwóch miejscach jednocześnie”. Witrenko to zagadkowy gość. Widocznie musiało to mieć jakieś znaczenie dla tego wypatroszonego biednego sukinsyna.

– Kto to był?

– Dowodził operacją Achilles. Uczciwy człowiek – stwierdził Wagner. – A za główną wtyczkę Witrenki uważa się milicjantkę z Kijowa, Olgę Sarapenko. Miała chyba rozkaz, żeby potraktować tego człowieka w specjalny sposób przed śmiercią. Choćby za to, że od lat ścigał Witrenkę.

– Jak on się nazywał? – zapytał Fabel.

– Buslenko. – Wagner napił się piwa. – Taras Buslenko.

Maria stanęła w progu i skierowała broń w tę część pomieszczenia, której nie mogła dostrzec z zewnątrz, spodziewając się ujrzeć tam Witrenkę. Tymczasem nie było tam nikogo. Obróciła się w drugą stronę. Dwóch zbirów stało, Mołokow

i Buslenko siedzieli. Po Witrence ani śladu. Rzykowała życie na darmo. Obecni w pokoju zwrócili się twarzami w jej stronę. Boleśnie poczuła siłę odrzutu obu pistoletów. Dwa pociski trafiły Mołokowa – jeden w krtań, drugi w prawe oko. Ten drugi dotarł aż do mózgu. Mołokow nie zdążył jeszcze upaść na ziemię, a Maria już skierowała broń w stronę jednego z osiłków. Kilka pocisków trafiło w ścianę warsztatu, ale trzy ugodziły go w pierś. Wyczuła, że drugi ochroniarz poruszył się, ale nie miała czasu zareagować.

Buslenko zerwał się z krzesła i Maria ze zdumieniem odkryła, że nie był związany. Rzucił się na osiłka zaskoczonego niespodziewanym atakiem. Ochroniarz szybko oprzytomniał i próbował kopnąć Buslenkę, który wykonał unik i wbił czubek buta w pachwinę napastnika. Poprawił jeszcze ciosem kantu dłoni w gardło. Rozległ się głośny trzask, osilek runął na kolana, chwycił się oburącz za gardło i posiniał na twarzy. Buslenko chwycił go za szczękę i czoło, i gwałtownym ruchem przekręcił jego głowę na bok. Dał się słyszeć kolejny głośny trzask. Oczy mężczyzny zaszczyły mgłą. Buslenko odepchnął od siebie zwłoki, które z hukiem runęły na brudną podłogę. Buslenko spojrzął na Marię i ponuro skinął głową. Maria obróciła się na pięcie, żeby stawić czoło nadbiegającym z zewnątrz ochroniarzom. W drzwiach nikt się nie pojawił. Stała z bronią gotową do strzału, a jej ręce coraz mocniej dygotały.

Już po wszystkim, Mario... – Buslenko przemawiał do niej łagodnym, uspokajającym tonem. Sięgnął dłonią i wyciągnął z jej drżących rąk broń. – Już dobrze. Świetnie sobie poradziłaś.

– A ochroniarze? – zawołała z rozpaczą. – Ci na zewnątrz...

– Już dobrze – uspokajał ją Buslenko. – Zajęliśmy się nimi.

Maria usłyszała, że ktoś wchodzi.

– Olga? – Maria spojrzała zaskoczona na stojącą w progu Sarapenko. Kobieta trzymała w ręku karabin snajperski, który bardziej przypominał jakiś futurystyczny sprzęt niż zwykłą broń. U góry miał przytwierdzony noktowizor, a przedłużeniem lufy był tłumik.

– Nic nie rozumiem... – wyszeptała Maria. – A policja? Gdzie jest policja?

– Sami po sobie posprzątamy – odparł Buslenko, chowając do kieszeni broń Marii. Objął ją ramieniem i poprowadził w stronę drzwi.

– A Witrenko? – Marii łamał się głos, a jej ciałem wstrząsały dreszcze. – Gdzie jest Witrenko? Przecież powinien tutaj być...

Zacząła drżeć w niekontrolowany sposób. Czowała, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Nietrudno było zgadnąć, co się wydarzyło na zewnątrz. Obaj ochroniarze leżeli martwi. Każdy z nich dostał kulę w pierś i w głowę. Jeden z nich wciąż trzymał w ręce pistolet automatyczny, ale jego zamglone oczy wpatrzone były w pochmurne niebo. Maria czytała kiedyś, że snajperzy tak właśnie zabijają swoje ofiary – strzał w tułów, który ma powalić na ziemię, i drugi w głowę, żeby dobić. Spojrzała na Olgę, która wciąż trzymała swój karabin w ręku. Dziwna umiejętność u zwyczajnej milicjantki z Kijowa.

– Zostań tu – polecił Buslenko. – Przyprawdę swój samochód. A ty, Olgo, bierz samochód Marii i wracaj do Kolonii. Trzeba tu posprzątać.

– A kto się tym zajmie? – zapytała Olga, wskazując zwłoki.

– Tych dwóch zaciągniemy do środka. Przyślę tu kogoś do zrobienia porządku. A teraz znikajmy stąd.

– Przyślesz kogoś? – zapytała słabym głosem Maria. – A kogo ty możesz...

– Jesteś w szoku, Mario. – Olga oddała Buslence karabin. Wyjęła z kieszeni strzykawkę i zdjęła ochronny kapturek z igły.

– Po co ci to? – zapytała Maria, ale była zbyt wstrząśnięta i słaba, żeby stawiać opór Oldze, która podwinęła rękaw jej płaszcza i bluzy pod spodem. Maria poczuła ukłucie igły na przedramieniu.

– Co to...?

– To cię rozluźni – odpowiedziała Olga, a Maria poczuła ogarniającą ją senność. Stała, ale czuła się, jakby już spała. Drżenie ciała ustało.

– Myślałam, że umrę... – odezwała się nieobecny tonem do Olgi.



– Idę po samochód – powiedział Buslenko i pobiegł przez pole w stronę szosy.

Maria była zupełnie odprężona, nie czuła żadnego strachu, kiedy patrzyła na biegnącego Buslenkę, i uświadomiła sobie, że już widziała, jak biegł przez pole podobne do tego, dawno temu. To zabawne, pomyślała, czując uścisk palców Olgi na ramieniu, że nie rozpoznałam go wcześniej.

I tak umrę, pomyślała jeszcze i odwróciła się do Olgi Sarapenko, uśmiechając się bezmyślnie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### 9–11 lutego

#### 1

Fabel był zaskoczony, kiedy podniósł głowę i ujrzał stojącego obok niego Benniego Scholza.

– Co ty tu robisz? – zapytał, zamykając dossier. – Och, przepraszam, to jest Herr Wagner z BKA...

Wagner wstał i uściśnął dłoń Scholza.

– My się już spotkaliśmy – powiedział Scholz. Wagner zmarszczył czoło. – Sprawa oszustwa internetowego, dwa lata temu...

– A, tak... – odparł Wagner. – Oczywiście... Jak się pan mie-  
wa?

– Doskonale. – Scholz uśmiechnął się promiennie, ale nie odrywał spojrzenia od leżącego na stoliku segregatora. – Przepraszam, czy nie przeszkadzam?

– Nie, absolutnie nie – powiedział Fabel. – Skorzystałem z okazji, żeby sobie pogawędzić z Herr Wagnerem na temat sprawy, którą zajmowaliśmy się wspólnie w Hamburgu. Napijesz się?

– Szczerze mówiąc, wpadłem tu służbowo. Jak wiesz, całe przedpołudnie byłem zajęty tym cholernym zebraniem komitetu karnawałowego, ale kazałem Tansu i Krisowi sprawdzić kilka stron internetowych, które podał ci twój specjalista. Niestety nie mogłem cię nigdzie znaleźć.

– A, tak... Szczerze mówiąc, zwiedzałem miasto.

– Rozumiem... No, w każdym razie coś mamy. Znaleźliśmy taką stronę prowadzoną tu, w Kolonii. Nazywa się „Anthropophagi” i jest poświęcona wszystkiemu, co ma związek z kanibalizmem. Nie zawiera jawnie seksualnych treści, ale jak się poszuka głębiej, to można natrafić na naprawdę chore rzeczy. Jest

tam też chat-room. Nie wiemy, kto prowadzi stronę, ale znamy nazwę firmy udostępniającej miejsce na serwerze. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy jutro tam wpaść.

– Czemu nie. Na pewno nie masz ochoty na drinka?

– Nie, dzięki. Widzisz, to jeszcze nie wszystko. Zastanawiam się, czy masz ochotę na krótką wycieczkę. Chyba będziesz zadowolony, słysząc, że posłuchaliśmy twojej rady i sprawdziliśmy wszystkie doniesienia o ugryzieniach. Jest coś, co powinniśmy razem obejrzeć...

Ten hotel ostro kontrastował z luksusowym i wygodnym, który dopiero co opuścili. I nie chodziło o to, że był tandetny czy zaniedbany – był po prostu tani. W takim miejscu może przenocować turysta o ograniczonym budżecie, płaciło się w nim gotówką i nie zadawano wielu pytań. Scholz zatrzymał samochód przed głównym wejściem. Kiedy wraz z Fablem wysiedli, pojawił się portier, tłumacząc, że tu nie wolno parkować. Scholz uciszył go machnięciem policyjną legitymacją. Odwrócił się na chwilę i zauważył, że Fabel zatrzymał się i z zadartą głową wpatruje się w budynek.

– Wszystko w porządku?

– Co? A... tak.

– Kilka tygodni temu było doniesienie o zakłóceniu porządku – wyjaśnił Fblowi Scholz. – Policyjny patrol został zawrócony z drogi, bo podobno personel poradził sobie sam. Przepraszam, że cię kłopotę, ale w takich miejscach nie chcą, żeby klienci widzieli hol pełen mundurowych. To zakłóca upojny weekend we dwoje.

Scholz uderzył dłonią o kontuar i uśmiechnął się szeroko do recepcjonisty.

– Policja kryminalna – przedstawił się. – Chciałbym porozmawiać z kierownikiem, Herr Ankowitschem.

W recepcji pojawił się wysoki szczupły mężczyzna.

– W czym mogę pomóc? – zapytał Scholz. A widząc Fbla, dodał: – A, witam ponownie, Herr Fabel... Nie spodziewałem się, że zobaczę pana dzisiaj po raz drugi. Czyżby w tej samej sprawie?

– Nie... to nie ma związku... – odparł Fabel. Starał się nie dostrzegać zdziwienia na twarzy Scholza.

– Przyjechaliśmy w sprawie incydentu z dwudziestego stycznia – wyjaśnił Scholz. – Zgłosił pan wtedy zakłócenie porządku.

– Ach, to... Szybko sobie sami poradziliśmy. To nie było nic wielkiego. Jakaś kobieta wybiegła z krzykiem z jednego z pokojów, ale nie chciała wnosić oskarżenia.

– Tak, to wiem. Chcę się dowiedzieć, czy powiedziała, co się stało? Według policyjnego raportu poskarżyła się, że ktoś ją ugryzł w pośladek. I to mocno.

Ankowitsch uśmiechnął się.

– To prawda.

– Tu nie ma nic do śmiechu. Sprawdzamy, czy ta historia nie ma związku z serią zabójstw. A teraz szczerze, czy to była dziwka?

Ankowitsch pochylał się nad kontuarem i przekrzywił głowę, sprawdzając, czy na schodach nie ma gości.

– Tak, dziwka. Widywałem ją już wcześniej. Nie zachęcamy do tego, ale czasem przymykamy oko. Sporo tu się zawiązuje przelotnych znajomości. Póki goście nie sprawiają kłopotu i robią to dyskretnie, nie wnikamy zbyt w łączące ich relacje, zawodowe czy prywatne.

– Z kim wtedy była? – zapytał Fabel.

– Z mężczyzną, około trzydziestu pięciu lat... dobrze ubranym. Odniosłem wrażenie, że wcześniej byli w jakimś, hmm, bardziej eleganckim miejscu. Ona też była ładnie ubrana. – Ankowitsch roześmiał się cicho. – Choć muszę przyznać, że na mój gust włożyła nieodpowiedni strój.

– Dlaczego? – zapytał Scholz.

– Miała obcisłą spódniczkę. Taką, jakie były modne w latach pięćdziesiątych. Wyglądała na drogą, ale zupełnie do niej nie pasowała.

Scholz zaczął się niecierpliwić.

– Wyglądała całkiem atrakcyjnie, tylko miała niesamowity tyłek. Wyglądało to tak, jakby chciała zwrócić na niego uwagę. Dlatego wydało nam się to takie zabawne... No, wie pan... Kie-

dy biegła po schodach i krzyczała, że facet ją ugryzł.

– Była mocno pogryziona?

– O tak, sporo krwi pociekło. Marta, jedna z naszych dziewczyn, Polka, musiała jej pomóc. Powiedziała później, że pogryziona dziewczyna była Ukrainką, ale rozumiała wszystko, co Marta mówiła do niej po polsku. Oni widocznie jakoś tam się rozumieją. W każdym razie Marta powiedziała, że rana była głęboka i poradziła dziewczynie, żeby pojechała do szpitala, ale tamta nie chciała.

– Gdzie był ten mężczyzna, kiedy to się działo? – zapytał Fabel.

– Kiedy zrobiło się zamieszanie, musiał zgarnąć swoje rzeczy i zwać. Po schodach, nie skorzystał z windy. Poszedłem z portierem do pokoju, ale faceta już tam nie było.

– A pokój? On płacił czy ona?

– On. Gotówką. Powiedział, że zostawił portfel z kartami kredytowymi w domu. Zwykle prosimy o kartę kredytową, na wypadek gdyby trzeba było obciążyć klienta kosztami minibaru, ale on dał sto euro kaucji.

– Niech zgadnę, nie odebrał jej – rzekł Fabel.

Ankowitsch poczerwieniał.

– Nie.

Fabel domyślił się, że kaucja powędrowała do kieszeni kierownika.

– Musimy odszukać tę dziewczynę – powiedział Scholz. – Powiedział pan, że już ją wcześniej widywał?

Ankowitsch sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Tak. Była tu raz, może dwa.

– A mężczyzna?

– Nie. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

– Nie wie pan, gdzie możemy znaleźć tę dziewczynę? – zapytał Fabel.

Zakłopotanie Ankowitscha wzrosło jeszcze bardziej. Wyjął spod lady notes z telefonami, przerzucił kilka stron, zapisał numer na kartce i podał ją Fablowi.

Scholz wyrwał mu ją z ręki.

– Dziękujemy ze współpracę – powiedział.

Podejrzewam, że Herr Ankowitsch sam gustuje w wielkich zadkach – odezwał się Scholz, kiedy wracali do samochodu. – Nie zastanawiał się ani chwili, w której agencji ta dziewczyna pracuje.

Fabel usiadł na fotelu pasażera w volkswagenie Scholza i nagle poczuł się bardzo zmęczony. To był długi dzień, poza tym wypił wcześniej chyba za dużo kölscha. Był wdzięczny Scholzowi za jego małowówność w czasie jazdy. Przyglądał się mijanemu miastu. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że droga do hotelu zajmuje im więcej czasu niż powinna, a poza tym nie rozpoznaje okolicy. Niespodziewanie znaleźli się na brzegu Renu. W szeregu budynków wyróżniały się dwa olbrzymie, przypominające kształtem stoczniove dźwigi. Scholz ostro zahamował i zatrzymał swojego volkswagena na betonowej pochylni. Wsiadł z samochodu, zatrzasnął z hukiem drzwi i stanął na brzegu rzeki oświetlony blaskiem reflektorów.

Fabel wysiadł i stanął obok Scholza. Przez chwilę w milczeniu wpatrywali się w mijającą ich baręk z łopoczącą na rufie flagą.

– Powiesz mi, o co tu chodzi? – odezwał się cicho Scholz, nie przestając patrzeć na baręk. – Przychodzę do ciebie, a tam ten facet z BKA i ty wyglądacie, jakbym was przyłapał z opuszczonymi spodniami. Potem dowiaduję się, że w czasie kiedy jestem zajęty, ty prowadzisz w moim mieście jakieś prywatne dochodzenie. Chciałbym wiedzieć, co to wszystko, do kurwy nędzy, znaczy.

Fabel westchnął.

– Kiedy ci wspomniałem, że ścieżki Wasyla Witrenki i moja przecięły się, powiedziałaś, że to bardzo niebezpieczne. Owszem, niebezpieczne. Skończyło się tym, że dwóch policjantów zginęło, a jedna funkcjonariuszka została poważnie ranna. Ledwo się z tego wykaraskała. Nazywa się Maria Klee i była moim najlepszym oficerem... Była nawet na dobrej drodze, żeby zastąpić mnie na stanowisku. Ale choć jej stan fizyczny nie budzi już zastrzeżeń, to ma problemy natury psychicznej. Maria jest wciąż na zwolnieniu lekarskim. Przeżyła załamanie nerwowe i musiała podjąć leczenie. Problem w tym,

że moim zdaniem jest teraz w Kolonii i szuka Witrenki na własną rękę.

– Rozumiem... – Scholz odwrócił się do Fabla. – Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Masz dość swoich kłopotów.

– Tak, mam. Nie opieprzam się tutaj. Muszę schwytać mordercę. Ten facet za dwa tygodnie znowu zabije, jeśli go wcześniej nie dopadnę. Prosiłem cię o radę w dobrej wierze.

– Wiem, Benni.

– Tymczasem ty miałaś swoje plany. Szczerze mówiąc, przykro mi z powodu twojej policjantki, ale to nie mój problem. Liczyłem na to, że poświęcisz się całkowicie mojej sprawie.

– Nie owijajmy w bawełnę, komisarzu... Jestem tu po to, żeby dać ci wsparcie, jakiego potrzebujesz. Martwię się też losem Marii i dalej będę próbował ją znaleźć. Ale to jeszcze nie znaczy, że będę zaniedbywał ciebie.

– O kurwa, chwileczkę... – Na twarzy Scholza pojawiły się emocje. – Teraz rozumiem... To jest także mój problem, prawda? Nic dziwnego, że nie mogliśmy znaleźć policjantki, która rozmawiała ze Sławkiem Dmytrukiem, zanim porąbano go na kawałki. To była ona, tak?

– Podejrzewam, że tak. Choć pewności nie mam.

– Jasne... – Scholz obrócił się i ruszył z powrotem do samochodu. – Jutro z samego rana pójdziemy porozmawiać z moim szefem.

W trakcie trwającej pięć minut jazdy do hotelu Fabla Scholz nie odezwał się ani razu. Fabel, wysiadając, zatrzymał się na chwilę.

– Posłuchaj, Benni. Mówiłem prawdę. Pomogę ci znaleźć tego seryjnego mordercę i nie mogę zabronić ci pójść do szefa w sprawie Marii. Ale to tylko spowolni naszą pracę w obu sprawach.

– Seryjny zabójca to jest sprawa. A ty prowadzisz tylko prywatne śledztwo w poszukiwaniu zaginionej osoby.

– Nazywaj to, jak chcesz, ale w sprawie kanibala zaczynamy robić postępy. Naprawdę chcesz mnie wciągnąć w jakieś przesłuchania?

– Co proponujesz?

– Mam ten sam cel co ty: złapać tego szaleńca, zanim znowu zabije. Ale dzięki tobie łatwiej mi będzie trafić na ślad Marii, nim wpakuje się w poważne tarapaty. Umówmy się, że najpierw dopadniemy tego sukinsyna. – Fabel uśmiechnął się. – Chodźmy do baru na drinka, to sobie o tym porozmawiamy.

Scholz siedział z rękami na kierownicy i patrzył przed siebie.

– Okej... ale ty stawiasz.

## 2

Jak co rano Fabel wsiadł pod hotelem do taksówki i przez most Severinsbrücke dotarł do dzielnicy Kalk, gdzie znajdowała się komenda policji. Poranek był pogodny i kiedy taksówka pokonywała Ren, Fabel miał okazję przyjrzeć się rzece na całej długości, aż do żeliwnych łuków mostu kolejowego Südbrücke. Rzeką płynęło kilka długich barek. Część kierowała się na południe w głąb kontynentu, pozostałe na północ, do Holandii i reszty świata. Próbował wyobrazić sobie czasy, gdy nie było samochodów, szybkich pociągów i ciężarówek. Przytoczona przez Scholza analogia do średniowiecznej autostrady była jak najbardziej na miejscu. Było w tej rzece coś ponadczasowego. Dzisiejsze barki kontynuowały tradycję sięgającą początków europejskiej cywilizacji.

Kiedy dotarł do komendy, oficer dyżurny uśmiechnął się i skierował go prosto na górę. Fabel poczuł się dziwnie, wchodząc do innego wydziału zabójstw nie jako gość. Prawie jakby tu pracował. Przypomniawszy sobie o ofercie złożonej przez Wagnera i van Heidena. Czy tak miałyby wyglądać jego prace, gdyby zajmował się dochodzeniami na terenie całych Niemiec?

W pokoju Fabel zastał Tansu ze słuchawką telefonu przy uchu. Miedziane kędziory włosów spięła z tyłu głowy, odsłaniając szyję. Tansu nie była wyjątkowo piękna, figurę miała więcej niż pełną, ale było w niej coś, co Fablowi wydało się atrakcyjne. Seksowne. Ruchem głowy wskazała Fablowi gabinet Scholza i na chwilę przesłoniła słuchawkę wierzchem dłoni.



– Czeka na pana – powiedziała. – Ale nie wychodźcie, póki wam czegoś nie powiem.

– Okej.

Scholz też rozmawiał przez telefon, ale dłonią wskazał Fablowi krzesło. Z tego, co udało się Fablowi dosłyszeć, rozmowa dotyczyła karnawałowej parady. Scholz wciąż był niezadowolony z postępów przygotowań. Fabel nie mógł pojąć, dlaczego Scholz wydaje się bardziej przejęty paradą niż dochodzeniem w sprawie morderstw. Gdyby nie to, pomyślałby, że komisarz z Kolonii nigdy nie jest zestresowany.

– Witam... – przywitał Fabla ponurym głosem Scholz, kiedy odłożył słuchawkę. – Czy jesteś gotów na rozmowę z tymi ludźmi od internetu?

– Tak, ale Tansu powiedziała, że chce z nami porozmawiać, zanim wyjdziemy.

Scholz wzruszył ramionami.

– Czeka nas dzisiaj jeszcze jedna rozmowa. Sprawdziłem tę agencję, na którą dał nam wczoraj namiar ten koleś z hotelu. Myślę, że to cię zainteresuje.

– Tak?

– Agencję „À la Carte” prowadzi Nielsen, obywatel narodowości niemieckiej. Tansu sprawdza go teraz. Ale prawdziwymi właścicielami jest dwóch Ukraińców, Kłymkiw i Łysenko. Nie są notowani, choć podejrzewamy ich o przynależność do grupy mafijnej i udział w przemyśle ludzi. A teraz zgaduj, do trzech razy sztuka, dla kogo w takim razie pracują Kłymkiw i Łysenko.

– Dla Witrenki.

– Oczywiście. Chłopcy z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną prosili, żebyśmy byli bardzo ostrożni.

– Rozmawiałeś z ludźmi z wydziału przestępczości zorganizowanej? Mam nadzieję, że nie wspomniałeś o Marii Klee?

– Na razie nie. Poza tym to tylko nasi koledzy z innego wydziału. Federalna Policja Kryminalna nie wie, że będziemy rozmawiać z Nielsenem. Za to ja nie wiem, jak długo uda mi się utrzymać całą sprawę w tajemnicy. A wracając do „À la Carte”, agencja działa legalnie, a dziewczynki płacą podatki. A przynajmniej te, które są oficjalnie zatrudnione. – Scholz

uśmiechnął się. – Jak może wiesz, Kolonia była pierwszym miastem, gdzie handel ludzkim ciałem został opodatkowany.

Fabel skinął głową. Rzeczywiście, Kolonia pierwsza nałożyła podatki na pracownice seksbiznesu.

– Jesteśmy dumni z tego, że byliśmy w tej dziedzinie pionierami. Początkowo trudno było dokładnie oszacować, ile zarabia konkretna prostytutka... – ciągnął Scholz. – Wyobrażasz sobie deklarację podatkową z pytaniem, ile razy w ciągu roku podatkowego zrobiła loda i za jaką cenę? Chłopcy ze skarbowki wyliczyli możliwe zarobki i przyjęli jakąś średnią. I teraz podatek jest zryczałtowany: sto pięćdziesiąt euro miesięcznie od jednej dziwki. Wierz mi, Kolonia zgarnia dzięki nim kupę szmalu. Zawsze zastanawiało mnie tylko jedno: czy to nie czyni z burmistrza alfonsa.

Z zadumy wyrwało Scholza wejście Tansu.

– Wreszcie mam coś na temat Very Reinartz, tej studentki medycyny zgwałconej w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

– Udało się ją pani namierzyć? – zapytał Fabel.

– Tak... to znaczy nie dosłownie. Ale już wiem, dlaczego nie mogliśmy jej znaleźć w rejestrach meldunkowych. Vera Reinartz nie istnieje. Sześć lat temu zmieniła nazwisko. Całkiem legalnie i formalnie.

– Widocznie chciała odseparować się od swojej przeszłości, od tego, co ją spotkało – stwierdził Fabel.

– I to jest dziwne – ciągnęła Tansu. – Wydawałoby się, że powinna też uciec stąd jak najdalej, a tymczasem ona cały czas mieszka w Kolonii. Dlaczego zmieniła nazwisko, a adresu już nie?

– Więc ma pani jej adres? – zapytał Fabel.

– Tak. I pomyślałam, że ją dzisiaj odwiedzę – odparła Tansu.

– Jeśli nie ma pani nic przeciw, też chciałbym się z nią spotkać – powiedział Fabel. – Herr Scholz pewnie również.

– Okej... – Fabel wyczuł w głosie Tansu nutę niezadowolenia.

– Jestem pewny, że natrafiła pani na coś istotnego, coś, co może być ważnym tropem. – Fabel zwrócił się do Scholza: – Przeczytałem, co Tansu zdołała ustalić w tej sprawie, i całkowicie zgadzam się z jej wnioskami. Myślę, że tamta napaść mogła

mieć związek z morderstwami.

– A zabójstwo z następnego roku? Pobita na śmierć Annemarie Kuppers? – zapytała Tansu.

– Trudno powiedzieć. Brutalność pobicia podobna jak w wypadku Very Reinartz, ale za to nie pasuje do pozostałych dwóch zabójstw. Jednak niczego nie wykluczam. Najważniejsze jest to, że Vera Reinartz była ofiarą i udało jej się przeżyć, więc jest pewnie jedyną osobą, która widziała sprawcę.

– Sprawdzę jeszcze jej adres. Będziemy mogli ją odwiedzić dziś po południu albo wieczorem – powiedziała Tansu.

Pojechali volkswagenem Scholza. Agencja „À la Carte” mieściła się w dzielnicy Deutz, więc dotarcie na miejsce zajęło im tylko kilka minut. Przy ulicy stały przemieszane ze sobą domy mieszkalne i lokale użytkowe zajmowane przez małe firmy. Była tu restauracja, bar, delikatesy, sklep z komputerami i jakiś warsztat naprawczy. Scholz zajrzał do notesu i poprowadził Fabela do bramy pomiędzy sklepem komputerowym a delikatesami. Na domofonie widniało kilka nazw różnych firm.

– Jest – powiedział Scholz. – Agencja towarzyska „À la Carte”. Drugie piętro...

Wszystko tu mówiło, że jest to poważna, profesjonalna firma. Leo Nielsen był ubrany w ciemny garnitur, w recepcji nie siedziały żadne lafiryndy, tylko skromnie ubrana dziewczyna. Nielsen wyglądałby jak typowy biznesmen, gdyby nie to, że obwód szyi miał taki sam jak głowy, a barczyste ramiona rozpychały marynarkę. Na dodatek jego policzek przecinała gruba, błada blizna. Fabel podejrzewał, że Nielsen zdobywał doświadczenie w zarządzaniu zasobami ludzkimi, wymuszając haracze od naćpanych kurewek kręcących się pod dworcem kolejowym.

– Czym mogę panom służyć? – zapytał Nielsen.

– Chodzi o incydent – zaczął Fabel – w hotelu Linden. Jedna z pańskich dziewczyn poskarżyła się, że została pogryziona przez klienta. Mocno pogryziona. Chcemy z nią porozmawiać.

– To już zamknięty temat – odpowiedział z westchnieniem Nielsen. – My... to znaczy, ona nie zamierza składać skargi.

– Rozumiemy. – Scholz usiadł na skraju biurka Nielsena,

strącając na podłogę pojemnik z długopisami i sprawiający wrażenie drogiego kalkulator. – Ale... jak to określić? Gównu nas to obchodzi. Albo podasz nam zaraz nazwisko dziewczyny, albo przetrzepię ci wszystkie papiery, wszystkie dowody transakcji kartą kredytową, a potem osobiście odwiedzę każdego klienta, który umoczył swojego wacka w którejś z twoich dziwek.

– Nie zamierzam tolerować takiego zastraszania. – Nielsen zebrał się w sobie i uśmiechnął pogardliwie do Scholza.

– Nikt tu nikogo nie straszy – odezwał się Fabel i spojrzał znacząco na Scholza. – Chcemy tylko znać nazwisko tej dziewczyny. Ona może mieć ważne informacje dotyczące morderstwa.

Nielsen odegrał przedstawienie poszukiwania danych w komputerze.

– Czasem dziewczyny nie podają swojego prawdziwego nazwiska – wyjaśnił.

– Mam nadzieję, że ta podała, Herr Nielsen – powiedział Fabel – w przeciwnym razie będziemy mieli kłopot. Proszę posłuchać, nie interesuje nas pan ani pański biznes. Nie interesuje nas nawet specjalnie ta dziewczyna. Szukamy jej klienta. Ale skoro pan woli, możemy bliżej się przyjrzeć pańskim interesom. Porozmawiać z pańskimi klientami...

Nielsen spojrzał na Fabla spode łba, ale w końcu ustąpił.

– Okej. Każę jej się z panami skontaktować...

– Nie – odparł Fabel. – To za mało. Proszę nam dać jej adres, musimy się z nią zobaczyć natychmiast.

Nielsen westchnął, zapisał adres w notesie, wyrwał kartkę i podał ją Fabelowi.

– Jest teraz z klientem. Pewnie zanim dojedziecie na miejsce, już skończy. Skontaktuję się z nią i powiem, żeby zaczekała na was w recepcji hotelu.

Nie sądzę, żeby Herr Nielsen nas polubił – powiedział z uśmiechem Scholz, kiedy wracali do samochodu. – Boże, chętnie bym się rozprawił z tą firmą. Mogę się założyć, że kryje się za nią ludzkie nieszczęście. Jeśli nasi koledzy

z przestępczości zorganizowanej i z BKA mają rację, to „À la Carte” korzysta z usług Witrenki, który dostarcza dziewczynki.

Fabel wrócił myślami do dossier Witrenki. Nie przypominał sobie, żeby nazwa „À la Carte” pojawiła się wśród firm związanych z handlem ludźmi. Chociaż lista była długa, liczyła dziesiątki pozycji. Osobę, która przekazała BKA te wszystkie informacje, należałoby ozłocić. Fabel poprosił o pełną wersję dossier, ale nazwisko informatora i wszystkie dane, które pozwoliłyby go zidentyfikować, zostały usunięte.

Zadzwoił telefon komórkowy Scholza.

– To była Tansu – powiedział Scholz po zakończeniu rozmowy. – Sprawdziła naszego Nielsena. Jakies dziesięć lat temu dostał we Frankfurcie trzy lata za napaść. Sprawa miała związek z narkotykami. Od tamtej pory nic, ale moim zdaniem cuchnie tu przestępczością zorganizowaną.

– Jestem podobnego zdania – odparł Fabel. – Ale Nielsen nie jest zwyczajnym żołnierzem Witrenki. Wygląda na to, że interes naszego Ukraińca zaczyna się globalizować. Kto wie, może udziela na część swojej działalności franczyzy.

– Tansu twierdzi też, że nie udało jej się porozmawiać z Verą Reinartz, czy jak tam się ona teraz nazywa, ale zdobyła jej adres do pracy i domowy. Pyta, czy możemy się spotkać około czwartej po południu. Ale moim zdaniem najpierw powinniśmy odwiedzić tamtą firmę internetową. Hotel, w którym czeka na nas dziwka, jest po drodze.

Hotel należał do najbardziej luksusowych na prawym brzegu Renu. Fabel i Scholz czekali, jak było umówione, przy wejściu. Cały hol był przeszklony i Fabel mógł podziwiać panoramę Kolonii z mostem Hohenzollernbrücke i leżącym po drugiej stronie rzeki Starym Miastem i wieżą kościoła Świętego Marcina. Nad całością dominował, oczywiście, gmach katedry.

– Niesamowity widok – zachwycił się Fabel.

– Tak – rzucił od niechcenia Scholz, rozglądając się po holu. Zatrzymał wzrok na zmierzającej ku nim osobie i powiedział: – To chyba nasza dziewczynka.

Zbliżała się do nich młoda kobieta z miną wyrażającą ni to

lęk, ni podejrzliwość. Była ubrana skromniej, niż się Fabel spodziewał, ale szybko uświadomił sobie, że w takim hotelu jak ten patrzy się z niechęcią na jej sposób zarobkowania. Kiedy znalazła się bliżej, Fabel zwrócił uwagę na jej figurę: była szczupła i tylko w okolicach bioder mocniej zaokrąglona. Tak samo jak ofiary karnawałowego kanibala.

– Ludmiła Bliźniuk? – Scholz z trudem wymówił jej nazwisko.

– Tak. Ale nie używam pełnego imienia. Mówią do mnie Mila. Co takiego zrobiłam? Moje papiery są w porządku.

– Ale używa też pani imienia Anastasia?

– Tak. Nigdy nie podaję klientom prawdziwego imienia. O co tu chodzi?

– Chciałbym zobaczyć pani dokumenty. – Scholz wyciągnął rękę.

– Co takiego? Tutaj? – Zerknęła nerwowo na recepcję. Scholz machnął ze zniecierpliwieniem ręką i Mila wyjęła z torebki dowód tożsamości oraz plik papierów z urzędu imigracyjnego.

– Może usiądziemy gdzieś w bardziej zacisznym miejscu... – zaproponował Fabel, wskazując niską sofę pod oknem.

– Milo, chcemy z panią porozmawiać o incydencie z klientem sprzed kilku tygodni. Chodzi o mężczyznę, który panią pogryzł.

– Fabel starał się zachowywać mniej konfrontacyjnie niż Scholz. – To nie ma nic wspólnego z panią ani z tym, jak pani zarabia na życie. Podejrzewamy, że mężczyzna, który panią pogryzł, może być niebezpieczny.

– Nie musicie mi tego mówić – odparła Mila z wciąż zaciętą miną. – Wszystkim się wydawało, że to świetny powód do żartów. Żeby mnie ugryźć w... zapomniałam niemieckiego słowa... w „srakę”...

– W dupę – podsunął Scholz.

– No właśnie, bardzo zabawne. Mam wielki tyłek, a on mnie w niego ugryzł. Nic tylko się śmiać. Ale to bardzo zły człowiek. Niebezpieczny. Założyli mi szwy. Zachowywał się jak zwierzę, nie jak człowiek. Widziałam potem jego twarz, całą we krwi.

– Po kolei – zastopował ją Fabel. – Proszę opisać tego mężczyznę.

– Miał trzydzieści, może trzydzieści pięć lat, niecałe dwa metry wzrostu. Średniej budowy ciała... Miał wysportowaną sylwetkę, jakby dużo pracował na świeżym powietrzu. Ciemne włosy, niebieskie oczy. Dobrze wyglądał. Lepiej niż większość klientów.

– Jaki był? Mam na myśli, czy był bogaty, biedny, wykształcony czy nie?

– Na pewno był wykształcony i miał pieniądze. To było widać po jego ubraniu.

– Zapłacił gotówką? – zapytał Scholz.

– Tak. I dał mi spory napiwek. Wiedziałam, że ma specyficzne wymagania. W agencji mnie uprzedzili.

– Że lubi gryźć?

– Że lubi duże tyłki. Takie jak mój.

– Co się stało tam w hotelu?

– Poszliśmy do pokoju i poprosił, żebym się rozebrała. Potem zaczął dotykać moich pośladków. – Mila mówiła to takim tonem, jakby opisywała rzeczy oczywiste, nie znać było w jej głosie choćby cienia zakłopotania. – Potem sam się rozebrał i wtedy pomyślałam, że będziemy uprawiać normalny seks. Ale on popchnął mnie na łóżko, bardzo brutalnie. Zaczęłam się bać, ale on mnie uspokajał i zapytał, czy może mnie ugryźć w tyłek. Myślałam, że ma na myśli udawane ugryzienia, ale on rzucił się na mnie jak zwierzę. Ugryzł naprawdę mocno. Przysięgam, chciał mi odgryźć kawałek...

Fabel i Scholz wymienili spojrzenia.

– Proszę mówić dalej, Milo – zachęcił ją Fabel.

– Zaczęłam krzyczeć, więc przestał gryźć, za to mnie uderzył. Odepchnęłam go i zaczęłam krzyczeć jeszcze głośniejsze. Kiedy wchodziliśmy do pokoju, zamknął drzwi na klucz, ale udało mi się je otworzyć i zbiegłam do recepcji. Potem przybiegła mi na pomoc ta Polka i inni pracownicy hotelu. Kiedy wróciliśmy do pokoju, jego już nie było.

– Dlaczego nie opowiedziała pani tego wszystkiego policji? – zapytał Fabel.

– Kierownik powiedział, że nie chce kłopotów. Zadzwonili też do mnie z agencji i kazali mi milczeć. Oni też nie chcą kłopotów

z policją.

– Więc się pani zgodziła – stwierdził Scholz.

– Musiałam. Chociaż wcale nie miałam ochoty. – Mila spojrzała przez okno na mroczny gmach katedry na drugim brzegu Renu. – Kiedy ponownie obróciła głowę w ich stronę, miała bardzo poważną minę. – Wszyscy uważali, że to drobiazg. Że faceta trochę, jak to się mówi, poniosło. Ale oni go nie widzieli. Nie widzieli jego twarzy i tych jego oczu, kiedy już mnie ugryzł. Nie przypominał człowieka. Zmienił się w... nie wiem, jak to powiedzieć po niemiecku. Na Ukrainie nazywamy takie bestie *wowkulakiem*. No, wicie, człowiek, który zmienia się w wilka.

– Wilkołak – dopowiedział Fabel i spojrzął na Scholza.

### 3

Ansgar wiedział, gdzie ona pracuje. Szedł za nią w poniedziałek, kiedy wracała z hurtowni. Siedział teraz w swoim samochodzie na parkingu i czekał na nią. Nie miał żadnego planu. W tę podróż bez celu popychał go czysty instynkt. Może faktycznie potrafiłby stworzyć normalny związek z Jekateriną. I zdołałby uporządkować swoje życie, pozwalając sobie tylko na odrobinę chaosu. W końcu już raz to zrobił z tą kobietą. Fakt, że po tak długim czasie znów się na nią natknął, na pewno coś oznaczał. Musiała pracować w restauracji albo w hotelu. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że może ją spotkać dlatego, że pracowała w tej samej branży co on. Chodził za nią jak cień, kiedy popychając przed sobą wózek załadowany zakupami, szła przez parking do furgonetki. Potem jechał za nią przez całe miasto do jej kawiarni w północno-zachodniej części Altstadt.

Dzisiaj przyjechał tu znowu. Kawiarnia miała nowoczesny wygląd, typowy dla większości tego rodzaju lokali. Na dużym oknie wymalowany był napis: AMAZONIA CYBER-CAFÉ. Ansgar uśmiechnął się, odczytując nazwę. Przyszło mu do głowy, żeby wejść do środka. Istniała szansa, że go nie rozpozna, ale nie mógł sobie pozwolić na takie ryzyko. Zdecydował w końcu, że będzie ją obserwował z ulicy.



Spojrzał na zegarek. Za dwie godziny rozpoczynał pracę.  
Miał jeszcze czas.

4

Te dokumenty sprawiają wrażenie autentycznych – powiedział Scholz, kiedy jechali przez most na lewy brzeg – ale mogą się założyć, o co tylko chcesz, że są sfałszowane.

– Sam nie wiem – odparł Fabel. Mila wmawiała im, że znalazła się w Niemczech z własnej woli i sama zdecydowała, jak chce zarabiać na życie. Nie sprawiała wrażenia uciśnionej, choć trudno to ocenić. Prostytucja, legalna czy nie, rzadko była zawodem uprawianym zupełnie dobrowolnie. A niechęć dziewczyny do rozmowy z dwoma policjantami musiała mieć inną przyczynę niż tylko jej profesja. Scholz traktował ją z pogardą. Fabel lubił Scholza i jego niefrasobliwość, cenił sobie jego życzliwość, ale stosunek komisarza do kobiet wprowadzał go w zakłopotanie. Kobiety były zawsze w zespole Fabla, ale on dobierał sobie współpracowników pod względem ich wartości. Niepokoiło Fabla, jak Scholz lekceważąco traktuje Tansu, która z całą pewnością była zdolną policjantką. Teraz niepokoił go sposób, w jaki Scholz odnosił się do Mili.

Budynek MediaPark na północnym skraju dzielnicy Neustadt był stosunkowo nowym elementem w krajobrazie Kolonii.

– Tę naszą wieżę ukończono dopiero cztery lata temu. Wciąż jeszcze jest tam sporo wolnej przestrzeni do wynajęcia – tłumaczył Scholz, kiedy krążyli po okolicznych uliczkach, szukając miejsca do zaparkowania. Wjechali w końcu na parking podziemny i przeszli piechotą do smukłego gmaszyska ze szkła i stali. Firma InterSpurse Media mieściła się na piątym piętrze.

W siedzibie firmy nie było recepcji, a większość ludzi krążących po otwartej przestrzeni biura lub siedzących przy komputerach miała dwadzieścia, trzydzieści lat. Wszyscy ubrani byli w dresowe bluzy lub T-shirty i dżinsy. Ilekroć Fabel znalazł się w takim otoczeniu, czuł, że pochodzi z zupełnie innej epoki. Choć uważał się za osobę o liberalnych poglądach, często w podobnych sytuacjach stawał się reakcjonistą – luteraninem,

uważającym, że ludzie powinni nosić w pracy staranny strój, że jedynymi mężczyznami, którzy mogą nosić kolczyki w uszach, są piraci, że tatuaże nie dodają kobietom uroku.

– Fajne miejsce – stwierdził Scholz, któremu taki konserwatyzm był najwyraźniej obcy. Podeszła do nich młoda, tęga kobieta. Mimo otyłości miała na sobie džinsy i zbyt krótką, odsłaniającą pól brzucha bluzkę. Jak można się było spodziewać, w jej nosie tkwił kolczyk.

– W czym mogę pomóc? – zapytała tonem, który wskazywał, że jest gotowa zrobić wszystko, byle w niczym nie pomagać. Scholz pokazał swoją legitymację policyjną i dziewczyna spochmurniała jeszcze bardziej.

– Chcemy się widzieć z Davidem Littgerem.

– Musicie panowie poczekać, ma spotkanie.

Scholz uśmiechnął się z politowaniem, jak do dziecka, które powiedziało coś wyjątkowo naiwnego.

– Nie, nie. Widzi pani, my nie możemy czekać. Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa, więc proszę go zawołać albo wejdziemy sami na to spotkanie. Czy to jasne?

Młoda kobieta ruszyła szybkim krokiem, pokazując policjantom swoją krągłą figurę od tyłu.

– Mogła być bardziej skora do współpracy – usprawiedliwił się Scholz. – Bóg jeden wie, co zrobiłby nasz chłoptaş, gdyby zobaczył taką dupę. Miałby zapas steków na pół roku.

Fabel roześmiał się wbrew sobie. Po minucie dziewczyna była z powrotem i z zachmurzoną miną zaprowadziła ich do sali konferencyjnej, szklanego pudła umieszczonego pośrodku sali. Stał tam duży stół, a na nim nieprawdopodobnie cienki monitor i bezprzewodowa klawiatura z myszą. Kiedy Scholz i Fabel weszli do środka, trzy osoby wstały i opuściły szklane akwarium. Scholz zwrócił się do jedyne go pozostałego mężczyzny.

– Pan się nazywa David Littger? – zapytał i usiadł bez zaproszenia przy stole. Fabel pozostał przy drzwiach. Littger skinął głową i podejrzliwie przyglądał się policjantom. Miał trzydzieści lat, krótko ostrzyżone włosy koloru piasku i zarosniętą kilkudniową szczecinę mało wydatną szczękę.

– Komisarz Scholz, a to nadkomisarz Fabel. Przyszliśmy,

żeby porozmawiać o jednej ze stron internetowych znajdujących się na waszym serwerze. Sami ją zresztą zaprojektowaliście.

– Obawiam się, że nie mogę ujawnić tego rodzaju informacji. Naszą firmę obowiązują ściśle zasady zachowania poufności...

– Posłuchaj, złamasie... – Z ust Scholza uśmiech nie zniknął ani na moment, zupełnie jakby prowadził miłą pogawędkę ze starym znajomym. – Nie przyszedłem tu, żeby słuchać twojego pieprzenia o poufności. Chodzi o serię zabójstw, a w kieszeni mam nakaz wystawiony przez prokuratora. Jeśli zmusisz mnie do skorzystania z tego nakazu, zamknę twoje biuro, zgarnę całą dokumentację i będę się w niej grzebał tak długo, aż znajdę potrzebne mi informacje. Ale przecież ani ty, ani ja tego nie chcemy, bo jeśli będę musiał tak postąpić, znalezienie pieprzonego zboka prowadzącego tę stronę potrwa dłużej. Uznam też, że z jakichś powodów starałeś się utrudnić nam pracę. Może masz z tym coś wspólnego. A jeśli tak, to bądź pewien, że przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny będziemy skazani na swoje towarzystwo. Przy czym ja będę u siebie w pracy, a ty nie.

– Jak się nazywa ta strona? – zapytał głucho Littger. Jeśli był poruszony, to nie okazywał tego. Scholz wręczył mu kartkę papieru.

– Nazywają się „Anthropophagi” – wyjaśnił Scholz i zajrzał do notesu. – Jest to, jak piszą, „miejsce spotkań online pojedynczych osób i grup ludzi zainteresowanych wymianą informacji na temat worarefilii i kanibalizmu”. Innymi słowy: Stowarzyszenie Pojebów. A twoja śliczna, nowoczesna firma wstawiła to gównu do sieci i jeszcze projektuje im stronę.

Littger pozostał niewzruszony.

– Przypominam sobie. Umieściliśmy ich na naszym serwerze jakieś pół roku temu. Nie zajmujemy się konserwacją tej strony, daliśmy im tylko ogólny projekt i szablon do jej odświeżania. A jeśli chodzi o treść... nie odpowiadamy za to. My pełniemy tylko funkcję wrót dostępu do sieci. Tego nie reguluje żadne prawo. Internet jest niczym Dziki Zachód. Czysta anarchia. Nie jesteśmy w stanie kontrolować każdej strony, którą umieszczamy na naszych serwerach.

– A jeśli ktoś umieszcza zdjęcia gwałconych dzieci? – zapytał Fabel.

– W tego rodzaju sytuacjach obowiązuje polityka zero tolerancji – odparł Littger. – Jeśli wiemy, że coś takiego się dzieje, natychmiast wyciągamy wtyczkę z gniazdka i dzwoniemy do was. – Westchnął. – Posłuchajcie mnie, panowie, podam wam nazwisko i adres, ale będziecie musieli posłużyć się swoim nakazem. Jeśli tego nie zrobicie, będę miał do czynienia ze wściekłymi klientami. Jestem gotów do współpracy, więc będę wdzięczny, jeśli nie zakłócicie pracy mojej firmy. Przekażę wam informacje, potrzebuję tylko urzędowej podkładki, że musiałem to zrobić.

– Cóż, Herr Littger... to nie jest takie proste, jak się panu zdaje. – Scholz zrobił minę w rodzaju „chciałbym pomóc, ale...”. – Widzi pan, jeśli załatwię to oficjalnymi kanałami, a pan coś chlapnie swoim klientom, albo jeśli prasa się dowie, że pańska firma jest objęta dochodzeniem, to ktoś może nas uprzedzić. Jestem natomiast gotów dać panu słowo, że nikt się nie dowie, iż to pan był źródłem informacji.

– Wie pan co, Herr Scholz? – odezwał się Littger. – Jakoś nie wierzę w to, że ma pan nakaz.

Z twarzy Scholza zniknął uśmiech.

– Chce się pan przekonać?

– Ale nikt się o tym nie dowie?

– Nie, pod warunkiem, że ta „kochanego ciała nigdy dość” albo inny pański pracownik czegoś nie wypapla. Zresztą oni nie muszą wiedzieć, czego dotyczyła nasza rozmowa.

Littger pochylił się nad klawiaturą.

– To jest to. Facet nazywa się Peter Schnaus. A to jego adres. W Buschbell, dzielnicy Frechen.

– Okej – powiedział Fabel. – Chyba złożymy wizytę panu Schnausowi. Mam nadzieję, że możemy liczyć na pańską dyskrecję? Byłbym bardzo niezadowolony, gdyby Herr Schnaus wiedział wcześniej o naszej wizycie. A tak przy okazji, mógłby pan wejść na stronę „Anthropophagi”? Chciałbym zadać panu kilka pytań.

Littger wzruszył ramionami i wystukał na klawiaturze adres

strony.

– Co znaczy „Anthropophagi”? – zapytał, kiedy strona pokazała się na ekranie.

– To z greki – wyjaśnił Scholz. – Oznacza kanibalów. W wierzeniach ludowych odnosi się do ludzi bez głowy, z oczami i ustami na piersi, którzy żywią się ludzkim mięsem.

– Ślicznie...

Fabel sięgnął po myszkę i rozpoczął nawigację po stronie. Była tam galeria zdjęć, forum i sekcja poświęcona reklamom.

– Zobacz, co za gówno – rzucił Scholz.

– Tak – zgodził się Fabel. – Upiorne.

– Hmm... tak... chociaż spodziewałem się jakiegoś zboczonego porno. A to jest po prostu obrzydliwe. Jedyne, co można by na siłę uznać za treść erotyczną, to kiepsko podrobione zdjęcia jakieś laski w bikini połykanej w całości przez rybę.

– Możesz mi wierzyć, że dla tych ludzi to jest jak pornografia. To rodzaj fetyszyzmu zwanego worarefilią. Podniecają się, fantazjując o zjedaniu kogoś albo byciu zjedanym. To zdjęcie, o którym mówisz, jest określane jako *soft vore*. Pokazuje człowieka lub zwierzę zjedane w całości, bez widoku krwi. *Hard vore* mamy do czynienia, kiedy przedstawiane są sceny rozcinania czy rozrywania ciała. Choć trudno w to uwierzyć, niektórych worarefilów podniecają nawet programy przyrodnicze, gdzie lew rozszarpuje i zjada antylopę.

Scholz pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Niech to szlag... Aż trudno uwierzyć, jak ludzie docierają do takich stron, z tak popieprzonymi zapatrywaniami na seks.

– Obawiam się, że internet ich tylko napędza. Tu mogą dzielić się swoimi fantazjami i utwierdzać nawzajem w przekonaniu, że nie są nienormalni. Sadyści, pedofile, gwałciciele, wszyscy robią to samo – tłumaczył Fabel. Littger wzruszył ramionami, jakby mówił „ja nie mam z tym nic wspólnego”. Fabel przeszedł do ogłoszeń. – To jest to, czego szukamy... – Jedno z ogłoszeń przeczytał na głos.

– „Uwielbiam gryźć”... Ładny tytuł, co? „Spragniony miłości oprawca szuka poddańczej ofiary do zabawy w gryzienie. Nie może być otyła, ale musi mieć krągłe pośladki, w których

można zatopić zęby. Tylko poważne oferty od amatek dojrziałych do schrupania. Oferty kierować do: Lovebiter, Box AG1891”. – Fabel zwrócił się do Littgera. – Potrafi pan ustalić, kto to zamieścił?

– Tylko adres IP, a informacja mogła zostać zamieszczona z dowolnego miejsca. Choćby z kafejki internetowej czy jakiegoś hotspota. Nie namierzycie go też po karcie kredytowej. Owszem, musiał zapłacić za umieszczenie ogłoszenia, ale strona nie ma programu do bezpiecznej obsługi transakcji kartą. Ogłoszeniodawcy muszą płacić bezpośrednio właścicielowi strony.

– Więc ten cały Schnaus może wiedzieć, kto umieścił ogłoszenie? – zapytał Scholz.

– Niekoniecznie. Ogłoszeniodawca mógł zapłacić poleceniem przelewu lub nawet przysłać gotówkę. Za to na pewno będzie mógł podać hasło do wirtualnej skrzynki pocztowej, na którą przychodzą odpowiedzi na anons.

– Musimy znaleźć tego „Lovebitera” – stwierdził kategorycznie Scholz. – On żyje w takim samym mrocznym świecie jak nasz morderca. Może nawet ma z nim kontakt.

– Albo sam jest mordercą – powiedział Fabel.

## 5

Kiedy wrócili do komendy, czekała tam na nich Tansu.

– Owocny dzień? – zapytała Fabla. Opowiedział jej, co się wydarzyło, a tymczasem Scholz poszedł do swojego gabinetu sprawdzić pocztę.

– Teraz będzie w podłym nastroju już do końca dnia – powiedziała Tansu. – Komitet organizacyjny wścieka się, bo platforma na paradę wciąż nie jest gotowa. – Fabel zajrzał przez szybę w drzwiach do gabinetu Scholza i uśmiechnął się. Komisarz stał ze słuchawką przy uchu i wolną ręką to nerwowo gładził włosy, to żywiołowo gestykułował.

– Korzystając z okazji, Tansu – odezwał się Fabel – chciałbym prosić o przysługę...

– Oczywiście, panie nadkomisarzu – odpowiedziała, uśmie-

chając się szelmowsko.

To tutaj – powiedziała Tansu. Wcześniej pojechali pod dom Very Reinartz, ale nikogo nie zastali w domu. – Tu pracuje.

Fabel spojrział na kawiarnię. Sprawiała wrażenie przytulnej, zwłaszcza w taką zimową pogodę.

– Jakiego teraz używa nazwiska? – zapytał.

– Sandow... Andrea Sandow.

Weszli do środka. Fabel uśmiechnął się na widok jednej z kelnerek. Faktycznie można ją było uznać za Amazonkę. W pierwszej chwili zastanawiał się, czy kelnerka nie jest w rzeczywistości przebraniem za kobietę mężczyzną. Miała budowę kulturysty z wydatnie rozwiniętą muskulaturą pod opiętym T-shirtem, grubą warstwę makijażu i platynowoblond włosy, których kolor był równie sztuczny jak brąz opalenizny. Fabel nawet zadał sobie pytanie, gdzie ją umieścić w teoriach na temat kobiecego ideału wykładanych przez antropologa Lessinga.

– Przepraszam... – zaczepił kelnerkę. – Szukam Andrei Sandow. Ona jest chyba właścicielką tej kawiarni.

– To ja. – Amazonka wyprostowała się, wypinając pierś i obrzucając Fabela lodowatym spojrzeniem błękitnych oczu. – W czym mogę pomóc?

Fabel zaniemówił. Pamiętał Verę Reinartz z fotografii, ładną, ale niepozorną dziewczynę, która niechętnie pozowała do zdjęć.

– Frau Sandow – wtrąciła się Tansu – czy potwierdza pani, że nazywała się wcześniej Vera Reinartz?

Kobieta zmrużyła oczy.

– O co chodzi?

Fabel rozejrzał się po sali. Przy stolikach siedział mniej więcej tuzin gości.

– Jesteśmy z policji... Czy możemy porozmawiać w jakimś ustronnym miejscu?

– Zastąpisz mnie na chwilę, Britta? – Andrea zwróciła się z powrotem do trójki policjantów. – Możemy porozmawiać w kuchni.

– Jeśli wolno, Frau Sandow, bardzo się pani zmieniła – odezwał się Fabel. Przecisnął się bokiem i ruszył w kierunku kuch-

ni, a za nim podążyli Tansu i Scholz. Andrea Sandow, niegdyś Vera Reinartz, była o dobrą głowę niższa od Fabla, niższa nawet od Tansu, ale to jej fizyczność dominowała w ciasnej kuchni. – Nie poznałbym pani ze zdjęcia.

Andrea prychnęła lekceważąco.

– To nie była jedynie zmiana. To była metamorfoza. Całkowita i nieodwracalna. A teraz proszę powiedzieć, o co chodzi.

– Chcemy z panią porozmawiać o mężczyźnie, który panią napadł – odezwała się Tansu. – Wiemy, że upłynęło już dużo czasu, ale podejrzewamy, że on zaatakował też kolejne kobiety.

– Oczywiście, że tak. – Kolejny pogardliwy uśmieszek. Andrea rozciągnęła szeroko usta, a na jej policzkach pojawiły się głębokie bruzdy. – Wiem, dlaczego chcecie ze mną rozmawiać. Spodziewałam się waszej wizyty. Chodzi o te morderstwa w czasie karnawału, prawda?

– Sądzi pani, że to ten sam mężczyzna? – zapytała Tansu.

– Ja wiem, że to on. Wy też to wiecie. Dlatego tu przyszliście.

– Jeśli jest pani przekonana, że to on, dlaczego nie zgłosiła pani tego na policję? – zapytał Fabel.

– A co by to dało? I tak go nie złapiecie. Nigdy.

– Dlaczego zmieniła pani nazwisko? – zapytał.

Andrea obrzuciła Fabla ostrym spojrzeniem. Męskim.

– A co to pana obchodzi?

– Byłem tylko ciekaw, czy to w wyniku tamtej napaści. A jeśli tak, to dlaczego nie wyjechała pani z Kolonii? Przecież pani stąd nie pochodzi, prawda? Pani rodzice mieszkają we Frankfurcie.

– Chyba nie powiedzieliście im, gdzie mieszkam? – Na twarzy Andrei pojawił się pierwszy zwiastun narastającej złości.

– Nie, nie... – zapewniła ją Tansu. – Nie zrobilibyśmy tego, nie moglibyśmy zrobić, bez pani zgody. – Tansu rzuciła spojrzenie Fablowi. Zrozumiał. Z jakichś powodów między nim a Andrea istniała atmosfera wrogości. Wzajemnej niechęci. Potrafił zrozumieć jej niechęć do policji wtrącającej się do jej nowego życia, za to nie mógł zrozumieć własnej niechęci wobec niej.

– Kiedy zaczęła pani uprawiać kulturystykę? – zapytał.



– Niedługo po napaści. Chodziłam na fizjoterapię. Musiałam odzyskać siły, a ćwiczenia polegały między innymi na podnoszeniu ciężarów. I wtedy wpadł mi do głowy pomysł, żeby dokonać całkowitej przemiany. Stworzyć siebie od nowa.

– Przecież z panią było wszystko w porządku – odezwała się Tansu. – Pani była ofiarą. Czy pani wini siebie za to, co się stało?

– Nie – odparła aroganckim tonem Andrea. – Wiem, że winić trzeba tylko tego bydlaka. Ale śliczna mała Vera Reinartz była zbyt miękka i słaba, zbyt uległa. Za bardzo się bała. Może dlatego wybrał właśnie ją. Bo wydawała się idealną ofiarą.

– A pani wykształcenie medyczne? – zapytała Tansu. – Czytałam, że zapowiadała się pani na znakomitego lekarza. Mogła się pani realizować w ten sposób.

– Są inne sposoby samorealizacji – odrzekła Andrea. – Wszystko, o czym mówicie, to już przeszłość. Przeszłość, która należała do Very Reinartz. Ja realizuję się w inny sposób. Na poważnie zaczęłam uprawiać kulturystykę w dwutysięcznym roku. I jestem teraz prawdziwym ekspertem. Nie w samym sporcie czy technice, ale także w historii. I w filozofii, jaka towarzyszy kulturystyce. Wiecie, że ojcem współczesnej kulturystyki był Niemiec? Nazywał się Eugen Sandow. Zaczynał jako siłacz w cyrku, a skończył ustanowieniem standardów w kulturystyce. Zorganizował pierwsze zawody kulturystyczne i sędziował podczas nich. Jego kolegą z ław sędziowskich był Arthur Conan Doyle, brytyjski pisarz, który stworzył postać Sherlocka Holmesa.

– Sandow... – powtórzył Fabel. – Pani przyjęła to nazwisko... Dlaczego?

– Musiałam stać się kimś innym. Dlatego zostałam kulturystką, Herr Fabel. Już mówiłam, całkowita metamorfoza. A nowe ciało potrzebowało nowego nazwiska.

Andrea oparła się o kuchenny blat i odchyliła do tyłu. Na ramionach napięły się niebieskie żyły. Fabel zauważył spazmatyczny skurcz bicepsów, zupełnie jakby żyły własnym życiem. Andrea uchwyciła jego spojrzenie.

– Wydaję się panu odrażająca? – zapytała. – Kształt mojego

ciała budzi w panu obrzydzenie? Tak jest z większością mężczyzn. Ale pozostali... Nie ma pan pojęcia, jacy są ci pozostali. Przychodzą na zawody. Przychodzą popatrzeć na mnie i inne dziewczyny. Wie pan, że napięcie mięśniowe znika dopiero godzinę po zakończonym treningu? Przed samymi zawodami intensywnie ćwiczymy. Nie dla próby, tylko po to by utrzymać mięśnie w napięciu, kiedy wyjdziemy na scenę. – Pochyliła się teraz w przód i szepnęła konspiracyjnie: – Wie pan, że niektórzy nasi fani przychodzą za kulisy przed zawodami i po nich? Malutcy faceci, którzy pytają, czy mogą nas dotknąć. Naszych brzuchów. Naszych ud. Naszych ramion. Chcą poczuć nasze mięśnie, to, jak są naprężone. I nie robią tego z miłości do sportu. Otaczają nas czcią. Co nie przeszkadza im czuć lekką sztywność w spodniach. Jak pan widzi, są gusta i guściki. A pan, Herr Fabel, w czym gustuje?

– Powiedziała pani, że karnawałowy morderca to ten sam człowiek, który panią zaatakował. – Fabel patrzył Andrei prosto w oczy. – Skąd ta pewność? Czy pamięta pani z tamtej nocy coś, co nie znalazło się w pani zeznaniach?

Andrea roześmiała się z goryczą.

– Wie pan, Herr Fabel, że mimo upływu lat ten klaun do tej pory mnie prześladowuje?

– To naturalne – zauważyła Tansu. – Po takim doświadczeniu stres pourazowy utrzymuje się bardzo długo.

– Nie... Ja nie o tym mówię. Z tym sobie poradziłam. – Wyprostowała się i napięła mięśnie. – Stworzyłam to, żeby zapomnieć. To nie był tylko gwałt. Ten bydlak pobił mnie tak mocno, że o mało nie umarłam. A właściwie na swój sposób umarłam. Umarła Vera, a ja przeżyłam. Napastnik zostawił okaleczone ciało, a ja je doprowadziłam do użytku. Nie śni mi się po nocach klaun. Nie mam napadów panicznego strachu. Chętnie spotkałabym go jeszcze raz... i połamałabym mu wszystkie kości. Mówiąc, że ten chory bydlak mnie prześladowuje, miałam na myśli, że do mnie pisze.

– Co takiego? – Fabel wymienił spojrzenia z pozostałymi. – Jak to? Przysyła maile?

– Nie. Listy. Przychodzą do mnie co kilka miesięcy.

– Zaraz, zaraz – wtrącił się Scholz. – Chce pani powiedzieć, że on pisze do pani listy i wysyła je zwykłą pocztą?

– To chyba normalna droga, jaką wędruje list – odpowiedziała Andrea.

– W takim razie mamy dowód. Jest szansa, że uda się go namierzyć. – Fabel nie potrafił ukryć irytacji. – Dlaczego, do diabła, nie skontaktowała się pani z policją?

Andrea wzruszyła ramionami.

– Kiedy przyszedł pierwszy list, tuż po napaści, byłam przeżona. Ale wtedy byłam jeszcze Verą. Słabą, nieśmiałą, uległą. Zbyt wystraszoną, by cokolwiek zrobić. Potem postanowiłam zmienić nazwisko i wszystko zaczęło mi się układać. I wtedy przyszedł kolejny list. Mimo że zmieniłam nazwisko i adres. Listy nie przychodzą często, od czasu do czasu.

– Zachowała je pani? – zapytał Scholz.

Andrea pokręciła przecząco głową.

– Palę je teraz bez czytania. A te, które wcześniej czytałam, były wszystkie takie same. Bredzenie wariata. Że bardzo chciałby zrobić to jeszcze raz, że czeka na właściwy moment.

– Nie czuła się pani zaniepokojona? – zapytała z niedowierzaniem Tansu.

– Nie. On nie może mnie już wystraszyć. Może go kiedyś spotkam, ale wtedy to on powinien się bać.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć, co dokładnie było w tych listach – rzekł Fabel. – Chciałbym, żeby zapisała pani wszystko, co pamięta. Proszę zrobić to dziś wieczorem, jutro przyślemy kogoś, kto odbierze pani notatki. Chodzi głównie o informacje, które pomogą go zidentyfikować.

– A nazwisko nie wystarczy?

Minęła długa chwila, nim Fabel zdał sobie sprawę, że Andrea mówi poważnie.

– On się podpisał pod listem?

– Pod wszystkimi. Podpisał się Peter Stumpf.

Fabel usłyszał jęk Scholza.

– Czy to nazwisko coś pani mówi? – zapytał Fabel.

– Nic.

– Za to tobie, jak widzę, tak – zwrócił się do Scholza.

– Oczywiście. Ale porozmawiamy o tym później.

W drodze powrotnej do samochodu uwagę Scholza przykuła jakaś osoba po drugiej stronie ulicy.

– Cześć, Ansgar! – zawołał Scholz. Fabel i Tansu przebiegli za nim na przeciwny chodnik.

– Pamiętasz restaurację, do której cię zaprowadziłem, Speisekammer? – zwrócił się do Fabla Scholz. – To jest Ansgar Hoefler, szef kuchni. Najlepszy szef kuchni w Kolonii, jeśli chcesz znać moje zdanie. To mówi chyba wszystko. Jak się miewasz, Ansgar?

– Ja, dobrze... A ty? – odpowiedział Ansgar. Był potężnym mężczyzną z wysoko sklepionym czołem. Rzadkie włosy miał przystrzyżone na krótko. Zza szkieł okularów patrzyły na nich wielkie, smętne oczy. Ale Fabla najbardziej uderzyło to, że mężczyzna wydawał się wyraźnie zakłopotany.

– Doskonale – odpowiedział Scholz. – Co robisz w tej części miasta?

Ansgar stracił na chwilę rezon.

– Ach, miałem tu do załatwienia kilka spraw. Jak wam smakowała kolacja w Speisekammer? – To pytanie Ansgar skierował wyraźnie do Fabla.

– Och, przepraszam, powinienem was sobie przedstawić... – zreflektował się Scholz. – Ansgar, to jest nadkomisarz Fabel z policji w Hamburgu. Przyjechał tu na... szkolenie.

Fabel i Ansgar uścisnęli sobie dłonie.

– Posiłek był znakomity – odpowiedział Fabel. – Obaj jedliśmy potrawkę jagnięcą.

Po krótkiej wymianie grzeczności rozstali się. Ansgar różnym krokiem ruszył w stronę centrum miasta.

– Znakomity kucharz – stwierdził Scholz, kiedy dotarli do samochodu.

– Mhmm... – mruknął Fabel, oglądając się za Ansgarem. Założył, że Tansu zrobiła to samo.

W samochodzie Scholz nie od razu przekręcił kluczyk w stacyjce.

– To więcej niż cudaczne – powiedział. – Ta kobieta wygląda jak kiepska drag queen. O co tu chodzi?

– Po tym, co przeszła, każdy mógłby zwariować – odparła Tansu. – Moim zdaniem ona odrzuca swoją kobiecość. Bez względu na to, co mówi, obwinia się za tamto wydarzenie.

– Nie – wtrącił się Fabel. – Za to, co zaszło, obwinia Verę Reinartz. Dla niej Vera jest obcą osobą. Zauważyliście, jak często mówi o sobie z przeszłości w trzeciej osobie?

– Mnie najbardziej interesuje podpis pod tymi listami – powiedział Scholz. – Peter Stumpf. Jestem przekonany, że Andreę zaatakował ten sam człowiek, który popełnił morderstwa. Miałaś absolutną rację, Janie.

– Właściwie to Tansu wpadła na to pierwsza.

– I jeszcze ta liryczna nuta – ciągnął Scholz, nie zwracając uwagi na sprostowanie Fabela. – Lokalne odniesienie. Na zachód od Kolonii leży miasto Bedburg. Peter Stumpf był jego najslawniejszym mieszkańcem. A właściwie należałoby powiedzieć, najbardziej niesławnym. Żył w szesnastym wieku. Nazywano go Bestią z Bedburga. Był jednym z pierwszych seryjnych morderców odnotowanych w Niemczech. Wykonano też na nim najbardziej przerażającą egzekucję.

– Człowiek, który zgwałcił i pobił Andreę, uważa się za Petera Stumpfa. Dlaczego sądzisz, że to on jest naszym kanibalem?

– Ponieważ był nim prawdziwy Peter Stumpf. Podejrzewano, że zjadł dziesiątki swoich ofiar. Twierdził, że zaprzedał duszę diabłu za zdolność do przemieniania się w wilkołaka. Tłumaczył, że gwałcił swoje ofiary w ludzkiej postaci, a potem przestaczał się w wilka i zjadał je. Być może nasz morderca wierzy, że z gwałciela przeobraził się w kanibala.

– To trochę naciągane, ale zgadzam się z jednym: może twierdzić, że ulega jakiejś transformacji. Może chodzi o przebranie klauna. Najważniejsze, że mamy jego DNA pobrane po napaści na Verę... Andreę. Wspomniałaś o egzekucji Stumpfa. Czy to może mieć jakieś znaczenie?

Scholz uśmiechnął się ponuro.

– Opowiadał nam o tym na lekcji religii ksiądz. Horror, który miał uatrakcyjnić naukę katechizmu. Peter Stumpf był bogatym chłopem. Dobrowolnie, bez tortur przyznał się, że od dzieciństwa zajmował się nekromancją i czarną magią. Twierdził,

że kilkakrotnie odwiedzał go szatan, który w zamian za duszę dał mu magiczny pas zapewniający nadludzką siłę. Ceną, jaką Stumpf musiał zapłacić za ten pas, nie była jednak tylko dusza. Ten pas zmieniał go w wilka. Stumpf wyznał, że rozszarpywał i zjadał ciała ofiar: mężczyzn, kobiet i dzieci. Szczególnie upodobał sobie ciężarne kobiety. Miał dwa dania za jednym razem. Po rozprawie przywiązano go do koła i tępym końcem topora połamano ręce, nogi i żebra. Wierzono wtedy, że jako wilkołak może powstać z grobu. Połamanie kończyn miało temu zapobiec. Potem rozgrzany do czerwoności obcęgami wrywano mu kawałki ciała. W końcu odcięto mu głowę, a ciało spalono. To się dopiero nazywa uśmiercenie.

– Niestety, nie poskutkowało – zauważył ponuro Fabel. – Wygląda na to, że Peter Stumpf jednak ożył.

## 6

Fabel odniósł wrażenie, że Scholz pozwolił pojechać Tansu do mieszkania Petera Schnausa tylko dlatego, że nie było im po drodze do komendy, gdzie mogliby policjantkę zostawić. Scholz zadzwonił i upewniwszy się, że Schnaus będzie w domu, ruszył Aachenerstraße. Buschbell znajduje się w północnej części Frechen, tłumaczył, więc lepiej ominąć centrum miasta.

– Co za zbieg okoliczności – zauważył. – Tędy można też dojechać do Bedburga, rodzinnego miasta Petera Stumpfa.

Buschbell i Frechen leżały zaledwie dziewięć kilometrów od centrum Kolonii, więc krajobraz za oknem właściwie się nie zmienił. Cały czas miał miejski charakter. Jedyne różnica polegała na tym, że w Buschbell było nieco więcej otwartej przestrzeni, a ulice obsadzono drzewami.

– Jaki głos miał Schnaus przez telefon? – zapytał Fabel.

– Winowajcy – odparł Scholz. – Czy jest winny, tego jeszcze nie wiem, ale był wyraźnie zmieszany, kiedy usłyszał, że jedzie do niego policja.

Zatrzymali się przed zdecydowanie luksusowym domem z ogromnym ogrodem. Był to dom typowy dla przedstawiciela wyższej klasy średniej. Może nie rezydencja milionera, ale do-

statecznie okazały, by wskazywać na okazałą sumę na koncie. Całości dopełniał stojący na podjeździe obowiązkowy mercedes E500.

Kiedy podchodzili do drzwi, widać było, że Scholz jest myślami gdzieś daleko.

– Nie podoba mi się wasz pomysł... – wydusił z siebie w końcu. – To zbyt niebezpieczne.

– To był mój pomysł – odparł Fabel. – To ja poprosiłem Tansu, żeby...

– Nie podoba mi się to – przerwał mu Scholz – ale zgoda. Jednak mam kilka warunków. Porozmawiamy o tym, jak skończymy tutaj.

Drzwi otworzy się, nim zdążyli zapukać. Na ganek wyszedł mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna i przymknął drzwi. Miał blisko dwa metry wzrostu, atletyczną budowę i zdecydowanie miłą aparycję. Idealnie pasował do opisu pogryzionej prostytutki Mili.

– Komisarz Scholz? – zwrócił się do Fabla.

– To ja – odezwał się Scholz. – Herr Schnaus?

– Tak. O co chodzi? Żona i dzieci są w domu, więc...

– Chodzi o pańską stronę internetową – wyjaśnił Fabel.

– Och... – Schnaus wyglądał na zawiedzionego. – Tak przypuszczałem. Posłuchajcie panowie, żonie mówiłem, że to ma związek z moją pracą.

– A czym się pan zajmuje? – zapytał Fabel.

– Oprogramowaniem komputerowym.

Fabel spojrzął na stojący na podjeździe samochód, potem na dom i zaczął się na nowo zastanawiać, czy podjął właściwą decyzję na temat swojej przyszłości.

– Dobrze, nie wydamy pana. Na razie. Znajdzie się jakieś ustronne miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

– Mój gabinet... – Schnaus wpuścił ich do domu. Gabinet był przestronny, jasny i nowoczesny. Stało w nim wielkie biurko, a na nim dwa drogie komputery.

– Prowadzi pan swoją stronę stąd? – zapytał Fabel.

– To właściwie jest rodzaj hobby... Nie robię tego dla pieniędzy...

– Tylko dla przyjemności – parsknął Scholz. Schnaus poczerwieniał na twarzy.

– Mogę to wszystko wyjaśnić. To coś... – Urwał w pół zdania.

– A o co właściwie chodzi?

– Na początek proszę powiedzieć, gdzie pan był w piątek dwudziestego stycznia wieczorem.

Schnaus zastukał palcami w klawiaturę komputera.

– Byłem na konferencji we Frankfurcie.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Jakaś setka ludzi. Miałem wystąpienie na temat wprowadzanego właśnie na rynek produktu.

– Nocował pan tam?

– Tak. Ogółem spędziłem tam trzy dni.

– Co to za nowy produkt? – zapytał Fabel. – Chodzi mi o to, jakiego rodzaju oprogramowanie pan sprzedaje?

– Jesteśmy dystrybutorem gier komputerowych. Poza tym handlujemy interaktywnymi programami edukacyjnymi.

– Słyszał pan kiedyś o Melissie Schenker? Tworzyła gry komputerowe.

– Nie... – Jeśli Schnaus kłamał, robił to bardzo umiejętnie. – Raczej nie.

– A o grze „Lordowie zamętu”?

– O, tak... Nie tylko słyszałem. Zajmujemy się dystrybucją tej gry.

– Jej autorką jest Melissa Schenker – powiedział Fabel.

– Naprawdę? Nie wiedziałem. Ja się akurat tym nie zajmuję. A poza tym nie znam wszystkich twórców gier.

Zapadła cisza.

– Dlaczego pan to robi, Herr Schnaus? – zapytał Fabel. – Ma pan dobrą pracę, rodzinę. Dlaczego czuje pan potrzebę prowadzenia takiej strony?

– W każdym z nas tkwi jakiś element chaosu. W niektórych więcej niż w innych. Mam dobrze poukładane życie. Jestem dobrym mężem i ojcem, a moja żona nie wie o... tej dziwnej stronie mojej natury. Gdybym chciał trzymać ten chaos szczelnie zamknięty, mógłby eksplodować. I zniszczyć cały porządek i stabilizację, jaką zdołałem osiągnąć. Dlatego prowadzę nie-



groźną, niepornograficzną stroną na temat worarefilii i kanibalizmu.

Fabel pomyślał o innym zwyczajnym biznesmenie z ustabilizowanym i uporządkowanym życiem, który próbował trzymać chaos szczelnie zamknięty. Do czasu, kiedy w obecności Fabela strzelił sobie w głowę.

– Skąd ten idiotyczny pomysł, że kanibalizm, a szczególnie kanibalizm o podłożu seksualnym, jest czymś niegroźnym? – nie wytrzymał Fabel.

– Nie sądziłem... – wykrztusił Schnaus.

– Powiem panu, dlaczego tu jesteśmy – odezwał się Scholz. – Mamy świra, który ugania się za kobietami i odgryza im kawałki ciała. Być może kilka kobiet zamordował. To nie wygląda, przyjacielu, na niewinną zabawę. Obejrzałem pańską stronę internetową. Wcale się nie dziwię, że stara się pan trzymać żonę z daleka od tych brudów. Podejrzewam, że nigdy więcej by jej pan nie zobaczył, gdyby dowiedziała się o pańskim niewinnym hobby. Jestem teraz gotów zdobyć nakaz i przewrócić ten dom do góry nogami. Nieważne, że to pański dom, ale to tutaj prowadzi pan tę swoją stronę, więc mam pełne prawo tak postąpić. Zapewniam pana, że do jutrzejszego rana zaroi się tu od techników kryminalistycznych, policjantów, a także, jeśli ktoś okaże się niedyskretny, od przedstawicieli prasy.

Schnaus sprawiał wrażenie, jakby miał za chwilę paść trupem.

– Nie, proszę, nie... Zrobię wszystko, co chcecie. Przekażę wszystkie informacje, jakich zażądacie. I obiecuję, zamknę tę stronę. Powiedzcie tylko, czego oczekujecie... Nie chcę, żeby dowiedziała się żona i dzieci.

– Cóż, Herr Schnaus – powiedział Fabel – chcemy, żeby pan nie zamykał tej strony. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### 13–14 lutego

#### 1

Maria przetoczyła się na bok i jej ciałem zaczęły wstrząsać mimowolne odruchy wymiotne. Podniosła się na kolana, oparła łokciami o ziemię, pochyliła nisko głowę i poddała się im. Na skórze czuła brud; uświadomiła sobie, że jest naga. Poczowała zalewającą ją falę przejmującego zimna. Druga fala była jeszcze gorsza – ogarnął ją przeraźliwy strach. Witrenko. Nie mogła w to uwierzyć: Buslenko był fikcją. Taras Buslenko był Wasylem Witrenką. Miała rację co do oczu. Tego jednego nie mógł zmienić. Udało mu się ją zwieść historią o tajnej misji na zlecenie ukraińskiego rządu. Zgadzało się jeszcze jedno – Witrenko lubił zabijać osobiście. A wcześniej mieszać w głowach przyszłym ofiarom. Przez cały czas się nią bawił. I oto nadszedł koniec rozgrywki.

Próbowała zgadnąć, jak długo była nieprzytomna. Drżąc z zimna, obejrzała swoje ramię i znalazła kilka śladów po igle. Musieli ją tu przetrzymywać kilka godzin, może dni, a może nawet tygodni. Z wysiłkiem usiadła, przyciągnęła kolana do brody i objęła je ramionami. Spazmy, jakie wstrząsały jej ciałem, to było coś więcej niż drżenie. To były przejmujące skurcze wszystkich mięśni. Na całym ciele miała gęsią skórę. Jej skóra nie była już biała, zaczęła przypominać oszronione szkło o kobaltowym odcieniu. Więc to prawda, pomyślała z goryczą, że z zimna rzeczywiście można zupełnie zsinieć. Rozejrzała się po swojej celi. Nawet światło było tu zimne – goła jarzeniówka świeciła sterylnym, ponurym blaskiem. Nie było żadnego okna. Nie dochodził żaden dźwięk. Na zewnątrz mógł być równie dobrze dzień jak i noc. Jej oprawcom udało się osiągnąć pierwszy, najważniejszy etap tortur – kompletną dezorientację ofiary.

Zamknęli Marię w chłodni i włączyli agregat. W chłodni, która, jak mówił Buslenko... nie, nie Buslenko tylko Witrenko, była od dawna nieczynna. Czy już wtedy planował, że ją tu zabije? Rozejrzała się w poszukiwaniu choćby skrawka jakiegoś materiału, którym mogłaby się okryć, odwlec moment śmierci, spowolniając utratę ciepła przez organizm. Nie znalazła. Skuliła się jeszcze bardziej. Przecież to nie w stylu Witrenki. Śmierć w chłodni byłaby zbyt łatwa. Owszem, czuła dojmujące zimno, ale przecież wiedziała, jak wygląda hipotermia. Wkrótce przestanie odczuwać dreszcze, na przekór wszystkiemu zacznie się jej robić ciepło, pod wpływem uwalnianej przez mózg endorfiny pojawi się łagodna, senna euforia. W pewnym momencie zapadnie w spokojny sen, z którego już nigdy się nie obudzi.

Nie, to nie pasowało do Witrenki. Za mało w tym wszystkim bólu. Za mało okrucieństwa, za mało przerażenia.

Odpowiedź pojawiła się po jakimś czasie. Rozległ się metaliczny szczeł i drzwi chłodni się otworzyły. Stał w nich Witrenko: nowa twarz i tylko te dawne, zimne oczy. Obok pojawiła się z pistoletem w dłoni Olga Sarapenko. Oboje mieli na sobie płaszcze. Witrenko wpatrywał się w Marię beznamiętnie.

– Jesteś w stanie zrozumieć, co mam ci do powiedzenia?

Maria skinęła głową, choć gest ten był ledwie zauważalny przez konwulsyjne drgawki. Witrenko podszedł i postawił ją na nogi. Starła się zasłonić swoją nagość, ale wtedy wymierzył jej siarczasty policzek. I jeszcze jeden. I jeszcze. Maria poczuła w ustach smak krwi i przeraziło ją, że jest tak zimna. Witrenko ją pchnął, upadła na brudną i zimną podłogę. Otarcia na skórze zapiekły przyjemnym ciepłem.

– Jesteś w stanie zrozumieć, co mam ci do powiedzenia? – powtórzył.

– Tak. – Maria słyszała w swoim głosie drżenie. Chciała mu powiedzieć, że to z zimna, a nie ze strachu przed nim.

– Żyjesz, bo jeszcze mi się przydasz. Kiedy przestaniesz być użyteczna, zabiję cię. Rozumiesz?

Maria ponownie skinęła głową. Ciężki but wylądował na jej zębach.

– Rozumiesz?

– Tak! – krzyknęła wyzywającym tonem. Poczula w środku jakieś chrupnięcie, ale nie zważała na to. – Tak, rozumiem.

– Jesteś żalosna... – powiedział Witrenko. – Wydaje ci się, że skoro ja potrafiłem zmienić twoje życie, to ty możesz zrobić to samo z moim. Jesteś nikiem. Myślisz, że jesteś coś warta, ale to nieprawda. Weszłaś mi w drogę i zaczęłaś się naprzykrzać. A przecież wiesz, że z takimi utrapieńcami potrafię sobie radzić, prawda?

– Tak – odpowiedziała głucho Maria.

– Masz teraz do spełnienia dwa zadania. Po pierwsze, będziesz kluczem do informacji na temat kreta w mojej organizacji i wszystkiego, co zebrała na mój temat Federalna Policja Kryminalna.

– Nie mam dostępu do takich informacji... – zaprotestowała Maria.

– Nie powiedziałem, że je zdobędziesz czy dasz nam do nich bezpośredni dostęp. Powiedziałem, że dasz nam narzędzia do zdobycia takich informacji. Twoje drugie zadanie będzie, cóż... ostatnie i ostateczne. Chcę, żebyś po tym, jak z tobą skończę, stała się przykładem dla innych. Zabijając cię, pokażę wszystkim, jak kończy się próba działania przeciwko mnie. Co ty właściwie chciałaś osiągnąć? – Witrenko spojrział na Marię takim wzrokiem, jakby nie mógł pojąć jej głupoty. – Pozwoliłem ci żyć. Tamtej nocy, na polu, kiedy próbowałaś mnie zatrzymać. Myślałaś, że nóż przypadkowo ominął serce? Wiesz, ile serc już w życiu przebiłem? Rozkroiłem jak jabłko?

Maria z trudem wstała. Starła się nie myśleć, jak wygląda jej zsiniałe z zimna ciało.

– Dlaczego z tym po prostu nie skończysz?! – zawołała wyzywająco. – Dlaczego mnie nie zabijesz?

Witrenko wymierzył jej kolejny policzek. Zakręciło się jej w głowie, zachwiała się pod wpływem silnego uderzenia. Po skroni i policzku popłynęła strużka krwi.

– Nie słuchałaś uważnie co mówiłem? Chcę mieć dostęp do „dossier Witrenki”, stworzonego przez BKA.

– Po co? Nie jest ci potrzebne. Sama mogę ci powiedzieć o tobie wszystko. Wydaje ci się, że jesteś jakimś Czyngis-chanem

czy Aleksandrem Macedońskim. Wiesz, co o tobie napisali w tych aktach? Że jesteś zwykłym świrem, niczym więcej. Byłem oficerem z kompleksem Napoleona. Nie jesteś żołnierzem, Witrenko. Jesteś pospolitym bandziorem. – Maria była zadowolona, że jej głos nie zdradził, jak bardzo się bała.

Witrenko uśmiechnął się.

– Dziękuję za to spostrzeżenie, Frau Klee, ale bardziej interesują mnie informacje zebrane przez służby na temat działalności mojej organizacji. Muszę zdobyć to dossier. Nie to, które zabrałem Buslence. Chodzi mi o pełną niemiecką wersję.

– Powiedz mi jedno. Skoro jesteś takim znakomitym gangsterem, dlaczego pozwoliłeś, żebym zabiła twojego współnika?

– Mołokowa? – Witrenko był szczerze ubawiony. – Ja nie pozwoliłem ci go zabić... Ja cię do tego nakłoniłem. A zrobiłem to dlatego, że Mołokow moim zdaniem zaczął się dogadywać z niemieckimi władzami. Zamierzał oddać mnie w ich ręce. Nie mam pewności, ale to chyba on przekazywał informacje. Był ambitny i podstępny. Musiałem się go pozbyć i prawdę mówiąc, cieszę się, że zrobiłem to twoimi rękami. Wy tłumacz mi tylko jedno. Tam, w warsztacie, byłaś gotowa zginąć... Nie wiem tylko, czy z chęci ocalenia mnie jako Buslenki, czy zabicia mnie jako Witrenki?

– Sam się domyśl.

– A jak ci się podobało miejsce? – Na jego twarzy pojawił się zimny, pełen okrucieństwa uśmiešek. – Mam na myśli to pole, budynek... Zaaranżowałem spotkanie z Mołokowem właśnie tam, bo wiedziałem, że ci się spodoba. Chyba naprawdę namieślałem ci porządnie w głowie wtedy na północy Niemiec, co Mario? Wiem o twoim stukniętym przyjacielu, o tym, że jesteś na zwolnieniu, o terapii u doktora Minksa. Akurat ty nie masz prawa nikogo nazywać „świrem”. No, a teraz zajmijmy się kodami dostępu i hasłami do systemu BKA.

– To cię nigdzie nie zaprowadzi – powiedziała Maria.

– Och, nie martw się, wiemy, że jesteś małą, bardzo małą płótką. Za małą, żeby mieć dostęp do dossier. Kody są mi potrzebne w innym celu. A teraz słucham, znasz je na pamięć czy masz gdzieś zapisane?

– Zamknij drzwi, jak będziesz wychodził – powiedziała Maria, nie mogąc już opanować drżenia całego ciała. – Straszny tu przeciąg.

– Och nie, nie pozwolę ci tu zamarznąć na śmierć, Mario. – Witrenko dał znak Oldze, która oddała mu pistolet i wyszła z chłodni. Po chwili wróciła z dużym wiadrem. Maria zdążyła tylko zauważyć, że zawartość kubła paruje, a zaraz potem krzyknęła z bólu, kiedy gorąca woda poparzyła jej nagą skórę. Czowała, że płonie jej twarz, ramiona i piersi. Skręcała się na podłodze z bólu. Pałący żar zdawał się trwać całą wieczność. W końcu oderwała dłonie od twarzy, żeby ocenić obrażenia. Spojrzała na ręce i nogi, spodziewając się zobaczyć pęcherze i purpurową skórę. Nic takiego się nie stało. W miejscach, gdzie dosięgła ją woda, skóra była tylko zaróżowiona, choć nadal odczuwała ból. Witrenko dał Marii chwilę na ochłonięcie.

– To taka sztuczka, której mnie kiedyś nauczono – wyjaśnił. – Woda była letnia. Nie może zrobić ofierze krzywdy, ale ponieważ byłaś porządnie zziębnięta, miałaś wrażenie jakbym cię polał kwasem. – Sarapenko przyniosła drugie wiadro i wylała jego zawartość na Marię. Tym razem ból był mniej dokuczliwy i pojawił się tylko w tych miejscach, których nie dosięgła woda za pierwszym razem. Teraz ciepło zaczynało być przyjemne. – Widzisz? – powiedział. – Już się przyzwyczaiłaś. – Sarapenko wróciła z trzecim wiadrem i oddała je Witrence.

– Widzisz, centralny układ nerwowy łatwo jest oszukać: trudno mu odróżnić ekstremalne ciepło od ekstremalnego zimna. – Wylał na nią wodę z trzeciego wiadra.

Tym razem nastąpiła istna eksplozja bólu. Z gardła Marii dobył się zwierzęcy krzyk. Wszystkie zakończenia nerwowe w jej skórze zareagowały tak, jakby zostały porażone prądem. Teraz już na pewno umrę, pomyślała.

Oliver wiedział, że nie powinien tego robić. To było zbyt ryzykowne, ale ryzyko tylko zaostrzało jego apetyt. A jeśli się dobrze zastanowić, może to wcale nie było bardziej ryzykowne niż

działanie za pośrednictwem agencji towarzyskiej. Po ostatnim wydarzeniu istniało niebezpieczeństwo, że pojawią się jakieś domysły. Że następnym razem może na niego czekać policja. Tak było łatwiej. Poza tym, w przeciwieństwie do spotkań z prostytutkami, miał szansę dzięki swojemu ogłoszeniu spotkać kogoś o władniętego taką samą pasją, kogoś, kto chciałby, żeby robił to, co robi.

Inny bar, inny, równie modny wystrój, to samo niecierpliwe oczekiwanie na jej przyjście. Jej odpowiedź na anons była idealna. Tylko ona jedna, Suzi22, spełniła swoją odpowiedź oczekiwania Olivera. Nie miał wątpliwości, że napisała szczerze, a załączone zdjęcie też sprawiało wrażenie autentycznego. Kiepskiej jakości, zrobione na plaży, przedstawiało ją w stroju bikini, choć twarz została celowo zasłonięta. Miała pełną figurę, nie tak krągłą na biodrach jak lubił, ale zdjęcie zostało zrobione en face, nie mógł więc ocenić pełni jej pośladków. Najważniejsze było jednak to, że dziewczyna w bardzo elokwentny sposób wyraziła swoje oczekiwania.

– Hans? – Oliver się odwrócił. Nie była zbyt wysoka i nie tak puszysta, jak sugerowała fotografia. Była za to na pewno seksowna i miała sporych rozmiarów pośladki. Wystarczająco duże, by zatopić w nich zęby.

– Tak... Suzi?

– To ja. A właściwie niezupełnie, tak jak ty pewnie nie masz na imię Hans. Jeśli jednak wieczór upłynie nam w miłej atmosferze, może poznasz moje prawdziwe imię.

Oliver uśmiechnął się. Na dodatek była bystra. I wiedziała, czego chce. Miał tylko nadzieję, że wiedziała też, czego on oczekuje.

Suzi odrzuciła propozycję zjedzenia kolacji.

– Znajdźmy jakieś bardziej ustronne miejsce – powiedziała z szelmowskim uśmiechem. – Myślę, że oboje mamy apetyt, którego spaghetti nie jest w stanie zaspokoić.

Oliver poczuł, że serce zaczyna mu bić mocniej, a w pachwinach pojawiło się mrowienie.

– Chodźmy do mojego pokoju hotelowego.

– Nie – odpowiedziała. – Nie do twojego hotelu. Pójdziemy do mnie. Będę się czuła bezpieczniej i nie będziemy się musieli przejmować... hałasami.

Oliver się zawahał. Nie spodobała mu się myśl o nieznanym mu miejscu. Hotel wybrał bardzo starannie. Poza tym musiał zachować ostrożność. Wiedział, że może w pewnym momencie stracić nad sobą panowanie, a w takim wypadku musiał znać drogę ucieczki.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Wydawało mi się, że pokój hotelowy będzie takim neutralnym gruntem.

– Posłuchaj, Hans – powiedziała Suzi, tym razem z determinacją w głosie. – Oboje wiemy, czego chcemy. Jesteśmy inni niż cała reszta. Mamy inne potrzeby. Ale chcę mieć wszystkie swoje rzeczy w zasięgu ręki. Na potem. Wiesz, infekcja i tym podobne. Uwierz mi, Hans, to może być początek wspaniałej przyjaźni. To jak, idziesz czy nie?

Oliver wpatrywał się w nią przez chwilę, aż wreszcie odrzekł zdecydowanie:

– Okej. Chodźmy...

### 3

Ostatnie wiadro było wypełnione lodowatą wodą. Szok w zeknięciu z nią sprawił, że Marii aż zabrakło tchu, a nawet na kilka sekund straciła przytomność. Kiedy doszła do siebie, serce waliło jej jak młotem, a w lewym ramieniu i piersiach czuła kłujący ból. Słyszała, że wskakując do lodowatej wody po zbyt długim przebywaniu w saunie, można dostać zawału serca. Doświadczyla teraz tego samego, tylko stokroć silniej. Ból zelżał, ale zdawała sobie sprawę, że jej serce nie wytrzyma dłużej takich szoków termicznych. Wiedziała też, że jej ciało znów utraciło sporo ciepła. Coraz trudniej jej było logicznie myśleć.

Stał nad nią Witrenko. Podniosła głowę i przyglądała mu się przez chwilę, ale widziała jego dawną twarz i jasne, złociste włosy. Złudzenie przysło. Włosy pociemniały, twarz, prócz oczu, zmieniła kształt. Witrenko przykucnął, chwycił ją za krótkie,



poifarbowane na czarno włosy i uniósł jej głowę, zmuszając, by na niego spojrziała.

– Jakie to uczucie być kimś innym, Mario? – Wpatrywał się w nią uporczywie oczami pełnymi zimnego blasku. – To ma wyzwoleńczą moc, prawda? Na chwilę można stać się osobą, którą się udaje. Myślałaś, że poznałaś Tarasa Buslenkę. O tak, on istnieje. A właściwie istniał. Podobnie jak ty, traktował wszystko zbyt poważnie. A to jest tylko biznes. Cóż, Buslenko był młodym i ambitnym głupcem. Patriotą. Głowę miał pełną romantycznych idei o tym, jak powinna wyglądać Ukraina. I podobnie jak ty uczynił ze swojej misji prywatną krucjatę. Chciał mnie odnaleźć i zabić. To wszystko, co ci mówiłem... to były tak naprawdę jego słowa i myśli. We mnie zaczął żyć na nowo. W pewnym sensie poznałaś prawdziwego Buslenkę. Jak to jest poznać trupa? – Witrenko rozluźnił uchwyt i głowa Marii opadła na podłogę. – Ty też chciałaś mnie zabić, prawda, Mario? Pragnęłaś tego tak bardzo, że byłaś gotowa poświęcić własne życie. Ale prawdziwa Maria Klee nie dorosła do tego zadania. Najpierw musiałaś stać się kimś innym. A to dlatego, że wcześniej byłaś za słaba, zbyt wystraszona. Coś ci powiem: tamta dawna Maria miała rację. Powinnaś była się bać.

– Chcę spać... – z trudem wyszeptała Maria.

– Okej – odparł Witrenko. Uśmiechnął się, a w jego głosie zabrzmiały nagle ciepłe, przyjacielskie nuty. Jeszcze raz przeistoczył się w Buslenkę. – Śpij Mario. Otulę cię kocem, żeby ci było ciepło. Położysz się tam, w ciepło. Przed snem dam ci coś gorącego do picia. Ale najpierw kody dostępu. Podaj mi kody dostępu albo powiedz, gdzie są, a pozwolę ci stąd wyjść i spać.

Maria poczuła, że jej ciało przestało drżeć. Zrobiło się jej ciepło. I była coraz bardziej senna. Ciężkie jak ołów powieki zaczynały opadać. Zamierzała oszukać Witrenkę. Uderzenie otwartą dłonią w policzek sprawiło, że otworzyła szeroko oczy.

– Mario, obudź się! Jeśli zaśniesz tutaj, umrzesz. Tam... tam możesz spać i żyć. Podaj mi kody dostępu.

– Zapomniałam... – Powieki Marii znów zaczęły się przymykać. Witrenko zaczął krzyczeć, a Maria pomyślała, że tak pewnie brzmią ukraińskie przekleństwa. Poczuła jeszcze kopnięcie

w żebra, ale była już zbyt senna i zbyt oddalona od swojego ciała, by to ją zabolalo.

Zamknęła oczy i zasnęła.

4

Jesteśmy na miejscu... – powiedziała Suzi. Uparła się, żeby pojechać jej samochodem, co z jednej strony odpowiadało Oliverowi, bo nie było taksówkarza, który mógłby go zapamiętać, ale z drugiej oznaczało, że nie miał szybkiej drogi ucieczki. Suzi zaprowadziła go po schodach do swojego mieszkania. Znaleźli się w holu pełnym drzwi, z których tylko jedno były otwarte. Otwarte drzwi prowadziły, jak zdołał zauważyć, do sypialni. Spodziewał się, że zaprowadzi go do salonu, ale ona zaprosiła go od razu do sypialni.

– Co? – Uśmiechnął się szelmowsko. – Tak bez gry wstępnej?  
– Wszedł do sypialni. Pokój był pozbawiony jakiegokolwiek charakteru, co biorąc pod uwagę silną osobowość Suzi, wydawało się dziwne.

– Może najpierw porozmawiamy – powiedziała. Usiadła na brzegu łóżka i zapraszająco poklepała dłonią miejsce obok siebie. – A potem się zabawimy.

Oliver usiadł. Dziewczyna zaczynała go denerwować. Zawsze uważał się za drapieżnika, a tymczasem teraz to ona prowadziła w tym tańcu. Cała ta sytuacja coraz mniej mu odpowiadała i zaczynała szybko odbierać radość. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się poważnie, jak dużo satysfakcji daje mu jego panowanie nad kobietami. I ich przerażenie. Ich szok. Ich strach.

Nie, pomyślał, to ja będę prowadził w tym tańcu. Poczul narastającą wściekłość. Jeśli dziewczyna nie zrobi dokładnie tego, czego on pragnie, zmasakruje jej twarz. Ona i jej potrzeby się nie liczyły. Liczył się tylko on ze swoimi oczekiwaniami.

– Robieś to już wcześniej? – zapytała Suzi. Miała włosy spięte z tyłu głowy, a teraz rozpuściła je. Były cudownie rude, ale znacznie ciemniejsze od włosów Sylvii, dziewczyny, która wiele lat temu wprowadziła Olivera w ten świat i uświadomiła mu jego głód.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział. – Wiele razy. Rozbierz się i zacznijmy wreszcie.

– Jeszcze nie – odparła Suzi. – Chcę wiedzieć, czy robiłeś to z innymi dziewczynami.

– No pewnie. Z całym mnóstwem. Mówiłem ci przecież.

– I podobało im się to?

– Cóż... może nie tak, jak tobie się spodoba. Źle to rozumiały.

– Nie chciały, żebyś to robił, a ty mimo wszystko to robiłeś?

– Sam nie wiem... tak, chyba tak. Jakie to ma znaczenie? – Oliver zasępił się. Wszystko szło nie tak. Czy ta głupia dziwka musi tyle gadać? Złapał ją mocno za ramiona. – Napisałaś mi, że to jest to, czego pragniesz. Więc zrobmy to.

– Chcesz mnie ugryźć?

– Tak – wyrzucił z siebie bez tchu Oliver. Przez pożądanie i złość stracił dech w piersiach. – Chcę cię ugryźć.

– Chcesz wyszarpać kawałek ciała z mojego poślądka, chcesz, żebym zalała się krwią? – Suzi przysunęła się do niego, czuł zapach jej ciała i włosów. – Tak jak robiłeś to z innymi?

– Tak... – Zaczął szarpać jej bluzkę. Ujrzał krągłość jej pełnych, ciepłych piersi.

– Jeszcze nie – rzuciła stanowczo i odepchnęła go od siebie. – Opowiedz mi o nich...

– Skrzywdziłem je. – Oliver czuł, jak narasta w nim nieokiełznana wściekłość. – Naprawdę je skrzywdziłem, a teraz mam zamiar skrzywdzić ciebie, ty pieprzona dziwko! – wykrzyczał. – Jesteś zwykłą flirciarą i kurwą, ale ja ci dam nauczkę. Będę cię gryzł i pieprzył, a jak nie będziesz cicho, to ci spuszczę wpierdol! – Zamachnął się.

Pięść nie dotarła do celu. Poczul za to przeszywający ból na wewnętrznej stronie przedramienia, tam gdzie cios został zablokowany, a chwilę później równie przejmujący ból w pachwinie, kiedy trafiło w nią jej kolano. Wściekłość ustąpiła miejsca zaskoczeniu, a potem strachowi, kiedy dziewczyna wykręciła mu ręce do tyłu i popchnęła go na ścianę. Nie był w stanie się poruszyć. Z policzkiem przyciśniętym do ściany nie mógł też niczego zobaczyć. Dały się słyszeć jakieś odgłosy. Trzaski. Krzyki. Pokój wypełnił się ubranymi na czarno postaciami. Te po-

stacie miały broń. Teraz chwyciły go czyjeś inne ręce. Poczul na nadgarstkach kajdanki. Suzi obróciła go do siebie. Odgarnęła z twarzy pukle miedzianych włosów.

– A teraz, Hans... powiem ci, jak się naprawdę nazywam. Przecież ci to obiecałam. Jestem Tansu Bakrac. A ty, pieprzony zbrojeńcu, jesteś aresztowany.

Kiedy wyprowadzano go z mieszkania, Oliver zauważył, że wszystkie drzwi były teraz otwarte. A za nimi znajdowały się puste pokoje. Bez mebli. To tam zaczęli się pozostali policjanci. To dlatego zaprowadziła go wprost do sypialni. To wszystko było jedną wielką maskaradą. Nagrywali pewnie każde jego słowo od chwili ich spotkania w barze hotelowym.

W holu czekało dwóch gliniarzy po cywilnemu. Tego niższego, ciemnowłosego, który patrzył teraz na niego ze zdumieniem, oczywiście znał. Tymczasem „Suzi” z uśmiechem na twarzy zwróciła się do wyższego, blondyna, którego Oliver nigdy wcześniej nie spotkał.

– Oto przysługa, o którą pan prosił...

## 5

Co się z tobą dzieje, Benni? – zapytał Scholza Fabel, kiedy Tansu wraz z umundurowanymi policjantami wyprowadziła „Hansa” z holu do czekającego na dole radiowozu. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Jasna cholera... – wydusił z siebie wciąż zszokowany Scholz. – Jasna cholera...

– Co się stało? – Tryumfalny uśmiech Tansu ustąpił miejsca wyrazowi niepokoju.

– Nie wiecie, kto to jest? Właśnie aresztowałam doktora Olive-  
ra Lüdeke.

– Tego anatomopatologa?

– Tego samego. Teraz dopiero się zacznie.

– Lekarz sądowy... – mruknął w zadumie Fabel. – A więc ktoś, kto jest specjalistą w pobieraniu wycinków z ludzkiego ciała.

Przesłuchanie prowadził Scholz, ale poprosił wcześniej Fabla, żeby mu towarzyszył. Nie na wiele się to zdało. Niechęć Fabla do Olivera Lüdeke była silna i niezmienna. Fabel zdawał sobie sprawę, że czułby dla niego taką samą pogardę, nawet gdyby spotkał go na przyjęciu, a nie w pokoju przesłuchań jako podejrzanego o dwa, a może trzy przerażające i brutalne morderstwa. Lüdeke odmówił składania zeznań i odzywał się tylko po to, żeby poskarżyć się na niczym nieuzasadnione pozbawienie wolności.

– Nie potrzebuję meteorologa, żeby wyczuć, że zbliża się potężna burza – powiedział Scholz, zwracając się do Fabla po zakończonym przesłuchaniu. – Lüdeke już się kontaktował ze swoim prawnikiem i założył się, że pierwsze, co adwokat zrobił, to zadzwonił do prokuratora krajowego i komendanta głównego policji. Musimy go szybko przyspilić.

– Jesteś przekonany, że to on jest mordercą? Mimo że oświadczył, że go znasz?

Scholz prychnął lekceważąco.

– Szczególnie dlatego, że go znam.

– Nie lubisz go?

– Oliver Lüdeke to przystojny, czarujący, bogaty, bez wątpienia bardzo inteligentny mężczyzna. Ma znakomitą, doskonale płatną pracę i jest wciąż otoczony wianuszkami pięknych kobiet. Oczywiście, że nienawidzę tego bydlaka. Ale oprócz tego wszystkiego, jest jeszcze wiele innych powodów, dla których nigdy nie lubiłem doktora Lüdeke. Jest aroganckim sukinsynem. Nawet więcej... Sam nie wiem, trudno to wytłumaczyć. On po prostu nie pasuje do Kolonii. Wiem, że to, co mówię, nie ma sensu, ale w tym mieście klasa społeczna nie odgrywa żadnej roli. Karol Marks pochodził z Kolonii, ale powiedział kiedyś, że tutaj nie mógłby nigdy rozpocząć światowej rewolucji... Trudno to zrobić w mieście, w którym robotnik i dyrektor fabryki piją w tym samym pubie. Weź innych lekarzy sądowych. Wspaniali koledzy w pracy, wspaniali kompani do kieliszka. Tymczasem Lüdeke zawsze patrzył na każdego z góry.

– Więc twoim zdaniem jest dobrym podejrzanym, dlatego że jest snobem?

– Snobizm to mało powiedziane. Jego zdaniem wszyscy jesteśmy niższą formą życia. Chyba nie przesadzę, jeśli powiem, że jego zdaniem wszyscy inni chodzą po ziemi tylko po to, żeby dawać mu to, czego on od życia pragnie. A to pasuje do profilu osoby napastującej seksualnie, mającej za nic ból zadany osobie, którą wykorzystuje do zaspokojenia swoich potrzeb.

– Na pewno jest najpoważniejszym podejrzanym, jakiego mamy. Ale jeśli ma takie kontakty, jak twierdzisz, to musimy działać szybko, bo w przeciwnym razie może nam się wymknąć. Co z nakazem pobrania DNA?

– Tansu walczy o niego w biurze prokuratora krajowego – odparł Scholz. – Za kilka godzin powinniśmy go mieć.

– Okej. Zróbmy kolejne podejście.

– Niech to szlag... – szepnął Scholz, patrząc Fablowi przez ramię. Fabel odwrócił się i ujrzał zmierzającego korytarzem w ich kierunku otyłego mężczyznę po pięćdziesiątce. Jego sposób poruszania się zdradził Fablowi, że mają do czynienia z kimś ważnym. Kiedy mężczyzna znalazł się obok nich, Scholz przedstawił Fabla komendantowi policji kolońskiej, Udo Kettnerowi.

– To jest bardzo niezręczna sytuacja, Benni – powiedział Kettner. – I potencjalnie kłopotliwa. Wygląda na to, że nie masz na niego zbyt wiele.

– Próbował napaść na Tansu – odparł Scholz.

– To będzie trudno udowodnić.

– Mamy to nagrane.

– To, co pan ma nagrane, Herr Fabel, można przyjąć za spójne z charakterem ogłoszenia, które umieścił w internecie. Lüdeke będzie przekonywał, że aresztowanie nastąpiło na skutek prowokacji policyjnej. Może też twierdzić, że nie zrobił nic złego, a jako nieżonaty mężczyzna spotkał się z młodą kobietą w celu odbycia za obopólną zgodą stosunku seksualnego.

– To brzmi jak prawnicza mowa – zauważył Scholz.

– Bo adwokat już tu jedzie... – stwierdził ze znużeniem komendant Kettner. – Pierwszy telefon miałem już trzydzieści minut po aresztowaniu Lüdekego. Prawnicy zamierzają podważyć zasadność aresztowania.

– Co w takim razie robimy? – zapytał Scholz.

Kettner uśmiechnął się.

– Nie tylko prawnicy Lüdekego potrafią korzystać z telefonu.

– Wręczył Scholzowi jakiś dokument. – Pomyślałem, że niewielki nacisk na biuro prokuratora krajowego może przyspieszyć sprawę. Oto nakaz pobrania próbki DNA. Ale na miłość boską, Benni, pamiętaj, żeby trzymać się ściśle przepisów.

W gabinecie Scholza prócz gospodarza siedzieli jeszcze Fabel i Tansu. Z kąta spoglądała na nich ostatnia wersja głowy „byka”. Scholz wpatrywał się w nią posepnym wzrokiem.

– Do Karnawałowej Nocy Kobiet pozostało osiem dni – powiedział. – Cała nadzieja w tym, że to Lüdeke jest mordercą. Jeśli DNA nie będzie zgodne, to mamy przesrane.

– Nawet jeśli będzie zgodne – zauważył Fabel – to wiąże go to wyłącznie z gwałtem i pobiciem Very Reinartz. Lüdeke jest bez wątpienia seksualnym sadystą zafiksowanym na kanibalizm, ale bez jego przyznania się do winy albo jakichś niepodważalnych dowodów nie uda nam się udowodnić mu tych morderstw. A biorąc pod uwagę jego arogancję i stawkę godzinową, jaką płaci swoim prawnikom, nigdy nie wydobędziemy z niego przyznania się do winy.

– Ekipa kryminalistyczna nie znalazła niczego. Jego biuro i mieszkanie są czyste – rzekł ponuro Scholz. – Najbardziej wkurzające jest to, że narzędzie, którym odkroił kawałki ciała swoich ofiar, może znajdować się gdzieś pod naszym nosem. Nie miałem do tej pory podejrzanego, którego praca polegałaby na krojeniu ludzkiego ciała. To jakiś koszmar. Gdyby ta cała Vera Reinartz czy Andrea Sandow, jeśli woli, zechciała zachować któryś z tych cholernych listów.

– To również wiązałoby go wyłącznie z napaścią na nią – zauważył Fabel. – Jedyne, co łączy go z morderstwami, to podobny modus operandi: krawat na szyjach ofiar i ślady pogryzienia. A to są tylko poszlaki. Posłuchaj, Benni, być może nigdy nie uda nam się go oskarżyć o zabójstwa, ale jeśli udowodnimy mu gwałt i pobicie Very Reinartz, to i tak możemy być zadowoleni, że nie będzie się włóczył po ulicach w czasie karnawału.

Zostanie skazany i niejeden karnawał przeminie, nim wyjdzie na wolność. Oczywiście pod warunkiem, że DNA będzie zgodne.

Głośne rozmyślenia przerwało pojawienie się w uchylonych drzwiach chłopięcej twarzy Krisa Feilke.

– Mamy bydlaka, Benni! – Kris promieniał. – Pełna zgodność. Oliver Lüdeke to człowiek, który zgwałcił Verę Reinartz.

## 6

Andrea otworzyła drzwi swojego mieszkania, przed którymi stali Tansu i Fabel. Była ubrana w krótką spódniczkę i luźną czarną bluzkę. Nadgarstki miała obwieszane sztuczną biżuterią, a twarz przykrytą jeszcze grubszą warstwą makijażu niż poprzednim razem. Nie prezentowała się przez to bardziej kobieco; przeciwnie, cienkie pończochy uwydatniały tylko muskulaturę ud, bluzka – szerokość ramion, a makijaż męskość rysów. Co jest w niej takiego, zastanawiał się Fabel, co wywołuje we mnie taką niechęć w stosunku do tej kobiety?

– Właśnie wychodziłam – wyjaśniła.

– To nie potrwa długo – zapewnił ją Fabel, zamierzając wejść do mieszkania. Andrea stała w progu nieporuszona.

– Jestem umówiona. Spóźnię się.

– Złapaliśmy go – poinformowała ją Tansu – mężczyznę, który panią napadł osiem lat temu.

– Jesteście pewni, że to on? – Trudno było odgadnąć myśli Andrei. Skrywała je pod maską.

– Całkowicie – stwierdził Fabel. – DNA jest zgodne. Ten człowiek nazywa się Oliver Lüdeke.

Maska opadła. Andrea spojrzała na Fabla z niedowierzaniem.

– Oliver Lüdeke?

– Zna go pani?

Andrea przesunęła się, robiąc przejście.

– Proszę wejść. Muszę zadzwonić i odwołać wizytę...



Maria znów była zawieszona w czasie. Nie miała pojęcia, jak długo spała lub była nieprzytomna. Równie dobrze mogło to być kilka minut jak kilka dni. Tym, co uświadomiło jej, że już nie śpi, był ból – w żebrach i na twarzy – gorące, ostre mrowienie obtartej skóry. Maria uchwyciła się tego bólu. Zapamiętała lekcję, jakiej udzielił jej Witrenko – ból oznaczał życie.

Leżała na materacu rzuconym na składane metalowe łóżko. Włożyli jej z powrotem ubranie; ciuchy śmierdziały stęchlizną i brudem. Była opatulona kilkoma kocami i nadal znajdowała się w chłodni. Wiedziała jednak, że musieli ją stąd wcześniej wynieść i ogrzać, żeby powstrzymać nadchodzącą śmierć z wyziębienia. To wymagało czasu i wysiłku. Podwinęła rękawy płaszcza i bluzy. To, czego szukała, znalazła na lewym ramieniu – świeży ślad po wkłuciu się w żyłę. Wciąż jeszcze szumiało jej w głowie i z trudem zbierała myśli, ale rozumiała, co to znaczy – podali jej kroplówkę z podgrzaną dekstrozą i solą fizjologiczną żeby podwyższyć temperaturę ciała. Przez maskę podali też pewnie ciepły, nawilżony tlen.

Maria zdawała sobie sprawę, że już jest trupem. Ale zanim umrze, czeka ją jeszcze dużo bólu – albo dla czystej satysfakcji Witrenki, albo w celu wydobycia z niej informacji. Wiedziała także, że to, co wie, nie wystarczy, żeby Witrenko pozostawił ją przy życiu. Wykorzysta ją tylko do zdobycia dossier, na którego punkcie miał fioła. Musiała uciec – tylko w ten sposób może się uratować. I pokonać Witrenkę.

Wciąż jeszcze było jej zimno. Usiadła na brzegu łóżka i opatuliła się kocami. Zdjęła rękawiczkę i pomachała gołą dłonią w powietrzu. Temperatura w chłodni była do zniesienia, ale minie jeszcze dużo czasu, nim chłód ustąpi. Nie dostrzegła nigdzie grzejników, ale przypuszczała, że musiały być używane. Maria podejrzewała, że została wyniesiona z chłodni, ogrzana, potem uśpiona i przetrzymywana gdzie indziej do czasu, aż temperatura w chłodni dostatecznie wzrosła. Teraz chłodnia przestała być miejscem kaźni. Zamieniła się w zwyczajne więzienie. Przy najmniej na jakiś czas.

Maria próbowała wstać, ale popękane zebra wywołały paroksyzm bólu. Wsunęła palce pod bluzę i ostrożnie pomacała. Miała założony bandaż elastyczny. Położyła się z powrotem na łóżku i pomyślała o Buslence, człowieku, który zaistniał dla niej w wyniku maskarady urządzonej przez Witrenkę. Leżała bez ruchu, wpatrując się w sufit i zwisając z niego świetlówkę, oplakując mężczyznę, którego nie знаła.

Otworzyły się drzwi i wysoki, ciężkawy mężczyzna wszedł z jakimś naczyniem w ręce. Maria nie poznała go, ale miał wyraźnie wschodnie rysy twarzy, obcięte krótko włosy i nos noszący ślady dawnego złamania. Postawił naczynie obok łóżka i wyszedł z chłodni bez słowa. Więc było ich teraz więcej. Z tego, co wiedziała, Witrenko wyjechał, żeby zająć się ważniejszymi sprawami. Starła się zapamiętać rysy strażnika, który przyniósł jej jedzenie. Będę go nazywała Nos, pomyślała. Zjadła porcję duszonego mięsa. Było tak gorące, że parzyło ją w usta, ale nie zważała na to. Rozkoszowała się rozchodzącym się w brzuchu ciepłem i nie zostawiła w naczyniu ani odrobiny.

Była zaskoczona, widząc w misce metalową łyżkę. Po skończonym posiłku oblizła ją starannie i zaczęła nią pocierać o kamienną posadzkę obok łóżka. Po minucie czy dwóch, przeciągnęła kciukiem po brzegu łyżki. Tak, dawała się zaostrzyć, mogła stanowić broń. Rozerwała szwy materaca i ukryła łyżkę w środku. Naciągnęła koc na twarz, osłaniając oczy przed światłem jarzeniówki. Nie mogła zasnąć. Szumiało jej w głowie, kiedy wymyślała, dopracowywała, a potem odrzucała kolejne plany ucieczki. Mogła już dziś nie dostać nic do jedzenia, a wtedy zniknie szansa na wydostanie się stąd. Zresztą nawet gdyby była w pełni sił, nie poradziłaby sobie z kimś takim jak Nos. Musi go wziąć z zaskoczenia i natychmiast zabić. Jeśli uda jej się dostatecznie zaostrzyć brzeg łyżki, może to wystarczy do przecięcia tętnicy szyjnej. Miała tylko jedną szansę.

Drzwi otworzyły się. Maria udawała, że śpi pod kocem. Słyszała odgłos zbliżających się kroków w ciężkich butach. Teraz nie było szansy na atak z zaskoczenia. Wymagało to jeszcze jednego dnia przygotowań, ostrzenia łyżki i zamieniania jej w śmiertcioną broń. Koc został zerwany z jej głowy. Obróciła

się, mrużąc oczy. Nos zabierał naczynie po posiłku. Mężczyzna bez słowa wyciągnął rękę i palcami wykonał gest „oddaj to”. Maria z udawanym zdziwieniem zmarszczyła czoło. Mężczyzna powtórzył gest, a ona w odpowiedzi wzruszyła ramionami. Nos westchnął ciężko, odłożył miskę i wyjął z kabury pistolet. Odbezpieczył go, przeładował i przystawił lufę do policzka Marii. Wolną ręką jeszcze raz powtórzył swój gest. Maria sięgnęła palcami w głąb materaca i wyjęła łyżkę. Oddała mu ją z cynicznym uśmiechem, który ten odwzajemnił, uderzając ją jednocześnie lufą pistoletu w czoło.

Spojrzała na Nosa wyzywająco i nienawistnie, starając się za wszelką cenę nie stracić przytomności. Czowała, jak z czoła spływa jej strużka krwi. Żadne z nich dwojga nie miało wątpliwości, że chętnie by go zabiła. Nos spojrzał na nią beznamiętnie, a potem obrócił się na pięcie i wyszedł z miską i łyżką. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, zgasło światło. Maria przypomniała sobie, że na zewnątrz tuż przy drzwiach znajdował się wyłącznik. Była wdzięczna za tę nieoczekiwaną ciemność. Mogła teraz spać bez zasłaniania twarzy cuchnącym kocem. Położyła się w całkowitych ciemnościach, obiecując sobie solennie, że nie dotknie rany na głowie.

Działo się z nią coś dziwnego. Zdawało się, że ból wyostrzył jej umysł i pomagał znaleźć rozwiązanie. Czowała, że zaczyna myśleć jaśniej, z większą przenikliwością. Nazywali to umarwieniem. Ból był już tylko w tle – im bardziej się oddalała myślami, tym mniej powiązany był z jej ciałem. Maria skupiła całą swoją energię na myśleniu. Musiał istnieć jakiś sposób na wydostanie się stąd.

## 8

Zna pani Olivera Lüdeke?

– Tak... – Andrea zapatrzyła się przed siebie, jakby dostrzegła tam przeszłość. Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Nie mogę w to uwierzyć. Lüdeke. Jesteście pewni?

– Tak – odparła Tansu. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Skąd go pani zna?

– Razem studiowaliśmy medycynę. – Andrea założyła nogę na nogę. Rąbek jej spódnicy uniósł się nieco. Fabel zwrócił uwagę na widoczną teraz nagą, opaloną na ciemny brąz skórę nad brzegiem pończochy.

– Dokąd się pani wybierała? – zapytał. – Chodzi mi o to, że jeśli to ważna wizyta, możemy przyjść później albo nawet jutro. – Fabel, w ślad za Andrea, użył słowa wizyta, a nie „randka” czy „spotkanie z przyjaciółmi”.

– Nie ma problemu. Wyjaśniłam już, że się spóźnię. – Zwróciła się do Tansu: – Mówiąc, że studiowaliśmy razem, nie dodałam, że był o kilka lat ode mnie starszy. Ale wszyscy go znaleźliśmy. Niektóre studentki przyprawiał o szybsze bicie serca.

– Panią też? – zapytał Fabel.

Andrea obrzuciła go twardym, męskim spojrzeniem.

– Chyba tak. Taka wtedy byłam. Słaba. Ale on mnie nie uważał. Nie mogę uwierzyć, że... – Minę miała teraz jeszcze bardziej zaciętą. – To bydlak. Zostawcie mnie z nim na pół godziny, a oszczędzę wam sporo czasu i kłopotu. Dlaczego? Dlaczego on mi to zrobił?

– Okazuje się, że ten Lüdeke to chory człowiek – odparł Fabel. – Prawdopodobnie nie jest pani jego jedyną ofiarą, tyle że kilka innych nie przeżyło. Wygląda jednak na to, że trudno będzie mu to udowodnić.

– Jeśli jednak uda nam się oskarżyć go o napaść na panią – odezwała się Tansu – to i tak na długo zniknie za kratkami. A wtedy będziemy mieli dość czasu na wniesienie oskarżenia o morderstwa.

– Czy jest pani gotowa zeznawać przeciwko niemu? – zapytał Fabel.

– Oczywiście, że tak.

– To może być dla pani trudne. Mam na myśli składanie zeznań przed sądem.

Andrea roześmiała się z goryczą.

– Myśli pan, że teraz boję się tego skurwiela? Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę go na ławie oskarżonych i opowiem o wszystkim, co mi zrobił.

– Świetnie... – Fabel zrobił krótką przerwę. – Powiedziała

pani, że znała go z widzenia. Jako studentka, jak rozumiem.

– Tak.

– Ale nie poznała go pani tamtej nocy?

– Nie. Był w przebraniu klauna.

– Muszę zadać to pytanie. To niemożliwe, żeby Lüdeke zaproponował seks za obopólną zgodą, prawda? Mimo że pani go znała i czuła do niego miętę.

– Czy pan oszalał? – Na szyi Andrei uwidoczniły się żyły. – O mało mnie nie zabił. Widział pan, w jakim zostawił mnie stannie?

– Proszę posłuchać, Frau Sandow... – Fabel starał się mówić możliwie pojednawczym tonem. – Niech mi pani wierzy, wiem, jaka z niego chora i perwersyjna kreatura. Ale muszę się upewnić, czy to wszystko nie zaczęło się za obopólną zgodą, a dopiero potem przybrało nieoczekiwany obrót. Tak może wyglądać jego linia obrony.

– Nie. Byłam wtedy na imprezie. Kiedy wyszłam, na ulicy stał klaun. Nie ruszał się, wydawało mi się, że na mnie patrzy. Poszłam w stronę domu i wtedy zorientowałam się, że on idzie za mną. Zaczęłam biec, on też pobiegł. Myślałam, że zgubiłam go w tłumie, ale potem pojawił się znikąd pod kościołem Świętej Urszuli. A potem zgwałcił mnie, pobił i jeszcze raz zgwałcił. Przez cały czas zaciskał mi na szyi krawat.

– Ugryzł panią?

– Wielokrotnie.

– Mamy fotografie przedstawiające te ugryzienia – powiedział Fabel. – Porównamy je z odciskiem jego szczęki. Proszę mi wierzyć, Frau Sandow, on trafi do więzienia na długie lata.

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że to on. Myślałam, że to ktoś obcy. Jakiś psychopata, który przypadkowo mnie sobie upatrzył. – Andrea sprawiała wrażenie całkowicie pogrążonej we wspomnieniach, lecz po chwili wyraźnie poruszyła ją jakaś myśl. – Może on był na tym przyjęciu! W czasie przesłuchania pytano mnie o nazwiska wszystkich obecnych tam mężczyzn, ale niewiele potrafiłam podać. Był karnawał, wszyscy przyszli w przebraniach. Więc on mógł tam być. Wiem, że przesłuchano wszystkich studentów z mojego roku.

– To była impreza dla studentów medycyny? – zapytała Tansu.

– Głównie. Ale nie tylko. Proszę mi powiedzieć, czy on do czasu procesu będzie na wolności?

– Jeśli to będzie od nas zależało, to nie – odparł Fabel.

– Proszę się nie martwić – starała się ją uspokoić Tansu. – Będziemy go trzymać z daleka od pani.

– Ja się wcale nie martwię – odrzekła Andrea z tym swoim twardym, męskim spojrzeniem. – To on powinien się bać, jeśli nasze drogi się kiedykolwiek skrzyżują.

Wracając do samochodu, Fabel odwrócił się i spojrzał na budynek, w którym mieszkała Andrea, jakby tam szukał odpowiedzi.

– Co się stało? – zapytała Tansu.

– Widziałaś, jak ona była ubrana?

– Wyglądała, jakby się wybierała na randkę. Szczerze mówiąc, gdyby nie ta jej muskulatura, powiedziałabym, że to kurewski strój. Ale co z tego?

– No właśnie. Wyglądała, jakby szła na randkę, ale uparcie powtarzała słowo „wizyta”. Jakby to miało być spotkanie biznesowe. Przyszła mi do głowy zupełnie szalona myśl... Nie śmieję się, ale moim zdaniem nasza kulturystka dorabia sobie na boku jako prostytutka.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

### **Karnawałowa Noc Kobiet**

#### **23 lutego**

1

W czasie kiedy Fabel wchodził do komendy policji w Kolonii, świat zupełnie oszalał. Dziś wypadła Karnawałowa Noc Kobiet i nawet oficerowie na służbie poprzebierali się w fantazyjne stroje. W wydziale zabójstw, za swoim biurkiem, siedział Benni Scholz – miał na sobie przepisowy mundur, tyle że, jak uważał Fabel, był to mundur kobiety.

– Panie nadkomisarzu – odezwał się ostrzegawczym tonem Scholz – tylko żadnych nowych pomysłów...

Do gabinetu weszła Tansu Bakrac w kostiumie kota, z doczepionymi pluszowymi uszami i wymalowanymi na twarzy wąsami. Fabel przyłapał się na tym, że przygląda się zbyt natarczywie jej figurze. Kris Feilke był przebrany za szeryfa z Dzikiego Zachodu. Pozostali policjanci byli równie zabawnie przyodziani, przy czym kilku – niestosownie zdaniem Fabela – przebrało się za klaunów.

– Muszę ci powiedzieć, Janie – powiedziała z kpiącym uśmiechem Tansu – że mogłeś się trochę postarać.

Faktycznie, Fabel czuł się raczej nieswojo bez przebrania. Miał na sobie zwyczajną marynarkę, czarny golf i drelichowe spodnie. Na szczęście zrezygnował przynajmniej z krawata.

W gabinecie Scholza zebrał się już cały zespół.

– No dobrze! – zawołał Scholz z taką powagą, na jaką pozwalało mu przebranie. – Do północy wszyscy jesteście na służbie, a potem idziemy do pubu i pokażemy naszemu koledze z Hamburga, jak wygląda prawdziwa zabawa. Wcześniej jednak chcę, żebyście udali się na wyznaczone trasy i mieli oczy szeroko otwarte. Karnawałowy kanibal atakuje zawsze przed północą.

Co prawda nasz główny podejrzany siedzi, więc jeśli do północy nic się nie wydarzy, będzie to oznaczało, że aresztowaliśmy właściwą osobę.

Przez kolejne dziesięć minut Scholz rozdzielał pomiędzy zespoły poszczególne trasy przemarszu parady. Powtórzył też swoje polecenie, że nikomu nie wolno nawet tknąć alkoholu, póki on osobiście nie odwoła akcji.

– Jesteś pewny, że chcesz objąć służbę? – zapytał na koniec Fabla. – Mogę posłać tam mundurowych.

– Nie... poproszę tylko o wypożyczenie Tansu, ona zna teren – odparł Fabel.

– Pod warunkiem że wypożyczasz ją jedynie w tym celu – odpowiedział Scholz, szturchając w bok Tansu. – Wygląda bardzo seksownie w tym kocim przebraniu. – Fabel nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, i zapadła kłopotliwa cisza. – No, to będziemy w kontakcie – przerwał ją w końcu Scholz. – Jeśli będziesz czegoś potrzebował, po prostu krzycz. Boże, mam nadzieję, że mamy właściwego człowieka. Noc Kobiet to istne szaleństwo. Przez miasto wędrują dziesiątki procesji, odbywa się tyle imprez, że trudno je zliczyć. Od dziś aż do Różanego Poniedziałku miasto będzie stało na głowie. To nie są idealne warunki do łapania psycholi.

– Wszystko wskazuje na Lüdekego – odparł Fabel. – Fetysz kanibalizmu, duszenie ofiar krawatem, agresja wobec kobiet...

– Mam wrażenie, że mimo to nie jesteś do końca przekonany. – Scholz zmarszczył czoło.

– Widzę wyraźny związek między napaścią na Verę Reinartz a zabójstwami. Sęk w tym, że czegoś mi tu brakuje. Dlaczego jedną ofiarę zgwałcił, a pozostałych nie? – Fabel westchnął. – Nieważne, chyba przesadzam. Jestem pewny, że to Lüdeke.

– Ja też – rzekł Scholz. Skrzywił się i uniósł spódnicę. – A teraz wybaczone, muszę podciągnąć rajstopy, nim wyjdę na ulicę.

Tansu zaparkowała pod domem Andrei, po drugiej stronie ulicy.

– Nadal uważasz, że to konieczne? – zapytała.

– Mam przecucie. Będę dużo spokojniejszy, jeśli będziemy



dziś mieli na nią oko.

– Cóż, nie zaszkodzi. A potem pójdziemy na przyjęcie. Chyba mamy powód do świętowania.

Ulica zaczęła się zapełniać hulakami wędrującymi z jednej imprezy na drugą. Widząc grupki krzykliwe poprzebieranych kobiet, Fabel był zadowolony, że może skorzystać z ochrony Tansu. Czuł się dziwnie. Był przecież we własnym kraju, a wszystko wokół wydawało mu się obce.

– Dla ciebie to chyba lekka przesada, co? – Tansu najwyraźniej czytała w jego myślach.

– Nie... a właściwie tak. – Fabel roześmiał się. – Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego.

– Nie jesteś *Jeck*, nie jesteś nawet *Imi*. Trzeba się przyzwyczaić. To w dialekcie *Kölsch*. *Jeck* to ktoś, kto urodził się w Kolonii. Rodowity kolończyk. Jak ja czy Benni. Jest w *Kölsch* taki zwrot, który tłumaczy, co to znaczy być kolończykiem: *Mer sinn All jet jeck, aver jede Jeck es Anders...* To znaczy, że każdy *Jeck* jest szalony na swój sposób. A *Imi* to ktoś, kto mieszka w Kolonii, ale urodził się gdzieś indziej, jak choćby Andrea.

– A kim ja jestem? – zapytał Fabel z uśmiechem.

– Ty jesteś chyba *Jass*.

Ulicą przeszła grupka kobiet, śpiewając głośno w *Kölsch*. Fabel słyszał już gdzieś tę piosenkę, ale nie potrafił sobie uzmysłwić gdzie. Kobiety minęły ich, zatrzymały się na rogu ulicy i zgodnie ze zwyczajem zaczęły zaczepiać grupki młodych mężczyzn.

– To jeszcze nic – powiedziała Tansu. – Zaczekaj na Różany Poniedziałek. Wtedy dopiero będziesz zaskoczony. Nic nie jest takie, jakie się wydaje, i nikt nie jest tym, za kogo go uważasz. Całemu karnawałowi przewodniczą Trzy Gwiazdy... Jest tam *Prinz Karneval*, Mistrz Karnawału, do którego trzeba się zwracać Jego Szalona Mość, Koloński Prostak i Kolońska Dziewica. Dziewicą jest oczywiście zawsze przebrany za kobietę mężczyzna.

Fabel roześmiał się.

– Widzę, że przywiązujecie tu do tego dużą wagę. Ale Benni nie wyglądał mi na dziewicę. – Spojrzał w stronę okien miesz-

kania Andrei. Żaluzje były zasłonięte, a światła zapalone. – Jest jedna osoba, która chyba nie zamierza poddać się atmosferze tego wieczoru. Choćby nie wiem co jeszcze zrobiła ze swoim ciałem, Andrea Sandow pozostaje wciąż Verą Reinartz. Czyli bardzo skrzywdzoną osobą. – Fabel przeniósł wzrok z powrotem na ulicę.

– Co się stało? – zapytała Tansu.

– Tam... ten mężczyzna. – Fabel wskazał postać stojącą po drugiej stronie ulicy. On też wpatrywał się w rozświetlone okno i wyglądał podejrzenie przez brak karnawałowego przebrania. – Już go wcześniej widziałem.

– Zgadza się – potwierdziła Tansu. – To Ansgar Hoeffler. Szeff kuchni w Speisekammer. Kręcił się przed kawiarnią, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy z Andrea. Teraz to już chyba nie jest zbieg okoliczności.

Obserwowali, jak Ansgar przechodzi przez ulicę, kierując się do wejścia do budynku, w którym mieszkała Andrea.

– Chyba powinniśmy zamienić z nim słowo... – powiedział Fabel, chwytając za klamkę drzwi. Ledwie wysiedli z samochodu, kiedy zalała ich fala przebierańców. Próbowali precyzyjnie się przez tłum, ale jakaś pokaźnych rozmiarów dama chwyciła Fabla w swój żelazny uścisk i ku radości koleżanek złożyła na jego ustach pocałunek.

– Proszę mnie przepuścić! – zawołał Fabel. – Policja!

Torując sobie drogę wśród gawiedzi, zobaczył, że Ansgar obraca w ich kierunku głowę. Jego mina mówiła wyraźnie, że poznał Fabla. Jasna cholera, pomyślał Fabel, jeszcze gotów uciec.

– Herr Hoeffler! – krzyknął przez ramię jakiejś tegiej Królowej Śniegu, która stanęła mu na drodze. Hoeffler zawrócił i pobiegnął ulicą. Fabel i Tansu przepchnęli się wreszcie przez tłum.

– Zostań tu! – zawołał Fabel. – Wezwij posiłki, ale obserwuj Andreę. – Sam ruszył w pogoń za Hoefflerem. Skręcił za róg i natknął się na kolejną bandę przebierańców. Przystanął i przyjrzał się ludziom w tłumie. Dzięki temu, że Ansgar nie miał nakrycia głowy i był zwyczajnie ubrany, dostrzegł, jak przeciska się pomiędzy rozbawionymi ludźmi. Fabel rzucił się za nim, ale natrafił na zwarty mur ludzkich ciał. Narażając się

na gwizdy, drwiny i szyderstwa, zaczął się przedzierać.

– Policja! – wykrzykiwał co chwila do bezimiennego tłumu. Czuł, że za chwilę pochłonie go to powszechne szaleństwo. Nagle zderzył się z jakąś twardą przeszkodą. Podniósł głowę i ujrzał ponad dwumetrowej wysokości, ważącą ze sto dwadzieścia kilo balerinę z brodą. Balerina złapała go za kołnierz marynarki.

– Po co ten pośpiech? – zadudniła barytonem baletnica. – Chcesz popsuć ludziom zabawę?

Fabel nie miał czasu na wyjaśnienia i wbił z całych sił kolano w miejsce, gdzie balerina nosiła spódniczkę. Uścisk na kołnierzu marynarki ustąpił natychmiast. Przedarł się wreszcie przez tłum i zobaczył Ansgara skręcającego biegiem za kolejny narożnik. Zimne powietrze zaczęło go parzyć w płuca. Dobiegł do rogu i skręcił w poprzeczną ulicę. Pomyślał o wezwaniu posiłków przez radio, ale nie miał pojęcia, gdzie jest. Nieoczekiwanie znalazł się w ciemnej, spokojnej bocznej uliczce. Była na tyle wąska, że samochody parkowały tylko po lewej stronie, pozostawiając pas ruchu w jednym kierunku. Zatrzymał się. Widział, jak Ansgar tu skręca, a sam dotarł na miejsce na tyle szybko, że uciekinier nie mógł zdążyć dobiec do krańca uliczki. Musiał gdzieś tu się skryć. Fabel ruszył wolno uliczką, zaglądając pomiędzy zaparkowane samochody.

– Nie ma sensu dalej uciekać, Herr Hoeffler! – zawołał. – Wiemy, kim pan jest, i prędzej czy później znajdziemy pana. Chcę tylko porozmawiać.

Cisza.

– Proszę, Herr Hoeffler. To panu nie pomoże...

Spomiędzy dwóch zaparkowanych dziesięć metrów dalej samochodów wyrosła jakaś ciemna postać.

– Nie chciałem jej zrobić żadnej krzywdy... – Głos Ansgara był piskliwy i błagalny. – Pozwoliła mi to już robić wcześniej. Teraz chciałem zrobić to jeszcze raz... Jestem chory...

Fabel podszedł bliżej. Powoli. Sięgnął do pasa po kajdanki.

– Porozmawiamy o tym, Herr Hoeffler. Musimy porozmawiać. Żebym mógł zrozumieć. Ale teraz musi pan pójść ze mną. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda? – Fabel przystanął

między autami. Dostrzegł błysk stali: Ansgar wyjął coś z kieszeni płaszcza. Fabel sięgnął po broń, której nie miał przy sobie. Ponieważ Kolonia nie znajdowała się w jego jurysdykcji, chodził nieuzbrojony. Ansgar wyciągnął przed siebie drżące ręce, w których lśniło ostrze noża.

– Jestem chory – powtórzył. – Jestem zbrojcem. Nie zasługuję na to, żeby żyć... Nie mogę znieść tego chaosu...

Ostrze mignęło w przyćmionym blasku latarni, kierując się najpierw w górę, a następnie w dół – prosto w brzuch Ansgara. Cios zadany przez Fabela zachwiał Ansgarem i rzucił go na ścianę budynku. Nóż z brzękiem upadł na chodnik.

– Nieprawda – powiedział Fabel, przewracając Ansgara na brzuch, wykręcając mu do tyłu ręce i zakładając kajdanki. – Już jednego straciłem w ten sposób.

## 2

Kto w końcu jest mordercą? – zapytał Scholz. – Mam cholerę zamęt w głowie. Zdobyliśmy dowód, że w dziewięćdziesiątym dziewiątym Verę Reinartz zgwałcił Lüdeke, a teraz przybył nam Ansgar Hoefler, który szwendał się pod jej domem i jest gotów się przyznać.

– Na razie nie wiemy, do czego miałyby się przyznać – zauważył Fabel.

– Cóż, chyba możemy się pokusić o pewne przypuszczenia... Przeszukanie jego mieszkania ujawniło sporo ciekawych rzeczy. – Scholz wskazał pełen dowodów karton na biurku. – Sprawdziliśmy też pobieżnie jego komputer. Do trzech razy sztuka, jaka była jego ulubiona strona?

– „Anthropophagi”?

– Trafieś za pierwszym razem.

Fabel zajrzał do kartonu z dowodami. Kilka pisemek, kilka płyt DVD, jakieś stare kasety VHS. Przeczytał tytuły niektórych filmów. Wszystkie były wariacjami na ten sam temat: *Kobiety-zombie pożerają ludzi, Kanibale na Lesbos, Pokarm dla demonicznych kobiet*.

– No i co? – zapytał Scholz. – Znalazłeś coś, co chciałbyś

wypożyczyć?

– Coś tu nie gra. Coś mi nie pasuje. Porozmawiajmy z nim. A na razie Tansu powinna zostać pod domem Andrei Sandow. Przynajmniej do północy. Poinformowałaś ją, co się wydarzyło?

– Tak... Powiedziała, że nie musi iść na imprezę.

Fabel zmierzył Scholza wzrokiem od stóp do głów.

– A tak przy okazji – powiedział rozbawiony. – Pomyśl może o zdjęciu tej spódnicy, zanim zaczniemy go przesłuchiwać...

Fablowi było szczerze żal Ansgara Hoeffera, który siedział w pokoju przesłuchań smutny i blady, z twarzą podrapaną po spotkaniu ze ścianą, zafundowanym mu przez Fabela.

– Dlaczego wystawałeś pod mieszkaniem Andrei Sandow? – zapytał Scholz.

– Chciałem się z nią zobaczyć. Musiałem... – Urwał w pół zdania.

– Co musiałeś? – zapytał Fabel.

– Mam słabość...

– Do kanibalizmu? – przerwał mu Scholz. Ansgar spojrzał na niego zaskoczony.

– Skąd wiecie?

– Nie bądź głupi, Ansgar – rzucił Scholz. – Wiesz przecież, dlaczego się tu znalazłeś. Przejrzeliśmy twoją kolekcję filmów.

– Myślałem, że nie robię nic nielegalnego... – Ansgar patrzył błagalnie na policjantów.

Scholz zamierzał już coś powiedzieć, ale Fabel wszedł mu w słowo. Wszystko zaczęło mu się układać.

– Posłuchaj, Ansgar, wiesz, kim jest Vera Reinartz?

– Nie...

– Tak myślałem. Ale Andreę Sandow znasz?

– Znam ją jako Andreę. Andreę Amazonkę. Nie widziałem jej od tamtego czasu. Teraz, w zeszłym tygodniu, całkiem przypadkiem... no i poszedłem za nią. Dowiedziałem się, gdzie pracuje. I gdzie mieszka.

– Kiedy spotkałeś ją po raz pierwszy?

– Spotkałem się z nią tylko raz. Trzy lata temu. Wziąłem ją z agencji towarzyskiej. „À la Carte”. Zapłaciłem jej...

Schulz wymienił spojrzenia z Fablem.

– Zapłaciłeś jej... A za co jej zapłaciłeś, Ansgar?  
– Mogę wam pokazać... – Ansgar wstał, rozpiął pasek od spodni, obrócił się i opuścił spodnie i slipy, pokazując pośladki.

### 3

Tansu siedziała w samochodzie i wpatrywała się w rozświetlone okno mieszkania Andrei. Nudziło się jej i myślała o dzieciątkach lepszych sposobów na spędzenie Karnawałowej Nocy Kobiet. Ale taki był już los policjantki – strzec i chronić. Otuchy dodawał jej fakt, że niezależnie od tego, czy to Lüdeke, czy Ho-effer był mordercą, na ulicach powinno dziś być bezpieczniej. Andrea będzie bezpieczna.

W oknie coś mignęło. Tansu roześmiała się cicho. Musiało jej się wydawać. Chociaż mogłaby przysiąc, że... Nie, to jakieś szaleństwo. Światło zgasło. Tansu sięgnęła do radia. Nie. Nie ma o czym meldować. To, co wydawało jej się, że widziała, nie miało sensu. Andrea pewnie po prostu położyła się spać, chcąc mieć tę noc już za sobą. Tansu mimo wszystko postanowiła to sprawdzić.

Ulica wciąż pełna była ludzi i Tansu z trudem przecisnęła się przez tłum przebierańców do drzwi bloku Andrei. Nacisnęła przycisk domofonu i odczekała minutę. Nikt nie odpowiedział. Miała właśnie zadzwonić ponownie, kiedy na schodach zobaczyła schodzącą grupkę rozbawionych ludzi. Przytrzymała otwarte przez nich drzwi i weszła na klatkę schodową.

Zapukała do drzwi. Nie było żadnej odpowiedzi. Zapukała głośniejsze.

– Andrea! – zawołała przez zamknięte drzwi. – Andrea! To ja, komisarz Bakrac z policji kryminalnej. Wpuść mnie!

Nadal nie było żadnego odzewu, ale tym razem Tansu dosłyszała jakieś dźwięki dochodzące ze środka. Serce zaczęło jej szybciej bić: a jeśli to nie były zwidy, jeśli rzeczywiście widziała w oknie to, co jej się zdawało, że widzi? Wyjęła z kabury pistolet, odbezpieczyła go i skierowała wylot lufy w sufit.

– Andrea! Myślę, że jesteś w niebezpieczeństwie. Wchodzę. – Tansu cofnęła się o krok i zaczerpnęła głęboko powietrza.

Kopnęła w drzwi. Jeszcze raz. Drewniana futryna rozłupała się; drzwi stały otworem. Widziała teraz cały przedpokój, ale pozostałe pomieszczenia tonęły w ciemnościach. Przez moment zastanawiała się, czy tracić cenne sekundy na wzywianie wsparcia. W tym czasie Andrea mogła zginąć. Wślizgnęła się do wnętrza i przywarła plecami do ściany. Straciła wiszącą na haczyku fotografię, która z hukiem spadła na podłogę. Tansu spojrzała w dół – przedstawiała młodą, ładną kobietę z długimi, brązowymi włosami ubraną w luźną letnią sukienkę. To była Vera, nim spaskudziła sobie ciało kulturystką i sterydami. Nim przeistoczyła się w Andreeę. Nim zgwałcił ją ten bydlak Lüdeke.

– Andrea? – Tansu zajrzała do pierwszego pomieszczenia, celując z pistoletu w otaczającą ją ciemność. Nic. Ale przecież słyszała ją w mieszkaniu. Słyszała kogoś. Wycofała się szybko do przedpokoju. Drzwi do kolejnego pokoju były zamknięte. Sięgnęła do klamki, ale drzwi nagle otworzyły się same i z pokoju wypadła jakaś postać. Zrobiła dwa kroki i wpadła wprost na Tansu. Nieoczekiwane pojawienie się klauna zbiło Tansu z tropu na chwilę wystarczająco długą, żeby zdążył złapać ją za nadgarstek dłoni, w której trzymała broń. Zatoczyła się do tyłu, ale klaun trzymał ją mocno. Uderzał teraz jej ręką o futrynę raz za razem, aż wreszcie rozluźniła palce i pistolet upadł na podłogę. Próbowwała trafić pięścią drugiej ręki w głowę klauna, ale on bez trudu zablokował cios przedramieniem. Bezowocnie próbowała wyswobodzić rękę z uścisku. Klaun złapał ją za gardło i ze straszliwą siłą przydusił do ściany. Uderzenie pozbaвило Tansu tchu. Z trudem łapała powietrze. Klaun puścił jej gardło i wbił pięść w jej brzuch, tuż poniżej splotu słonecznego, pozbawiając ją tchu tym razem na dobre.

Nagle Tansu poczuła, że klaun zakłada jej na szyję pętlę. Kiedy zacisnął węzeł, Tansu pozostało już tylko patrzeć mu prosto w twarz.

W groteskową twarz klauna.

Fabel i Scholz bieгли korytarzem i zjechali windą na parking.

– Nie przedrzemy się przez tłum – wyjaśnił Scholz. – Weźmiemy dużą furgonetkę MEK-u i pojedziemy na sygnale. Wtedy wody się przed nami rozstąpią. – Jeszcze raz spróbował wywołać Tansu. Bez efektu. – Na miejsce jadą już patrol z okolicy. Wiedziałeś, prawda? Tylko skąd wiedziałeś?

– O Ansgarze? To jego porno mi nie pasowało. Istnieją dwa rodzaje worarefilii, jeden, kiedy człowiek fantazjuje, że zjada innego człowieka, i drugi, kiedy fantazjuje, że jest sam zjadany. Ten drugi jest dużo bardziej rozpowszechniony. Wszystkie filmy, które znaleźliśmy w mieszkaniu Hoeffera, przedstawiały kobiety zjadające mężczyzn. No i wreszcie mamy związek między gwałtem a morderstwami. Ścisły związek. Przyczynowo-skutkowy. Mam tylko nadzieję, że dotrzemy na miejsce na czas...

Tansu okładała pięściami i kopała napastnika, ale czuła, że słabnie. Zebrała resztki sił na wykonanie jednej, decydującej akcji. Wbiła wyprostowane, sztywne palce wolnej ręki wprost w oczy klauna. Klaun chwycił się za oko i przestał tak mocno ścisnąć Tansu za gardło. Policjantka kopnęła go w brzuch. Klaun zachwiał się i tym razem Tansu wymierzyła kopniaka wprost w krocze, ale trafiła w górną część uda. Zerwała z szyi pętlę. Tak jak się spodziewała, był to męski krawat. Rzuciła się na podłogę, sięgając po leżący pistolet. Nagle poczuła, jakby runął na nią cały budynek. To klaun rzucił się jej na plecy, pozabawiając ją na długą chwilę tchu. Obrócił ją i objął dłońmi jej szyję. Ale nie zacisnął palców. Zrezygnował, czując na podbródku wylot lufy pistoletu trzymanego przez Tansu.

– Daj mi tylko pretekst – wyszczała przez zaciśnięte. – Po tym, co zrobiłeś tym wszystkim kobietom. Gdzie jest Andrea?

Tansu usłyszała tupot nóg na schodach i drzwi mieszkania otworzyły się z hukiem. Do przedpokoju wpadli umundurowani



policjanci, chwycili klauna, przycisnęli do podłogi i skuli mu ręce za plecami.

Tansu szybko się pozbierała.

– Pytałam, gdzie jest Andrea?

– To jest Andrea... – Tansu obejrzała się za siebie i zobaczyła Fabla i Scholza. Spojrzała na leżącego klauna. Męska budowa ciała. Mocno zarysowana szczeka.

– Nie wierzę...

– To prawda – powiedział Scholz. – Dlatego w miejscach, gdzie popełniono morderstwa, nie znaleźliśmy spermy.

– To ona zabiła tamte kobiety?

– Wszystkie. Ale pierwszą zabiła samą siebie. Verę Reinartz.

Zrobili krok w tył, kiedy policjanci stawiali Andreeę na nogi. Patrzyła na nich pustym wzrokiem, a jedyną wyrażaną przez nią emocją był wymalowany na twarzy uśmiech klauna. Policjanci wyprowadzili ją z mieszkania.

– Między gwałtem a morderstwami istniał związek. Mówiłem to już Benniemu: przyczynowo-skutkowy. Lüdeke zgwałcił Andreeę i poddał swoim perwersyjnym żądom, wielokrotnie ją gryząc. Andrea zniechęciła się, a raczej siebie w postaci Very, i zaczęła naśladować Lüdekego. Tyle że posunęła się dalej. Wycinała ofiarom kawałki ciała i zjadała je. Ta perwersyjna skłonność pojawiła się u niej po spotkaniu z Ansgarem Hoeffrem.

– To Jan na to wpadł – wyjaśnił Scholz. – Przyjechaliśmy natychmiast, żeby cię ratować, ale jak widzę, nie potrzebowałaś naszej pomocy.

– Niewiele brakowało – odparła Tansu, pocierając szyję.

– Potrzebujesz lekarza? – zapytał Fabel.

– Nie, potrzebuję barmana. Chociaż pewnie teraz czeka nas papierkowa robota.

Bar był niewielki, tętniący życiem i głośny. Tego właśnie Fabel potrzebował. Była trzecia nad ranem, a zabawa trwała w najlepsze. Scholz, Fabel i Tansu musieli nisko się pochylać,

żeby dosłyszeć swoje słowa w tym hałasie.

Andrea trafiła do celi. Scholz załatwił badanie psychiatryczne w możliwie krótkim terminie. Czyli nie wcześniej niż następnego dnia. Nawet psychiatrzy mają prawo do wariactwa w czasie karnawału. Fabel i Scholz opowiedzieli Tansu o ranach na pośladkach Ansgara i jego seksualnym uzależnieniu od bycia gryzionym. O tym, jak agencja „À la Carte”, słynąca z zaspokajania najbardziej niezwykłych potrzeb swoich klientów, zwerbowała do pracy Andreeę i jak Ansgar stał się na jedną noc jej klientem.

Andrea siedziała teraz w celi milcząca, nie chciała odpowiadać na pytania, nie reagowała na nic. Fabel zastanawiał się, czy ona w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co zrobiła. W mieszkaniu znaleźli jej dziennik: zwykle egocentryczne bredzenie, które sugerowało jednak, że klaun uważał się za mężczyznę i był kimś zupełnie różnym od Andrei. Klaun wyparł tożsamość Andrei, tak jak ona wcześniej wyparła tożsamość Very Reinartz.

– Wieloraka osobowość? – Tansu zdziwiła się. – Myślałam, że to wszystko było udawane.

– Poprawna nazwa brzmi: zaburzenie dysocjacyjne tożsamości – poprawił ją Fabel. – Amerykanie traktują je bardzo poważnie, ale już psychiatrzy w Europie nie są tak pewni. Założę się jednak, że Andrea wykorzysta to, broniąc się przed więzieniem. To milczenie w celi może być tego zapowiedzią.

Siedzieli w końcu baru. Fabel zauważył, że jego szklana *Stange* jest regularnie napełniana kölschem, mimo że o to nie prosi. Uśmiechał się, słuchając wrzaskliwych piosenek w dialekcie, którego nie rozumiał, i z pełnym zadowoleniem stwierdził, że chyba się upił. Obok niego siedziała Tansu. Za każdym razem kiedy się pochylała, żeby mu coś powiedzieć, czuł ciepło bijące od jej ciała.

– Benni powiedział, że rozgryzłeś Andreeę? – zapytała. – Jak?

– Złożyło się na to kilka rzeczy. Na przykład to, jak mówiłaś o tym, że Kolońska Dziewica jest mężczyzną. W karnawale każdy staje się kimś innym i uwalnia to, co tkwi w nim szczelnie ukryte przez pozostałą część roku. Było w Andrei coś, co od samego początku mnie niepokoiło. Kiedy zwiedzałem katedrę,

jakiś turysta zapytał mnie, dlaczego na jednym z witraży widnieje podobizna nosorożca. Ten symbol siły i słusznego gniewu jest jedną z metafor zmartwychwstania. Taka też była Andrea. Mordowała tamte kobiety, bo przypominały jej ją samą z przeszłości, Verę. Verę zamordowała w sposób legalny, zmieniając tożsamość, a potem mordowała ją co dnia, poddając ciało katuszom. A ostatnim ważnym tropem był spory kawałek ciała, którego brakowało w pośladku Ansgara Hoeffera. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby to wszystko połączyć w całość.

Przestali rozmawiać o śledztwie, a Fabel czuł, że zapada się coraz głębiej w przyjemny stan upojenia. W panującym w barze hałasie trudno było cokolwiek usłyszeć, więc prawie się nie odzywali. Dołączyła do nich kolejna grupa policjantów i wspólnie ustalono, że najwyższy czas zmienić lokal. Fabel zauważył, jak Scholz znika za drzwiami pubu w towarzystwie ślicznej młodej kobiety w przebraniu zakonnicy.

– To Simone Schilling – wyjaśniła Tansu. – Szefowa naszego laboratorium kryminalistycznego...

Fabel dał się ponieść wartkiemu strumieniowi ciał, który wyniósł go z pubu na zewnątrz. Ulica tętniła życiem, tłum ludzi przemieszczał się tam i z powrotem. W pewnym momencie Fabel zdał sobie sprawę, że oddzielił się od grupki policjantów i dryfuje w morzu przebierańców. Nocne powietrze sprawiło, że poczuł się jeszcze bardziej zawiany. Powrócił odwieczny lęk przed utratą kontroli nad sobą.

– Bałam się, że cię zgubiliśmy... – Odwrócił się i zobaczył obok siebie Tansu. – Lepiej poszukajmy jakiegoś spokojniejszego miejsca. Ale najpierw, zgodnie z tradycją Karnawałowej Nocy Kobiet, domagam się całusa...

– Cóż... – Fabel uśmiechnął się promiennie. – Skoro tak stanowi prawo... – Pochylił się, żeby złożyć niewinny pocałunek na policzku Tansu, ale ona ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła go do siebie. Po chwili czuł w ustach jej język.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### 24–28 lutego

#### 1

Paliło się światło. Maria obudziła się zziębnięta i obolała. Dreszcze i ból współgrały ze sobą niczym sekcja smyczków ćwicząca nieustanne glissando, ale ton nadawała wciąż jeszcze niezagojona rana na czole po uderzeniu pistoletem. Przez chwilę zdawało jej się, że znów włączyli agregat chłodni, ale szybko pojęła, że tak reaguje jej umęczone ciało. Dla Marii zimno nie oznaczało już śmierci. Oznaczało, że wciąż czuje. Oznaczało życie.

Złamali mnie, pomyślała w duchu. Zdawała sobie sprawę, że teraz myśli i czuje inaczej niż wcześniej. Leżała i myślała o Marii Klee jak o swojej znajomej, a nie o sobie samej. Może Maria Klee była już martwa, ale ta jej cząstka, która przeżyła, nie zamierzała się poddać. Leżąc w pustej chłodni, potłuczona i połamana, wiedziała, że jedyną szansą na przeżycie jest oddzielenie się od własnego ciała, koncentracja i wykorzystanie całej wewnętrznej siły, jaka jej jeszcze pozostała, do obmyślenia sposobu wykaraskania się z tej sytuacji.

Z trudem wstała, owinęła się szczelnie kocem i podeszła do ciężkich stalowych drzwi. Przyłożyła ucho do chłodnego metalu, ale drzwi były zbyt grube, by przedostał się przez nie jakikolwiek dźwięk z zewnątrz. Obeszła dookoła całą chłodnię w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za broń, ale nie znalazła niczego. Zresztą gdyby nawet znalazła, trudno uwierzyć, że taka zaimprovizowana broń da jej jakiegokolwiek szansę w starciu z Nosem i jego pistoletem. Wróciła na łóżko, usiadła i zaczęła rozmyślać nad swoją sytuacją. Karmili ją. A to znaczyło, że Witrenko zamierzał z jakiegoś powodu utrzymać ją przy życiu, choć pewnie tylko przez kilka dni. Ostrożnie do-

tknęła zgrubienia na czole i zdała sobie sprawę, że powinna spojrzeć na swoją sytuację z innej strony. Była zakładniczką. Trudno, żeby przetrzymywali ją w bardziej odpowiednich warunkach. Była tylko kawałkiem mięsa, które trzeba przechować do czasu, aż znajdzie się sposób na jego odpowiednie wykorzystanie.

Następny posiłek przyniosła Olga Sarapenko. Pewnie pełnili dyżury na zmianę. Jeśli miała podjąć próbę ucieczki, to podczas zmiany tej suki Sarapenko. Zdawała sobie sprawę, że z Nossem nigdy jej się nie uda. Nawet gdyby była w pełni sprawna, nie wiadomo, czy poradziłaby sobie z Olgą. Lata spędzone w wydziale zabójstw nauczyły ją jednak, że każdy jest w stanie zabić drugiego człowieka. Nie siła była do tego potrzebna, tylko zamiar. No, i trzeba się jeszcze wyzbyć hamulców.

Dobrze wiedziała, że nawet jeśli Witrenko zamierzał użyć jej jako karty przetargowej, to i tak nie pozostawi jej przy życiu. I kiedy Maria spełni wszystkie jego żądania, zabije ją w sposób pasujący do jego zбочzonej wizji sprawiedliwości. Śmierć będzie powolna i bolesna. Wróciła myślami do bieżącej sytuacji. Musi uciec przed Witrenką i Iosem, który zamierzał jej zgotować. W grę wchodziły dwa rozwiązania – albo się uwolni, albo zginie przy próbie ucieczki. Tak czy owak, ucieknie, jeśli nie ciałem, to duchem.

Jej plan zaczynał nabierać realnych kształtów.

Istniała szansa, że Nos lub Olga są sami w budynku. Cała ta zabawa ze śledzeniem Witrenki działała teraz na jej korzyść. Chociaż mogło być inaczej. Witrenko podejrzewał Mołokowa o zdradę, i dlatego umieścił przed jego domem kamery. Mołokow chodził z wyrokiem śmierci na długo, nim na scenie pojawiła się Maria. Witrenko mówił, że operacja Buslenki miała zostać naprawdę przeprowadzona, tyle że Buslenko został zdradzony. Pewnie Olga Sarapenko była jednym z członków jego oddziału.

Nie widziała żadnego innego strażnika. Kiedy Sarapenko czy Nos przynosili posiłek, nie słyszała żadnych dźwięków zza otwartych drzwi. W najgorszym razie Nos był pod drzwiami, kiedy Sarapenko wchodziła do chłodni. Maria rozważała bez

końca kolejne scenariusze i szukała sposobu na obezwładnienie Olgi. Tyle że Sarapenko i Nos byli pewnie przygotowani na każdy scenariusz. Mogli spodziewać się, że Maria ukryje się za drzwiami, że będzie udawać chorą lub martwą albo że znieoczekiwanego. Musiała wymyślić coś nadzwyczajnego, nieoczekiwanego. Musiało się to rozegrać, kiedy Olga przyniesie posiłek. Maria z gorzką ironią pomyślała, że jedzenie, którego tak unikała, dawało jej teraz jedyną szansę na przeżycie. Przypomniała sobie, ile razy wymiotowała, żeby pozbyć się ciężącego jej pokarmu. Do jakiej perfekcji doszła w wywoływaniu u siebie wymiotów. I wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Policzyła, że do następnego posiłku pozostały cztery, może pięć godzin. Musiała mądrze wykorzystać ten czas.

## 2

Na promienie światła, które przedarły się przez szparę w zasłonach, przecinając pokój na pół, Fabel zareagował mrużeniem. Bolała go głowa, w ustach czuł suchość, miał obłożony język. Podparł się na łokciach. Leżał sam w szerokim łóżku. W powietrzu unosił się zapach kawy, ale o bogatszym, pełniejszym aromacie niż ta, którą zwykle pijał. Spojrzał na wiszący na ścianie naprzeciwko plakat. Przedstawiał krajobraz jak z innej planety: smukłe skaliste wieże nakryte stożkowatym kamieniem o ciemniejszej barwie. Promienie wschodzącego słońca barwiły wieże czerwienią i złotem. W kilku wykute były okna, co nadawało im wygląd domów zamieszkałych przez jakieś chochliki.

– To Kapadocja – powiedziała wracająca z kuchni Tansu. Miała na sobie jedwabny szlafrok opinający ją ciasno. – Baśniowe Kominy. Byłeś kiedyś w Turcji? – Usiadła na brzegu łóżka i podała mu kawę.

– Dzięki – powiedział Fabel. – Nie... Nigdy nie byłem. Posłuchaj Tansu...

Uśmiechnęła się i położyła palec na jego wargach.

– Wypij kawę. Poczujesz się lepiej. Kac?

- Trochę... Zwykle tyle nie piję.
- To jest właśnie cały karnawał, można sobie pozwolić na więcej. – Energicznie podniosła się z łóżka. – Idę pod prysznic. Zjedz śniadanie.
- Nie jestem głodny – odparł Fabel. – Lepiej już sobie pójdę. Pomyślałem, że kupię coś dla swojej córki. Jakaś pamiątkę z Kolonii.
- Jesteś żonaty? – zapytała Tansu tonem, który zdradzał, że niewiele ją to obchodziło.
- Rozwiedziony.
- Nielatwo będzie znaleźć jakiś otwarty sklep. Spróbuj na Hohestraße.

Jaskrawe światło dnia sprawiło, że pulsowanie w głowie Fabla zaczęło narastać. Wrócił do hotelu. Pracownicy w recepcji mieli jasnoczerwone peruki i sztuczne nosy. Ze zrzędlivym niezadowolaniem stwierdził, że ci ludzie nie wiedzą, kiedy przestać. Chciałby już być w domu. W Hamburgu. Chciałby porozmawiać z Susanne i zostawić to wszystko za sobą. Także Tansu. Ale najpierw musiał odnaleźć Marię i ją też sprowadzić do domu.

Wziął prysznic, przebrał się w świeży kaszmirowy golf i sztruksy. Marynarka była przesiąknięta dymem papierosowym, więc odwiesił ją, żeby się przewietrzyła. Włożył płaszcz i wyszedł. Próbował dodzwonić się do Susanne do pracy, ale kiedy odezwała się automatyczna sekretarka, rozłączył się, nie pozostawiając żadnej wiadomości. Zadzwoił do Scholza na komórkę. Scholz zaproponował, żeby spotkali się w komendzie i zjedli w kantine lunch. Ponieważ trudno było o taksówkę, Scholz miał przysłać po Fabla radiowóz.

Kiedy dotarł do komendy, ochrona skierowała go na parking, gdzie dekorowano właśnie olbrzymią platformę na kołach. Scholz prowadził ożywioną debatę z jakimś wysokim i szczupłym umundurowanym funkcjonariuszem. Właściwie był to bardzo ożywiony monolog Scholza. Policjant stał oparty o platformę i kiwał tylko ze znużeniem głową.

- Cholerny karnawał – przywitał Fabla. – Jak się wczoraj

bawiłeś?

Fabel przyjrzał się twarzy Scholza, szukając cienia sarkazmu. Nie znalazł go. Dziękował teraz Bogu, że Scholz zniknął wcześniej i nie wiedział, co zaszło między nim a Tansu.

– Świetnie. Zasłużyliśmy na świętowanie. Jesteś gotowy do ponownego przesłuchania Andrei Sandow?

– Zjedźmy najpierw lunch.

Ruszyli do windy, ale Fabel odwrócił się jeszcze i spojrzął na platformę.

– Wygląda jak średniowieczna machina wojenna. Mógłbyś ukryć pod nią całą armię. Może powinieneś być zbudować konia trojańskiego?

Ponury uśmiech Scholza powiedział Fabelowi, że karnawałowa platforma policji nie jest dobrym tematem do żartów.

– Do tej pory nie udało się niczego wyciągnąć z tej Sandow. Przygotuj się na bezowocne popołudnie. Udało mi się już załatwić psychiatrę. Przyjdzie później i ją przebadają.

W kantynie zajęli miejsce przy oknie. Fabel zamówił kawę i kanapkę z szynką. Nie miał apetytu. Przyczyną był kac połączony z narastającą w nim w toku śledztwa awersją do mięsa. Usiadł przy oknie wychodzącym na obce mu miasto, w którym toczyło się obce mu życie. Tęsknił za domem, ale wiedział, że będzie wracał do Kolonii. Że będzie musiał wracać. To miasto nie pozwalało o sobie zapomnieć.

– Słuchaj, Benni – zwrócił się do Scholza. – Ja dotrzymałem umowy. Pomogłem ci znaleźć kanibala. Teraz twoja kolej. Martwię się o Marię Klee. Żeby ją odnaleźć, potrzebna mi twoja pomoc. I zapomnij o zachowaniu dyskrecji. Mam zamiar powiadomić też BKA. Jeśli jej szybko nie znajdziemy, zdradzi się czymś przed Witrenką i zginie.

– Już się tym zająłem. – Scholz uśmiechnął się. – Widzisz, dotrzymuję obietnic. Kazałem służbie patrolowej sprawdzić wszystkie hotele. Zrobiłem kopie zdjęcia, które mi dałeś, i uprzedziłem swoich ludzi, że mogła ufarbować włosy na czarno.

– Dzięki, Benni. Ja też pójde jej szukać.

– Ty mi jesteś potrzebny tutaj. Przynajmniej przez kilka dni.



Musisz mi pomóc w przesłuchaniu Andrei Sandow. Ale to nie powinno zająć dużo czasu, bo jestem pewny, że nie wydobędziemy z niej ani słowa. Jednocześnie będziemy koordynować akcję poszukiwawczą.

Po lunchu zeszli do pokoju przesłuchań. Wprowadzono Andree Sandow, pozbawioną grubej warstwy makijażu, z zebranymi z tyłu włosami. Jej nieumalowana twarz przybrała jeszcze bardziej męski wygląd. Scholz rozpoczął przesłuchanie, ale Andrea nie przerwała milczenia i wpatrywała się nieruchomo i uporczywie w Fabla. Po dwudziestu bezproduktywnych minutach Scholz i Fabel zrezygnowali.

– Zobaczymy, co powie psychiatra – odezwał się Scholz. – Ale widać gołym okiem, że Andrea ma coś do ciebie. Zachowywała się, jakby mnie tam w ogóle nie było.

– Tak – przyznał Fabel. – Ale mam wrażenie, że moja obecność tylko pogarsza sytuację.

– Zrób sobie już wolne. Wyglądasz na zmęczonego po dzisiejszej nocy.

– Ale Maria...

– Ponaglę swoich ludzi i kiedy wrócisz, będzie już wiadomo, czy wpadli na jakiś trop – uspokoił go Scholz. – A teraz idź odpocząć. W końcu zakończyłeś swoje ostatnie śledztwo.

Fabel uśmiechnął się blade.

– Pewnie masz rację. Potrzebuję trochę odpoczynku.

Fabel z wdzięcznością przyjął propozycję podwiezienia go do hotelu radiowozem.

– Może mnie pan wysadzić na końcu Hohestraße? – poprosił kierowcę. – Chciałbym zrobić jakieś zakupy.

Choć część sklepów była otwarta, w mieście panowała karnawałowa atmosfera. Fabel rozumiał teraz, dlaczego ten okres nazywa się „szalonymi dniami”. Szybko porzucił nadzieję na znalezienie prezentu dla swojej córki Gabi.

Zadzwoił jego telefon komórkowy.

– Dostałem meldunek od jednego z patroli – odezwał się w słuchawce Scholz. – Wygląda na to, że Maria Klee w sobotę czwartego lutego wymeldowała się z kolejnego hotelu. Rozpytywanie w innych hotelach nie przyniosło skutku. Jakby zapadła

się pod ziemię. Jesteś pewny, że nie wróciła do Hamburga?

– Zaczekaj chwilę... – Z naprzeciwka zbliżała się grupka rozbawionych ludzi i Fabel musiał zejść im z drogi. – Nie, to niemożliwe. Jedna z moich współpracownic, Anna Wolff, regularnie sprawdza, czy Maria się nie pojawiła... zaczekaj chwilę... – Rozochocona grupka otoczyła kręgiem Fabela. Jeden z mężczyzn zonglował trzema złotymi piłeczkami. – Przepraszam – zwrócił się do nich Fabel. – Ja rozmawiam. – Zauważył, że wszyscy byli ubrani na czarno i nosili takie same maski, nie typowo karnawałowe, ale takie, jakie się nosi podczas karnawału w Wenecji: złote, gładkie, pozbawione wyrazu. Żongler wzruszył bez słowa ramionami i cofnął się.

– Jak już mówiłem – ciągnął Fabel – wiedziałbym, że Maria pojawiła się w Hamburgu. Zaczynam się naprawdę martwić, Benni.

– Nie ma potrzeby, ja się tym zajmę.

Fabel zamknął telefon i grupka wesółków znów otoczyła go ciasnym kręgiem. Żongler zbliżył się i przekrzywiając na boki skrytą za maską głowę, przyglądał się Fabelowi.

– Zjeżdżajcie, nie bawi mnie to – warknął Fabel.

– Nie chce pan zobaczyć fajnej sztuczki? – zapytał żongler. Fabelowi zdawało się, że usłyszał w jego głosie obcy akcent. Nagle poczuł, jak pozostali chwytają go za ramiona i przygniatają do ściany.

– Znam świetną sztuczkę... – Żongler bez przerwy przekrzywiał głowę. – Potrafię sprawić, że pieprzony gliniarz z Hamburga zniknie. – Fabel szarpnął się, ale pozostali trzymali go mocno, śmiejąc się przy tym jowialnie. Z boku pod żebrami poczuł przytknięte ostrze noża. Spojrzał przez ramię żonglera, szukając wzrokiem przechodniów. Znikąd żadnej pomocy. Zginie, nim ktokolwiek usłyszy jego wołanie. Zawsze umiera się w samotności, pomyślał.

Żonglerzy wykonali przed nim błazeński taniec. Fabel nie był pewny, czy to dla odwrócenia uwagi przechodniów, czy specjalnie dla niego.

– Potrafię sprawić, że ludzie znikają – powtórzył żongler. – Mogę sprawić, że teraz znikniesz ty.

– Czego chcesz, Witrenko?

– Dlaczego myślisz, że to ja nazywam się Witrenko? Jest nas tu wielu.

– Dlatego że jesteś pieprzonym egocentrykiem i takie występy cię rajcują – odparł Fabel. – Dlatego że ze wszystkiego musisz robić przedstawienie. Tak jak wtedy, gdy zabiłeś tamtych ludzi w Hamburgu. Tak jak musiałeś się upewnić, że będę świadkiem, kiedy mordowałeś swojego ojca.

Zongler zbliżył zasłoniętą maską twarz do twarzy Fabla.

– W takim razie wiesz, że ta twoja suka będzie cierpiała przed śmiercią. Mam ją. Chcę dostać dossier. Daj mi je, kompletne i nieokrojone, albo odeślę ci Marię Klee w kawałkach.

– Nie mogę tak po prostu zabrać dossier. Żeby je wziąć do ręki, trzeba się zarejestrować.

– Masz swoje sposoby, Fabel. Przecież rzuciłeś pracę w policji, co to dla ciebie za różnica? Jeśli nie dostarczysz mi pełnej wersji dossier, ja dostarczę ci Marię Klee w jednokilogramowych porcjach. I wierz mi, wykorzystam wszystkie swoje umiejętności, żeby przez większą część tej rzeźniczej roboty wciąż jeszcze żyła.

– Kiedy? – zapytał Fabel.

– Niech to się odbędzie w świątecznym nastroju. W Róznany Poniedziałek. W czasie procesji. Czekaj na rogu Komödienstraße i Tunisstraße. Ktoś odbierze od ciebie dossier. Będzie nosił taką samą maskę.

– Przekażę je tylko tobie.

– Nawet nie wiesz, jak teraz wyglądam. To może być ktokolwiek, ukryty za taką maską.

– Ja będę wiedział. Dzisiaj też wiedziałem. Nikomu innemu nie przekażę dossier.

Zongler roześmiał się. Jego śmiech stłumiła maska.

– Mam się dać złapać w tak prymitywną pułapkę?

– Nie będzie żadnej pułapki. Oddasz mi Marię i nasze drogi rozejdą się na zawsze.

– Pan mnie rozczarowuje, Herr Fabel. Jeśli sobie życzysz, dostarczę ci do hotelu kawałek Frau Klee, żeby dowieść, że jest w moich rękach. I pokazać, na co mnie stać...

– Wierzę, że jest w twoich rękach. Nie krzywdź jej, zrobię to, o co prosisz.

– To dobrze. Ale ostrzegam cię, jeśli będę miał chociażby cień podejrzenia, że zaangażowałeś w to policję, pokroję Frau Klee żywcem. To nie jest żadna przenośnia. Zrozumiałeś?

Fabel kiwnął głową. Został brutalnie popchnięty i upadł na chodnik. Jacyś przechodnie pomogli mu wstać, a w tym czasie ostatni z zamaskowanych mężczyzn zniknął w tłumie.

### 3

Na dźwięk otwierających się z głuchym szczękiem drzwi chłodzi serce Marii zaczęło bić szybciej. Teraz wszystko zależało od tego, czy w progu pojawi się z posiłkiem Nos, czy Sarapenko. Właściwie trudno było to nazwać posiłkiem. Porcje były wyjątkowo małe, zapewniające tylko przeżycie, a wszystko po to, żeby złamać jej opór i zmącić myśli. Ta prawie głodowa dieta w połączeniu z nieregularnym gaszeniem i zapalaniem światła miały ją kompletnie zdezorientować. Drzwi się otwarły. Nie spojrzała, kto wchodzi. Decyzja, czy zaatakować, czy nie, zabić, czy nie, musiała zostać podjęta w ostatnim momencie. Znała ustalony porządek rzeczy: naczynie zostanie postawione na podłodze, a przynosząca je osoba omiecie lufą broni pomieszczenie, by w końcu skierować ją w stronę Marii.

Maria klęczała, ściskając się rękami za brzuch i z trudem łapiąc powietrze.

– Niedobrze mi... – odezwała się, nie podnosząc głowy. Wiedziała, że Witrenko dał im wyraźne polecenie utrzymania Marii przy życiu. Usłyszała odgłos zbliżających się kroków.

– Mam lekarstwo... – wyjęczała. – W płaszczu... proszę, pomóż mi. – Nie chciała, żeby drzwi zostały zamknięte. Ani żeby jej strażnik skontaktował się z Witrenką i zapytał o instrukcje. Dawała mu gotowe rozwiązanie problemu. Liczyła na to, że jej rzeczy wciąż gdzieś tu są. Tabletki, które miała w płaszczu, były lekiem antydepresyjnym przepisany jej przez doktora Minksa. Kroki ustały. Udawanie choroby było często spotykanym wybiegiem. Maria przewidziała, że strażnik

może mieć wątpliwości, przytknęła więc dłoń do ust, jakby miała za chwilę zwymiotować, i dyskretnie włożyła palec do gardła. Reakcja była gwałtowna. Po mizernym posiłku zjedzonym Bóg wie ile godzin temu w żołądku pozostało niewiele, ale dość, żeby zabrudzić podłogę, dowodząc tym samym, że Maria jest rzeczywiście chora. Skończyła wymiotować, położyła się na boku i przymknęła powieki. Znów rozległ się odgłos kroków i po chwili poczuła na żebrach dotyk czubka buta. Udało jej się do tego stopnia oddzielić od własnego ciała, że nawet się nie skrzywiła. Nastąpiła cisza. Strażnik próbował zapewne ocenić ryzyko: jakie zagrożenie mogła stanowić przytomna Maria? Kolejny dźwięk świadczył o tym, że strażnik wyjmuje z kabury broń. Chwilę później poczuła na szyi palce sprawdzające puls.

I wtedy Maria otworzyła oczy. Szeroko. Spojrzała wprost w twarz Olgi Sarapenko. Dostrzegła w jej wzroku strach, kiedy uświadomiła sobie, że patrzy na coś, co nie było już istotą ludzką.

#### 4

W pokoju hotelowym wisiała na ścianie jaskrawa abstrakcyjna reprodukcja. Fabel usiadł na skraju łóżka i wpatrywał się w nią, jakby szukał inspiracji czy siły do dalszych działań. Bolała go głowa. Był zdumiony jawną arogancją Witrenki – jak mógł napaść na zatłoczonej ulicy oficera policji i zażądać od niego, żeby zdradził to, w co wierzył.

Wpatrując się w reprodukcję, pomyślał o *Straży nocnej* wiszącej w salonie u jego matki. O tym, że zapomniał, co widział w tym obrazie, kiedy był mały. Chronić innych, by nie stała się im krzywda.

Wiedział dobrze, co musi zrobić, ale drżał na samą myśl. To było wbrew wyznawanym przez niego zasadom. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

– Halo, Ulrich? Tu Fabel. Chodzi mi o dossier Witrenki...

W ciągu tych długich godzin, spędzonych samotnie w chłodzie i ciemności, Maria zrozumiała, że jeśli atak ma się zakończyć powodzeniem, potrzebuje jakiegoś ostrego narzędzia. Planowała zaostrzyć łyżkę, ale została jej ona odebrana, a wraz z nią cała nadzieja. Potem uświadomiła sobie, że dysponuje takim narzędziem. Tyle że używając go, przestała zachowywać się jak człowiek.

Szarawe ściany chłodni spryskane były strumieniami krwi tętniczej. Sarapenko wyciągnęła rękę do Marii; w ostatnim odruchu gasnącego życia chciała dotknąć drugiej istoty ludzkiej. Krew z szyi tryskała już z mniejszą siłą. Wyciągnięta ręka Olgi opadła bezwładnie na brudną posadzkę. Rozdygotana Maria podźwignęła się na nogi i rękawem wytarła usta i twarz z krwi. Starając się nie patrzeć na odartą z urody twarz Ukrainki, sięgnęła po jej broń. Nie czuła przerażenia. Wszystko to było takie nierealne. Zdawało jej się, że patrzy na całą tę sytuację gdzieś z boku. Nerwowo wymachując pistoletem, wyszła z chłodni. Nikogo w pobliżu nie było. Podeszła do rzędu wygaszonych teraz monitorów. Zaczęła wyszarpywać jedną po drugiej szuflady, aż wreszcie znalazła trzy zapasowe magazynki do pistoletu Olgi i oba własne pistolety. W kącie stał kosz na śmieci; chwyciła go i wyrzuciła zawartość na podłogę. Znalazła zabrudzoną fusami po kawie niedojedzoną bułkę z kawałkiem wędliny. Wepchnęła ją do ust i przełknęła, prawie nie rozgryzając. Smak czerstwego pieczywa mieszał się jej ustach ze słodkawym smakiem krwi Olgi.

W drzwiach w drugim końcu hali pojawił się Nos z jakimś wielkim pudłem w rękach. Na widok Marii rzucił pudło na podłogę i sięgnął dłonią pod skórzaną marynarkę. Maria szła w jego kierunku niespiesznie. Zaczęła strzelać. Trafiony w klatkę piersiową i lewy bok Nos osunął się na kolana. Jego dłoń wysunęła się spod marynarki. Maria strzeliła jeszcze dwa razy. Pistolet Nosa upadł na ziemię. Odtrąciła go nogą. Nos spojrzął jej w oczy. Z wysiłkiem łapał powietrze otwartymi ustami. Maria wiedziała, że jest poważnie ranny i umrze, jeśli

nie trafi szybko do szpitala. Podejrzewała, że on również zdaje sobie z tego sprawę. Próbował się podnieść, ale Maria pchnęła go butem i runął na plecy.

– Gdzie ma nastąpić wymiana? – zapytała.

– Jaka wymiana? – wydyszał z trudem.

Maria opuściła broń i strzeliła. Kula roztrzaskała mu prawe kolano, a dżinsy wokół rany zabarwiły się na czerwono.

– Mam zostać na coś wymieniona – mówiła dalej z niezmacnym spokojem. – Przypuszczam, że na dossier Witrenki. Gdzie ma się odbyć spotkanie i z kim?

– Pieprz się...

– Nie – odparła znużonym głosem. – Sam się pieprz. – Pochyliła się i wymierzyła broń w jego czoło.

– Koło katedry – wyrzucił z siebie szybko Nos. – Na rogu Komödienstraße i Tunisstraße. Z Fablem.

– Z Janem Fablem?

– Ma przynieść dossier w zamian za ciebie.

– Kiedy?

– W Różany Poniedziałek. Kiedy będzie tamtędy przechodzić procesja.

– Dziękuję – skwitowała Maria. – Umrzesz, jeśli nie otrzymasz szybko pomocy. Masz telefon komórkowy?

– W kieszeni.

Maria przytknęła wylot lufy do jego policzka, a drugą ręką sięgnęła do kieszeni skórzanej marynarki. Wyjęła z niej telefon i schowała do własnej kieszeni. Następnie resztkami sił, trzymając go za kołnierz marynarki i nie zważając na jego wrzaski, zaciągnęła go do chłodni. Zostawiła go obok zwłok Olgi Sarapenko.

– Jak już mówiłam... – Obrzuciła Ukrainca zimnym, obojętnym spojrzeniem. – Pieprz się. – I zamknęła drzwi chłodni.

Za plecami stojącego na rogu Komödienstraße i Tunisstraße Fabla majaczyły wysokie wieże katedry. Obserwował mijające

go jedna po drugiej platformy. Tłumy zorganizowanego chaosu. Spojrzał w głąb Tunisstraße i dostrzegł nadjeżdżającą platformę policyjną. Patrzył na tę paradę, nie widząc jej. Myślał o tym, jak zakończy się dzisiejszy dzień. Zastanawiał się, czy sam zginie. Może Maria jest już martwa, a Witrenko wykończy go, kiedy tylko dostanie dossier. Zacisnął mocniej palce na plastikowej tecze.

– To nie ma nic wspólnego z różami – tłumaczył mu wcześniej Scholz. – Słowo „różany” w Różanym Poniedziałku pochodzi od dawnego dolnoniemieckiego *Rasen*, co oznaczało „biegać w kółko jak oszalały”. – A teraz Fabel stał na roku kolońskiej ulicy w dzień Różanego Poniedziałku i patrzył, jak świat wokół staje na głowie. Minęła go wielka kukła prezydenta George’a Busha z wypiętymi gołymi pośladkami, które poklepywał jakiś rozwścieczony Arab. Za nią niesiono kukłę kanclerz Niemiec, Angeli Merkel, przebraną za Dziewicę znaną z Renu. Na kolejnej platformie przedstawiono grupę niemieckich gwiazd telewizyjnych napychających sobie kieszenie gotówką. Zgromadzony tłum oklaskiwał paradę i starał się złapać cukierki zrzucone z platform.

Procesja zwolniła, wreszcie przystanęła na chwilę dla zachowania odpowiednich odległości między platformami. Tymczasem tłum dalej wiwatował. Fabel przyjrzał się otaczającym go twarzom: klauni, osoby z wielgachnymi, kolorowymi kapeluszami na głowach, dzieci z wymalowanymi twarzami, trzymane na rękach przez rodziców. Wreszcie go zauważył: postać w złotej masce i czarnym stroju stała cztery, pięć rzędów z tyłu. Fabel zaczął przeciskać się przez tłum, kiedy nagle zobaczył drugą taką samą maskę. I trzecią. I jeszcze jedną... W sumie doliczył się pięciu, nie, sześciu masek. Wszystkie przyglądały się Fabelowi, a nie paradzie. Fabel stanął w miejscu i próbował zgadnąć, za którą maską kryje się Witrenko. Dwie z zamaskowanych postaci podeszły do niego.

– Powiedziałem, że oddam to tylko Witrence – odezwał się Fabel. Żaden z mężczyzn nie poruszył się, ale Fabel usłyszał głos Witrenki.

– A ja powiedziałem, że nie dam się złapać w pułapkę.



Fabel odwrócił się i ujrzał przed sobą kolejną złotą maskę.

– Masz?

– Zrobiłem kserokopię oryginału. Gdzie jest Maria? – Tłum wokół nich oklaskiwał następną platformę.

– W bezpiecznym miejscu. Zostanie uwolniona, kiedy wrócę z dossier.

– Nie tak się umawialiśmy. Powiedziałaś, że wymiany dokonamy tutaj. Jeśli pozwolę ci odejść z dossier, zabijesz ją. Albo już ją zabiłeś. – Obsypał ich grad cukierków, zrzucających z przejeżdżającej platformy. Ludzie na platformie krzyczeli w Kölsch: *Alaaf... Helau!*, a tłum odpowiadał im: *Kölle Alaaf!*

– Ma pan rację, Herr Fabel, wcale nie jest mi potrzebna do wymiany. Zresztą to nie ma znaczenia, skoro przyniósł pan dossier. Dziękuję. I żegnam.

Witrenko chwycił Fabla za ramię i przyciągnął go do siebie. Jeden z jego pomagierów wyrwał mu teczkę z rąk. Witrenko drugą ręką wbił nóż w brzuch Fabla. Nadkomisarz zgiął się wpół, rozdziawiając szeroko usta.

W tej samej chwili spod plandeki osłaniającej przejeżdżającą właśnie policyjną platformę wysypał się tłum policjantów. Benni Scholz, który stał na platformie przebrany w śmieszny karnawałowy strój, zeskoczył na ziemię. Tłum głośno wiwatował, sądząc, że to część przedstawienia przygotowanego przez kolońską policję. Policjanci wmieszali się między ludzi. Witrenko spojrział na Fabla, potem na trzymany w ręce nóż. Rzucił go na ziemię i zniknął w tłumie.

– Łapać go! – zakomenderował Scholz i precyzyjnie się do miejsca, gdzie upadł Fabel.

## 7

Scholz objął Fabla ramieniem i uniósł nieco.

– Wszystko w porządku?

Fabel spojrział na przedziurawiony płaszcz i marynarkę.

– Straciłem tylko dech w piersi.

– Nie pomyliłeś się, przewidziałeś, jaką broń wybierze. Gdyby to był pistolet, kamizelka nie na wiele by się zdała.

– Chodźmy – powiedział Fabel.

Policjanci złapali dwóch pomagierów Witrenki i zerwali im maski z twarzy. Fabel, Scholz i pół tuzina policjantów przedzielali się przez tłum gapiów, który rzedł, w miarę jak oddalali się od parady.

– Tam! – zawołał jeden z policjantów i wskazał jakąś ciemną sylwetkę, która wypadła z tłumy i pobiegła w stronę Renu.

– Nie, zaczekaj! – wrzasnął Scholz. – Tam jest jeszcze jeden.

– Wskazał drugą postać, kierującą się w stronę stacji kolejowej.

– I jeszcze... – Trzecia maska mignęła im, odwracając się i ruszając biegiem w kierunku katedry.

– Musimy się rozdzielić i gonić wszystkich! – krzyknął Fabel.

– Minimum trzech ludzi za każdym z nich. To są niebezpieczne bydlaki. Benni, my bierzemy tego z katedry. Masz broń?

Benni sięgnął do kieszeni swojego o kilka numerów za dużego przebrania i wyjął sig-sauera. Kazał jednemu z mundurowych biec z nimi i we trójkę ruszyli za trzecim zamaskowanym mężczyzną. Zatoczyli krąg i znaleźli się po południowej stronie katedry. Nagle zostali sami. Wciąż dał się słyszeć aplauz tłumy, ale dochodził teraz z bardzo daleka, jakby z innego świata. Przystanęli, łapiąc z trudem powietrze.

– Nie mógł pobiec na tył katedry – zauważył mundurowy. – Nie miał na to czasu.

Fabel zadarł głowę i spojrzał na imponującą bryłę katedry. Znajdowali się po jej południowej stronie. Nawę boczną wspierał rząd masywnych przypór zakończonych wieżyczkami. Opuścił wzrok i jego uwagę przykuło boczne wejście do świątyni.

– Czy katedra jest dzisiaj otwarta? – zapytał.

– Nie dla zwiedzających – odparł Scholz. – Później będzie odprawiana specjalna msza poprzedzająca Wielki Post, *Fastenpredigt*. Teraz trwają pewnie przygotowania do niej.

– On się ukrył w środku – stwierdził Fabel. – Próbuje nas zgubić i wyjdzie z drugiej strony. Chodźcie!

Ciężkie drzwi ustąpiły, a potem zamknęły się za nimi z hukiem. Na podłodze tuż przy drzwiach leżał jakiś człowiek. Siwe włosy były w nieładzie, a na skroni czerwieniła się plama krwi.

– Nic panu nie jest? – Scholz pochylił się nad starszym mężczyzną.

– Ja... próbowałem go zatrzymać. Mówiłem, że katedra jest zamknięta. Uderzył mnie...

– Zostań z nim – rozkazał policjantowi Scholz. – Wezwij przez radio posiłki. Niech obstawią wszystkie wyjścia z katedry. Janie, ty chodź ze mną. To może być pułapka, ale lepiej się upewnić.

Fabel wyjął z kabury pistolet, w który Scholz wyposażył go przed spotkaniem z Witrenką. Ruszyli środkiem nawy, minęli okno, przy którym Fabel rozmawiał z meksykańskim pisarzem o nosorożcach.

– To gmaszysko ma wielkość stadionu piłkarskiego – odezwał się do Scholza. – Drań może być wszędzie.

– Ty sprawdź ławki po lewej, a ja po prawej.

Posuwali się wzdłuż nawy, a towarzyszyły im stłumione odgłosy karnawału. Dotarli do transeptu. Fabel spojrzął na ołtarz Trzech Króli i olbrzymi złoty relikwiarz. Usłyszał z lewej strony jakiś odgłos.

– Tam, za tą zasłoną... – szepnął do Scholza i skierował broń w lewą stronę. Scholz złapał go za ramię.

– Na miłość boską, nie strzelaj. Ta zasłona, jak ją nazwałeś, to ołtarz klarysek. Jest bezcenny.

– Tak samo jak moje życie. – Fabel wskazał głową tryptyk. – Ty idź tędy.

Fabel powoli podchodził do ołtarza z bronią wymierzoną w skrzydło tryptyku, gotów w każdej chwili strzelić. Upewnił się, że Scholz zajął swoją pozycję, i zajrzał za skrzydło ołtarza. Coś uderzyło go mocno i zachwiał się na nogach. Pistolet z hukiem upadł na posadzkę. Na policzku poczuł dotyk chłodnej stali. Podniósł wzrok i ujrzał złotą maskę.

– Wstań i rzuć broń – usłyszał Fabel ciche, lecz stanowcze słowa Scholza. – Albo dostaniesz kulkę w łeb.

– Puść mnie, bo go zabiję – odpowiedział zamaskowany mężczyzna. – Zrobię to.

– A zaraz potem sam umrzesz – odparł Scholz. – Nikt na tym nie wygra, Witrenko.

Mężczyzna odsunął pistolet od twarzy Fabla i położył go na posadzce. Podniósł się i zdjął z twarzy maskę. Ma ciemne włosy i jest młodszy od Witrenki, pomyślał Fabel.

– To nie on – powiedział na głos. – Wydaje mi się, że to nie on.

– Jesteś pewny? – zapytał Scholz. Fabel wstał i podniósł swoją broń. Stał obok Scholza i też wziął na muszkę mężczyznę.

– Masz rację, Fabel. Ja nie jestem Witrenką. Jego już tu dawno nie ma. Przecież mówił ci, że nie da się wciągnąć w zasadzkę.

– Jak się nazywasz?

– Pyłyp Gnatienko. Czyli dla was nikt.

– Pan Nikt, który jest gotów zginąć albo pójść do więzienia, byleby dać swojemu szefowi czas na ucieczkę? – zapytał Fabel.

– Skoro tak twierdzisz. Nic nie wiesz o naszych zasadach.

– Wyjdź z cienia. Chcę ci się przyjrzeć.

Za ich plecami rozległ się jakiś dźwięk i Fabel obrócił się w miejscu.

– Maria? – Patrzył z niedowierzaniem na stojącą przed nim postać. Maria miała na sobie marne ciuchy i była przeraźliwie chuda. Do tego wymizerowana i blada. Na czole widniał wyraźny ślad po uderzeniu. Tak jak twierdził pracownik hotelu, blond włosy ufarbowała na czarno. W obu dłoniach trzymała broń wycelowaną w Ukraińca. Scholz skierował swój pistolet w jej kierunku.

– Wszystko w porządku! – zawołał Fabel. – To jest Maria. Policjantka, o której ci mówiłem.

– Jeśli wam to nie sprawi kłopotu – warknął Scholz – może wyjaśnicie mi, co tu się, do kurwy nędzy, dzieje?

– To on – powiedziała Maria.

– Nie wiemy, czy to jest Witrenko – zaprotestował Scholz. – Twierdzi, że jest tylko jednym z jego przydupasów. Lepiej niech mi pani odda broń, Frau Klee.

– Te oczy, Janie. Spójrz mu w oczy. Oczu nie mógł zmienić.

– Wyłaż z cienia! – Fabel wciąż trzymał broń wycelowaną w Ukraińca.

Mężczyzna uśmiechnął się i stanął w świetle. Był zbyt młody, miał zbyt ciemne włosy. Ale kiedy Fabel zobaczył blask jego szmaragdowych oczu, nie miał wątpliwości, że to Witrenko.

– Myślałem, że moje nowe oblicze zdoła cię zwieść, ale niestety Frau Klee mnie już widziała.

– Powiedział mi, że jest Ukraińcem i nazywa się Taras Buslenko.

– Tym policjantem, którego tu przysłali?

Maria skinęła głową.

Witrenko założył ręce na tył głowy.

– Jestem waszym więźniem – powiedział. – Żadnych sztuczek.

– Tak łatwo się poddajesz? – zdziwił się Fabel. – Nie mogę uwierzyć.

– Istnieje wiele dróg ucieczki – odparł Witrenko. – Frau Klee doskonale o tym wie. Znaleźliśmy ciała strażników, Mario. Biedna Olga. Okazuje się, że bardziej się trzeba bać twoich ukąszeń niż szczekania. Tak, istnieje wiele dróg ucieczki. Wiem, że BKA zechce ze mną negocjować. Jestem skarbnicą wiedzy. Zresztą zdążyłem im już przekazać sporo informacji.

– Wiem – odezwał się Fabel. – W teczce, którą mi zabrałeś, były czyste kartki papieru. Ale przecież nie potrzebowałeś czytać tego dossier, prawda?

– Mogę ponowić swoją prośbę? – wtrącił się Scholz. Celował w Witrenkę i miał bardzo chmurną minę. – Czy ktoś wreszcie mi powie, o co tu, kurwa, chodzi?

– Całe to tak zwane dossier Witrenki to lipa. Kretem w organizacji był sam Witrenko. To była mistyfikacja. Kilka prawdziwych informacji, a cała reszta to same bzdety. Chodziło o to, żeby przekonać Federalną Policję Kryminalną, że jest wiarygodny.

– Więc Buslenko zginął na darmo, za kłamstwo? – Pytanie uwięzło Marii w gardle. – I to, co mi zrobił? To wszystko było maskaradą?

Witrenko wzruszył ramionami.

– Co mam powiedzieć? Zaraziłem się atmosferą karnawału. A jedynym kłamstwem, dla którego zginął Buslenko, jest to, że

warto umierać za Ukrainę. Patriota. Dureń. Teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, zakujcie mnie w kajdanki i przewieźcie do jakiegoś więzienia. Macie oczywiście dość dowodów, które mnie obciążają. Wszystkie są w dossier. Ach, prawda, zapomniałem, przecież to wszystko lipa. Ciekawe, jak długo będziecie mnie trzymać za kratkami...

– A zabójstwo policjanta w Cuxhaven? Próba zabicia Marii? Kontener pełen imigrantów, który spłonął? Myślę, że coś się znajdzie.

– A ja myślę, że moi prawnicy i biegli sądowi będą mieli dużo do powiedzenia na temat wiarygodności Frau Klee jako świadka. – Witrenko uśmiechnął się kpiąco. – Widzisz, Fabel, znów ci się wymykam. Tak samo jak poprzednim razem. Nie po drodze mi z tobą.

– Nie... – Głos Marii zabrzmiał głucho. – Nie tak jak poprzednim razem.

Fabel i Scholz nie zdążyli zareagować. Maria strzeliła z obu pistoletów. Naciskała spust tak długo, póki nie opróżniła magazynków. Pociski trafiły Witrenkę w klatkę piersiową i brzuch. Zachwiał się na nogach i uderzył plecami w ścianę. Jego szmaragdowe oczy zaszyły mgłą. Osunął się na posadzkę, znacząc ścianę smugą krwi. Maria wypuściła broń z rąk. W tej samej chwili Fabel zobaczył na jej twarzy dziwną pustkę.

Mimo szoku zrozumiał, że to, co ją opuściło, już nigdy nie powróci.

## 8

Było już ciemno, kiedy Fabel powoli wspinał się na wzniesienie w parku Marienfeld, na którym płonęło ognisko, iskry rozsypywały się dookoła.

– Nie przypuszczałem, że cię tu zobaczę – przywitał go Scholz i wręczył mu butelkę kölscha.

– Niewiele mi się udało zdziałać w szpitalu. Załatwiłem tylko przetransportowanie Marii do Hamburga. Oczywiście, jak już zakończysz śledztwo.

– Chyba nie ma znaczenia, gdzie znajduje się jej ciało. Jej już

w nim nie ma. Przykro mi, Janie. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Dzięki, Benni.

Podeszła do nich Tansu Bakrac. Fabel zauważył, że Scholz usunął się dyskretnie, pozwalając im porozmawiać na osobności.

– Wszystko w porządku? – zapytała, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Nie. Zupełnie nie. Wracam do Hamburga. Za tydzień, dwa przyjadę, żeby zamknąć temat. Posłuchaj, Tansu, jeśli chodzi o to, co się stało...

Uśmiechnęła się i wskazała ruchem głowy ognisko.

– To jest *Nubbelverbrennung*. Wszystkie grzechy i szaleństwa Szalonych Dni zostają spalone. Tu i teraz. Życzę ci powodzenia, Janie.

– Ja tobie też, Tansu. – Fabel pocałował ją. Potem patrzył, jak wraca do swoich znajomych, a blask ognia wytrawiał w jego pamięci kształt jej ciała.

## EPILOG

### Hamburg

Fabel siedział z Marią przy oknie. Trzymał ją za rękę i patrzył jej w oczy, ale ona utkwiała wzrok gdzieś daleko, za oknem. Widać tam było szpitalne budynki, wielki trójkątny trawnik i zielone kępy krzewów wyznaczających granice szpitalnego terenu. Dalej była szosa, hałaśliwa i wiecznie zatłoczona. Fabel wiedział, że Maria, choć wydawała się zapatrzona w ten nieciekawy krajobraz, w istocie go nie widziała. Nie miał pojęcia, co widziała. Może tamto pole pod Cuxhaven. Może jakiś ogród albo inne ulubione miejsce z dzieciństwa. Cokolwiek to było, widziała to tylko Maria. Istniało tylko w świecie, w którym się zamknęła. Ale najbardziej niepokoiła Fabla myśl, że Maria mogła niczego nie widzieć. Że otoczyła się pustką.

Fabel mówił do Marii. Mówił, że tu w Hamburgu wygląda lepiej. Że pomoże jej terapia doktora Minksa. Że policja hamburska wszystkim się zajęła. Maria nie odpowiadała. Patrzyła przez okno na trawnik i szosę. Albo nie patrzyła na nic. Fabel mówił o wyzdrowieniu, które, jak wiedział, nigdy nie nastąpi, a przynajmniej nie do końca. Mówił o kolegach, z którymi przecież już nigdy nie będzie pracowała. Mówił z takim samym wymuszonym spokojem jak wtedy, dawno temu, kiedy leżała bliska śmierci na polu pod Cuxhaven. Tyle że tym razem nie potrafił jej uratować.

Od czasu do czasu Maria uśmiechała się, ale Fabel zdawał sobie sprawę, że to nie była reakcja na jego słowa. Uśmiechała się do tego głęboko skrytego, odległego świata, który teraz zamieszkiwała.

Tego dnia w Hamburgu padał deszcz. Fabel spotkał się z Susanne w barze niedaleko jej mieszkania w dzielnicy Poseldorf. Na neutralnym gruncie.



– Chciałem z tobą porozmawiać, Susanne – wyjaśnił. – Chyba powinniśmy sobie parę rzeczy uporządkować.

– Myślałam, że już to zrobiliśmy – odpowiedziała beznamiętnym tonem. – A przynajmniej, że ty to zrobiłeś, kiedy zadzwoniłeś do mnie przed wyjazdem do Kolonii.

Fabel w zamyśleniu obracał w dłoni butelkę z piwem. Wrócił pamięcią do tamtych trzech rozmów telefonicznych, które odbył kilka tygodni temu – z Wagnerem z BKA, z Rolandem Bartzem i z Susanne.

– Posłuchaj, Susanne – zaczął polubownie – gdy byłem w Kolonii, wszystko wydawało się trochę skomplikowane. To pewnie przez ten ich karnawał. Ale nie dla mnie. Nie dla mnie, kiedy dowiedziałem się, że Maria ruszyła z samotną krucjatą, która kosztowała ją zdrowie psychiczne. Byłem tam otoczony ludźmi, którzy nie byli sobą... Vera Reinartz stała się Andream Sandow, która z kolei stała się klaunem zabijającym ludzi... Witrenko, kradnący jedną tożsamość po drugiej i manipulujący wszystkimi dookoła. Ale ja... ja wiedziałem, kim jestem. Najzabawniejsze było to, że nie wiedziałem, kim byłem wcześniej. A może nie chciałem wiedzieć?

– Więc kim jesteś?

– Jestem policjantem. Takim samym jak ten biedny dzieciak Breidenbach, który wolał się dać zastrzelić, niż pozwolić uzbrojonemu szaleńcowi chodzić po ulicy... Jak Werner albo Anna, albo Benni Scholz z Kolonii. Oto kim jestem. Oto czym jestem. Moim zadaniem jest stawać między złym a niewinnym. Do dzisiaj nie zdawałem sobie sprawy, że to coś więcej niż praca. Bywa okropna, niezmiennie niedoceniana, ale do tego jestem przeznaczony. Zawsze udawałem przed sobą, że jestem historykiem czy intelektualistą, który przypadkiem trafił do takiego zawodu i który do niego nie pasuje. Ale to nieprawda, Susanne. Nieważne, czy to ja znalazłem tę pracę, czy praca znalazła mnie, jestem do niej przeznaczony.

– Więc przyjąłeś ofertę? Będiesz szefował temu superwydziałowi zabójstw?

– Nie. Przyrzekłem, że będę pomagał, ilekroć zajdzie taka potrzeba. Dzielił się swoim doświadczeniem. Ale zrozumiałem coś

innego. Tu jest moje miejsce. Hamburg jest moim miastem. To tych ludzi chcę chronić.

– Do czego to nas prowadzi? – Ton głosu Susanne był zimny i ostry. Fabel ujął jej dłonie.

– To raczej ja powinienem cię o to zapytać...

## Kolonia, sześć miesięcy później

Andrea siedziała na brzegu łóżka. Bez makijażu, bez szminki. Platynowe włosy z ciemnymi odrostami miała związane z tyłu głowy w kucyk.

W celi nie było niczego prócz łóżka i biurka. Wszystko to było przykręcone do podłogi solidnymi śrubami. Żadnych hantli. Tego jej najbardziej brakowało od chwili aresztowania. Wiedziała jednak, że obserwują ją, by zapobiec ewentualnej próbie samobójstwa. W końcu ją stąd przeniosą. Na razie trenowała poszczególne grupy mięśni, wykorzystując ciężar własnego ciała. Wiedziała, że bez hantli straci masę mięśniową i wysmukleje, ale przynajmniej zachowa odpowiednie napięcie mięśniowe.

Wstała i podeszła do narożnika celi. Zaparła się stopami o ścianę, żeby dociążyć ramiona, i zaczęła robić pompki. Zdawała sobie sprawę, że pielęgniarka obserwuje ją cały czas przez judasza w drzwiach. Na pewno nie będą odmawiać jej dostępu do sali gimnastycznej do końca wymierzonej kary. Tam będą sztangi, hantle i atlasy. Zacznie odbudowywać muskulaturę. Zacznie odzyskiwać siłę. A tymczasem będzie robić pompki – sześć serii po dwadzieścia pompek dziennie, trzy razy w tygodniu. Razem prawie dziewiętnaście tysięcy pompek w ciągu roku. W pozostałe dni da odpocząć rękom i górnej części tułowia, za to będzie ćwiczyć przysiady.

Opracuje swój kalendarz ćwiczeń tak, by nie kolidował z sesjami terapeutycznymi, przerwami na posiłek, zajęciami świetlicowymi. Będzie wzorową pacjentką – czy więźniem – jakkolwiek to nazwać. Aż pewnego dnia pozwolą jej wyjść. Pewnie nieprędko, ale przekona ich w końcu, że jest już zdrowa i nie stanowi zagrożenia. Że stała się znów kimś innym.

Jednej rzeczy Andrea nauczyła się na samym początku, kiedy zaczęła budować swoją muskulaturę – żeby zrobić coś z ciałem,

trzeba zapanować nad umysłem. Wyznaczyć sobie cel. Skoncentrować się na nim. Zaciśnięła zęby, robienie ostatnich pompek wywołało ból w ramionach. Kiedy zaczynała, takim celem była twarz karnawałowego klauna, który pobił ją i zgwałcił, a następnie o mało nie udusił krawatem. Podczas każdego ćwiczenia, codziennie przez siedem lat miała przed oczami jego twarz. Ten widok pozwalał osiągnąć koncentrację, której tak potrzebowała.

Ale teraz zmieniała obiekt zainteresowań. Z każdą kolejną pompką powtarzała w myślach nową mantrę: dwa słowa, które będzie powtarzać przy każdym ćwiczeniu, każdego dnia pobytu za kratami.

Jan Fabel.

Kiedy wyjdzie na wolność, znów będzie silna.

## **PODZIĘKOWANIA**

Pragnę podziękować za pomoc i wsparcie następującym osobom: Wendy, Jonathanowi i Sophie; mojej agentce Carole Blake; wydawcy z Hutchinson, Paulowi Sideyowi, Tessie Callaway i adiustatorowi Nickowi Austinowi; Berndowi Rullkötterowi; pani komendant Ulrice Sweden z policji w Hamburgu; doktorowi Janowi Sperhakemu, szefowi anatomopatologii z Institut für Rechtsmedizin; Udo Robelowi i Anji Sieg.

Chciałbym również złożyć podziękowania wydawcom z całego świata za ich zapal i wsparcie.

**W**IRTUALO  
Księgarnia Internetowa

**empik**



mistrz  
karnawału

lesiojot

w  
ab